

DURA LEX SED LEX

JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

LISTA SĘDZIEGO

ALBATROS

JOHN
GRISHAM
LISTA
SĘDZIEGO

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

THRILLER PRAWNICZY I KRYMINAŁ Z LACY STOLTZ, ZNANĄ Z *DEMASKATORA*.

Mają wymierzać sprawiedliwość, a nie dokonywać egzekucji.

Tylko że sprawiedliwość dla niektórych to baaardzo szerokie pojęcie.

Wystarczy, że zażadasz od niego zapłacenia rachunku, wydasz wyrok nie po jego myśli albo wyrazisz się o nim lekceważąco. Naprawdę niewiele trzeba, żeby trafić na jego listę.

A wtedy, nawet jeśli zemsta nie dosięgnie cię od razu, możesz być pewny, że w końcu to nastąpi. Ponieważ twój prześladowca wie, jak zabijać, nie pozostawiając po sobie śladów. Ma na to środki, zna procedury policyjne i sądowe. Bo jest sędzią sprawującym urząd na Florydzie. W ciągu dwóch dekad w różnych stanach zamordował co najmniej sześć osób.

I będzie to robił nadal, jeśli córka jednej z ofiar go nie powstrzyma. Tylko że Jeri Crosby, jak przedstawia się kobieta, która od wielu lat jest na jego tropie, zna jedynie motyw zbrodni i nie ma żadnych dowodów.

I nie znajdzie ich, jeśli nie sprzymierzy się z Lacy Stoltz, prawniczką zajmującą się etyką zawodową pracowników wymiaru sprawiedliwości. A wtedy role się odwrócą – to sędzia będzie musiał się strzec.

JOHN GRISHAM

Autor, którego nazwisko jest synonimem nowoczesnego thrillera prawniczego. Po ukończeniu studiów prawniczych w 1981 roku praktykował w Southaven, specjalizując się w sprawach karnych. Pewnego dnia Grisham usłyszał wstrząsające zeznania dwunastoletniej ofiary gwałtu. To przeżycie zainspirowało go do napisania debiutanckiej powieści – **Czas zabijania** – która rozślawiła jego nazwisko na cały świat. Od tego czasu napisał ponad 40 książek, w tym kilka dla młodzieży. Jego powieści zostały przetłumaczone na 50 języków, a ich łączny nakład dawno przekroczył 300 milionów egzemplarzy.

Po twórczość Grishama chętnie sięgają filmowcy: **Raport Pelikana** z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, **Firma** z Tomem Cruise'em, **Czas zabijania** z Matthew McConaugheyem, Sandrą Bullock i Kevinem Spacey czy **Zaklinacz deszczu** z Mattem Damonem stały się megahitami.

jgrisham.com

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
NIEWINNY CZŁOWIEK
RAPORT PELIKANA
GÓRA BEZPRAWIA
CHŁOPCY EDDIEGO
KLIENT
SAMOTNY WILK
ADEPT
WERDYKT
ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH
WEZWANIE
WSPÓLNIK
BAR POD KOGUTEM
WYSPA CAMINO
DZIEŃ ROZRACHUNKU
WICHRY CAMINO
TESTAMENT
BRACTWO

Jake Brigance

CZAS ZABIJANIA
CZAS ZAPŁATY
CZAS ŁASKI

Lacy Stoltz

DEMASKATOR
LISTA SĘDZIEGO

Theodore Boone
MŁODY PRAWNIK
UPROWADZENIE
OSKARŻONY
AKTYWISTA
ZBIEG
AFERA

Tytuł oryginału:
THE JUDGE'S LIST

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2021

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek, Wydawnictwo Albatros Sp z o.o.

Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcie na okładce: © John Cooper/Arcangel

ISBN 978-83-8361-146-4



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

woblink

woblink.com

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Od autora

Rozdział 1

Ktoś zadzwonił pod numer stacjonarny, działający od co najmniej dwudziestu lat i odporny na wszelkie technologiczne nowinki. Odebrała wytatuowana recepcjonistka o imieniu Felicity, nowa dziewczyna, która, jak przewidywali, odejdzie, zanim nauczy się go porządnie obsługiwać. Wszyscy odchodzili, zwłaszcza pracownicy niższego szczebla. Rotacja była zatrważająca. Morale – niskie. Ustawodawca, który nie zdawał sobie chyba w ogóle sprawy z istnienia Komisji Dyscyplinarnej Sędziów, po raz czwarty z rzędu obciął jej roczny budżet.

Felicity udało się przełączyć rozmowę i słuchawkę podniosła siedząca przy zagraconym biurku Lacy Stoltz.

- Ma pani telefon na linii trzeciej – usłyszała.
- Kto dzwoni?
- Nie przedstawiła się.

Można było na to zareagować w różny sposób, ale w tym momencie Lacy była śmiertelnie znudzona i nie chciała ochrzaniać dziewczyny i instruować, jak to się normalnie robi. Nikt już nie przestrzegał procedur i regulaminu. Pozbawiona efektywnego kierownictwa KDS osuwała się w chaos.

Jako weteranka, prawdziwa weteranka, Lacy powinna jednak dawać przykład.

– Dziękuję – powiedziała i wcisnęła migający przycisk na aparacie. – Lacy Stoltz – przedstawiła się.

– Dzień dobry. Ma pani chwilę?

Wykształcona, bez lokalnego akcentu, czterdzieści kilka lat. Lacy zawsze potrafiła wiele się dowiedzieć po głosie.

– Z kim mam przyjemność? – zapytała.

– W tym momencie mam na imię Margie, ale używam też innych.

Lacy o mało nie parsknęła śmiechem.

– Cóż, przynajmniej pani tego nie kryje. Przebicie się przez fikcyjne aliasy zajmuje mi zwykle trochę czasu.

Anonimowe telefony były w jej pracy normą. Ludzie mający pretensje do sędziów zawsze bardzo ostrożnie stawiali czoło systemowi. Prawie wszyscy obawiali się odwetu ze strony władz.

– Chciałabym porozmawiać z panią w jakimś dyskretnym miejscu – powiedziała Margie.

– Jeśli pani chce, mogę pani zapewnić pełną dyskrecję w moim gabinecie.

– O nie – odparła natychmiast Margie, którą najwyraźniej przeraziła taka perspektywa. – To wykluczone. Zna pani Siler Building, tuż obok waszego biura?

– Oczywiście. – Lacy wstała i spojrzała przez okno na typowy stanowy biurowiec stojący w centrum Tallahassee.

– Na parterze jest kafejka – dodała Margie. – Możemy się tam spotkać?

– Chyba tak. Kiedy?

– Teraz. Piję właśnie drugą latte.

– Nie tak szybko. Proszę mi dać kilka minut. Rozpozna mnie pani?

– Tak. Pani zdjęcie jest na waszej stronie. Siedzę pod ścianą, na lewo od wejścia.

Gabinet Lacy rzeczywiście zapewniał dyskrecję. Sąsiedni pokój był pusty, bo urzędujący tam kolega przeniósł się do większej agencji. Pomieszczenie po drugiej stronie korytarza zostało przekształcone w prowizoryczny magazyn. Lacy minęła recepcję i zajrzała do gabinetu Darrena Trope’a, który pracował u nich od dwóch lat i zaczynał już szukać innej roboty.

– Jesteś zajęty? – zapytała, przerywając mu to, czym się akurat zajmował.

– Właściwie nie. – Dla Darrena nie miało znaczenia, czy jest, czy nie jest zajęty. Jeśli Lacy czegoś potrzebowała, był na jej usługi.

– Chciałam cię prosić o przysługę. Idę do Siler Building spotkać się z osobą, która przyznała, że używa fikcyjnego imienia.

– Uwielbiam takie akcje. To o wiele lepsze niż czytanie o sędzim, który wygłaszał sprośne komentarze do świadka.

– Jak sprośne?

– Bardzo.

– Mamy jakieś nagrania albo fotografie?

– Jeszcze nie.

– Daj mi znać, jeśli jakieś zdobędziesz. Więc możesz wpaść za kwadrans do kafejki i zrobić zdjęcie?

– Jasne. Żaden problem. Domyślasz się, kto to może być?

– Nie mam bladego pojęcia.

Lacy opuściła budynek i okrążyła kwartał, rozkoszując się świeżym powietrzem, po czym weszła do lobby Siler Building. Dochodziła czwarta po południu i w kafejce nie było innych gości. Margie, która siedziała przy

ścianie po lewej stronie, dała jej ukradkiem znak, jakby nie chciała, by zauważył to ktoś poza Lacy. Ta uśmiechnęła się i do niej podeszła.

Afroamerykanka, koło czterdziestki, wykształcona, atrakcyjna, w spodniach, butach na wysokich obcasach, ubrana lepiej niż Lacy, choć w KDS nie obowiązywał ostatnio jakiś szczególny dress code. Poprzedni szef wymagał biznesowego kostiumu i nienawidził dżinsów, ale przed dwoma laty odszedł na emeryturę razem z większością zasad, które wprowadził.

Lacy minęła bar. Wpatrzona w ekran różowego telefonu baristka opierała łokcie o blat z formiki i nawet nie podniosła wzroku, żeby przywitać nową klientkę. Lacy uznała, że daruje sobie kolejną tego dnia dawkę kofeiny.

Margie podała jej dłoń, nie wstając z krzesła.

– Miło panią poznać – powiedziała. – Napije się pani kawy?

Lacy uśmiechnęła się, pokręciła głową i usiadła naprzeciwko niej przy kwadratowym stoliku.

– Nie, dziękuję. Mam przyjemność z Margie, tak?

– W tym momencie.

– Okej, nasza znajomość nie najlepiej się zaczyna. Dlaczego używa pani fikcyjnego imienia?

– Przedstawienie mojej historii zajmie kilka godzin i nie wiem, czy chce jej pani słuchać.

– Więc po co zawraca nam pani głowę?

– Proszę, pani Stoltz.

– Mów mi Lacy.

– Proszę cię, Lacy. Nie masz pojęcia, jaką w tym momencie przeżywam traumę. Jestem wrakiem człowieka.

Margie nie sprawiała wrażenia, żeby coś jej dolegało, ale była trochę spięta. Być może spowodowały to dwie kawy. Przez cały czas rozglądała się na boki. Ładne oczy skrywała za dużymi okularami w fioletowych oprawkach, choć nie potrzebowała chyba korekty wzroku. Okulary były częścią subtelного kamuflażu.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzuciła Lacy. – Może wyjaśnisz po prostu, o co chodzi, i do czegoś dojdziemy.

– Czytałam o tobie. – Margie sięgnęła do plecaka i wyciągnęła z niego teczkę. – Mówię o sprawie tego kasyna należącego do rdzennych mieszkańców, o aferze, która wybuchła nie tak dawno temu. Złapałaś skorumpowaną sędzię i wsadziłaś ją za kratki. Pewien reporter nazwał to największym skandalem łapówkarskim w historii amerykańskiej jurystyki.

Teczka miała pięć centymetrów grubości, a zebrane w niej materiały były z pewnością idealnie uporządkowane.

Lacy odnotowała użycie wyrazu „jurystyka”, rzadkiego w ustach osoby spoza branży.

– To była jedna z wielu spraw – stwierdziła z udawaną skromnością.

– Jedna z wielu? – Margie uśmiechnęła się. – Rozbiłaś syndykat przestępczy, przyskrzypiłaś sędzię i wysłałaś wielu ludzi do więzienia. Wszyscy nadal odsiadują wyrok.

– To prawda, ale nie prowadziłam tego dochodzenia sama. Bardzo zaangażowało się w nie FBI. Kilka osób zginęło.

– W tym twój kolega, Hugo Hatch.

– Tak, również Hugo. Po co ten cały research na mój temat?

Margie splotła palce obu dłoni i położyła je na teczce, której nie otworzyła. Lekko drżał jej palec wskazujący. Zerknęła na wejście do kafejki i ponownie rozejrzała się po sali, choć nikt do niej nie wszedł, nikt nie wyszedł, nikt się nie poruszył, nawet baristka, która nadal bujała

w obłokach. Margie pociągnęła latte przez słomkę. Jeśli to naprawdę była jej druga kawa, prawie jej nie tknęła. Użyła wcześniej słowa „trauma” i przyznała, że jest „wrakiem człowieka”. Lacy zdała sobie sprawę, że ta kobieta się boi.

– Nie jestem pewna, czy można to nazwać researchem – odparła Margie. – To po prostu parę rzeczy ściągniętych z internetu. Jest tam wszystko.

Lacy uśmiechnęła się i starała się być cierpliwa.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy robiły jakieś postępy – mruknęła.

– Twoim zadaniem jest prowadzenie dochodzenia przeciwko sędziom, którzy są oskarżani o różne wykroczenia, prawda?

– Zgadza się.

– I robisz to od jak dawna?

– Przepraszam. Jakie to ma znaczenie?

– Proszę.

– Od dwunastu lat. – Podanie tej liczby było dla Lacy jak przyznanie się do klęski. Dwanaście lat to bardzo długi okres.

– Kiedy wszczynasz dochodzenie? – zapytała Margie, w dalszym ciągu sondując grunt.

Lacy wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie, że powinna być cierpliwa. Osoby składające skargę były często roztrzęsione.

– Ktoś, kto chce złożyć skargę na sędziego, na ogół się z nami kontaktuje i spotykamy się z nim – powiedziała z uśmiechem. – Jeśli zarzut wydaje się uzasadniony, to ten człowiek składa oficjalną skargę, a my w ciągu czterdziestu pięciu dni mamy obowiązek przyrzeć się sprawie. Nazywamy to ewaluacją. W dziewięciu na dziesięć przypadków sprawa kończy się na tym etapie i skarga zostaje oddalona. Jeśli stwierdzamy jakieś wykroczenie, powiadamy o tym sędziego i ten ma trzydzieści dni na

odpowieź. Wszystko odbywa się na ogół w obecności prawników. Prowadzimy śledztwo, przesłuchujemy, powołujemy świadków i tak dalej.

W tym momencie do kafejki wszedł Darren, wyrwał z rozmarzenia baristkę, zamawiając bezkofeinową kawę, po czym ignorując dwie klientki, oddalił się w drugi kąt sali, otworzył laptopa i zaczął, jak można było sądzić, nad czymś pilnie pracować. Po chwili wycelował niepostrzeżenie kamerkę w plecy Lacy i twarz Margie, przybliżył obraz i zaczął filmować. Oprócz filmu zrobił kilka zdjęć.

Jeśli Margie go zauważyła, nie dała tego po sobie poznać. Wysłuchiwała z uwagą Lacy i miała do niej kolejne pytanie:

– Jak często sędzia jest usuwany z urzędu?

Lacy ponownie nie wiedziała, jakie to ma znaczenie.

– Na szczęście niezbyt często – odpowiedziała. – Mamy pod swoją jurysdykcją ponad tysiąc sędziów, przeważnie uczciwych, ciężko pracujących prawników. Większość skarg, którymi się zajmujemy, nie jest aż tak poważna. Składają je uczestnicy procesów, którym nie spodobał się wyrok. Rozwodzące się strony. obrońcy, którzy przegrali sprawę. Mamy co robić, ale w większości przypadków konflikty są zażegnane.

Starła się przedstawić swoją pracę jako raczej nudną; po dwunastu latach chyba taka była.

Margie słuchała jej uważnie, bębniąc palcami po blacie. W końcu wzięła głęboki oddech.

– Czy osoba składająca skargę jest ujawniana? – zapytała.

– Wcześniej czy później tak – odparła po chwili zastanowienia Lacy. – Rzadko zdarza się, żeby skarżący pozostał anonimowy.

– Dlaczego?

– Bo zna na ogół fakty dotyczące sprawy i musi zostać przesłuchany. Trudno jest pociągnąć do odpowiedzialności sędziego, jeśli ludzie, którzy

go oskarżają, boją się ujawnić. Czy ty się boisz?

Samo to słowo budziło chyba w Margie lęk.

– Tak, można tak powiedzieć – przyznała.

Lacy zmarszczyła czoło. Zaczynało ją to nudzić.

– Posłuchaj, przejdźmy do tej konkretnej sprawy. Jak poważne jest wykroczenie, o którym mówimy?

Margie zamknęła powieki.

– Mówimy o morderstwie – wyjąkała, natychmiast otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie podsłuchuje. W pobliżu nie było nikogo oprócz Lacy, a ta potraktowała tę rewelację ze sceptycyzmem, którego nauczyła się w ciągu dwunastu lat pracy w komisji. Powtórzyła sobie po raz kolejny, że powinna być cierpliwa. Kiedy popatrzyła ponownie na Margie, ta miała łzy w oczach.

Lacy nachyliła się do niej.

– Sugerujesz, że jeden z naszych urzędujących sędziów popełnił morderstwo? – zapytała cicho.

Margie przygryzła wargę i pokręciła głową.

– Wiem, że je popełnił – odpowiedziała.

– Mogę zapytać, skąd o tym wiesz?

– Jedną z jego ofiar był mój ojciec.

Lacy wstrzymała oddech i rozejrzała się.

– Jedną z ofiar? To znaczy, że jest ich więcej?

– Tak. Uważam, że mój ojciec był jego drugą ofiarą. Nie wiem, ile ich dokładnie było, ale jestem pewna, że to on jest sprawcą.

– Ciekawe.

– To mało powiedziane. Ile masz skarg na sędziów zabijających ludzi?

– Ani jednej.

– Otóż to. Ilu urzędujących w tym kraju sędziów zostało kiedykolwiek skazanych za zabójstwo?

– Nigdy o żadnym nie słyszałam.

– Bo nie było nikogo takiego. Więc nie mów o tej informacji, że jest ciekawa.

– Nie chciałam cię urazić.

W drugim końcu kafejki Darren zakończył to, co miał pilnego do zrobienia, i wyszedł. Żadna z kobiet nie zwróciła na to uwagi.

– Nie czuję się urażona – powiedziała Margie. – Nie powiem nic więcej w tej kafejce. Dysponuję wieloma informacjami, którymi chciałabym się podzielić z tobą i z nikim więcej, ale nie tutaj.

Lacy miała do czynienia z wieloma świrami i nieznównważonymi osobami z całymi walizami papierów, z których wynikało, że jakiś zasiadający w sądzie łajdak jest do cna skorumpowany. Prawie zawsze po kilku minutach rozmowy potrafiła ocenić, czy skarga jest uzasadniona i czy powinna trafić do szuflady z odmowami. Z biegiem lat nauczyła się rozszyfrowywać ludzi; w przypadku wielu szajbusów, z którymi miała do czynienia, szybka ocena stanu ich zdrowia nie była zbyt trudna.

Margie, czy jak tam się nazywała, nie była szajbuską ani kimś nieznównważonym. Coś odkryła i bardzo się bała.

– No dobrze – rzuciła Lacy. – Jaki jest ciąg dalszy?

– Ciąg dalszy?

– To ty się ze mną skontaktowałaś. Chcesz mówić czy nie? Nie interesują mnie słowne gierki i nie mam czasu na wyciąganie informacji od ciebie czy innej osoby, która składa skargę na sędziego. Tracę dużo czasu z ludźmi, którzy do mnie dzwonią. Przynajmniej raz w miesiącu okazuje się to ślepą uliczką. Dowiem się od ciebie czegoś czy nie?

Margie znowu zaczęła płakać i ocierać policzki. Lacy przyglądała jej się z umiarkowanym współczuciem. Miała ochotę wstać od stolika i nigdy tu nie wracać.

Zaintrygował ją jednak zarzut zabójstwa. Praca w KDS polegała na ogół na wysłuchiwaniu banalnych albo frywolnych skarg ludzi, którzy mieli drobne problemy i niewiele do stracenia. Trudno jej było uwierzyć, że urzędujący sędzia morduje ludzi.

– Wynajęłam pokój w hotelu Ramada przy East Gaines Street – odezwała się w końcu Margie. – Mogłybyśmy się tam spotkać po godzinach. Ale musisz przyjść sama.

Lacy pokiwała głową, jakby właśnie tego się spodziewała.

– Obowiązują nas środki bezpieczeństwa – powiedziała. – Nie wolno nam spotykać się ze skarżącymi poza biurem i w miejscu niepublicznym. Będę musiała przyprowadzić ze sobą jednego z moich kolegów z działu dochodzeniowego.

– Na przykład pana Trope’a? – zapytała Margie, wskazując krzesło, które jeszcze przed chwilą grzał Darren.

Lacy obróciła się powoli, żeby sprawdzić, o czym, do cholery, ta kobieta mówi, i wymyślić jakąś odpowiedź.

– Macie swoją stronę w internecie – wyjaśniła Margie. – Uśmiechnięte buźki całego personelu. – Wyciągnęła z plecaka dużą odbitkę i przesunęła ją po stole. – Oto, z najlepszymi życzeniami, moja fotografia w kolorze. O wiele lepsza od tej, którą pstryknął przed chwilą pan Trope.

– O czym ty mówisz?

– Jestem pewna, że przepuścił moje zdjęcie przez wasz program do rozpoznawania twarzy i nic nie znalazł. Nie ma mnie w żadnej bazie danych.

– O czym ty mówisz? – powtórzyła Lacy, nie mając zamiaru się do niczego przyznawać.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Przyjdiesz sama albo nigdy już mnie nie zobaczysz. Jesteś najbardziej doświadczoną śledczą w tym biurze. Twoja szefowa pełni obowiązki tylko tymczasowo. Możesz prawdopodobnie podejmować samodzielne decyzje.

– Chciałabym, żeby tak to wyglądało.

– Potraktujmy to jako drink po pracy. Spotkamy się w barze i jeśli wszystko pójdzie dobrze, pójdziemy na górę do mojego pokoju i porozmawiamy w bardziej dyskretnym otoczeniu.

– Nie mogę pójść do twojego pokoju. To jest niezgodne z naszymi procedurami. Kiedy skarga zostanie oficjalnie złożona i trzeba będzie spotkać się prywatnie, wtedy mogę to zrobić. Ktoś musi wiedzieć, gdzie jestem, przynajmniej na początku.

– Rozumiem. O której godzinie?

– Może być szósta?

– Będę siedziała w tylnym prawym rogu baru i będę sama, podobnie jak ty. Żadnych mikrofonów, dyktafonów, ukrytych kamer i kolegów popijających drinka i ukradkiem mnie filmujących. Swoją drogą, pozdrów Darrena. Może któregoś dnia poznamy się bliżej. Umowa stoi?

– Umowa stoi.

– W porządku. Możesz już odejść.

Wracając do biura, Lacy musiała przyznać, że nikt jeszcze nie sponiewierał jej tak podczas pierwszej rozmowy.

...

– Dobra robota – powiedziała, kładąc kolorowe zdjęcie na biurku Darrena. – Ma nas dokładnie rozpracowanych. Zna nasze nazwiska,

stanowiska i numery ubezpieczenia społecznego. Dała mi tę fotografię i stwierdziła, że jest o wiele lepsza od tych, które zrobiłeś laptopem.

– Cóż, ma rację – rzucił Darren, biorąc do ręki zdjęcie.

– Domyślasz się, kim ona jest?

– Nie mam pojęcia. Wrzuciłem jej fotkę do naszego systemu i nie dostałem żadnej informacji zwrotnej. Co oczywiście o niczym nie świadczy.

– Świadczy o tym, że w ciągu ostatnich sześciu lat nie została aresztowana w stanie Floryda. Możesz zwrócić się do FBI?

– Chyba nie. Trzeba im podać powód, a nie mogę tego zrobić, bo nic nie wiem. Chciałbym ci zadać oczywiste pytanie.

– Słucham.

– Komisja Dyscyplinarna Sędziów jest agencją śledczą, prawda?

– Podobno.

– Więc dlaczego zamieszczamy nasze zdjęcia i biogramy na tej dość głupawej stronie internetowej?

– Zapytaj szefową.

– Nie mamy szefowej. Mamy kobietę, która przesuwa papiery na biurku i odejdzie stąd, zanim zdążymy za nią zatęsknić.

– Być może. Słuchaj, Darren, odbyliśmy już tę rozmowę dziesiątki razy. Nie chcemy naszych uroczych fotek na stronie KDS. Dlatego od pięciu lat nie uaktualniam swojej. Nadal wyglądam na niej, jakbym miała trzydzieści cztery lata.

– Powiedziałbym, że trzydzieści jeden, ale nie jestem obiektywny.

– Dziękuję.

– Domyślałam się, że nic złego nam nie grozi. Nie ścigamy przecież zabójców i dilerów narkotykowych.

- Racja.
- Kimkolwiek jest ta kobieta, to czego dotyczy jej skarga?
- Jeszcze nie wiem. Dziękuję za wsparcie.
- Na niewiele się przydało.

Rozdział 2

Bar zajmował jeden z rogów wysokiego oszklonego atrium hotelu Ramada. O szóstej po południu przy chromowanym kontuarze siedzieli wystrojeni lobbyści próbujący poderwać atrakcyjne sekretarki z agencji. Większość stolików była zajęta. Pięć przecznic dalej we florydzkim kongresie trwało właśnie posiedzenie stanowej izby reprezentantów i we wszystkich śródmiejskich barach było pełno bufonów dyskutujących o polityce, szybkim zarobku i szybkim seksie.

Lacy weszła do środka i poczuła na sobie spojrzenia męskiej części sali.

Margie siedziała samotnie ze szklanką wody przy małym stoliku w rogu.

– Dziękuję, że przyszłaś – powiedziała, kiedy Lacy usiadła.

– Nie ma za co. Znasz to miejsce?

– Nie. Jestem tu pierwszy raz. Cieszy się chyba powodzeniem.

– Tak, o tej porze roku. Kiedy karnawał się skończy, zrobi się luźniej.

– Karnawał?

– Posiedzenie izby reprezentantów. Od stycznia do marca. Czas, kiedy zamykasz na klucz barek z alkoholem i nie wypuszczasz z domu kobiet i dzieci. Wiesz, o co mi chodzi.

– Przykro mi.

– Rozumiem, że tu nie mieszkasz.

– Nie, nie mieszkam.

Zabiegana kelnerka przystanąła przy ich stoliku, spojrzała wymownie na szklankę wody i zapytała, czy chcą coś zamówić. Przesłanie było jasne: mamy tu urwanie głowy i jeśli nic nie zamawiacie, odśwpcie stolik komuś, kto zapłaci za drinki.

– Kieliszek pinot grigio – poprosiła Lacy.

– Dla mnie to samo – rzuciła szybko Margie i kelnerka pobiegła dalej.

Lacy rozejrzała się dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś może usłyszeć, o czym rozmawiają. Wydawało się to niemożliwe. Stoliki stały daleko od siebie, a dobiegający z baru gwar wszystko zagłuszał.

– No dobrze – powiedziała. – Nie mieszkasz w tym mieście i nie znam twojego prawdziwego nazwiska. Powiedziałabym, że nie idzie nam najlepiej, do czego jestem przyzwyczajona. Mówiłam ci już chyba, że tracę dużo czasu z ludźmi, którzy kontaktują się ze mną, a potem milczą, kiedy nadchodzi pora, żeby przedstawili swoją historię.

– Czego chciałabyś się dowiedzieć w pierwszej kolejności?

– Może jak się nazywasz?

– Mogę ci podać swoje nazwisko.

– Wspaniale.

– Ale chciałabym wiedzieć, co z nim zrobisz. Czy założysz mi teczkę? Czy to będzie plik w komputerze, czy staroświeckie papierowe akta? Jeśli to będzie w formie cyfrowej, gdzie będzie przechowywane? Kto poza tobą pozna moje nazwisko?

– Jesteś podenerwowana i zachowujesz się tak, jakby ktoś cię śledził – zauważyła Lacy.

– Nikt mnie nie śledzi, ale wszystko zostawia ślad.

– Ślad, po którym ktoś może do ciebie trafić. Czy tym kimś jest sędzia, którego podejrzewasz o popełnienie zabójstwa? Wyjaśnij mi to, Margie. Daj mi coś więcej.

– Wszystko zostawia ślad.

– Już to mówiłaś.

Kelnerka przystanęła przy nich i postawiła na stoliku dwa kieliszki wina i miseczkę z orzeszkami.

Margie zdawała się nie zauważać wina, ale Lacy pociągnęła łyk.

– Utknęłyśmy zatem przy nazwisku – powiedziała. – Zapiszę je gdzieś i na początku nie umieszczę w sieci.

Jej rozmówczyni pokiwała głową i nagle stała się kimś innym.

– Jeri Crosby, czterdzieści sześć lat, wykładowczyni nauk politycznych na Uniwersytecie Południowej Alabamy w Mobile. Rozwódka, jedno dziecko, córka.

– Dziękuję. I uważasz, że twój ojciec został zamordowany przez sprawującego urząd sędziego. Tak?

– Owszem, przez sędziego z Florydy.

– To zawęży nam liczbę podejrzanych do około tysiąca.

– To sędzia okręgowy z Dwudziestego Siódmego Okręgu.

– Niesamowite. Teraz zawężyliśmy liczbę do około czterdziestu. Kiedy usłyszę nazwisko twojego podejrzanego?

– Już niedługo. Mogłybyśmy trochę zwolnić? W tym momencie niewiele trzeba, żeby wyprowadzić mnie z równowagi.

– Nie tknęłaś jeszcze wina. Może ci pomóc.

Jeri pociągnęła łyk i wzięła głęboki oddech.

– Domyślam się, że masz koło czterdziestki – powiedziała.

– Prawie. Mam trzydzieści dziewięć lat, więc niedługo skończę czterdziestkę. To traumatyczne doświadczenie.

– Chyba tak, ale życie toczy się dalej. Więc dwadzieścia dwa lata temu uczyłaś się jeszcze w szkole średniej?

– Na to wychodzi. Dlaczego to takie ważne?

– Wyluzuj, Lacy. Teraz ja mówię. Do czegoś dochodzimy. Byłaś nastolatką i nie czytałaś pewnie o zabójstwie Bryana Burke'a, emerytowanego profesora prawa?

– Nigdy o nim nie słyszałam. To twój ojciec?

– Tak.

– Przykro mi.

– Dzięki. Mój ojciec prawie przez trzydzieści lat wykładał na wydziale prawa Uniwersytetu Stetsona w Gulfport na Florydzie. Niedaleko Tampy.

– Znam tę uczelnię.

– Z powodów rodzinnych przeszedł na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat i wrócił do swojego rodzinnego miasta w Karolinie Południowej. Zebrałam o nim wiele informacji i w którymś momencie przekażę ci całą teczkę. To był naprawdę ktoś. Nie muszę mówić, że jego śmierć była dla nas wstrząsem, i szczerze mówiąc, nadal nie mogę po niej dojść do siebie. Kiedy traci się przedwcześnie rodzica, jest to straszne, ale jeśli został zamordowany i do dziś nie wiadomo przez kogo, jest to o wiele, wiele straszniejsze. Po dwudziestu dwóch latach sprawa nie posunęła się ani trochę do przodu i policja dała za wygraną. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nic nie odkryli, przysięgłam sobie, że zrobię wszystko, by odnaleźć jego zabójcę.

– Policja dała za wygraną?

Jeri upiła łyk wina.

– Z czasem tak. Śledztwo nie jest zamknięte i nieraz z nimi rozmawiam. Nie oskarżam policji, rozumiesz? W tych okolicznościach zrobili, co mogli, ale to było zabójstwo doskonałe. Wszystkie są doskonałe.

Lacy podniosła do ust kieliszek.

– Zabójstwo doskonałe?

– Tak. Żadnych świadków. Żadnych śladów, przynajmniej takich, które można byłoby powiązać ze sprawcą. Żadnego motywu.

I co ja mam z tym zrobić? – miała ochotę zapytać Lacy, ale pociągnęła tylko kolejny łyk wina.

– Nie wydaje mi się, żeby Komisja Dyscyplinarna Sędziów miała możliwości i środki, by prowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa popełnionego dawno temu w Karolinie Południowej – powiedziała.

– Nie proszę o to. Waszej jurysdykcji podlegają sędziowie z Florydy, którzy mogli popełnić jakieś wykroczenie, prawda?

– Zgadza się.

– Obejmuje to również przypadki zabójstw?

– Tak sądzę, ale nigdy jeszcze nie mieliśmy z czymś takim do czynienia. To sprawy większego kalibru, dla policji stanowej albo nawet FBI.

– Policja stanowa próbowała coś zrobić. FBI nie zajęło się tym z dwóch powodów. Po pierwsze, nie jest to sprawa o zasięgu federalnym. Po drugie, nie ma żadnego dowodu łączącego te różne zabójstwa. FBI i pewnie nikt poza mną nie ma więc pojęcia, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

– Kontaktowałaś się z FBI?

– Przed wielu laty. Jako rodzina ofiary szukaliśmy pomocy wszędzie, gdzie się dało. Nigdzie jej nie uzyskaliśmy.

Lacy znowu napiła się wina.

– W porządku, zaczyna mnie to wkurzać, więc powtórzmy sobie wszystko od początku – powiedziała. – Uważasz, że dwadzieścia dwa lata temu twojego ojca zamordował orzekający obecnie sędzia. Czy sprawował urząd, kiedy popełnił zabójstwo?

– Nie. Został wybrany w dwa tysiące czwartym.

Lacy rozejrzała się dokoła. Jeden z domniemanych lobbystów siedział teraz przy sąsiednim stoliku i gapił się na nią z obleśnym uśmiechem, który widywało się często w okolicach siedziby kongresu stanowego. Spiorunowała go wzrokiem i nachyliła się do Jeri.

– Będzie chyba lepiej, jeśli porozmawiamy gdzie indziej – stwierdziła. – Robi się tu zbyt tłoczno.

– Zarezerwowałam małą salę konferencyjną na pierwszym piętrze – odparła Jeri. – Zaręczam, że jest bezpieczna. Jeśli spróbuję cię zaatakować, możesz narobić krzyku i uciec.

– Jestem pewna, że nic mi nie grozi.

Jeri zapłaciła za wino, po czym wyszły z baru i pojechały windą na pierwsze piętro. Tam otworzyła kluczem jedną z wielu sal konferencyjnych. Na stole leżało kilka teczek.

Kobiety usiadły przy nim naprzeciwko siebie. Bez laptopów, notatników i telefonów, które nadal miały w torebkach. Jeri była wyraźnie bardziej rozluźniona niż w barze.

– Rozmawiamy nieoficjalnie, bez notatek – powiedziała. – Przynajmniej na razie. Mój ojciec, Bryan Burke, odszedł na emeryturę z Uniwersytetu Stetsona w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Wykładał tam prawie przez trzydzieści lat i był legendą, profesorem kochanym przez studentów. On i moja matka postanowili wrócić do małego miasta Gaffney w Karolinie Południowej, gdzie oboje dorastali. Mieli tam wielu krewnych i kawałek ziemi, który dostali w spadku. Zbudowali sobie

w lesie uroczy mały dom i założyli ogród. Razem z nimi zamieszkała tam matka mojej mamy, którą się opiekowali. Generalnie rzecz biorąc, była to wymarzona emerytura. Nie mieli kłopotów finansowych, cieszyli się dobrym zdrowiem i udzielali się w miejscowym kościele. Tato dużo czytał, pisał artykuły do czasopism prawniczych, odwiedzał starych przyjaciół i nawiązywał nowe znajomości. I nagle został zamordowany.

Jeri sięgnęła po niebieską teczkę formatu A4, podobnie jak inne grubą na mniej więcej trzy centymetry, i przesunęła ją po stole.

– Są tu artykuły na temat mojego ojca, jego kariery i śmierci. Niektóre z domowego archiwum, inne ściągnięte z internetu.

Lacy nie otworzyła teczki.

– Za żółtą zakładką – podjęła Jeri – jest fotografia mojego ojca z miejsca zbrodni. Widziałam ją kilka razy i wolałabym nie oglądać ponownie. Obejrzyj ją.

Otworzywszy teczkę na żółtej zakładce, Lacy zastygła w bezruchu, wpatrując się w dużą kolorową odbitkę. Ofiara leżała w jakichś chaszczach, z wrzynającą się w skórę pętlą zaciśniętą mocno na szyi. Zakrwawiony sznur z niebieskiego nylonu związany był na karku w gruby węzeł.

– Tak mi przykro – szepnęła, zamykając teczkę.

– To dziwne. Po dwudziestu dwóch latach wiesz, jak panować nad bólem. Chowasz go w pudle i jeśli jesteś uważna, nigdy się stamtąd nie wydostanie. Ale łatwo jest stracić panowanie i wtedy wracają wspomnienia. W tym momencie jestem opanowana. Czuję się naprawdę dobrze, bo rozmawiam z tobą i robię coś w tej sprawie. Nie masz pojęcia, ile spędziłam godzin, zmuszając się, żeby to zrobić. To jest takie trudne, takie przerażające.

– Porozmawiajmy może o samym zabójstwie.

Jeri wzięła głęboki oddech.

– Oczywiście. Tato lubił długie spacery w lesie za ich domem. Mama często mu towarzyszyła, ale cierpiała na artretyzm. Pewnego pięknego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku ucałował ją na pożegnanie, zabrał laskę i wyruszył na szlak. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci było uduszenie, ale miał również ranę na głowie. Nietrudno było zgadnąć, że spotkał kogoś, kto uderzył go w głowę, pozbawiając przytomności, a potem udusił nylonowym sznurem. Ojciec został ściągnięty ze szlaku i zawleczony do wąwozu, gdzie odnaleziono go późnym popołudniem. Oględziny miejsca zdarzenia niczego nie wykazały. Żadnych narzędzi zbrodni, żadnych odcisków butów. Ziemia była sucha. Żadnych śladów walki, włosów ani włókien. Zero. Sznur został przebadany przez techników i nie dał żadnych wskazówek. W teczce jest opis tego sznura. Dom rodziców położony jest blisko miasta, ale jednak na uboczu. Nie odnaleziono świadków, niczego odbiegającego od normy. Żadnych pojazdów z obcą rejestracją. Żadnych kręcących się po okolicy nieznajomych. W pobliżu jest wiele miejsc, gdzie można zaparkować i wejść do lasu, a potem wynieść się stamtąd niepostrzeżenie. Przez dwadzieścia dwa lata nie wyszły na jaw nowe fakty. Ta sprawa od bardzo dawna tkwi w martwym punkcie. I chyba pogodziliśmy się z tym, że nigdy nie będzie rozwiązana.

– Pogodziliśmy się?

– Teraz to jest jakby jednoosobowa kruczata. Matka zmarła dwa lata po ojcu. Nie doszła do siebie po jego zabójstwie i kompletnie się rozsypała. Mam w Kalifornii starszego brata, który przez kilka lat się tym interesował, w końcu jednak dał za wygraną. Znużyły go policyjne raporty o braku postępów. Od czasu do czasu rozmawiamy, ale nie mówimy o ojcu. Więc w gruncie rzeczy jestem sama. I czuję się opuszczona.

– Przykro mi to słyszeć. Ale miejsce zbrodni w Karolinie Południowej dzieli duży dystans od gabinetu sędziego w zachodniej Florydzie. Co je wiąże?

– Szczerze mówiąc, niewiele. W głównej mierze poszlaki.

– Nie dotarłaś tak daleko, opierając się wyłącznie na poszlakach. Jaki był motyw?

– Motyw jest wszystkim, co mam.

– Zamierzasz mi go zdradzić?

– Daj mi chwilę, Lacy. Nie masz pojęcia, jakie to trudne. Siedzę tutaj, oskarżając kogoś o morderstwo i nie mając dowodów rzeczowych.

– Nikogo nie oskarżasz. Masz potencjalnego podejrzanego, w przeciwnym razie by cię tu nie było. Podasz mi jego nazwisko, a ja nikomu go nie przekażę. Dopóki mnie nie upoważnisz, zgoda? Czy to jest jasne?

– Tak.

– Wróćmy do motywu.

– Kwestia motywu dręczyła mnie od samego początku. W kręgu mojego ojca nie znalazłam nikogo, kto by go nie lubił. Był wykładowcą, który nieźle zarabiał i odkładał oszczędności na konto. Nigdy nie inwestował pieniędzy w nieruchomości, działki ani nic takiego. Miał złe zdanie o deweloperach i spekulantach. Kilku jego kolegów, również profesorów prawa, straciło pieniądze na giełdzie i nieruchomościach, ale raczej im nie współczułam. Nie prowadził żadnych interesów, nie miał udziałów w spółkach, co mogłoby być źródłem konfliktów. Nie znosił długów i płacił wszystkie rachunki w terminie. Z tego, co wiem, był wierny żonie i lojalny wobec rodziny. Gdybyś poznała osobiście Bryana Burke'a, nie uwierzyłabyś, że mógłby zdradzić żonę. Uniwersytet Stetsona bardzo go cenił, a studenci uwielbiali. W ciągu trzydziestu lat, które tam

przepracował, cztery razy został wybrany na Wybitnego Profesora Prawa. Wielokrotnie odrzucał stanowisko dziekana, bo uważał, że jego miejsce jest na sali wykładowej. Nie nazwałabym go chodzącym ideałem, ale cholernie mało mu do niego brakowało.

– Żałuję, że go nie poznałam.

– Był czarującym, uroczym mężczyzną, który nie miał oczywistych wrogów. Nie został zabity w trakcie napadu rabunkowego... zostawił portfel w domu i niczego mu nie zabrano. I na pewno nie zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Więc policja od początku była w kropce.

– Ale?

– Ale mogło chodzić o coś więcej. To tylko hipoteza, lecz nie mam nic poza nią. Zaschło mi w gardle. Chcesz się czegoś napić?

Lacy pokręciła głową. Jeri podeszła do bufetu, naląła sobie wody z dzbanka, po czym usiadła z powrotem przy stole i głęboko odetchnęła.

– Jak mówiłam, ojciec uwielbiał salę wykładową – podjęła. – Uwielbiał wykładać. To był dla niego spektakl, teatr jednego aktora. Lubił panować nad swoim otoczeniem, materiałem, który miał do przekazania, i nad studentami. Na drugim piętrze budynku wydziału prawa jest aula, która przez dziesięciolecia należała do niego. Umieszczono tam teraz poświęconą mu tablicę pamiątkową. Aula mogła pomieścić osiemdziesięcioro studentów i zawsze była pełna. Jego wykłady na temat prawa konstytucyjnego były fascynujące, kontrowersyjne, często zabawne. Miał niesamowite poczucie humoru. Wszyscy studenci chcieli uczęszczać na zajęcia z prawa konstytucyjnego u profesora Burke’a... nienawidził, kiedy nazywano go doktorem... a ci, którzy nie dostali się na kurs, często i tak przychodzili i słuchali jego wykładów. Inni profesorowie, dziekani i absolwenci też tam przychodzili i siadali z tyłu sali, nierzadko na

składanych krzesłach. Często gościem był rektor uniwersytetu, również prawnik. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Rozumiem i trudno mi to sobie wyobrazić. Przypominam sobie z przerażeniem własny kurs prawa konstytucyjnego.

– Przerażenie jest chyba normą. Osiemdziesięcioro studentów, wyłącznie z pierwszego roku, którzy mieli szczęście dostać się na kurs u profesora Burke'a, wiedziało, że potrafi być surowy. Oczekiwał, że wszyscy będą przygotowani i gotowi zabrać głos.

Oczy Jeri zaszklily się, kiedy wspominała ojca. Lacy uśmiechnęła się i pokiwała głową, próbując dodać jej otuchy.

– Tato uwielbiał wykładać i uwielbiał sokratejską metodę nauczania, w której wybierał na chybił trafił jakiegoś studenta i prosił go, by przedstawił daną sprawę. Jeśli student popełniał błędy albo nie potrafił uzasadnić swoich racji, dyskusja często robiła się burzliwa. W ciągu minionych lat rozmawiałam z wieloma jego byłymi studentami i choć wszyscy mówili o nim w samych superlatywach, nadal drżeli na myśl o dyskusjach na temat prawa konstytucyjnego. Bano się go, lecz jednocześnie uwielbiano. Wszyscy dawni studenci byli zszokowani na wieść o jego śmierci. Kto mógłby chcieć go zamordować?

– Rozmawiałaś z byłymi studentami ojca?

– Tak. Pod pozorem zbierania anegdot o nim na potrzeby przyszłej książki. Robiłam to przez długie lata. Książka nigdy nie powstanie, ale to dobry sposób na zainicjowanie rozmowy. Wystarczy powiedzieć, że pracujesz nad książką, a ludzie się otwierają. Mam co najmniej trzydzieści zdjęć, które przysłali mi absolwenci. Tato podczas wręczenia dyplomów. Tato popijający piwo na studenckim meczu softballu. Tato za sędziowskim stołem w trakcie symulowanego procesu. Obrazki z życia studenckiego. Kochali go.

- Jestem przekonana, że masz te zdjęcia w teczce.
- Oczywiście. Nie przyniosłam jej tutaj, ale chętnie ci pokażę.
- Może później. Rozmawialiśmy o motywie.

– Tak. Przed wielu laty rozmawiałam z prawnikiem z Orlando, który studiował u mojego ojca. Opowiedział mi ciekawą historię. Na roku był pewien chłopak, który niczym specjalnym się nie wyróżniał. Któregoś dnia mój ojciec wywołał go do odpowiedzi i poprosił o omówienie sprawy, w której chodziło o czwartą poprawkę do konstytucji, dotyczącą przeszukań i zatrzymań. Chłopak był przygotowany, ale wysnuł z tej poprawki zupełnie inne wnioski niż mój ojciec i wywiązał się między nimi poważny spór. Tata uwielbiał, kiedy studenci podchodzili z pasją do tematu i bronili swojego punktu widzenia. Komentarze studenta były jednak trochę nie na miejscu. Atakując profesora, wyraźnie się zagalopował. Ojciec zbył to żartem. Chłopak uznał, że na następnych zajęciach nie będzie już odpytywany, i się nie przygotował. Tymczasem mój tato znów wywołał go do odpowiedzi. Student próbował lawirować, ale to było czymś niewybaczalnym i tylko się skompromitował. Dwa dni później profesor wywołał go do odpowiedzi po raz trzeci. Chłopak tym razem przygotował się i był gotów do starcia. Szale przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę, lecz mój ojciec powoli zapędził go do narożnika. Niemądrze jest spierać się z profesorem, który uczy tego samego materiału przez długie lata, ale chłopak był arogancki i pewny siebie. Nokautujący cios padł z nienacka i całkowicie go pogrążył. Został upokorzony i bezapelacyjnie przegrał. Zaklął głośno, cisnął notes na podłogę, złapał plecak i wybiegł z sali, zatraskując za sobą drzwi. „Nie wiem, czy nadaje się na adwokata karnistę”, stwierdził po chwili mój ojciec. Wszyscy wybuchli śmiechem, tak głośnym, że student nie mógł tego nie usłyszeć. Wypisał się z zajęć i przeszedł do kontrataku. Złożył skargę u dziekana i rektora. W końcu stał się pośmiewiskiem i przerwał studia.

Pisał listy do absolwentów, polityków i innych wykładowców, co było naprawdę dziwnym zachowaniem. Wysyłał listy także do mojego ojca. Były chaotyczne i niezbyt poważne. Ostatni, napisany odręcznie, wysłał z prywatnego szpitala psychiatrycznego niedaleko Fort Lauderdale. Twierdził w nim, że doznał załamania nerwowego i całkowitą winę ponosi za to mój ojciec.

Jeri przerwała i napiła się wody.

– To jest to? – zapytała po chwili Lacy. – Motywem jest poczucie krzywdy urażonego studenta?

– Tak, ale to o wiele bardziej skomplikowane.

– Miejmy nadzieję. Co się z nim stało?

– Jakoś się ogarnął i skończył wydział prawa w Miami. Teraz jest sędzią. Posłuchaj, wiem, że jesteś sceptyczna i masz swoje powody, ale on jest jedynym podejrzanym.

– Dlaczego jest to bardziej skomplikowane?

Jeri zerknęła na leżące na stole teczki. Było ich pięć, wszystkie grube na trzy centymetry, każda w innym kolorze. Lacy podążyła za jej wzrokiem i po chwili zrozumiała, o co chodzi.

– Są tu akta kolejnych pięciu ofiar tego samego sprawcy? – zapytała.

– Gdybym nie była o tym przekonana, nie zjawiałabym się tutaj.

– Rozumiem, że coś łączy te zabójstwa.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, metoda. Wszystkie ofiary zostały uderzone w głowę, a następnie zaduszone identycznym nylonowym sznurem, który za każdym razem wrzynał się w szyję, był zawiązany tym samym węzłem i pozostawiony na miejscu zbrodni jak wizytówka. Po drugie, wszystkie ofiary miały na pieńku z naszym sędzią.

– Miały na pieńku?

– Dobrze je znał. I przez długie lata obserwował.

Lacy wstrzymała oddech, przełknęła ślinę i poczuła klucie w żołądku.

– Nie podawaj mi jego nazwiska – powiedziała, czując, że nagle zaschło jej w ustach. – Nie wiem, czy jestem na to gotowa.

Zapadła długa cisza. Obie wbijały wzrok w ścianę.

– Posłuchaj – odezwała się w końcu Lacy. – Usłyszałam dosyć jak na jeden dzień. Muszę się zastanowić. Zadzwońię do ciebie.

Jeri uśmiechnęła się i pokiwała głową. Wymieniły się numerami telefonów i pożegnały. Lacy przebiegła przez hotelowe lobby, bo chciała jak najszybciej wsiąść do samochodu.

Rozdział 3

Modny supernowoczesny apartament Lacy mieścił się w dawnym magazynie niedaleko kampusu Uniwersytetu Florydy. Mieszkała w nim na ogół sama, ze swoim mało urodziwym francuskim buldożkiem, Frankiem. Pies czekał na nią zawsze przy drzwiach, żeby niezależnie od pory dnia podlać rabatki z kwiatami. Teraz wypuściła go, żeby się wysikał, po czym naląła sobie kieliszek wina, usiadła na sofie i spojrzała przez wielką szybę na zewnątrz.

Był początek marca, dni robiły się dłuższe, ale wciąż były zbyt krótkie. Wychowała się na Środkowym Zachodzie i nie tęskniła za mrocznymi chłodnymi zimami, śniegiem i bladym słońcem. Uwielbiała zachodnią Florydę z jej łagodnymi zimami i długą ciepłą wiosną. Za dwa tygodnie czas zmieni się na letni, dni się wydłużą i uniwersyteckie miasto będzie jeszcze bardziej tętnić życiem: z grillami na podwórkach, przyjęciami przy basenach, koktajlami na dachu i wypadami na miasto. To dotyczyło dorosłych. Dzieciaki będą chodziły na plażę i opalały się.

Sześć zabójstw.

Po dwunastu latach lustrowania sędziów Lacy uważała, że nic jej już nie zaskoczy. Była wystarczająco doświadczona i znużona, żeby wątpić w opowieść Jeri, tak jak wątpiła w każdą skargę, która lądowała na jej biurku.

Ale Jeri Crosby nie kłamała.

Jej teorie mogły być błędne, przekonania niesłuszne, a obawy pozbawione podstaw. Lacy wierzyła jednak, że ojciec tej kobiety został zamordowany przez urzędującego sędziego.

Wyszła z ich spotkania w Ramadzie z niczym. Jedyna teczka, którą otworzyła, została na stole. Teraz zerknęła na telefon i zobaczyła, że ma dwa nieodebrane połączenia od swojego chłopaka, Alliego Pacheco. Był gdzieś poza miastem i postanowiła, że pogada z nim później. Na razie otworzyła laptopa i zaczęła szukać.

Dwudziesty Drugi Okręg Sądowy obejmował trzy hrabstwa na północno-zachodnim krańcu stanu. Ich licząca czterysta tysięcy ludność wybierała czterdziestu jeden sędziów. Ze spędzonych w KDS dwunastu lat Lacy zapamiętała dwie albo trzy małej wagi sprawy, które wniesiono przeciwko sędziom z Dwudziestego Drugiego Okręgu. Z czterdziestu jeden sędziów piętnastu zostało wybranych w 2004 roku, kiedy według Jeri objął urząd jej podejrzany. Z tych piętnastu tylko jeden ukończył prawo na Uniwersytecie Miami.

Po niecałych dziesięciu minutach Lacy знаła jego nazwisko. Ross Bannick.

Czterdzieści dziewięć lat, urodzony w Pensacoli, dyplom Uniwersytetu Florydy, żadnej wzmianki o żonie i dzieciach. Bardzo krótki biogram na stronie okręgu sądowego. Zdjęcie przedstawiało dość przystojnego mężczyznę z ciemnymi oczami, wydatnymi kośćmi policzkowymi i szpakowatymi włosami. Lacy uznała go za całkiem atrakcyjnego; zastanawiała się, dlaczego się nie ożenił. Może był rozwiedziony. Szperając dalej, dowiedziała się bardzo niewiele o Rossie Bannicku. Najwyraźniej w ciągu dwóch kadencji zasiadania w fotelu sędziego starał się w miarę możliwości unikać kontrowersji. Przejrzała akta KDS i nie znalazła żadnej

złożonej przeciwko niemu skargi. Na Florydzie adwokaci mieli obowiązek przedstawiać – oczywiście anonimowo – coroczne oceny sędziów, z którymi stykali się na sali sądowej. Za ostatnie pięć lat Bannick otrzymał ocenę A+. Opinie były bardzo pochlebne: dokładny, punktualny, uprzejmy, profesjonalny, dowcipny, empatyczny, inteligentny, *o onieśmielającym intelekcie*. Tylko dwóch innych sędziów w Dwudziestym Drugim Okręgu otrzymało tak wysokie oceny.

Lacy szukała dalej i w końcu znalazła jakieś brudy. W artykule z „Pensacola Ledger” z osiemnastego kwietnia 2000 roku. Lokalny prawnik, trzydziestopięcioletni Ross Bannick, starał się o swój pierwszy polityczny urząd i próbował wysadzić z siodła starego sędziego z Dwudziestego Drugiego Okręgu. Kontrowersje narosły, kiedy będący klientem Bannicka deweloper zaproponował zbudowanie parku wodnego na działce niedaleko plaży w Pensacoli. Powstaniu parku sprzeciwiali się prawie wszyscy, złożono stosowne pozwy i w środku całej awantury okazało się, że mecenas Bannick ma dziesięcioprocentowy udział w przedsięwzięciu. Sprawa nie była do końca jasna, ale zarzucano mu, że próbował ukryć ten fakt. Jego przeciwnik wykorzystał to i zamieścił płatne ogłoszenia, które okazały się zabójczo celne. W wyborach Bannick poniósł druzgoczącą klęskę. Choć przy tak skąpych dowodach nie sposób było tego do końca ustalić, wyglądało na to, że nie zrobił nic złego. Niemniej jednak został pokonany przez piastującego urząd sędziego.

Lacy poszperała jeszcze trochę i znalazła relacje z wyborów z 2004 roku. Była tam fotografia sędziego, który musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt lat, oraz dwa artykuły o jego pogarszającym się zdrowiu. Bannick prowadził sprytną kampanię i kontrowersja sprzed czterech lat została mu najwyraźniej zapomniana. Wygrał wybory większością tysiąca głosów. Jego przeciwnik zmarł trzy miesiące później.

Zdała sobie sprawę, że jest głodna, i wyciągnęła z lodówki resztki zapiekanki. Allie wyjechał na trzy dni i w tym czasie w ogóle nie gotowała. Nalała sobie więcej wina, usiadła przy kuchennym stole i zaczęła jeść. Następne wybory, w 2008 roku, Bannick bez trudu wygrał. Na Florydzie – i w gruncie rzeczy w każdym innym stanie – urzędującym sędziom okręgowym rzadko zagrażał poważny przeciwnik i wyglądało na to, że Bannick będzie sprawował urząd bardzo długo.

Kiedy zadzwonił jej telefon, aż podskoczyła na krześle. Pogrążona w myślach, zapomniała o zapiekance. Nieznany numer.

– Znasz już jego nazwisko? – zapytała Jeri.

Lacy uśmiechnęła się pod nosem.

– To nie było trudne – odparła. – Absolwent wydziału prawa z Miami, wybrany w dwa tysiące czwartym roku na sędziego Dwudziestego Drugiego Okręgu. To zawężiło poszukiwania do jednej osoby.

– Przystojniak z niego, nie?

– Owszem. Dlaczego się nie ożenił?

– Nie domyślasz się?

– Nie.

– Ma problemy z kobietami. To część jego długiej historii.

Lacy wzięła głęboki oddech.

– No dobrze. Nie przypuszczam, żebyś go osobiście poznała.

– O nie. Za nic w świecie bym się do niego nie zbliżyła. Ma wszędzie monitoring: na sali sądowej, w swoim gabinecie, w domu...

– To dziwne.

– „Dziwne” to mało powiedziane.

– Prowadzisz teraz samochód? – spytała Lacy.

– Jadę do Pensacoli, a potem być może do Mobile. Nie sądzę, żebyś mogła się ze mną jutro spotkać?

– Gdzie?

– W Pensacoli.

– To trzy godziny jazdy stąd.

– Nie musisz mi mówić.

– I jaki ma być cel naszego spotkania?

– Mam w życiu tylko jeden cel, Lacy. Wiesz, co nim jest.

– Mój jutrzejszy grafik jest napięty.

– Codziennie masz napięty grafik, prawda?

– Niestety.

– W porządku. Więc zajrzyj do kalendarza i daj mi znać, kiedy możemy się tam spotkać.

– Jasne. Zajrzę.

Jeri umilkła na tak długo, że Lacy pomyślała, że połączenie zostało zerwane.

– Halo? Jesteś tam? – zapytała.

– Tak. Przepraszam. Czasami odpływam. Dowiedziałaś się czegoś online?

– Kilku rzeczy. Na temat wyborów sędziego. Z „Pensacola Ledger”.

– A o tym układzie z szemranym deweloperem, przez który przegrał wybory w roku dwutysięcznym?

– Tak, o tym też czytałam.

– Mam te wszystkie rzeczy w segregatorze, jeśli będziesz ich kiedykolwiek potrzebowała – powiedziała Jeri.

– Zobaczymy.

– Pisał o tym reporter Danny Cleveland, pochodzący skądś z Północy. Pracował w „Pensacola Ledger” około sześciu lat, a potem przeniósł się gdzieś indziej. Jego ostatnim przystankiem była gazeta w Little Rock w Arkansas.

– Ostatnim przystankiem?

– Tak. Znaleźli go w jego mieszkaniu. Śmierć przez uduszenie. Taki sam sznur, taki sam nietypowy węzeł. Żeglarze nazywają go podwójnym węzłem wyblinkowym, jest dość rzadki. Kolejne nierozwiązane zabójstwo, kolejna sprawa odłożona na półkę.

Lacy próbowała coś na to odpowiedzieć, ale zorientowała się, że drży jej ręka.

– Jesteś tam? – zapytała Jeri.

– Chyba tak. Kiedy to...?

– W dwa tysiące dziewiątym. Zabójca nie pozostawił żadnych śladów. Posłuchaj, Lacy, za dużo rozmawiamy przez telefon. Wolę spotkania twarzą w twarz. Daj mi znać, kiedy będziemy mogły się spotkać – powiedziała Jeri i nagle zakończyła rozmowę.

...

Jej romans z Alliem Pacheco trwał już trzeci rok i według niej utknął w martwym punkcie. Allie miał trzydzieści osiem lat i choć stanowczo temu zaprzeczał, nawet podczas terapii, wciąż lizał rany po nieudanym pierwszym małżeństwie sprzed jedenastu lat, które trwało cztery żałosne miesiące i na szczęście nie zaowocowało ciążą.

Największą przeszkodą stojącą na drodze do poważniejszych relacji było coś, co stawało się coraz bardziej oczywiste dla obojga: lubili mieszkać sami. Lacy nie mieszkała z żadnym mężczyzną od ukończenia liceum i nie zależało jej, żeby ktoś się do niej wprowadził. Kochała ojca,

ale zapamiętała go jako dominującego szowinistycznego samca, który traktował żonę jak służącą. Jej matka, zawsze uległa, wybaczała mu to i powtarzała szeptem: „Tak już go wychowano”.

Była to nędzna wymówka i Lacy nigdy jej nie zaakceptowała. Allie był zupełnie inny: miły, troskliwy, zabawny i na ogół zwracający uwagę na jej potrzeby. Był agentem specjalnym FBI, który ostatnio spędzał większość czasu na południu Florydy, ścigając gang dilerów narkotykowych. Kiedy nie brał akurat udziału w bieżących operacjach – co zdarzało się dość rzadko – oddelegowywano go do antyterrorystów. Mówiło się nawet, że zostanie tam przeniesiony na stałe. Po ośmiu latach służby, w trakcie której otrzymał wiele pochwał, stale oczekiwał na transfer. Tak przynajmniej wydawało się Lacy.

W jej drugiej łazience trzymał szczoteczkę do zębów i przybory do golenia, a w szafie dresy i trochę innych ciuchów, żeby móc u niej przenocować, gdyby miał taką ochotę. Lacy natomiast starała się zaznaczyć swoją obecność w jego oddalonym o piętnaście minut małym mieszkaniu. Piżama, stare tenisówki, jeszcze starsze džinsy, szczoteczka do zębów i kilka czasopism modowych na stoliku do kawy. Żadne z nich nie było typem zazdrośnika, ale dyskretnie wkraczało w życie tego drugiego.

Lacy byłaby zszokowana, gdyby okazało się, że Allie sypia z innymi. Nie wyglądał po prostu na kogoś takiego. Podobnie jak ona. Zważywszy na jego podróże i napięty grafik ich obojga, wyzwanie, któremu musieli stawić czoło, polegało na tym, żeby usatysfakcjonować drugą stronę. Wymagało to od Lacy coraz większego wysiłku, ponieważ, jak ujęła to jej przyjaciółka, „wkraczała w wiek średni”. Przeraziło ją to określenie i przez cały następny miesiąc ganiała Alliego ze swojego apartamentu do jego mieszkania i z powrotem, aż w końcu oboje byli skonani i sobie odpuścili.

Tego wieczoru zatelefonował o wpół do ósmej i przez chwilę rozmawiali. Prowadził „obserwację”, cokolwiek to mogło oznaczać, i nie mógł o tym zbyt wiele mówić. Lacy wiedziała, że przebywa gdzieś w okolicach Miami. Oboje powiedzieli sobie sakramentalne „kocham cię” i zakończyli rozmowę.

Allie, jako doświadczony i profesjonalny agent, dla którego kariera była wszystkim, mało opowiadał o tym, czym się dokładnie zajmuje – przynajmniej w rozmowach z Lacy. Dalszym znajomym nie zdradzał nawet nazwy pracodawcy. Tym, którzy koniecznie chcieli wiedzieć, gdzie pracuje, udzielał standardowej odpowiedzi: „W organach bezpieczeństwa”. Wymawiał te słowa w sposób, który wykluczał dalsze pytania. Jego jedynymi bliższymi znajomymi byli inni agenci. Zdarzało się jednak, zwłaszcza po kilku drinkach, że przestawał się pilnować i mówił to i owo o swojej pracy. Narażał się w niej często na niebezpieczeństwo i jak większość agentów lubił zastrzyk adrenaliny.

Tymczasem Lacy zajmowała się banalnymi skargami na sędziów, którzy nadużywali alkoholu, przyjmowali prezenty od kancelarii prawnych, nie wydawali w terminie wyroków i angażowali się w lokalną politykę.

Sześć zabójstw z pewnością wzbogaciłoby jej portfolio.

Wysłała do szefowej maila z informacją, że jutro bierze sobie dzień wolny i nie będzie jej w biurze. Zgodnie z regulaminem miała prawo do czterech dni wolnych rocznie, bez konieczności tłumaczenia się. Rzadko z niego korzystała i z poprzedniego roku zostały jej trzy niewykorzystane dni.

Następnie zadzwoniła do Jeri i umówiła się z nią nazajutrz o pierwszej po południu w Pensacoli.

Rozdział 4

Gdyby nie Frankie, jej dzień wolny zacząłby się od porządnego wyspania się, czyli od czegoś, o czym od dawna mogła tylko pomarzyć. Pies zaczął piszczeć jeszcze przed świtem i chciał koniecznie wyjść na dwór. Lacy położyła się potem na kanapie i próbowała zdrzemnąć, ale Frankie zdecydował, że pora na śniadanie. Dlatego popijając kawę, patrzyła, jak powoli zaczyna się dzień.

Jej myśli krążyły na przemian wokół spotkania z Jeri i typowych trosk związanych z własną karierą. Za siedem miesięcy skończy czterdziestkę i to ją smuciło. Była zadowolona ze swojego życia, ale odnosiła wrażenie, że przecieka jej między palcami, bez żadnych planów co do małżeństwa. Nigdy nie chciała mieć dzieci i postanowiła już dawno, że nie zostanie matką. Wszyscy znajomi mieli, niektórzy nawet już kilkunastoletnie, i dziękowała losowi, że nie musi stawiać czoła związanym z tym wyzwaniom. Nie starczyłoby jej cierpliwości, żeby wychowywać potomstwo w epoce telefonów komórkowych, narkotyków, przypadkowego seksu, mediów społecznościowych i tego chłamu, który był w internecie.

Zacząła pracować w KDS dwanaście lat wcześniej. Powinna stamtąd odejść przed wielu laty, jak zrobili to prawie wszyscy jej koledzy. KDS była odpowiednim miejscem na początek kariery, ale ślepym zaułkiem dla każdego poważnego prawnika. Jej najlepsza koleżanka ze studiów była teraz partnerką w czołowej kancelarii w Waszyngtonie, lecz wynikający

z tego totalnie absorbujący styl życia niekoniecznie Lacy odpowiadał. Kontynuacja ich przyjaźni wymagała pewnego wysiłku i zastanawiała się, czy gra jest warta świeczki. Inne koleżanki z wydziału prawa zniknęły z pola widzenia, wszystkie zajęte gdzieś na prowincji pracą za biurkiem, a jeśli pozwalał na to czas, życiem rodzinnym.

Lacy nie wiedziała do końca, czego szuka i czego chce. Dlatego pozostała zbyt długo w KDS i teraz martwiła się, że lepsze okazje przeszły jej koło nosa. Swoje szczytowe osiągnięcie, najważniejszą rozwiązana sprawę, miała już za sobą. Trzy lata wcześniej prowadziła dochodzenie, które zakończyło się skazaniem okręgowej sędzi zamieszanej w największy korupcyjny skandal w historii wymiaru sprawiedliwości na Florydzie. Sędzia spiknęła się z syndykatem przestępczym, który zgarniał na lewo miliony dolarów z kasyna należącego do rdzennych mieszkańców. Przestępcy odsiadywali teraz wieloletnie wyroki w federalnych zakładach karnych.

To była sensacyjna sprawa i przez krótki okres KDS była na ustach wszystkich. Większość kolegów Lacy szybko wykorzystała ten sukces, żeby znaleźć sobie lepsze zajęcie. A władza ustawodawcza odwdzięczyła się komisji kolejnymi cięciami budżetowymi.

Szczytowe osiągnięcie w karierze drogo Lacy kosztowało. Odniosła ciężkie obrażenia w upozorowanym na wypadek drogowy zamachu niedaleko kasyna. Spędziła kilka tygodni w szpitalu i miesiące na rehabilitacji. Rany się zagoiły, ale w różnych miejscach wciąż odczuwała sztywność i ból. W zamachu zginął siedzący na miejscu pasażera Hugo Hatch, jej współpracownik i przyjaciel. Wdowa po nim złożyła pozew o spowodowanie śmierci, a Lacy również starała się na drodze prawnej o odszkodowanie z tytułu odniesionych obrażeń. Szanse na wygraną wydawały się duże, zadowolająca ugoda była na wyciągnięcie ręki, ale

sprawa się przeciągała, tak jak to zwykle się dzieje przy pozwach cywilnych.

Nie mogła przestać myśleć o ugodzie. Fura pieniędzy leżała prawie na stole; fundusze pochodziły z zajętych przez rząd przestępczych aktywów. Ale wciąż wyłaniały się nowe problemy, natury kryminalnej i cywilnej. Pokrzywdzonych było bardzo wielu, a ich głodni adwokaci domagali się pieniędzy.

Termin procesu nie został jeszcze wyznaczony; od początku zapewniano ją, że w ogóle do niego nie dojdzie. Jej adwokat był przekonany, że pozwanych przeraża perspektywa stanięcia przed ławą przysięgłych i wyjaśnienia, jak zorganizowali zamach, w którym zginął Hugo, a ona odniosła ciężkie obrażenia. Negocjacje w sprawie ugody miały się rozpocząć lada dzień; mowa będzie co najmniej o siedmiocyfrowej kwocie.

Ukończenie czterdziestki może być traumatyczne, ale ukończenie jej z pokaźną sumą na koncie z pewnością złagodziłoby stres. Lacy nieźle zarabiała, miała trochę oszczędności i pieniędzy odziedziczonych po matce. Ugoda mogła zasadniczo odmienić jej sytuację finansową i pozwolić odejść z KDS. Nie wiedziała jeszcze dokąd, ale zastanawianie się nad tym było dość zabawne. Jej dni w tej pracy były policzone i myśląc o tym, bezwiednie się uśmiechała. Nadeszła pora rozpocząć nową karierę. Fakt, że nie miała pojęcia, co to będzie, był właściwie ekscytujący.

Tymczasem musiała jednak zamknąć kilka spraw i ukończyć dochodzenia przeciwko kilku sędziom. Normalnie zaczynała dzień od przekonywania siebie, że powinna iść do biura, ale tym razem wyglądało to inaczej. Jeri Crosby i jej fantastyczna opowieść o sędzim mordercy autentycznie ją zaintrygowały. Nie do końca w nią wierzyła, ale ciekawość nakazywała jej poczynić pewne kroki. Może historia była prawdziwa?

Może Lacy Stoltz ukoronuje swoją karierę kolejnym niesamowitym sukcesem? Rozwiąże za jednym zamachem sześć nierozwiązanych od dawna spraw i przykuje uwagę mediów? Przestań bujać w obłokach i zajmij się bieżącymi sprawami, nakazała sobie po chwili.

Wzięła szybko prysznic, poświęciła kilka minut na makijaż i doprowadzenie do porządku włosów, włożyła dżinsy i adidasy, zostawiła jedzenie i wodę Frankiemu i wyszła z mieszkania. Na pierwszym skrzyżowaniu zwolniła przed znakiem USTĄP PIERWSZEŃSTWA PRZEJAZDU, który zawsze przypominał jej o wypadku. Dziwne, jak pewne elementy krajobrazu przywołują określone wspomnienia. Mijając ten znak codziennie rano, cofała się w przeszłość. Ta chwila szybko mijała i wracała dopiero następnego dnia. Trzy lata po tamtym koszmarze nadal była ostrożna za kółkiem, zawsze ustępowała pierwszeństwa, nigdy nie przekraczała dozwolonej prędkości.

Dotarłszy do zachodniego skraju Tallahassee, daleko od siedziby kongresu stanowego i kampusu, wjechała do starego centrum handlowego, zaparkowała tam i pięć po ósmej weszła do Bonnie's Big Breakfast, lokalnej knajpki, której nie odwiedzali studenci i lobbyści, za to zawsze było w niej pełno przedstawicieli handlowych i gliniarzy. Wzięła gazetę i usiadła przy kontuarze, niedaleko okienka do kuchni, przez które kelnerki przekomarzały się z kucharzami. W menu były legendarne jajka w koszulkach na grzance z awokado, którymi Lacy raczyła się co najmniej raz w miesiącu. Czekaając na nie, przejrzała skrzynkę mailową i esemesy i z zadowoleniem stwierdziła, że wszystkie ważne wiadomości mogą poczekać do jutra. Wysłała esemesa Darrenowi, że nie będzie jej w biurze.

Odpowiedział natychmiast: spytał, czy odchodzi z roboty.

Taki ostatnio panował nastrój w KDS. Ci, którzy jeszcze tam zostali, byli podejrzani o to, że planują ucieczkę.

O wpół do dziesiątej jechała już międzystanową dziesiątką na zachód. Był czwarty marca, wtorek. W ten dzień tygodnia spodziewała się mniej więcej o tej porze telefonu od starszego i jedyne go brata. Gunther mieszkał w Atlancie, pracował w nieruchomościach i deweloperce i bez względu na rynkowe trendy zawsze był o krok od podpisania superważnej umowy. Miała dość wiecznych rozmów na ten temat, ale musiała je znosić. Poza tym stale się o nią martwił i napomynał, że powinna odejść z KDS i zacząć zarabiać razem z nim dużą kasę. Zawsze grzecznie mu odmawiała. Gunther stąpał po kruchym lodzie i sprawiało mu chyba przyjemność pożyczanie pieniędzy w jednym banku, żeby móc je spłacić w innym – stale na krawędzi bankructwa. Budowanie kolejnych centrów handlowych na przedmieściach Atlanty było ostatnią rzeczą, jaką Lacy chciałyby w życiu robić. Zwłaszcza mając za szefa Gunthera.

Zawsze byli ze sobą blisko, ale przed siedmioma miesiącami zmarła ich matka i to ich jeszcze bardziej do siebie zbliżyło. To oraz, jak podejrzewała, zbliżająca się ugoda w sprawie jej odszkodowania. Gunther uważał, że wypłacą jej grube miliony, i nabrał irytującego zwyczaju doradzania młodszej siostrze w kwestiach inwestycyjnych. Nie chciała myśleć o dniu, w którym brat będzie potrzebował pożyczki. Żył w świecie długów i obiecałby każdemu gruszki na wierzbie, żeby tylko móc zaciągnąć ich więcej.

– Czołem, siostrzyczko – przywitał ją wesoło. – Co u ciebie słychać tam na południu?

– Wszystko po staremu, Gunther. A co u ciebie?

– Złapałem za ogon tygrysa. Jak się miewa Allie? Jak twoje życie miłosne?

– Nie ma szału. Ostatnio jest stale poza domem. A twoje życie miłosne?

– Nie ma o czym mówić.

Niedawno rozwiedziony, Gunther uganiał się za kobietami z takim samym entuzjazmem, z jakim pertraktował z bankami, i tak naprawdę Lacy nie chciała o tym słyszeć. Zachęcała go, żeby po dwóch nieudanych małżeństwach rozważniej wybierał damy swojego serca, lecz oczywiście ignorował jej rady.

– Słyszę, że jedziesz samochodem – powiedział.

– Jadę do Pensacoli, żeby przesłuchać świadka. Nic ekscytującego.

– Zawsze tak mówisz. Nadal szukasz nowej pracy?

– Nigdy nie twierdziłam, że szukam nowej pracy. Mówiłam tylko, że w tej obecnej trochę się nudzę.

– Tu u nas więcej się dzieje, dzieciaku.

– Już to mówiłeś. Nie sądzę, żebyś rozmawiał ostatnio z ciotką Trudy?

– Udało mi się tego uniknąć.

Trudy była siostrą ich matki, naprawdę wścibską ciotunią, która starała się bardzo utrzymać rodzinę razem. Nagła śmierć siostry była dla niej szokiem i chciała podzielić się swoim nieszczęściem z siostrzeńcami.

– Zadzwoiła do mnie dwa dni temu i była w fatalnym stanie – powiedziała Lacy.

– Ona zawsze jest w fatalnym stanie. Dlatego nie mogę z nią rozmawiać. Nie wydaje ci się to dziwne? Wcześniej właściwie nie znaliśmy tej kobiety, a po śmierci mamy na gwałt chce się z nami zaprzyjaźnić.

– Naprawdę jest jej ciężko, Gunther. Opuść jej.

– Komu w dzisiejszych czasach nie jest ciężko? Ups! Przepraszam cię, ale mam drugi telefon. To bankier, który chce mi podrzucić trochę kasy. Muszę kończyć. Zadzwoię później. Kocham cię, siostrzyczko.

– Ja ciebie też.

Większość ich wtorkowych rozmów kończyła się nagle, kiedy Gunther musiał odebrać ważny telefon. Lacy odetchnęła z ulgą, ponieważ normalnie pytał ją o pozew. Zadzwoiła do Darrena, żeby zapewnić go, że jutro pojawi się w pracy, a potem do Alliego. Zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej i puściła sobie *Adele Live in London*.

Rozdział 5

Dzięki nawigacji satelitarnej szybko znalazła cmentarz Brookleaf w starej części Pensacoli i zaparkowała na wolnym miejscu. Przed sobą miała podobny do bunkra kwadratowy budynek, w którym musiało się mieścić mauzoleum, a za nim całe hektary nagrobków i pomników cmentarnych. Tego dnia nie było pogrzebów i na parkingu stał tylko jeden inny samochód.

Przyjechała dziesięć minut wcześniej, zadzwoniła więc do Jeri.

– Siedzisz w subaru miedzianego koloru? – zapytała tamta.

– Tak. Gdzie jesteś?

– Na cmentarzu. Wejdz przez główną bramę i miń stare groby.

Lacy przeszła alejką, przy której stały podniszczone pomniki i rodzinne grobowce, ostatnie przystanki możliwych tego świata z ubiegłych stuleci. Z czasem miejsca pochówku stały się mniej monumentalne i skurczyły do rozmiarów kamieni nagrobnych. Alejka skręciła w lewo i zza jednego z nielicznych rosnących tu drzew wyszła Jeri Crosby.

– Cześć, Lacy – powiedziała z uśmiechem.

– Cześć, Jeri. Dlaczego spotykamy się na cmentarzu?

– Spodziewałam się, że o to zapytasz. Mogłabym odpowiedzieć: dlatego że to ustronne miejsce, chciałam zmienić scenerię albo z innych powodów.

– Przejdźmy do innych powodów.

– Oczywiście. – Jeri pokiwała głową. – Tędy. – Minęły setki kamieni nagrobnych, a w oddali widziały ich tysiące. Na niewielkim wzniesieniu grabarze kopali grób pod purpurowym baldachimem. W drodze była kolejna trumna. – To tutaj – rzuciła Jeri, po czym zeszła z alejki i przez chwilę kluczyła między nagrobkami. W końcu zatrzymała się i wskazała w milczeniu miejsce ostatniego spoczynku rodziny Leawoodów. Ojciec, młodziutka córka oraz syn Thad, który urodził się w 1950, a zmarł w 1991 roku.

Przyjrząwszy się nagrobkowi, Lacy miała zamiar zacząć zadawać pytania, lecz Jeri ją uprzedziła.

– Thad był miejscowym chłopakiem – powiedziała. – Dorastał tutaj, poszedł na studia, wrócił i zatrudnił się jako pracownik socjalny. Nigdy się nie ożenił. Był starszym skautem i uwielbiał skauting i pracę z dziećmi. Został trenerem baseballu, uczył w szkółce niedzielnej i tak dalej. Mieszkał sam w małym mieszkanku niedaleko stąd. W wieku dwudziestu pięciu lat został drużynowym Siedemset Dwudziestej Drugiej Drużyny Skautów, jednej z najstarszych w tej okolicy. Traktował to jako pełnoetatowe zajęcie i najwyraźniej je uwielbiał. Wielu skautów z jego drużyny wciąż mile go wspomina. Inni już nie tak bardzo. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym nagle złożył rezygnację i wyjechał, w atmosferze oskarżeń o molestowanie seksualne. Wybuchł skandal i policja wszczęła śledztwo, ale nic z tego nie wyszło, bo ofiary wycofały zarzuty. Trudno im się dziwić. Kto chciałby takiego rozgłosu? Kiedy wyjechał z miasta, sytuacja wróciła do normy i policja przestała się nim interesować. Po jego śmierci sprawa została zamknięta.

– Młodo umarł – zauważyła Lacy i czekała na ciąg dalszy.

– Owszem. Mieszkał przez jakiś czas w Birmingham, a potem przenosił się to tu, to tam. Znaleźli go w Signal Mountain, niewielkim miasteczku

niedaleko Chattanooga. Mieszkał w tanim mieszkaniu i jeździł wózkiem widłowym w magazynie. Któregoś wieczoru wyszedł pobiegać i już nie wrócił. Dzieciaki znalazły jego ciało w lesie. Taki sam sznur na szyi. Najpierw potężne uderzenie w głowę, potem uduszenie. Z tego, co wiem, był pierwszy, ale trudno mieć pewność.

– Domyślam się, że masz jego teczkę.

– O tak. Gazeta z Chattanooga zamieściła kilka relacji, pisali też o tym w „Pensacola Ledger”. Krótki nekrolog. Rodzina sprowadziła jego zwłoki i odbył się kameralny pogrzeb. Leży tutaj. Zobaczyłaś dosyć?

– Chyba tak.

– Więc chodźmy.

Wróciły alejką do swoich samochodów.

– Przejedź się ze mną – zaproponowała Jeri. – To będzie krótka przejażdżka. Jadłaś lunch?

– Nie, ale nie jestem głodna.

Wsiadły do należącej do Jeri białej toyoty camry i wyjechały z parkingu. Jeri była skrajnie ostrożna i nerwowo zerkiała w lusterko wsteczne.

– Zachowujesz się, jakby ktoś nas śledził – stwierdziła w końcu Lacy.

– Tak wygląda świat, w którym żyję. Jesteśmy teraz na jego terytorium.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Jestem śmiertelnie poważna. Od dwudziestu lat tropię mordercę i czasami wydaje mi się, że to on tropi mnie. Krąży gdzieś w pobliżu i jest sprytniejszy ode mnie.

– Ale chyba cię nie śledzi?

– Nie mogę tego wiedzieć.

– To znaczy nie masz pewności?

– Nie mam.

Lacy ugryzła się w język i nie kontynuowała tego tematu.

Kilka przecznic dalej Jeri skręciła w szerszą ulicę i wskazała głową stojący przy niej kościół.

– To kościół metodystów Westburg, jeden z największych w mieście. W jego podziemiach jest duża świetlica, w której od niepamiętnych czasów spotykała się Siedemset Dwudziesta Druga Drużyna Skautów.

– Mogę przyjąć, że należał do niej Ross Bannick?

– Owszem.

Minęły kościół metodystów i przez dłuższą chwilę krążyły uliczkami. Lacy cisnęły się na usta pytania. Było oczywiste, że Jeri chce przedstawić całą historię we własny sposób. Skręciły w Hemlock Street, ocienioną uroczą ulicę z dobrze zachowanymi przedwojennymi domami. Do każdego z nich prowadził wąski podjazd, werandy były okolone kwietnymi rabatkami.

– W tym niebieskim domu po lewej stronie – Jeri wskazała ręką – mieszkali Bannickowie. Ross dorastał w nim i jak się domyślasz, tu właśnie chodził do szkoły, do kościoła i na zbiórki skautów. Jego rodzice już nie żyją. Dom odziedziczyła siostra, która jest od niego dużo starsza. Ross odziedziczył trochę ziemi w sąsiednim hrabstwie Chavez i tam teraz mieszka. Sam. Nigdy się nie ożenił.

– Jego rodzina była znana w mieście? – zapytała Lacy, kiedy minęły dom.

– Ojciec, uwielbiany pediatra, zmarł w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Matka była ekscentryczną artystką. Pomieszało jej się w głowie i wylądowała w szpitalu psychiatrycznym. W tamtym czasie rodzina była tu bardzo znana. Należeli do Kościoła episkopalnego tuż za rogiem. To była miła i bezpieczna okolica.

– Wyszło na jaw, że był molestowany przez Thada Leawooda?

– Nigdy. I nie ma na to żadnych dowodów. Jak mówiłam wczoraj, brakuje mi jakichkolwiek dowodów. Wyłącznie poszlaki oparte na niepotwierdzonych teoriach.

Lacy miała na końcu języka jakąś zgryźliwą uwagę, ale się powstrzymała. Wróciły na szerszą ulicę i przez kilka minut jechały w milczeniu. Jeri skręciła w bok i po chwili znalazły się w miejscu, gdzie ulice były węższe, domy mniejsze, trawniki mniej wypielęgnowane.

– Tam na górze, w tym białym drewnianym domu, przy którym stoi brązowy pick-up, mieszkali Leawoodowie – powiedziała, wskazując w prawo. – Thad dorastał tutaj. Był o piętnaście lat starszy od Rossa.

– Kto tam teraz mieszka? – zapytała Lacy, kiedy minęły dom.

– Nie wiem. To nie ma znaczenia. Wszyscy Leawoodowie zmarli.

Jeri skręciła na skrzyżowaniu i dzielnica mieszkaniowa wkrótce się skończyła. Znalazły się na zatłoczonej dwupasmówce prowadzącej na północ.

– Jak długo jeszcze zajmie ta wycieczka? – zapytała w końcu Lacy.

– Zaraz będziemy na miejscu.

– Okej. Mogę tymczasem zadać kilka pytań?

– Jasne. Pytaj, o co chcesz.

– Co wiesz o miejscu zbrodni na północy, w Signal Mountain? I o prowadzonym tam śledztwie?

– Prawie nic. Zabójstwo zostało popełnione w popularnej wśród joggerów i spacerowiczów okolicy, ale nie było świadków. Sekcja zwłok wykazała, że zgon nastąpił między godziną dziewiętnastą a dwudziestą. Był ciepły październikowy dzień. Leawood odbił kartę o siedemnastej pięć, tak jak zawsze, i wyszedł. Mieszkał sam, trzymał się na uboczu i miał bardzo niewielu znajomych. Sąsiad widział, jak wybiega ze swojego mieszkania

około wpół do siódmej. Według policji wtedy widziano go po raz ostatni. Mieszkał na skraju miasta, niedaleko miejsca, w którym zaczynał się szlak.

Kiedy wyjechały z Pensacoli, na drodze zrobiło się luźniej. CULLMAN, 13 KM, widniał napis na drogowskazie.

– Rozumiem, że jedziemy do Cullman – mruknęła Lacy.

– Tak. Za mniej więcej trzy kilometry wjedziemy do hrabstwa Chavez.

– Nie mogę się doczekać.

– Cierpliwości, Lacy. To wszystko nie jest dla mnie łatwe. Jesteś jedyną osobą, której się zwierzyłam, i musisz mi zaufać.

– Wracamy na miejsce zbrodni.

– Tak, wracamy na miejsce zbrodni. Policja nic nie znalazła. Żadnych włosów, włókien, żadnego tępego narzędzia, nic oprócz nylonowego sznura na szyi, zawiązanego takim samym węzłem, podwójnym wyblinkowym.

– To był taki sam rodzaj nylonowego sznura?

– Tak. Taki sam jak wszystkie pozostałe.

Tablica poinformowała je, że przekroczyły granicę hrabstwa Chavez.

– Złożymy wizytę sędziemu Bannickowi? – zapytała Lacy.

– Nie, nie złożymy.

Skręciły w kolejną dwupasmową drogę i mijały przedmieścia Cullman: fast foody, motele, centra handlowe.

– Więc co zrobiła policja w tym Signal Mountain? – wróciła do przerwane go tematu Lacy.

– To samo co zwykle. Powęszyli w okolicy, pochodzili od domu do domu, popytali innych joggerów i spacerowiczów, znaleźli kilku znajomych Thada. Przeszukali jego mieszkanie. Nic nie zostało skradzione, więc wykluczyli motyw rabunkowy. Zrobili, co mogli, ale nic nie osiągnęli.

– I to było w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym?

– Tak. Bardzo dawna sprawa, żadnych dowodów rzeczowych.

Lacy uczyła się cierpliwości. Przed zadaniem kolejnego pytania wzięła kilka głębokich oddechów.

– Domyślam się, że masz to wszystko w swojej kartotece – powiedziała.

– Owszem.

– Jak zdobywasz informacje od policji? Znani są z tego, że sumiennie chronią swoje dane.

– Składam zapytania, powołując się na ustawę o dostępie do informacji publicznych. Udzielają odpowiedzi, ale masz rację, nigdy nie ujawniają wszystkiego. Wystarczy napomknąć, że w sprawie toczy się aktywne śledztwo, i to zamyka wszystkie drzwi. Tylko przy starych sprawach nie strzegą tak zazdrośnie swoich sekretów. Poza tym rozmawiam z nimi.

– To nie zostawia śladu?

– Może zostawić.

Zjechały z dwupasmówki i kierując się drogowskazami, podążyły w stronę historycznego centrum miasta.

– Byłaś kiedyś w Cullman? – zapytała Jeri.

– Nie sądzę. Sprawdziłam wczoraj wieczorem i wychodzi na to, że od dwudziestu lat KDS nie prowadziła tu żadnego dochodzenia. Kilka w Pensacoli, ale ani jednego w hrabstwie Chavez.

– Ile hrabstw macie pod swoją jurysdykcją?

– Zbyt wiele. Mamy czterech śledczych w oddziale w Tallahassee i trzech w Fort Lauderdale. To siedem osób na sześćdziesiąt siedem hrabstw, tysiąc sędziów i sześćset sal rozpraw.

– I dajecie sobie radę?

– Na ogół. Na szczęście większość naszych sędziów zachowuje się grzecznie. Jest tylko kilka parszywych owiec.

– W tym jedna tutaj.

Lacy nie skomentowała tego. Jechały przedłużeniem Main Street. Jeri skręciła jeszcze raz i zatrzymała się przed skrzyżowaniem. Po jego drugiej stronie był wjazd na strzeżone osiedle. Za bramą widać było nowoczesne domy i apartamentowce ze schludnymi małymi trawnikami.

– Doktor Bannick kupił tę pustą działkę czterdzieści lat temu i okazało się to dobrą inwestycją. Ross mieszka tam i bardziej już się do niego nie zbliżymy. Wszędzie jest mnóstwo kamer.

– Dla mnie to wystarczająco blisko – mruknęła Lacy. Chciała zapytać, co ma jej dać wiedza o tym, gdzie mieszka Bannick, ale ugryzła się w język. – Wróćmy do twoich kontaktów z miejscową policją – powiedziała, kiedy stamtąd odjechały. – W jaki sposób rozmawiasz z nimi, nie pozostawiając śladów?

Jeri zachichotała i uśmiechnęła się, co zdarzało jej się nader rzadko.

– Stworzyłam fikcyjny świat. Jestem w nim wieloma postaciami. Działającą na wolną rękę dziennikarką, reporterką kryminalną, prywatną detektywką, nawet pisarką. Każda z nich ma inne nazwisko i adres. W tym przypadku udałam, że jestem reporterką kryminalną z Memphis, piszącą długi artykuł na temat nierozwiązanych spraw w Tennessee. Dałam komendantowi policji wizytówkę z numerem telefonu i adresem mailowym. Krótka spódniczka i odrobina wdzięku mogą często pomóc. W końcu ci gliniarze są facetami, słabszą płcią. Po kilku miłych pogawędkach otwierają się, przynajmniej trochę.

– Ile masz telefonów?

– Och, nie wiem. Co najmniej sześć.

Lacy pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Poza tym musisz pamiętać – ciągnęła Jeri – że o tej sprawie prawie wszyscy zapomnieli. Nie bez powodu nazywana jest zamkniętą. Kiedy

policja uświadamia sobie, że nie ma się na czym oprzeć, szybko traci zainteresowanie. Ofiara nie pochodziła z ich miasta, więc jej rodzina nie wierci im dziury w brzuchu. Zabójstwo wydawało się zupełnie przypadkowe i niemożliwe do rozwiązania. W takich przypadkach gliniarze nawet się cieszą, że ktoś chce świeżym okiem spojrzeć na akta.

Jechały ponownie Main Street, przez historyczną część Cullman. W polu widzenia pojawił się klasycystyczny budynek sądu, w samym środku miasta. Na placu wokół niego pełno było sklepów i biur.

– Tu właśnie pracuje – powiedziała Jeri, patrząc na budynek sądu. – Nie wejdziemy do środka.

– Zobaczyłam już dosyć – rzuciła Lacy.

– Wszędzie są tam kamery.

– Naprawdę sądzisz, że Bannick by cię rozpoznał? Powinnaś sobie odpuścić. Nigdy nie spotkałaś tego faceta, a on nie ma pojęcia, kim jesteś i o co ci chodzi. Prawda?

– Prawda, ale po co ryzykować? Właściwie weszłam tam raz, przed wielu laty. To był pierwszy dzień sesji sądowej i w budynku kręciło się mnóstwo ludzi, wśród nich ponad stu czekających na powołanie przysięgłych. Chodząc razem z nimi, trochę się rozejrzałam. Jego sala sądowa jest na drugim piętrze, gabinet trochę dalej przy korytarzu. To było naprawdę dziwne, prawie paraliżujące, przebywanie w tym samym miejscu co człowiek, który zabił mojego ojca.

Lacy zdumiała pewnością bijąca z jej słów. Nie mając dowodów rzeczowych, Jeri była przekonana, że Bannick jest mordercą. A ona miała zaangażować się w tę sprawę, w jakiś sposób odkryć prawdę i wymierzyć sprawiedliwość.

Objechały plac i opuściły stare centrum miasta.

– Napiałabym się kawy – powiedziała Jeri. – A ty?

– Jasne. Wycieczka skończona?

– Tak, ale mam ci jeszcze wiele do powiedzenia.

Rozdział 6

Na skraju miasta zatrzymały się przy sieciowej restauracji i weszły do środka. O wpół do trzeciej lokal był pusty; wybrały narożny boks daleko od baru. Jeri miała ze sobą dużą torbę, o wiele większą od damskiej torebki. Lacy domyślała się, że w środku są akta.

– Wiele razy wymieniłaś Thada Leawooda jako pierwszego – powiedziała. – Kto był drugi?

– Nie wiem, ile było razem ofiar, więc nie mogę być pewna, czy Thad był pierwszy. Prowadząc dochodzenie, odkryłam na razie sześć osób. Thad zginął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, więc sądzę, że mój ojciec był drugi, rok później.

– Okej. I nie chcesz, żebym robiła notatki?

– Jeszcze nie.

– Danny Cleveland, ten reporter, zginął w dwa tysiące dziewiątym. Czy to znaczy, że był trzeci?

– Nie sądzę.

Lacy wypuściła ze zniecierpliwieniem powietrze.

– Wybacz, Jeri, ale znów muszę cię ciągnąć za język. Czuję, że ogarnia mnie frustracja.

– Cierpliwości. Numerem trzecim, przynajmniej na mojej liście, jest dziewczyna, którą poznał na wydziale prawa.

– Dziewczyna?

– Tak.

– Dlaczego ją zabił?

Przyniesiono im kawę i przez chwilę milczały. Jeri nie spiesząc się, mieszała łyżeczką śmietankę.

– Zajmijmy się nią później. – Rozejrzała się dokoła. – Opowiedziałam ci o trzech ofiarach. Na razie starczy.

– W porządku. Tak z czystej ciekawości: czy w przypadku tej drugiej trójki masz więcej dowodów niż przy pierwszej?

– Niekoniecznie. Mam motyw i metodę. To wszystko. Ale jestem przekonana, że wszyscy byli jakoś związani z Bannickiem.

– Rozumiem. Sprawuje urząd sędziego od dziesięciu lat. Czy podejrzewasz, że popełnił jakieś zabójstwo już po tym, jak został sędzią? Innymi słowy, czy nadal to robi?

– O tak. Do ostatniego doszło dwa lata temu. To był emerytowany prawnik mieszkający w Keys. Były starszy partner w dużej kancelarii. Znaleźli go zaduszonego w należącej do niego łodzi rybackiej.

– Pamiętam tę sprawę. Nazywał się Kronkite czy jakoś tak?

– Kronke. Perry Kronke. Miał osiemdziesiąt jeden lat, kiedy złowił swoją ostatnią rybę.

– To była głośna sprawa.

– Przynajmniej w Miami. Mają tam więcej zamordowanych prawników niż gdziekolwiek indziej. Jest się czym szczyścić, prawda?

– To przez przemyt narkotyków.

– Oczywiście.

– Co wiązało Kronke'a z Bannickiem?

– Latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Bannick był stażystą w jego kancelarii i wystawili go do wiatru, bo nie dostał oferty pracy. Najwyraźniej naprawdę go to wkurzyło. Czekał dwadzieścia lat, żeby się zemścić. Jest obdarzony niezwykle cierpliwością.

Trochę trwało, zanim Lacy to sobie przyswoiła. Popijając kawę, wyglądała przez okno. Jeri nachyliła się do niej.

– Jako pseudoekspertka od seryjnych zabójców mogę powiedzieć, że był to jak dotąd jego największy błąd. Zabił starego prawnika, który miał wielu przyjaciół i cieszył się niegdyś świetną reputacją. Dwie z jego ofiar to osoby o wysokim statusie: mój ojciec i Kronke.

– Te dwa zabójstwa dzieli dwadzieścia lat.

– Tak, na tym polega jego modus operandi, Lacy. To niezwykle, ale tak właśnie postępują socjopaci.

– Przykro mi, ale nie bardzo nadażam za twoją terminologią. Zajmuję się sędziami, którzy są na ogół zdrowi psychicznie i schodzą na złą drogę, zawalając pewne sprawy albo mieszając sędziowskie obowiązki z prywatnymi interesami.

Jeri uśmiechnęła się znacząco, upiła łyk kawy i ponownie rozejrzała się dokoła.

– Psychopata ma poważne zaburzenia psychiczne i charakteryzuje się zachowaniami antyspołecznymi. Socjopata to psychopata na sterydach. Nie jest to fachowa medyczna definicja, ale oddaje istotę rzeczy.

– Zamieniam się w słuch.

– Moja teoria jest taka, że Bannick ma listę ludzi, którzy go skrzywdzili albo mu podpadli. To może być coś tak trywialnego jak wstyd, którego narobił mu profesor prawa, albo coś tak poważnego jak drużynowy skautów, który molestował go seksualnie. Do momentu, kiedy został zgwałcony jako dziecko, Bannick był prawdopodobnie normalny. Trudno

sobie wyobrazić, jaki to może mieć wpływ na małego chłopca. Dlatego zawsze miał problemy z kobietami.

Pewność siebie Jeri była rozbrajająca i budziła podziw. Śledziła poczynania Bannicka od tak dawna, że jego wina stała się dla niej niezbitym faktem.

– Przeczytałam sto książek o seryjnych zabójcach – oznajmiła. – Od plotkarskich wycieczek po akademickie traktaty. Prawie żaden z nich nie chce zostać złapany, a mimo to pragną, żeby ktoś... policja, rodziny ofiar, prasa... po prostu o nich wiedział. Wielu jest wybitnie inteligentnych, niektórzy są niewiarygodnie głupi. Prezentują cały wachlarz zachowań. Niektórzy zabijają od dziesięcioleci i nie zostali złapani, innym odbija i zaczynają działać w pośpiechu. To właśnie ci najczęściej popełniają błędy. Niektórzy mają jasny motyw, inni wybierają przypadkowe ofiary.

– Ale na ogół zostają złapani?

– Trudno powiedzieć. W tym kraju popełnia się średnio piętnaście tysięcy zabójstw rocznie. Sprawcy jednej trzeciej nie zostali złapani. To oznacza pięć tysięcy w tym roku, pięć tysięcy w poprzednim i pięć tysięcy dwa lata temu. Dwieście tysięcy zabójstw od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Jest wiele nierozwiązanych spraw, przy których nie sposób powiedzieć, czy ofiara zginęła z ręki seryjnego zabójcy. Większość ekspertów uważa, że to jeden z powodów, dla których zostawiają wskazówki. Chcą, żeby ktoś wiedział, że robią to, co robią. Napędzają ich strach i terror. Jak już powiedziałam, nie chcą zostać złapani, ale chcą, żeby ktoś wiedział.

– Więc nikt, nawet FBI, nie wie, ilu seryjnych zabójców grasuje na wolności?

– Nikt. I niektórzy z tych najsłynniejszych nie zostali złapani. Nie ujęto Kuby Rozpruwacza.

Lacy nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Wybacz mi, ale trudno mi uwierzyć, że siedzę tutaj w Podunk na Florydzie, popijam kawę i rozmawiam o Kubie Rozpruwaczu.

– Proszę cię, nie śmieję się, Lacy. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale to wszystko prawda.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Po prostu mi uwierz. Musisz mi uwierzyć.

Lacy przestała się uśmiechać i upiła kawę.

– Dobrze, nadal cię słucham – odezwała się po długiej pauzie, w trakcie której obie unikały kontaktu wzrokowego. – Czy zgodnie z twoją teorią uważasz, że Bannick chce zostać złapany?

– O nie. Jest na to zbyt ostrożny, zbyt sprytny, zbyt cierpliwy. Poza tym ma za dużo do stracenia. Większość seryjnych zabójców, podobnie zresztą jak zwykłych, jest społecznymi outsiderami. Bannick cieszy się wysokim statusem, zrobił karierę, odziedziczył prawdopodobnie spory majątek. Jest chorym facetem, ale zachowuje pozory normalności. Widuje się go w kościele, w country klubie i podobnych miejscach. Udziela się w lokalnej palestrze, jest prezesem towarzystwa historycznego, występuje nawet jako aktor w miejscowym kółku teatralnym. Oglądałam kilka jego występów. Po prostu straszne.

– Widziałaś go na scenie?

– Tak. Widzów było niewielu, nie bez powodu, ale na widowni było ciemno. Niewiele ryzykowałam.

– Nie robi wrażenia aspołecznego.

– Jak już mówiłam, potrafi zachować pozory. Nikt nie będzie go podejrzewał. Widziano go nawet w Pensacoli w towarzystwie jakiejś blondynki. Spotyka się z kilkoma, zapewne im płaci, ale nic mi o tym bliżej nie wiadomo.

– Skąd wiesz o tych blondynkach?

– Z mediów społecznościowych. Lokalny oddział Amerykańskiego Stowarzyszenia Walki z Rakiem urządza co roku galę. Obowiązuje strój wieczorowy. Jego ojciec, pediatra, zmarł na raka, więc Bannick się w to angażuje. To duża impreza i zbierają sporo kasy. Wszystko jest relacjonowane online. Nie zostało nam wiele prywatności.

– Ale sam nic nie zamieszcza?

– Nic. W ogóle nie jest obecny w mediach społecznościowych. Zdziwiłabyś się jednak, ile można się dowiedzieć, kiedy ktoś przeczesuje internet tak jak ja.

– Mówiłaś, że wszystko zostawia ślad.

– Tak, ale trudno namierzyć zwykłe surfowanie. Poza tym się zabezpieczam.

Znowu zapadło długie milczenie. Lacy zastanawiała się nad następnym pytaniem. Jeri spoglądała na nią z pewną obawą, jakby kolejna rewelacja mogła spłoszyć jej nową powierniczkę. Pojawił się kelner z dzbankiem kawy i dolał im do kubków. Lacy zignorowała swój.

– Mam pytanie – odezwała się w końcu. – Mówiłaś, że seryjni zabójcy chcą, żeby ktoś wiedział o ich istnieniu. Czy to samo dotyczy Bannicka?

– O tak. W FBI powtarzają sobie od dawna, że wcześniej czy później facet podpisze się swoim nazwiskiem. Znalazłam to w jakiejś książce, być może nawet w powieści, nie pamiętam. Tyle ich czytam...

– Chodzi ci o sznur?

– Tak, o sznur. Bannick zawsze używa lekkiego nylonowego żeglarskiego sznura o średnicy dziewięciu i pół milimetra, poczwórnego plecionego. Długości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów, owiniętego dwukrotnie wokół szyi i zawiązanego na podwójny węzeł

wyblinkowy, którego nauczył się pewnie w skautingu. Mam fotografie z każdego miejsca zabójstwa, z wyjątkiem Kronke'a.

– Czy to nie jest nieostrożne?

– Być może, ale kto tak naprawdę bada te zbrodnie wszystkie razem? W ciągu dwudziestu lat mamy sześć zabójstw w sześciu różnych jurysdykcjach i sześciu różnych stanach. Żadna z sześciu jednostek policyjnych nie porównuje swoich danych z innymi. Po prostu nie pracują w ten sposób i on o tym wie.

– A to jedyne zabójstwo na Florydzie?

– Tak, Perry Kronke. Dwa lata temu.

– Gdzie dokładnie zostało popełnione?

– W Marathon, na Florida Keys – odparła Jeri.

– Więc dlaczego nie możesz zwrócić się do tamtejszej policji, pokazać im teczek i przedstawić swojej teorii?

– Trafne pytanie. Może to zrobię. Mogę zostać do tego zmuszona, ale mam poważne wątpliwości. Co twoim zdaniem zrobi policja? Zacznie tropić pięć nierozwiązanych spraw z pięciu innych stanów? Wątpię. Nie zapominaj, że nie mam żadnych dowodów, nic konkretnego, co mogłabym dać policji, a w większości przypadków gliniarze dali za wygraną.

Lacy upiła łyk kawy i pokiwała głową, nie do końca przekonana.

– Jest o wiele ważniejszy powód, dla którego nie chcę zgłosić się na policję bez dowodów – dodała Jeri. – Po prostu się boję.

– Bannicka?

– Żebyś wiedziała. Jest na tyle sprytny, że po popełnieniu zbrodni śledzi jej reperkusje. Od dwudziestu lat działam w przekonaniu, że interesuje się śledztwami, obserwuje je i zaciera ślady.

– I chcesz, żebym się w to zaangażowała?

– Musisz, Lacy. Nie mam nikogo innego.

– Nie wierzę.

– Ale wierzysz mnie?

– Nie wiem, Jeri. Naprawdę nie wiem. Przykro mi, nie do końca jednak mnie to przekonuje.

– Jeśli go nie powstrzymamy, zabije ponownie.

Lacy nie spodobało się użycie przez Jeri liczby mnogiej. Odsunęła od siebie kawę.

– Posłuchaj – powiedziała. – Mam dosyć jak na jeden dzień. Muszę to przeanalizować, przespać się z tym i zastanowić, jaka jest tu moja rola.

– Rozumiem. Ale ty musisz zrozumieć, że jestem bardzo samotna. Żyję z tym od wielu lat. To mnie niszczy i czasami popycha do krawędzi. Spędziłam setki godzin na terapii i mam przed sobą długą drogę. Przez to wszystko rozwiodłam się i o mało nie zawałiła mi się kariera. Mimo to nie mogę się wycofać. Mój ojciec by na to nie pozwolił. Nie mogę uwierzyć, że w końcu dotarłam do punktu, w którym mówię o tym komuś, mówię osobie, której ufam.

– Nie zasłużyłam na twoje zaufanie.

– I tak ci ufam. Nie mam nikogo innego. Potrzebuję przyjaciółki, Lacy. Nie porzucaj mnie, proszę.

– Tu nie chodzi o porzucanie. Problemem jest to, co powinnam z tym zrobić. Nie prowadzimy śledztw w sprawie zabójstw, Jeri. To robota dla policji stanowej, a może nawet FBI. Nie jesteśmy po prostu odpowiednio wyposażeni do takich zadań.

– Ale możesz mi pomóc. Możesz mnie wysłuchać, potrzymać za rękę. Możesz na pewnym poziomie wszcząć dochodzenie. KDS może wzywać ludzi na przesłuchanie. W sprawie tamtego kasyna dobrałaś się do skóry skorumpowanej sędzi i całemu przestępczemu gangowi.

– Z dużą pomocą innych, przede wszystkim FBI. Wydaje mi się, że nie rozumiesz, w jaki sposób pracujemy, Jeri. Nie angażujemy się w badanie nieprawidłowości, dopóki ktoś nie złoży skargi. Do tego momentu nic się nie dzieje.

– Skarga może być anonimowa?

– Początkowo tak. Później już nie. Po złożeniu skargi mamy czterdzieści pięć dni na zbadanie zarzutów.

– Sędzia dowiaduje się o wszczęciu przez was dochodzenia?

– To zależy, ale na ogół wie, że ma problem. Strona skarżąca daje do zrozumienia, że jest niezadowolona i ma pretensje. Niektóre spory ciągną się miesiącami, nawet latami. Nierzadko jednak sędzia jest totalnie zaskoczony. Jeśli uznajemy, że zarzuty mogą się potwierdzić, co zdarza się dość rzadko, kierujemy do niego oficjalne zawiadomienie.

– W tym momencie pozna moje nazwisko.

– Tak się zwykle dzieje. Nie przypominam sobie sprawy, w której strona skarżąca pozostałaby całkowicie anonimowa.

– Ale można tak to załatwić, prawda?

– Musiałabym porozmawiać o tym z dyrektorką, moją szefową.

– To mnie przeraża, Lacy. Marzę o tym, żeby dopaść człowieka, który zabił mojego ojca. I marzę o tym, żeby nie znaleźć się na jego liście. To zbyt niebezpieczne.

Lacy zerknęła na zegarek, odsunęła od siebie kubek i wypuściła z płuc powietrze.

– Posłuchaj, to bardzo dużo jak na jeden dzień i czeka mnie jeszcze długa podróż powrotna. Zróbmy sobie przerwę.

– Jasne, ale musisz mi obiecać całkowitą dyskrecję.

– Dobrze. Przedyskutuję to z szefową.

– Można jej zaufać?

– Tak, można. To są delikatne sprawy, jak sama się domyślasz. Stawką jest reputacja wybieralnych sędziów i rozumiemy wymogi dyskrecji. Nikt nie będzie nic wiedział, dopóki nie będzie musiał. To ci wystarcza?

– Chyba tak. Ale musisz informować mnie na bieżąco.

...

W trakcie dwudziestominutowej jazdy na cmentarz obie były pogrążone w myślach. Żeby poruszyć jakiś bardziej pozytywny temat, Lacy zapytała Jeri o jej córkę Denise, która studiowała na Uniwersytecie Michigan. Nie, Denise nie pamiętała dziadka i wiedziała bardzo mało o jego zabójstwie. Jeri intrygowało to, że Lacy, atrakcyjna singielka, nie wyszła za mąż, ale rozmowa na ten temat się nie kleiła. Lacy przywykła do tego rodzaju pytań i nie miała do nich cierpliwości. Jej nieżyjąca matka przez lata wierciła jej w związku z tym dziurę w brzuchu i Lacy nauczyła się stawiać opór wścibstwu.

Na cmentarzu Jeri wręczyła jej płócienną torbę na zakupy.

– Jest tu część akt, po prostu na początek. Mam ich o wiele więcej.

– Na temat trzech pierwszych ofiar?

– Tak. Mojego ojca, Thada Leawooda i Danny’ego Clevelanda. O innych możemy porozmawiać później.

Torba i tak była dość ciężka i Lacy nie wiedziała, czy chce ją wziąć. Nie mogła się doczekać, żeby wsiąść do swojego samochodu, zamknąć drzwi i wrócić do domu. Powiedziały sobie „do widzenia”, obiecały, że wkrótce znów się zobaczą, i odjechały, każda w swoją stronę.

W połowie drogi do Tallahassee zadzwonił Allie. Wróci trochę później i chciałby zjeść pizzę i napić się z nią wina przy kominku. Nie widzieli się od czterech dni i nagle za nim zatęskniła. Uśmiechnęła się na myśl o tym,

że przytuli się do wytrawnego agenta FBI i pogada z nim o czymś innym niż praca.

Rozdział 7

We wtorek Darren Trope wparował do jej gabinetu z samego rana.

– Jak ci minął dzień wolny? – zapytał. – Spędziłaś fajnie czas?

– Niekoniecznie.

– Stęskniłaś się za nami?

– Przykro mi, ale nie – odparła z uśmiechem Lacy. Miała właśnie sięgnąć po segregator, jeden z kilkunastu stojących na półce przy jej biurku. Sędzia w hrabstwie Gilchrist doprowadzał do furii prawników i procesujące się strony, bo nie potrafił przygotować spraw do sądu. W grę wchodził podobno alkohol. Lacy niechętnie uznała, że zarzuty są uzasadnione i trzeba będzie zawiadomić Wysoki Sąd, że zostanie przeciwko niemu wszczęte dochodzenie.

– Wypałaś się chociaż? – wypytywał ją dalej Darren. – Umówiłaś się na długi wypasiony lunch ze swoim chłopakiem z FBI?

– Nie nazywają tych dni wolnymi bez powodu.

– Tak czy owak, nie ominęło cię u nas nic ważnego.

– Nie miałam co do tego wątpliwości.

– Wychodzę po porządną kawę. Chcesz coś?

– Jasne. To samo co zwykle.

Wypadki Darrena po kawę były coraz dłuższe. Pracował w KDS od dwóch lat i wykazywał typowe symptomy znudzenia impasem, w jakim znalazła się jego kariera. Kiedy wyszedł, zamknęła za nim drzwi i próbowała skupić się na kolejnym sędzim alkoholiku. Godzinę później, niewiele zdziaławszy, odsunęła od siebie segregator.

W biurze była najbardziej zaprzyjaźniona z Maddy Reese, która pracowała w KDS od czterech lat, co oznaczało, że miała tu drugi najdłuższy staż pracy wśród czwórki prawników – o wiele krótszy od Lacy. Maddy najpierw otworzyła drzwi do gabinetu, a potem w nie zapukała.

– Masz chwilkę? – zapytała.

Poprzedni dyrektor wprowadził politykę otwartych drzwi, co doprowadziło do totalnego bezhołowia, w którym nie mogło być mowy o jakiegokolwiek prywatności. Wszelka produktywna praca była stale przerywana. Choć nakaz został już odwołany i drzwi gabinetów zamykano, trudno było wyplenić stare obyczaje.

– Jasne – odparła Lacy. – Co się dzieje?

– Kleo chce, żebyś przejrzała sprawę Handy’ego. Uważa, że powinnaś się w nią włączyć.

Kleo było skrótem od Kleopatry, przezwiska nadanego aktualnej dyrektorce, ambitnej kobiecie, której w ciągu kilku tygodni udało się zrazić do siebie całe biuro.

– Znów ten Handy? – mruknęła sfrustrowana Lacy.

– Owszem. Wygląda na to, że podważa założenia planu zagospodarowania przestrzennego na korzyść konkretnego dewelopera, który zupełnie przypadkowo przyjaźni się z jego siostrzeńcem.

– To jest Floryda. Takie rzeczy się zdarzają.

– Właściciele sąsiednich działek są wściekli i wynajęli prawników. W zeszłym tygodniu złożono przeciwko Handy’emu kolejną skargę

i sprawa wydaje się podejrzana. Wiem, jak bardzo lubisz plany zagospodarowania przestrzennego.

- Uwielbiam je. Przynieś mi akta, to się z nimi zapoznam.
- Dzięki. Poza tym Kleo zwołuje na drugą zebranie personelu.
- Myślałam, że mieliśmy je w poniedziałek rano.
- Mieliśmy. Ale Kleo wprowadza własne zwyczaje.

...

Maddy wyszła, nie zamykając drzwi, a Lacy zerknęła na ekran monitora. Przewinęła rząd maili, które mogła zignorować lub odłożyć na później, i zatrzymała się na tym, który wysłała jej Jeri Crosby.

Możemy porozmawiać? Zadzwoń do Ciebie z numeru 776 145 0088. Twój telefon go nie rozpozna.

Lacy wpatrywała się długo w maila, zastanawiając się, jak mogłaby na niego nie odpowiedzieć. Ciekawe, której z co najmniej sześciu komórek Jeri teraz użyje. W tym samym momencie zadzwonił telefon Lacy. Na ekranie pojawił się numer z maila.

- Cześć, Jeri – powiedziała, podchodząc do drzwi, żeby je zamknąć.
- Dzięki za wczoraj. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczyło. Pierwszy raz od dawna przespałam całą noc.

No cóż, cieszę się, że się wyspałaś, pomyślała Lacy. Ja, nawet przytulona do ciepłego ciała Alliego, nie mogłam przestać myśleć o tym, co usłyszałam w ciągu dnia.

- Cieszę się z tego, Jeri. Wczorajszy dzień był całkiem ciekawy.
- Oględnie mówiąc. I co dalej?

To pytanie wstrząsnęło Lacy. Zdała sobie nagle sprawę, że jej nowa przyjaciółka będzie czuła potrzebę dzwonienia do niej codziennie, żeby

dopytywać o postępy w sprawie.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Co o tym wszystkim sądzisz? Co robimy dalej?

– Jeszcze o tym nie myślałam – skłamała Lacy. – Nie było mnie przez cały dzień w biurze i próbuję nadrobić zaległości.

– Jasne, a ja nie mam zamiaru zawracać ci głowy. Wybacz, ale teraz, kiedy zajęłaś się sprawą, odczuwam taką ulgę. Nie masz pojęcia, jak bardzo czułam się wcześniej osamotniona.

– Nie jestem pewna, czy możemy mówić o „sprawie”, Jeri.

– Oczywiście, że możemy. Przejrzałaś akta?

– Nie, nie miałam jeszcze czasu. W tym momencie jestem zajęta czym innym.

– Rozumiem. Posłuchaj, musimy się spotkać ponownie i porozmawiać o innych ofiarach. Wiem, że przyswojenie sobie tego wszystkiego nie jest takie łatwe, ale mogę śmiało stwierdzić, że nic, co masz na biurku, nie jest tak ważne jak Bannick.

To była prawda. Wszystko, czym zajmowali się w biurze, bladeło w obliczu oskarżenia sędziego o wielokrotne zabójstwo.

– Nie mogę rzucić wszystkiego, Jeri, i otwierać nowej sprawy. Wszelkie czynności z mojej strony muszą być zaaprobowane przez dyrektorkę. Chyba ci to wyjaśniłam.

– No tak... Dzisiaj i jutro mam zajęcia na uczelni, ale co powiesz na sobotę? – Jeri zignorowała to, co usłyszała. – Przyjadę do Tallahassee i możemy się spotkać w jakimś kameralnym miejscu.

– Zastanawiałam się nad tym przez trzy godziny, wracając wczoraj do domu, i nadal nie widzę, w jaki sposób mielibyśmy się tym zająć. Nie mamy po prostu odpowiednich narzędzi, żeby zajmować się zabójstwami, pojedynczymi czy seryjnymi.

– Twój przyjaciel Hugo Hatch zginął w sfigowanym wypadku drogowym i wydaje mi się, że w sprawie tamtego kasyna doszło do jeszcze jednego morderstwa. Prawda? W tamtej sprawie zaangażowałaś się na sto procent.

Ton Jeri stawał się agresywny. Lacy słyszała, jak drży jej głos.

– Rozmawialiśmy o tym – odparła spokojnie – i wyjaśniłam ci, że w tamtej sprawie brali udział prawdziwi policjanci, w tym również FBI.

– Ale ty to wszystko wprawiłaś w ruch. Bez ciebie te zbrodnie nie zostałyby nigdy rozwiązane.

– Co mam twoim zdaniem zrobić? Pojechać do Signal Mountain w Tennessee, do Little Rock w Arkansas i do Marathon na Florydzie, przekopać się przez policyjne akta i znaleźć w jakiś sposób wskazówki, których tam nie ma? Nie potrafili ich znaleźć policjanci, profesjonaliści. Ty starasz się to zrobić od dwudziestu lat. Jest po prostu za mało dowodów.

– Sześcioro zabitych, wszyscy uśmierceni w ten sam sposób i wszyscy związani z Bannickiem. Uważasz, że to za mało? Nie żartuj, Lacy. Nie możesz mnie zawieść. Zaraz oszaleję. Dokąd pójdę, jeśli odwrócisz się do mnie plecami?

Dokądkolwiek. Żebyś tylko dała mi spokój.

Lacy wypuściła z ust powietrze i powtórzyła sobie, że musi być cierpliwa.

– Rozumiem – odparła. – W tym momencie jestem zajęta. Porozmawiamy później.

Jeśli Jeri to usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

– Sprawdziłam, jak to wygląda, Lacy. Każdy stan zajmuje się skargami na sędziów w inny sposób, ale prawie wszędzie możliwe jest anonimowe złożenie skargi, po którym wszczyna się dochodzenie. Na pewno można tak zrobić na Florydzie.

– Chcesz złożyć skargę?

– Być może, ale musimy to jeszcze przegadać. Możliwe jest chyba złożenie jej pod pseudonimem. Nie sądzisz?

– W tym momencie naprawdę nie wiem. Proszę, porozmawiajmy o tym jutro.

Kiedy tylko Lacy udało się zakończyć rozmowę, wrócił Darren z migdałowym latte, po które wyszedł godzinę wcześniej. Podziękowała mu, a kiedy stało się jasne, że chce u niej chwilę zostać i pogadać, powiedziała, że musi zadzwonić. W południe wymknęła się z biura i przeszła pięć przecznic, żeby zjeść lunch z Alliem.

...

Tajną bronią KDS była brzydko się starzejąca asystentka prawna o imieniu Sadelle, która przed kilkadziesiąt laty zrezygnowała z któregoś z kolei podejścia do egzaminu adwokackiego. Kiedyś wypalała dziennie trzy paczki papierosów, głównie w biurze, i nie była w stanie zerwać z nałogiem do czasu, gdy wykryto u niej raka płuc w stanie terminalnym. Odnalazłszy nagle motywację, rzuciła palenie i zaczęła się szykować do odejścia z tego świata. Siedem lat później nadal była na chodzie i przepracowywała więcej godzin niż ktokolwiek inny. KDS była jej życiem i Sadelle nie tylko wszystko wiedziała, ale też prawie wszystko pamiętała. Była chodzącym archiwum, wyszukiwarką oraz ekspertką od wszelkiego rodzaju naruszeń, które mogą zwichnąć karierę sędziego.

Po odprawie personelu Lacy wysłała jej maila z kilkoma pytaniami. Kwadrans później Sadelle wjechała do jej gabinetu zmotoryzowanym wózkiem inwalidzkim, z rurką tlenową w nosie. Miała rwący się rzęzący głos, mimo to lubiła dużo mówić – czasami nawet zbyt dużo.

– Przerabialiśmy to już wcześniej – powiedziała. – W minionych czterdziestu latach były chyba trzy przypadki, kiedy strona skarżąca bała się złożyć skargę pod własnym nazwiskiem. Najbardziej znana sprawa dotyczyła sędziego z Tamy, który odkrył uroki kokainy. Wpadł w ciężki nałóg i miał z tym poważny problem. Z racji sprawowanego urzędu trudno było mu nabyć towar. – Sadelle na chwilę przerwała, żeby wciągnąć tlen w płuca. – Jego problemy zostały w cudowny sposób rozwiązane, kiedy przed sądem stanął diler narkotykowy. Nasz sędzia zaprzyjaźnił się z nim, dał mu niewielki wyrok i w końcu skumał się z jego szefem, który działał w ramach większej organizacji. Z zagwarantowanym stałym dopływem towaru sędzia poszedł w tango i odbiło się to na jakości prowadzenia spraw. Nie był w stanie wykonywać swoich obowiązków. Nie mógł usiedzieć w sali przez piętnaście minut i ciągle ogłaszał krótkie przerwy, żeby wciągnąć kreskę. Prawnicy widzieli to, ale jak to zwykle bywa, nie chcieli donosić. Ale reporterka sądowa, która obserwowała to wszystko z bliska, zorientowała się, co się dzieje. Skontaktowała się z nami, oczywiście przerażona, bo gang miał chłopców od mokrej roboty. Ostatecznie złożyła skargę anonimowo, a my wszczęliśmy postępowanie. Przekazała nam poza tym całą dokumentację i mieliśmy wiele dowodów. Chcieliśmy przekazać sprawę federalnym, ale sędzia złożył nagle rezygnację, więc nie musieliśmy go ścigać. – Sadelle skrzywiła się, wciągając kolejną dawkę tlenu.

– I co się z nim stało? – zapytała Lacy.

– Zabił się. Mówili, że to przypadkowe przedawkowanie, ale wyglądało to podejrzanie. Odszedł na własnych warunkach.

– Kiedy to było?

– Nie znam dokładnej daty, ale z całą pewnością zanim zaczęłaś tu pracować.

– Co się stało z tą reporterką sądową?

– Nic. Nie ujawniliśmy jej tożsamości i nikt jej nie poznał. Więc owszem, można to zrobić.

– A te dwie inne skargi?

– Zgłoszone przez kobietę albo przez mężczyznę. Nie wiem na pewno, ale je znajdę. Z tego, co pamiętam, obie zostały po wstępnej ocenie oddalone, więc zarzuty musiały być bezpodstawne. – Sabelle znów przerwała, żeby podładować się tlenem. – Czego dotyczy twoja sprawa? – zapytała.

– Zabójstwa.

– Kurczę, to może być zabawne. Nie pamiętam czegoś takiego, z wyjątkiem tej historii z kasynem. Skarga wydaje się uzasadniona?

– Nie wiem. W tym cały problem. Trzeba ustalić, czy zarzuty mogą być prawdziwe.

– Zarzut zabójstwa postawiony urzędującemu sędziemu?

– Tak. Być może.

– Podoba mi się to. Informuj mnie na bieżąco.

– Dzięki, Sabelle.

– Nie ma za co.

Sabelle napełniła swoje sponiewierane płuca tlenem, wrzuciła tylny bieg i wyjechała z gabinetu.

Rozdział 8

Malarz pokojowy nazywał się Lanny Verno. W październiku poprzedniego roku stał w piątek po południu na drabinie w gabinecie nieukończonego domu jednorodzinnego – jednego z kilkudziesięciu stojących przy nieutwardzonej jeszcze drodze, na nowym osiedlu rosnącym tuż przy administracyjnej granicy miasta Biloxi. Trzymając w jednej ręce pięciolitrowy kubeł z farbą, a w drugiej pięciocentymetrowy pędzel, poprawiał pasek pod znajdującym się na wysokości trzech i pół metra sufitem. Był sam – jego pomocnik zakończył już pracę w tym dniu oraz w tym tygodniu i udał się do baru. Lanny zerknął na zegarek i pokręcił głową. Minęła już piąta, a on nadal harował. Radio w kuchni grało najnowsze przeboje country.

On też chciał pojechać do baru, żeby się zabawić i nałapać piwa, i z pewnością by tam był, gdyby nie obietnica wypłaty. Szef miał mu ją dostarczyć przed końcem dnia i Lanny z każdą mijającą minutą czuł coraz większą irytację.

Frontowe drzwi były otwarte, ale muzyka zagłuszyła dobiegający z zewnątrz odgłos zatraskiwanych drzwi pick-upa.

Do gabinetu wszedł jakiś facet i przyjaźnie go powitał.

– Moje nazwisko Butler, jestem inspektorem budowlanym z hrabstwa – przedstawił się.

– Proszę się nie krępować – powiedział Lanny, nawet na niego nie patrząc. Dom był wykańczany i stale ktoś wchodził i wychodził.

– Pracuje pan do późna – wycedził Butler.

– Tak, chociaż napiłbym się już piwa.

– Jest tu ktoś jeszcze?

– Nie, jestem sam i wkrótce wychodzę. – Lanny Verno zerknął w dół i zauważył, że inspektor ma jasnoniebieskie osłony na buty, co wydało mu się trochę dziwne. Na dłonie włożył jednorazowe rękawiczki. Facet musiał mieć fioła na punkcie zarazków. W prawej ręce trzymał podkładkę do pisania.

– Niech mi pan przypomni, gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami – poprosił.

– Przy końcu korytarza – odparł Lanny, po czym zanurzył pędzel w kuble i zaczął malować dalej.

Butler wyszedł z gabinetu na korytarz, sprawdził wszystkie trzy sypialnie i dwie łazienki i wszedł do kuchni. Potem wyjrzał przez okno jadalni i nikogo nie zobaczył. Jego pick-up stał na podjeździe tuż za terenówką Lanny’ego. Butler wrócił do gabinetu i bez słowa popchnął drabinę. Lanny wrzasnął i spadł z niej na kominiek, uderzając głową o cegły. Oszołomiony, próbował dźwignąć się na nogi, ale nie zdążył, bo mężczyzna wyjął z prawej kieszeni spodni teleskopową stalową pałkę z wazącą pół kilograma ołowianą kulą na końcu.

Nazywał ją czule Leddie. Zamachnął się nią z wprawą i pałka wydłużyła się z dwudziestu do sześćdziesięciu centymetrów. Kopnął z półobrotu Lanny’ego w żebra i usłyszał, jak pękają. Lanny wrzasnął z bólu, lecz zanim zdążył wydać kolejny dźwięk, ołowiana kula trafiła go w sam środek czaszki, rozłupując ją niczym skorupkę jajka. Właściwie był

już martwy. Gdyby zostawić go w spokoju, rytm jego serca stopniowo by zwalniał, a po dziesięciu minutach Lanny przestałby oddychać.

Butler nie miał jednak aż tyle czasu. Z lewej kieszeni spodni wyjął krótki kawałek żeglarskiego nylonowego sznura o średnicy dziewięciu i pół milimetra, poczwórnie plecionego, w kolorze biało-jasnoniebieskim. Szybko oplótł nim dwa razy szyję Lanny'ego, po czym wbił mu kolano w rdzeń kręgowy między łopatkami i gwałtownie pociągnął za dwa końce sznura, łamiąc kręgi szyjne ofiary.

W ostatnich sekundach życia Lanny stęknął i się poruszył, jakby jego ciało instynktownie chciało się ratować. Był barczystym mężczyzną i w młodości wiele razy brał udział w bójkach, ale z wrzynającym się w szyję sznurem i rozbitą czaszką niewiele mógł zdziałać. Wbite w plecy kolano przygwaździło go do podłogi, a pochylający się nad nim potwór próbował pozbawić go głowy. Ostatnią myślą Lanny'ego było chyba zdumienie, jak silny i zdeterminowany okazał się człowiek w głupawych osłonkach na buty.

Butler przekonał się przed wielu laty, że w walce fizycznej wygrywają najsprawniejsi. W tych kluczowych sekundach siła i refleks są wszystkim. Od trzydziestu lat podnosił ciężary i ćwiczył karate oraz taekwondo, nie dla zdrowia czy żeby imponować kobietom, lecz by móc skutecznie zaatakować z zaskoczenia.

Po dwóch minutach duszenia ciało Lanny'ego zwiotczało. Butler pociągnął jeszcze mocniej końce sznura i niczym doświadczony żeglarz związał je w idealny podwójny węzeł wyblinkowy. Uważając, żeby nie wdepnąć w plamy krwi, cofnął się i przez dłuższą chwilę podziwiał swoje dzieło. Ilość krwi trochę go zaniepokoiła. Było jej za dużo, a on nienawidził bałaganu w miejscu przestępstwa. Jego chirurgiczne rękawiczki były całe

poplamione. Kilka kropel padło nawet na robocze spodnie khaki. Powinien był włożyć czarne. Co on sobie wyobrażał?

Poza tym scena raczej mu się spodobała. Ciało leżało twarzą w dół, ręce i nogi były powyginane pod dziwnymi kątami. Wypływająca powoli spod zwłok krew kontrastowała miło z nowymi sosnowymi klepkami. Biała farba, która rozbryznięta się na kominku i ścianie, sięgała aż do okna. Ciekawie wyglądała wywrócona na bok drabina. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że Lanny spadł z drabiny i rozbił sobie głowę. Dopiero sznur wskazywał, że stało się tutaj coś zupełnie innego.

Butler wyjrzał przez okno i nie zobaczył na zewnątrz nikogo. Umył w kuchni dłonie w rękawiczkach, a potem wytarł wszystko starannie kuchennym ręcznikiem i schował go do kieszeni. Zamknął na klucz dwoje tylnych drzwi. Telefon Lanny'ego leżał na blacie obok jego radia. Butler wyłączył je i wsunął telefon do tylnej kieszeni. Wziął do ręki podkładkę do pisania, przeszedł do holu i odetchnął głęboko. Nie trać ani sekundy, ale nigdy się nie spiesz.

Miał właśnie zamiar nacisnąć klamkę frontowych drzwi, kiedy usłyszał silnik pick-upa. A potem trzaśnięcie jego zamykanych drzwi. Wrócił do jadalni i wyjrzał przez okno.

– Niech to szlag.

Przy krawężniku parkował olbrzymi dodge ram. Na drzwiach od strony kierowcy widniał napis DUNWOODY DOMY NA MIARĘ. Facet, który nim przyjechał, szedł w stronę domu, trzymając w ręce kopertę. Średniego wzrostu i tuszy, miał mniej więcej pięćdziesiąt lat i lekko utykał. Po wejściu do środka musiał natychmiast zobaczyć ciało Lanny'ego w pomieszczeniu po lewej stronie. Od tej chwili nie będzie myślał o niczym innym.

Zabójca spokojnie zajął pozycję, zaciskając w dłoni swoją broń.

– Gdzie jesteś, Verno? – rozległ się ochryply głos. Odgłosy kroków, a potem: – Nic ci nie jest, Lanny?

Dunwoody zdążył przejść trzy kroki, kiedy ołowiana kula roztrzaskała mu tył czaszki i runął na podłogę, lądując obok zwłok Lanny’ego. Ucierpiał za bardzo i był zbyt oszołomiony, żeby się obejrzeć. Butler uderzył go w głowę jeszcze kilka razy. Krew obficie bryzgała na ściany.

Nie zabrał dość sznura, żeby udusić kolejną ofiarę, a poza tym ten człowiek na to nie zasługiwał. Tylko określone osoby dostępowały tego zaszczytu. Wstrząsany konwulsjami Dunwoody jęczał, gdy wyciekało z niego życie. W pewnym momencie obrócił głowę i spojrzał na Butlera podbiegłymi krwią niewidzącymi oczami. W końcu padł na twarz i kompletnie znieruchomiał. Butler cierpliwie zaczekał, aż ten przestanie oddychać, zabrał mu telefon z małej kieszonki w kurtce i dołączył go do swojej kolekcji.

Nagle odniósł wrażenie, że spędził tu całą godzinę. Ponownie wyjrzał na ulicę, po czym wymknął się przez frontowe drzwi, zamknął je na klucz – zamknięte były teraz wszystkie, co mogło opóźnić o kilka minut ich sforsowanie – i wsiadł do swojego pick-upa. Choć dzień był pochmurny, Butler miał ciemne okulary i nasuniętą na czoło czapkę. Wycofał się na ulicę i powoli odjechał – kolejny inspektor budowlany kończący pracowity tydzień.

Zaparkował w centrum handlowym, daleko od sklepów i ich kamer. Zdjął rękawiczki chirurgiczne i osłonki z butów i wsadził je do torby. Dwa zabrane telefony położył na siedzeniu, gdzie mógł je widzieć i słyszeć. Stuknął w ekran jednego z nich i pojawiły się na nim imię i nazwisko MIKE DUNWOODY. Stuknął w drugi i zobaczył LANNY Verno. Nie miał zamiaru dać się złapać z tymi telefonami i wkrótce się ich pozbędzie. Przez dłuższy czas siedział w samochodzie, zbierając myśli.

Verno zasłużył sobie na to. Jego nazwisko było na liście od bardzo dawna, gdy dryfował z miasta do miasta, od jednego nieudanego romansu do drugiego, żyjąc od wypłaty do wypłaty. Gdyby nie był takim nieruchawym żalosnym sukinsynem, jego życie byłoby może coś warte. I nie odszedłby tak wcześnie z tego świata. Podpisał na siebie wyrok śmierci przed wielu laty, kiedy fizycznie zagroził mężczyźnie przedstawiającemu się teraz jako inspektor Butler.

Błędem Dunwoody'ego było to, że pojawił się w tym domu w złym momencie. Nigdy nie spotkał się z Butlerem i z pewnością ten nie zasłużył na śmierć. Wojskowi mają na to określenie „straty uboczne”, ale Butler nie był zadowolony z tego, co musiał zrobić. Nie zabijał niewinnych ludzi. Dunwoody był prawdopodobnie porządnym człowiekiem, z rodziną i firmą, być może nawet chodził do kościoła i bawił się z wnukami.

Za dwie siódma zaczął brzęczeć jego telefon. Dzwoniła jakaś MARSHA. Nie zostawiła wiadomości. Odczekała sześć minut i zadzwoniła ponownie.

Prawdopodobnie żona, pomyślał Butler. To było naprawdę smutne i tak dalej, lecz on nie wiedział, co to są wyrzuty sumienia i współczucie.

Straty uboczne. Nie zdarzały mu się wcześniej, ale był dumny, jak sobie z tym poradził.

...

Mike Dunwoody przestał chlać przed wieloma laty i jego piątkowe wypadki do baru przeszły do historii. Marsha nie obawiała się nawrotu, ale wciąż pamiętała jego imprezy z pracującymi na budowach kumplami. Tego popołudnia zadzwoniła do niego w konkretnym celu: w drodze do domu miał wstąpić do sklepu i kupić makaron i czosnek. Przyrządzała spaghetti i na kolację miała wpaść ich córka. Spodziewała się męża koło szóstej, po

tym jak wypłaci należność kilku pracownikom. Mając dwunastu podwykonawców na ośmiu budowach, stale był pod telefonem i jeśli nie odbierał, znaczyło to na ogół, że z kimś rozmawia. Kiedy telefonowała Marsha, oddzwaniał prawie natychmiast.

Minutę po wpół do ósmej Marsha zadzwoniła po raz trzeci. Butler zerknął na ekran telefonu i zrobiło mu się jej niemal żal, ale trwało to tylko sekundę.

Marsha zatelefonowała do syna i poprosiła go, żeby podjechał na budowę i poszukał ojca.

Do Lanny'ego Verno nikt nie dzwonił.

...

Butler zmierzał na północ, wybierając boczne drogi i oddalając się od wybrzeża. Uznał, że zwłoki zostały już do tej pory odkryte i policja wie, że telefony zaginęły. Nadeszła pora się ich pozbyć. Wjechał do liczącego czterystu mieszkańców miasteczka Neely. Był w nim wcześniej, przeprowadzając rekonesans. Jedynym otwartym w piątkowy wieczór lokalem była kafejka na obrzeżach. Poczta, ze staroświecką niebieską skrzynką i zwirowanym podjazdem, znajdowała się na drugim końcu miasteczka. Butler zaparkował przed niewielkim budynkiem, podszedł do drzwi, otworzył je, wszedł do ciasnego holu i zobaczył przed sobą ścianę małych skrytek pocztowych. Nie zauważywszy kamer ani na zewnątrz, ani w środku, wyszedł i wrzucił od niechcenia do skrzynki bąbelkową kopertę o wymiarach trzynaście na dwadzieścia centymetrów.

...

Dale Black, szeryf hrabstwa Harrison, zjadł z żoną kolację i zakładał właśnie obrozę psu, żeby wybrać się z nim na wieczorny spacer. Żona

czekała już na dworze, spoglądając na ekran telefonu. Kiedy zadzwonił jego telefon, Black miał ochotę zakląć. Dzwoniła dyspozytorka z biura szeryfa, a w piątek o ósmej wieczorem zawsze oznaczało to kłopoty.

Dwadzieścia minut później wjechał na teren nowego osiedla i zobaczył przed sobą migające policyjne światła. Zaparkował i ruszył w kierunku miejsca przestępstwa. Zastępca Mancuso czekał na niego przy krawężniku.

– To pick-up Mike’a Dunwoody’ego – stwierdził szeryf, spoglądając na stojącego obok dodge’a rama.

– Zgadza się.

– Gdzie jest Mike?

– W środku. Razem z jeszcze jedną ofiarą.

– Nie żyje?

– Niestety. Najwyraźniej ktoś rozbił mu czaszkę. – Mancuso wskazał stojącego po drugiej stronie ulicy kolejnego pick-upa. – Znasz Joeya, syna Mike’a?

– Jasne.

– Stoi przy swoim aucie. Przyjechał, bo szukał ojca, zobaczył jego pick-upa i podszedł do domu, ale drzwi były zamknięte. Wziął latarkę, zaświecił do środka przez okno i zobaczył na podłodze dwa ciała. Miał dość rozumu, żeby wezwać nas zamiast włamywać się do środka.

– Na pewno jest w szoku.

– Mało powiedziane.

Idąc podjazdem w stronę domu, minęli czekających na instrukcje innych zastępców szeryfa i przedstawicieli służb.

– Wyłamałem kuchenne drzwi, wszedłem do środka i obejrzałem miejsce zdarzenia – dodał Mancuso. – Ale aż do teraz nikogo tam nie wpuszczałem.

– Bardzo dobrze.

Weszli do domu przez kuchnię i pozapalali wszystkie światła. W progu gabinetu przystanęli i przez chwilę przyglądali się upiornej scenie. Dwa leżące twarzami w dół martwe ciała, zakrwawione głowy, otaczające je kałuże krwi, rozlana farba, przewrócona na bok drabina.

– Dotykałeś czegoś? – zapytał Dale Black.

– Nie.

– Domyślam się, że to Mike. – Szeryf wskazał jedną z ofiar.

– Tak, to on.

– A ten pracownik?

– Nie mam pojęcia.

– Wygląda na to, że ma portfel. Wyjmij go.

W portfelu znaleźli prawo jazdy, wystawione w Missisipi na nazwisko zamieszkałego w Gulfport Lanny’ego L. Verno. Szeryf i zastępca jeszcze przez kilka minut przyglądali się ofiarom.

– I co myślisz? – zapytał w końcu Mancuso.

– Chodzi ci o teorię na temat tego, co tu się stało?

– Coś w tym rodzaju. Joey mówi, że ojciec przyjechał tutaj zapłacić podwykonawcom.

Dale Black podrapał się po brodzie.

– No więc tu obecny Verno – zaczął – został znieczulony i napadnięty i zrzucony z drabiny przez kogoś, kto go naprawdę nie lubił. Ten ktoś rozbił mu czaszkę i zadusił go sznurem. A Mike zjawił się tu w nieodpowiednim momencie i musiał zostać zneutralizowany. Dwa zabójstwa. Jedno starannie zaplanowane i popełnione z jakiegoś konkretnego powodu. Drugie niezaplanowane i popełnione, żeby zatuszować pierwsze. Co ty na to?

– Nie przychodzi mi do głowy nic innego.

- To najprawdopodobniej sprawka kogoś, kto zna się na swojej robocie.
- Przywiózł ze sobą sznur.
- Moim zdaniem powinniśmy wezwać policję stanową. Nie ma pośpiechu. Zabezpieczmy miejsce przestępstwa, a oni niech sprowadzą własnych techników.
- Świetny pomysł.

...

Nigdy nie wracał na miejsce przestępstwa. Przeczytał wiele historii – fikcyjnych i ponoć autentycznych – o zabójcach, którzy wracając, przeżywają dreszczyk emocji. Sam nigdy czegoś takiego nie planował, ale w tym momencie wydawało się to właściwe. Nie popełnił żadnego błędu. Nie było nawet cienia dowodu, który by świadczył przeciwko niemu. Jego szary pick-up wyglądał tak samo jak tysiące innych w tej okolicy. Fałszywe tablice rejestracyjne z Missisipi wydawały się całkowicie autentyczne. A jeśli z jakiegoś powodu sytuacja wyda się niebezpieczna, może zawsze zrezygnować i wyjechać z tego stanu.

Nie spiesząc się i klucząc bocznymi drogami, wrócił na osiedle. Zobaczył policyjne światła, zanim jeszcze wjechał we właściwą ulicę. Wjazd był zablokowany przez radiowozy. Mijając je, skinął głową gliniarzowi i zerknął w głąb ulicy. Rozświeślały ją dziesiątki niebieskich i czerwonych świateł. Musiało się tu zdarzyć coś naprawdę strasznego.

Odjeżdżał stamtąd lekko poruszony, ale z pewnością nie rozemocjonowany.

...

Tuż przed godziną dwudziestą drugą szeryf Black i jego pierwszy zastępca Mancuso zbliżali się do Neely. Siedzący na tylnym siedzeniu Nick

Constantine, dwudziestoletni student, dorabiający w biurze szeryfa jako spec od informatyki, wpatrywał się w ekran swojego iPada i wydawał im instrukcje.

– Zbliżamy się! – zawołał. – Skręćcie w prawo. To chyba będzie na poczcie.

– Na poczcie? – zdziwił się Mancuso. – Dlaczego miałby wyrzucać skradziony telefon na poczcie?

– Bo musiał się go pozbyć – odparł Black.

– Dlaczego nie cisnął go do rzeki?

– Nie wiem. Będiesz go musiał zapytać.

– Jesteśmy już bardzo blisko – powiedział Nick. – To tutaj.

Black wjechał na zwirowany podjazd i wszyscy wbili wzrok w pogrążony w mroku, opuszczony o tej porze urząd pocztowy. Nick przez chwilę sprawdzał coś w iPadzie.

– Telefon jest tu, w tej niebieskiej skrzynce pocztowej – stwierdził w końcu.

– Oczywiście – mruknął Mancuso. – To całkiem logiczne.

– Kto jest cholernym naczelnikiem tej poczty? – zapytał Black.

– Kto chciałby nim zostać? – mruknął Mancuso.

Nick znów spojrzał na iPada.

– Herschel Dereford – odpowiedział. – Oto jego numer telefonu.

Kiedy szeryf zadzwonił do Herschela, ten spał smacznie w swoim małym domu osiem kilometrów od Neely. Dłuższą chwilę trwało, zanim zorientował się, o co chodzi, i z początku nie chciał współpracować. Oznajmił, że na mocy przepisów federalnych nie ma prawa otworzyć „swojej” skrzynki pocztowej i pozwolić, by lokalne władze przejrzały „jego” pocztę.

Szeryf nie odpuszczał. Oznajmił, że ścigają zabójcę, bo niedaleko stąd tego wieczoru zostały zamordowane dwie osoby. Aplikacja iPhone'a wskazała „jego”, Herschela, urząd pocztowy w Neely i kluczowe jest natychmiastowe przejęcie znajdującego się w skrzynce telefonu. To wystraszyło trochę naczelnika i piętnaście minut później przyjechał na miejsce, lecz nadal się opierał. Potrząsając kluczami, mamrotał coś o naruszeniu prawa federalnego. Dodał, że furgonetka pocztowa z Hattiesburga odbiera codziennie pocztę dokładnie o piątej po południu, kiedy zamyka urząd. Ponieważ zbliżała się jedenasta, nie spodziewał się, żeby w skrzynce była jakaś poczta.

– Sfilmuj wszystko telefonem – polecił szeryf Black Nickowi.

Herschel obrócił kluczyk w zamku i przednia ścianka skrzynki się otworzyła. Wyjął z niej aluminiowe pudło i postawił na ziemi. Nie miało wieka. W środku była tylko jedna przesyłka. Mancuso oświetlił ją latarką.

– Mówiłem wam, że niewiele tego będzie – powiedział naczelnik.

– W tym momencie zwolnijmy – mruknął szeryf Black. – Okej? Wyjmuję teraz swój telefon i dzwonię do Mike'a Dunwoody'ego. Czy to jest jasne?

Pozostali pokiwali głowami i wpatrywali się w niewielką paczuszkę. Po kilku sekundach dał się słyszeć dźwięk dzwonka.

Black zakończył połączenie.

– Teraz zadzwonię pod numer Lanny'ego Verno, który dała nam jego dziewczyna – oznajmił po chwili.

Wstukał numer, odczekał chwilę i w bąbelkowej kopercie zabrzmiał refren *On the Road Again* Williego Nelsona. Zgodnie z tym, co mówiła dziewczyna.

– Zadzwoniliśmy pod oba numery i możemy z całkowitą pewnością stwierdzić, że w przesyłce są dwa telefony – oświadczył szeryf, spoglądając

na Nicka, który filmował to wszystko iPhone'em, na trzymającego latarkę Mancusa i na Herschela, który nie bardzo wiedział, co ma teraz zrobić. – Koperta ma wymiary mniej więcej trzynaście na dwadzieścia centymetrów i znajduje się w skrzynce pocztowej. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej rękawiczki chirurgiczne. – Teraz mam zamiar wyjąć przesyłkę ze skrzynki, ale nie będę jej tutaj otwierać. Rozsądne będzie przekazanie jej do laboratorium stanowego. Niech zbadają ją ich technicy.

Szeryf wziął ostrożnie do ręki kopertę, uniósł ją, żeby wszyscy się jej przyjrzeni i żeby Nick ją sfilmował, po czym obrócił przesyłkę w dłoni. Na nalepce widniał zapisany dziwnym krojem pisma adres: *Cherry McGraw, 114 Fairway, Biloxi, MS 39503*.

Black zaczerpnął nagle powietrza i o mało nie wypuścił koperty z ręki.

– Co jest, do cholery?! – wymamrotał.

– O co chodzi, szefie? – zapytał Mancuso.

– To adres mojej córki.

...

Córka szeryfa zdenerwowała się, ale była cała i zdrowa. Wyszła za mąż przed niespełna rokiem i mieszkała blisko rodziców. Jej mąż wychował się na wsi, był zapalonym myśliwym i miał pokaźną kolekcję sztucerów. Zapewnił teścia, że są bezpieczni i nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

Jeden z zastępców został wysłany pod dom szeryfa. Pani Black zapewniła męża, że nic jej nie grozi.

W połowie drogi do miejsca zabójstwa siedzący z tyłu Nick w końcu się odezwał:

– Nie sądzę, żeby sprawca chciał tak naprawdę wysłać te telefony pana córce – oświadczył.

Szeryf Black nie cierpiał głupców, miał co innego na głowie i nie interesowały go teorie wymyślone przez studenta, który wyglądał na czternastolatka.

– Okej – mruknął jednak.

– Wiedział dobrze, że bez trudu odnajdziemy te telefony. Jest mniej więcej dziesięć sposobów ich namierzania i wiedział, że musi nam się udać. Według naczelnika poczty przesyłki wrzucone do skrzynki w piątkowy wieczór zabierane są dopiero w poniedziałek, po siedemnastej. Nie ma możliwości, żeby te telefony leżały sobie przez siedemdziesiąt dwie godziny i nie zostały znalezione. Facet musiał to wiedzieć.

– Więc po co zaadresował kopertę do mojej córki?

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że jest piekielnie cwany psychopata. Wielu z nich jest piekielnie cwanych.

– Po prostu ma z tego ubaw, tak? – wtrącił Mancuso.

– Ha, ha.

Szeryf nie był w nastroju do rozmowy. W głowie kłębiło mu się zbyt wiele sprzecznych myśli, przerażających scenariuszy i pytań, na które nie znał odpowiedzi.

Rozdział 9

Przezwisko Kleopatra nadano Charlotte Baskin w Radzie Turystyki, o wiele większej agencji stanowej, w której pracowała przez kilka lat jako radczyni prawna. Wcześniej była zatrudniona w urzędach, które zajmowały się takimi sprawami jak zdrowie psychiczne, jakość powietrza czy erozja plaż. Nie wiadomo, kto pierwszy przezwał ją Kleopatą, i nie było jasne, przynajmniej dla pracowników Komisji Dyscyplinarnej Sędziów, czy szefowa wie, jak nazywają ją podwładni. Przezwisko przyłgnęło, bo do niej pasowało, a poza tym trochę przypominała z wyglądu Elizabeth Taylor w roli Kleopatry: proste i długie kruczoczarne włosy z paskudną grzywką, która zahaczała o gęste brwi i wymagała stałej pielęgnacji; grube warstwy podkładu, mające zamaskować zmarszczki i fałdy, których nie pokonał botoks, oraz tyle konturówki i maskary, że starczyłoby ich dla kilkunastu dziwek z Vegas. Dziesięć albo dwadzieścia lat wcześniej Charlotte miała szansę wyglądać ładnie, ale lata pracy i nieprzemysłane modyfikacje urody pozbawiły ją tej możliwości. Każdy prawnik, który wygłosił komentarz na temat jej fatalnego makijażu i obcisłych strojów, mógł być pewien, że znajdzie się na obrzeżach swojej profesji.

Miała i inne problemy z wyglądem. Lubiała spódnice, które były zbyt krótkie i odkrywały za grube uda. Poza biurem chodziła na piętnastocentymetrowych obcasach, których nie powstydziałaby się aktorka

porno. Nie były zdrowe dla stóp i noszenie ich musiało sprawiać ból, w związku z tym przy biurku siedziała boso. Nie wyczuwała raczej najnowszych trendów w modzie, co w KDS, gdzie totalnie je olewano, nie stanowiło problemu, uważała się jednak za trendsetterkę. Tylko że nie miała ani jednego followersa.

Lacy od samego początku odnosiła się do niej z dystansem, z dwóch powodów. Po pierwsze, Kleopatra była znana z tego, że stale szuka nowej posady, co nie było niczym niezwykłym w agencjach stanowych. Drugi powód, związany z pierwszym, był o wiele ważniejszy. Kleopatra nie lubiła kobiet z dyplomem prawa: widziała w nich zagrożenie. Wiedziała, że decyzje o awansach podejmują na ogół faceci, a ponieważ cała jej kariera polegała na pokonywaniu kolejnych szczebli, nie miała czasu dla kobiet.

– Mamy chyba poważny problem – powiedziała Lacy.

Dyrektorka zmarszczyła czoło, choć nie było tego widać pod jej grzywką.

– Okej. Powiedz, o co chodzi.

Było czwartkowe późne popołudnie i większość personelu już wyszła. Drzwi do gabinetu Kleo były zamknięte.

– Spodziewam się skargi, złożonej pod pseudonimem i trudnej do rozstrzygnięcia. Nie bardzo wiem, co mam robić.

– Co to za sędzia?

– Jeszcze niezidentyfikowany. Pracuje w sądzie okręgowym i orzeka od dziesięciu lat.

– Mam cię błagać, żebyś powiedziała, czego dotyczy ta skarga? – Kleo uważała się za twardą sztukę, poważną prawniczkę, która nie ma czasu na pogaduchy. Chciała usłyszeć, jakie są fakty, bo z całą pewnością potrafi się z nimi uporać.

– Chodzi o zabójstwo – odparła Lacy.

Grzywka lekko się zakołysała.

– Popęłnione przez urzędującego sędziego?

– Właŝnie to powiedziałam. – Lacy nie była osobą agresywną, ale podczas rozmowy z szefową zawsze się spinała, gotowa do kontrataku.

– Oczywiście. Kiedy zostało popęłnione?

– Właŝciwie było ich kilka. Domniemanych. Ostatnie dwa lata temu na Florydzie.

– Kilka?

– Tak, kilka. Osoba skarżąca uważa, że w ciągu minionych dwudziestu lat mogło dojść do co najmniej sześciu.

– Wierzysz mu?

– Nie powiedziałam, że to on. I nie wiem, w co w tej chwili wierzę. Ale uważam, że on lub ona ma zamiar złożyć skargę w naszym KDS.

Kleo wstała, o wiele niższa bez wysokich obcasów, i podeszła do okna za swoim biurkiem. Miała stąd wspaniały widok na dwa inne stanowce biurowce.

– No cóż, oczywiste pytanie, jakie się tutaj nasuwa, brzmi: dlaczego nie pójść z tym na policję? Na pewno je zadałaś, prawda? – zapytała.

– Pytanie jest oczywiste i od niego zaczęłam – oświadczyła Lacy. – Jego albo jej odpowiedź była taka, że policji nie można ufać, nie w tym momencie. Nikomu nie można ufać. I nie ma dość dowodów, żeby postawić zarzuty.

– W takim razie czym on lub ona dysponuje?

– Wyłącznie bardzo przekonującymi poszlakami. Zabójstwa były dokonywane w ciągu dwudziestu jeden lat w kilku różnych stanach. Wszystkie są do dziś nierozwiązane. Nasz sędzia w którymś momencie

swojego życia miał styczność z każdą z ofiar. I ma swoją metodę pozbawiania życia. Wszystkie te zabójstwa wyglądają tak samo.

– Do pewnego stopnia ciekawe. Mogę ci zadać kolejne oczywiste pytanie?

– Ty tu rządzisz.

– Dziękuję. Skoro te sprawy są rzeczywiście nierozwiązane i miejscowi gliniarze dali za wygraną, to skąd, u diabła, mamy wiedzieć, że zabójcą jest jeden z naszych sędziów?

– To oczywiste pytanie, jasne. Nie potrafię na nie odpowiedzieć.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wariatka, co jest tutaj normą.

– Mówisz o klientach czy o personelu KDS?

– O skarżących. My nie mamy klientów.

– Jasne. Zgodnie z przepisami, kiedy skarga zostanie oficjalnie złożona, musimy przeprowadzić dochodzenie. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Kleopatra usiadła na swoim kierowniczym fotelu i od razu znacznie urosła.

– Nie wiem, co zrobimy, ale mogę ci powiedzieć, czego nie zrobimy. Ta agencja nie ma możliwości prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa. Jeśli ta kobietałoży skargę, będziemy musieli przekazać ją policji stanowej. To proste.

Lacy udała, że się uśmiecha.

– Wydaje mi się to rozsądne. Ale nie sądzę, żeby ta skarga w ogóle do nas wpłynęła – mruknęła.

– Miejmy nadzieję, że nie wpłynie.

...

Oczywista strategia polegała na tym, żeby powiadomić Jeri mailem i dzięki temu uniknąć histerycznych reakcji. Lacy wysłała jej oficjalnie brzmiącą oschłą wiadomość: Po rozmowie z naszą dyrektorką muszę Cię z przykrością poinformować, że nasze biuro nie będzie zajmowało się skargą, o której wspomniałaś. Jeśli zostanie złożona, prześlemy ją policji stanowej.

Telefon zadzwonił już po kilku sekundach. Nieznany numer. Normalnie by go zignorowała, ale domyśliła się, że to Jeri.

– Nie możecie z tym iść do policji stanowej – oświadczyła. – Zgodnie z waszym statutem musicie rozpatrzyć wszystkie skargi.

– Cześć, Jeri. Jak się czujesz?

– Tak się składa, że fatalnie. Nie mogę w to uwierzyć. Chcę nadstawić karku i złożyć skargę, ale w KDS nie macie dość odwagi, żeby ją rozpatrzyć. Zamierzacie siedzieć na tyłkach i przesuwac papiery z biurka na biurko, podczas gdy temu facetowi uchodzą na sucho morderstwa i zabija kolejne osoby.

– Myślałam, że nie lubisz rozmawiać przez telefon.

– Nie lubię. Ale ten jest nie do namierzenia. I co ja mam teraz zrobić? Machnąć ręką na dwadzieścia lat ciężkiej pracy, wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało? Pozwolić zabójcy mojego ojca grasować na wolności? Pomóż mi to rozstrzygnąć.

– To naprawdę nie była moja decyzja, Jeri.

– Zarekomendowałaś swojej agencji zbadanie tej sprawy?

– Nie ma czego badać, dopóki nie zostanie złożona oficjalna skarga.

– Po co mam sobie zawracać głowę składaniem skargi, skoro od razu pobiegiecie z nią na policję? Nie mogę w to uwierzyć, Lacy. Naprawdę myślałam, że masz w sobie więcej odwagi. Jestem zszokowana.

– Przykro mi, Jeri, ale są sprawy, którymi nie jesteśmy w stanie się zająć.

– Nie tak określa to wasz statut. Według niego KDS musi zająć się każdą skargą złożoną na sędziego. Nie ma mowy o tym, że Komisja może przekazać skargę policji, nie dokonawszy wcześniej jej oceny. Chcesz, żebym przesłała ci kopię waszego statutu?

– Nie, to nie będzie konieczne. To nie ja podjęłam tę decyzję. Od tego mamy szefów.

– Dobrze, prześlę statut twojej szefowej. Jak ona się nazywa? Widziałam jej zdjęcie na waszej stronie.

– Nie rób tego. Ona zna statut.

– Nie sądzę. Co mam teraz zrobić, Lacy? Ot tak zapomnieć o Bannicku? O tym, czym zajmowałam się przez ostatnie dwadzieścia lat?

– Przykro mi, Jeri.

– Nie, nie jest ci przykro. Miałam zamiar podjechać do ciebie w sobotę, spotkać się prywatnie i przedstawić informacje o sześciu zabójstwach. Poradź mi, co mam zrobić.

– W ten weekend nie będzie mnie w mieście. Przykro mi.

– Bardzo wygodnie z twojej strony. – Jeri przez dłuższą chwilę milczała. – Przemyśl to jeszcze, Lacy – odezwała się w końcu. – Co zrobisz, kiedy on znów kogoś zabije? Powiedz. W którymś momencie ty i twoja mała KDS staniecie się współnikami przestępstwa.

Połączenie się urwało.

Rozdział 10

Przy szwankującej dyscyplinie w piątki w biurze niewiele się działo. Po południu, kiedy szefostwo wychodziło na długi lunch i już po nim nie wracało, a zatrudniony na godziny personel wymykał się, kiedy tylko za Kleo zamykały się drzwi, wszelka działalność praktycznie zamierała. Nikt za bardzo się tym nie przejmował, bo wiedzieli, że Sadelle będzie pracowała do wieczora i odbierała wszystkie telefony.

Lacy wyszła z biura przed lunchem, nie mając zamiaru tam wracać. W domu przebrała się w szorty, wrzuciła do torby trochę ciuchów, schowała pod wycieraczką klucz dla Rachel, jej nowej sąsiadki i dogsitterki, i tuż przed pierwszą wsiadła ze swoim chłopakiem do samochodu. Jechali do Rosemary Beach, dwie i pół godziny jazdy na zachód, wzdłuż Zatoki Meksykańskiej. Temperatura zbliżała się do dwudziestu pięciu stopni, na niebie nie było ani jednej chmurki. Nie wzięła laptopa, żadnych akt ani innych papierów. Allie na mocy wzajemnej umowy również był nieuzbrojony. Dozwolone były tylko telefony.

Oczywistym celem wspólnego weekendu była ucieczka z miasta, oderwanie się od pracy, zabawa na słońcu i popracowanie nad opalenizną. Prawdziwy powód mógł być poważniejszy. Oboje zbliżali się do czterdziestki i nie wiedzieli, czy czeka ich wspólna, czy osobna przyszłość. Byli ze sobą od dwóch lat i przeszli wstępne fazy romansu – pierwsze randki, seks, zostawanie na noc, wspólne wycieczki, wizyty u rodziców,

powiadamy znajomych, że naprawdę są parą, niedeklarowana na głos wierność. Nic nie wskazywało, że którekolwiek z nich chce zakończyć ten związek, oboje chcieli go kontynuować.

Tym, co niepokoiło Lacy, lecz nie była pewna, czy niepokoi również Alliego, była przyszłość tego związku. W jakim punkcie znajdą się za pięć lat? Miała poważne wątpliwości, czy będzie dalej pracowała w KDS. Służba w FBI coraz bardziej frustrowała Alliego. Odnosił sukcesy i był dumny z tego, co robił, ale siedemdziesięciogodzinny tydzień pracy odciskał na nim piętno. Czy gdyby pracował mniej, spędzaliby ze sobą więcej czasu? I czy bardziej by się dzięki temu do siebie zbliżyli? Czy uznaliby w końcu, że się kochają? W pierwszym roku unikali miłosnych wyznań i nadal mieli przed nimi opory.

Lacy obawiała się, że nigdy tak naprawdę go nie pokocha, że ich relacje będą przechodziły kolejne etapy i w końcu nie zostanie im nic innego, jak wziąć ślub. I wtedy, w wieku czterdziestu kilku lat, nie będzie już w stanie od niego odejść. Poślubi mężczyznę, którego bardzo lubiła, ale raczej nie kochała. A może jednak kochała?

Połowa przyjaciółek powtarzała jej, że po dwóch latach rzuca się faceta. Druga połowa radziła, żeby wyszła za niego, zanim odejdzie.

Ten weekend miał przynieść odpowiedzi na najważniejsze pytania, Lacy przeczytała jednak dość tandetnych powieści i obejrzała dość komedii romantycznych, by wiedzieć, że takie wypadki rzadko dają pozytywne rezultaty. Kilka dni na plaży nie ocali rozpadającego się małżeństwa i nie przywróci świeżości kulejącym miłosnym relacjom.

Podejrzewała, że spędzą po prostu miłe chwile na słońcu, unikając rozmów o przyszłości i innych trudnych tematów.

– Coś cię gnębi – powiedział Allie, lewą ręką trzymając kierownicę, a prawą gładząc ją po kolanie.

Weekend dopiero się zaczynał i nie był to odpowiedni moment na zasadniczą rozmowę.

– Mamy pewną sprawę, która spędza mi sen z powiek – odparła.

– Normalnie nie stresujesz się tym, co robicie w pracy.

– Normalnie nie mamy do czynienia z zabójstwami.

Allie spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Musisz mi o tym opowiedzieć – mruknął.

– Wiesz, że nie mogę. Moje sprawy, podobnie jak twoje, są ściśle tajne. Mogę jednak przybliżyć ci, o co chodzi, mówiąc o wszystkim hipotetycznie.

– Zamieniam się w słuch.

– Więc mamy hipotetycznego sędziego, koło pięćdziesiątki, orzekającego od około dziesięciu lat, który jest socjopata. Rozumiesz?

– Oczywiście. Większość z nich to socjopaci, prawda?

– Daj spokój. Mówię poważnie.

– Okej. Przerabialiśmy to na szkoleniu w Quantico. W Dziale Analiz Behawioralnych. Wchodzi w skład standardowego kursu. Ale to było dawno temu i w pracy nigdy na kogoś takiego nie trafiłem. Moją specjalnością są działający z zimną krwią zabójcy, którzy handlują kokainą, a także wysyłający bomby neonaziści. Kontynuuj.

– To wszystko jest spekulacją i nic nie zostało udowodnione, przynajmniej na razie. Według mojej świadkini, również anonimowej i zbyt przerażonej, żeby się ujawnić, w ciągu minionych ponad dwudziestu lat ten sędzia zamordował co najmniej sześć osób. Sześć zabójstw w sześciu różnych stanach. Znał wszystkie ofiary, z każdą miał jakiś zatarg i cierpliwie czekał na właściwy moment. Wszyscy zostali zabici w ten sam sposób: przez uduszenie tym samym rodzajem sznura, zawiązanego tym

samym rodzajem węzła. To jego wizytówka. Idealnie czyste miejsca przestępstw, żadnych śladów, żadnych dowodów oprócz sznura na szyi.

– Wszystkie sprawy są nadal nierozwiązane?

– Śledztwa nie ruszyły nawet z miejsca. Policja nie ma absolutnie nic. Żadnych świadków, żadnych odcisków palców, żadnych włókien, żadnych śladów, żadnego motywu.

– Skoro ich znał, to musiał mieć jakiś motyw.

– Jesteś takim genialnym agentem FBI.

– Dziękuję. Ale to dość oczywiste.

– Tak. Motywy są różne. Niektóre wydają się poważne, inne trywialne. Nie znam wszystkich.

– Dla niego wszystkie były poważne.

– Owszem.

Allie zabrał dłoń z jej kolana i podrapał się w brodę.

– I ta sprawa trafiła na twoje biurko? – zapytał po chwili.

– Nie. Świadkini nie złożyła jeszcze oficjalnej skargi. Za bardzo się boi. A Kleopatra powiedziała mi wczoraj, że KDS nie zaangażuje się w sprawę zabójstw.

– Więc co teraz będzie?

– Pewnie nic. Dopóki nie otrzymamy skargi, nie możemy ruszyć palcem. Sędziemu nic się nie stanie i będzie dalej uprawiał swój proceder.

– Mówisz tak, jakbyś wierzyła tej świadkini.

– Bo tak jest. Biję się z myślami od poniedziałku, kiedy się z nią po raz pierwszy spotkałam. I muszę powiedzieć, że jej wierzę.

– Dlaczego nie może pójść na policję i tego zgłosić?

– Z kilku przyczyn. Przede wszystkim boi się, że zabójca się o tym dowie i umieści ją na swojej liście. Waha się też dlatego, że policja nie ma

powodu jej wierzyć. Gliniarzy w małym miasteczku w Karolinie Południowej nie obchodzi stara sprawa z południowej Florydy. Gliniarze z Little Rock nie mają czasu zajmować się zabójstwem popełnionym w Chattanoodze, przy którym zabójca nie pozostawił śladów.

Allie pokiwał głową.

– To cztery zabójstwa. Gdzie zostały popełnione pozostałe dwa? – zapytał.

– Jeszcze mi nie powiedziała.

– Kto został zabity w Little Rock?

– Reporter z gazety.

– Dlaczego jego nazwisko znalazło się na liście?

– Oddaliśmy się od hipotetycznej sytuacji, agencie Pacheco. Nie mogę ci ujawnić więcej szczegółów.

– Rozumiem. Czy rozmawiałaś z nią o zawiadomieniu FBI?

– Tak, krótko, i na razie nie jest zainteresowana. Jej zdaniem to zbyt niebezpieczne i ma wątpliwości, czy Biuro zechce się angażować. Dlaczego FBI miałyby się ekscytować serią zabójstw, których w żaden sposób nie da się rozwiązać?

– Zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, jakimi dysponujemy możliwościami.

Lacy zastanawiała się nad tym przez kilka minut, gdy słuchali radia i wyprzedzali kolejne samochody. Allie notorycznie przekraczał limit prędkości i kiedy co najmniej dwa razy w roku łapał go fotoradar, uwielbiał wyciągać odznakę i puszczać oko do gliniarza z drogówki. Przechwalał się, że nigdy nie dostał mandatu.

– Jak by to wyglądało? – zapytała Lacy. – Powiedzmy, że moja świadkini będzie chciała przedstawić wszystko FBI.

Allie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale mogę się dowiedzieć.

– Nie ma pośpiechu. Muszę być z nią naprawdę ostrożna. Jest poszkodowana.

– Poszkodowana?

– Tak, jej ojciec był ofiarą numer dwa.

– Kurczę. Robi się coraz ciekawiej.

Do tej pory najbardziej paskudną cechą Alliego było obgryzanie paznokci, i to wyłącznie lewej dłoni. Prawej nie atakował. Kiedy zaczynał to robić, był na czymś mocno skupiony i słyszała niemal obracające się w jego głowie trybiki.

– To jest niesamowite – rzucił parę kilometrów dalej, wpatrując się w przednią szybę. – Powiedzmy hipotetycznie, że idziesz na policję... federalną, stanową, lokalną, nieważne... i mówisz: „To jest wasz zabójca”. Nazwisko, funkcja, adres. „A to jest jego sześć ofiar... wszystkie zaduszone w ciągu ostatnich dwudziestu lat i...”

– I nie sposób tego udowodnić.

– Nie sposób tego udowodnić. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że uda się znaleźć dowody u samego zabójcy.

– Ale to wymagałoby chyba nakazu sądowego? Dokumentu, którego nie da się uzyskać, bo nie toczy się dochodzenie. Więc to tylko luźne spekulacje.

– Powiedziałaś, zdaje się, że jej wierzysz.

– Bo chyba wierzę.

– Ale nie do końca.

– Czasami. Musisz przyznać, że to trochę naciągane.

– Oczywiście. Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. Ale, jak dobrze wiesz, ścigam innego rodzaju kryminalistów.

– Nakaz jest mało prawdopodobny. Poza tym facet zapewne jest paranoikiem, zbyt cwany, żeby dać się złapać.

– Co o nim wiemy?

– Nic. To tylko hipotetyczny sędzia.

– Daj spokój. Tyle już sobie powiedzieliśmy.

– Singiel, nigdy nie miał żony, prawdopodobnie mieszka sam. Dom naszpikowany kamerami. Szanowany sędzia, który udziela się w wystarczającym stopniu, żeby zyskać społeczną akceptację. Wysoko oceniany przez kolegów i adwokatów. A także wyborców. Jesteś profilerem, czego jeszcze potrzebujesz?

– Nie jestem profilerem. Powtarzam ci, to nie moja działka.

– Dobrze. Więc gdybyś przedstawił tych sześć zabójstw czołowym profilerom FBI i nie zdradził, kogo o nie podejrzewasz, co by ci powiedzieli?

– Nie mam pojęcia.

– Ale mógłbyś kogoś spytać... no wiesz, nieoficjalnie?

– Po co miałbym to robić? I tak wiesz, kto jest zabójcą.

...

Ich ulubionym miejscem był Lonely Dunes, butikowy hotel z czterdziestoma pokojami, wszystkimi wychodzącymi na plażę. Zameldowali się, zostawili nierozpakowane torby w pokoju i poszli na basen. Znaleźli ocieniony stolik i zamówili lunch oraz butelkę schłodzonego wina. W drugim końcu basenu baraszkowała jakaś młoda para; coś działo się tuż pod powierzchnią wody. Za tarasem skrzyła się w słońcu Zatoka Meksykańska.

Kiedy butelka była do połowy pusta, zawibrował telefon Alliego.

– Co to ma być? – obruszyła się Lacy.

– Przepraszam.

– Uzgodniliśmy chyba, że nie odbieramy telefonów podczas lunchu. Ja zostawiłam swój w pokoju.

Allie popatrzył na ekran.

– To facet, o którym mówiłem. Zna kilku profilerów.

– Nie, nie odbieraj. Powiedziała ci za dużo i nie chcę rozmawiać o tej sprawie.

Telefon przestał w końcu wibrować. Allie schował go do kieszeni, jakby nie miał go już zamiaru dotykać. Kelner podał im sałatkę z krabów i dolał wina. Jak na komendę pojawiły się chmury i zasłoniły słońce.

– Możliwe przelotne opady – powiedział Allie. – O czym przeczytałem w aplikacji pogodowej, którą nadal mam w telefonie schowanym w kieszeni i nieosiągalnym.

– Zignoruj to. Jeśli ma padać, niech pada. Nigdzie się nie wybieramy. Mam pytanie.

– Tak?

– Dochodzi trzecia po południu, jest piątek. Twój szef wie, gdzie jesteś?

– Nie, ale wie, że wyjechałem z dziewczyną na weekend. A Kleopatra?

– Mam to gdzieś. I ona też. Za parę miesięcy odejdzie.

– A ty, Lacy? Jak długo tam zostaniesz?

– To jest zasadnicze pytanie, prawda? Pracuję zbyt długo w miejscu, które jest ślepą uliczką, i przespałam moment, w którym trzeba było odejść. Ale dokąd miałabym odejść?

– To nie jest ślepa uliczka. Ta praca daje ci satysfakcję i jest ważna.

– Być może czasami. Ale nie wymaga ode mnie wiele wysiłku. Generalnie mnie nudzi i pewnie za często ci to mówię.

– To ja, twój poczciwy Allie. Możesz mi mówić wszystko.

– Mam ci wyznać swoje najgłębsze, najmroczniejsze sekrety?

– Oczywiście. Uwielbiam, jak je wyznajesz.

– Ale ty nic mi nie mówisz, Allie. Jesteś inaczej zaprogramowany. Jesteś agentem specjalnym i boisz się odsłonić.

– Co chcesz wiedzieć?

Uśmiechnęła się do niego i wypila trochę wina.

– Gdzie będziesz za rok? – zapytała.

Allie spochmurniał i odwrócił wzrok.

– To był cios poniżej pasa – odparł i upił łyk wina. – Tak naprawdę nie wiem. Pracuję w Biurze od ośmiu lat i to uwielbiam. Zawsze myślałem, że spędzę tam całe życie, że będę ścigał bandziorów do pięćdziesiątych urodzin, kiedy posadzą mnie za biurkiem, a potem, gdy skończę pięćdziesiąt siedem lat, zgodnie z regulaminem zwolnią mnie ze służby. Teraz nie jestem już tego taki pewny. To, co tam robię, jest często emocjonujące i bardzo rzadko nudne, ale to z całą pewnością zajęcie dla młodszego faceta. Patrzę na ludzi, którzy dobijają pięćdziesiątki, i widzę, że są wypaleni. Pięćdziesiąt lat to nie jest tak dużo, Lacy. Nie wiem, czy chcę robić karierę w Biurze.

– Myślałeś, żeby odejść?

– Tak. – Trudno było mu to przyznać i nie wydawało jej się, żeby wspominał o tym wcześniej. Allie powąchał swoje wino i znów trochę wypił. – Jest coś jeszcze – dodał. – Jestem w Tallahassee od pięciu lat i czas na zmianę. Coraz częściej wspomina się o przeniesieniu. Na tym polega ta praca; to coś, czego powinniśmy się spodziewać.

– Przeniosą cię gdzie indziej?

– Tego nie powiedziałem. Ale w ciągu następnych kilku miesięcy mogą na mnie wywierać presję.

Lacy była zszokowana i desperacko starała się tego nie okazywać. Zaskoczyło ją, że ta wiadomość tak bardzo wyprowadziła ją z równowagi. Myśl, że musiałaby się rozstać z Alliem, była... jak by to powiedzieć... nie do przyjęcia.

– Dokąd by cię wysłali? – zdołała zapytać spokojnym tonem.

Allie od niechcienia się rozejrzył, tak jak robią to doświadczeni agenci, i uznał, że nikt się nimi w najmniejszym stopniu nie interesuje.

– To wszystko jest przygotowywane w tajemnicy – powiedział. – Dyrektor organizuje ogólnokrajową grupę zadaniową skierowaną przeciwko grupom podlegającym do nienawiści. Zapytano mnie, czy widziałbym się w jej składzie. Nie powiedziałem „tak” ani „nie”, a nawet jeśli powiem tak, nie ma gwarancji, że się w niej znajdę. Ale to prestiżowa praca dla elitarnych agentów.

– Rozumiem. Gdzie by cię wysłali?

– Do Kansas City albo do Portlandu. Tylko że to wszystko jest na bardzo wczesnym etapie.

– Masz już dosyć Florydy?

– Nie. Mam dosyć zmarnowanych weekendów, w trakcie których śledzę członków karteli narkotykowych. Mam dosyć tanich mieszkań i niepewności, co przyniesie jutro.

– Nie wyobrażam sobie romansu na odległość, Allie. Wolę mieć cię przy sobie.

– Na razie nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać. To tylko jedna z wielu możliwości. Możemy porozmawiać o tobie?

– Jestem jak otwarta księga.

– Akurat! To samo pytanie. Gdzie będziesz za rok?

Lacy wypić trochę wina. Kelner zatrzymał się przy stoliku, żeby napełnić im obojgu kieliszki, po czym zniknął.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała, kręcąc głową. – Nie wydaje mi się, żebym pracowała dalej w KDS, ale powtarzam to sobie już od kilku lat. Nie wiem, czy mam dość odwagi, żeby odejść i pozbyć się benefitów związanych z tą pracą.

– Skończyłaś prawo.

– Tak, ale dobiegam czterdziestki i nie zrobiłam specjalizacji, na co kładą nacisk duże kancelarie. Jeśli wywieszę szyld i zacznę pisać ludziom testamenty, zdechnę z głodu. Nigdy żadnego nie napisałam. Moją jedyną opcją jest to, co robi większość zatrudnionych w administracji prawników, czyli wspinięcie się po kolejnych szczeblach kariery. Szukam czegoś innego, Allie. Może to kryzys wieku średniego. Ciekawi cię to?

– Wspólny kryzys?

– Tak jakby. Posłuchaj, oboje nie wiemy, jak nam się ułoży. Dobiegamy czterdziestki, jesteśmy nadal singlami, nie mamy dzieci i stać nas na to, żeby zaryzykować, popełnić głupotę, ponieść klęskę i się z niej podnieść.

W końcu to z siebie wyrzuciła. Nie wierząc, że posunęła się tak daleko, wzięła głęboki oddech i popatrzyła mu prosto w oczy. Był zaskoczony i zaciekawiony.

– Padły tu dwa ważne zdania – powiedział. – Pierwszym było „stać nas na to, żeby zaryzykować”. W moim wieku nie mogę przestać pracować i wpakować się w kryzys.

– A drugie zdanie?

– „Popełnić głupotę”.

– Tak mi się wyrwało. Generalnie żadne z nas nie popełnia głupot.

Kelner znów się pojawił i zaczął sprzątać stół.

– Jeszcze jedną? – zapytał, zabierając pustą butelkę po winie.

Oboje pokręcili głowami.

Rachunek za lunch dopisali do rachunku za pokój, który poza sezonem kosztował dwieście dolarów za noc. Kiedy wymeldują się w niedzielę, podzielą równo koszty. Starali się dzielić je zawsze. Oboje zarabiali około siedemdziesięciu tysięcy rocznie. Nie oznaczało to zbyt wysokiej emerytury, ale żadne z nich na razie o niej nie myślało.

Wyszli z hotelu, podeszli do skraju oceanu i zdali sobie sprawę, że woda jest zbyt zimna, by nawet na chwilę się w niej zanurzyć. Objęci, ruszyli wzdłuż plaży.

– Muszę ci coś wyznać – odezwał się nagle Allie.

– Nigdy dotąd mi niczego nie wyznałeś.

– Dobrze, ale teraz muszę. Mniej więcej od roku oszczędzam pieniądze, żeby kupić ci pierścionek.

Zatrzymała się jak wryta, odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– I co? Gdzie jest ten pierścionek?

– Nie kupiłem, bo nie wiem, czy go przyjmiesz.

– Na pewno chcesz mi go wręczyć?

– Właśnie w tej sprawie powinniśmy podjąć decyzję, prawda, Lacy? Dokąd zmierzamy?

Skrzyżowała ręce na piersiach i przytknęła palec do ust.

– Chcesz zrobić sobie przerwę? – zapytała.

– Przerwę?

– Tak, trochę czasu dla siebie. Przerwę ode mnie.

– Niekoniecznie. A ty?

– Nie. Chciałabym cię mieć przy sobie.

Uśmiechnęli się, objęli i ruszyli dalej plażą. Niczego nie rozwiązawszy.

Rozdział 11

Mail przyszedł o dwudziestej pierwszej czterdzieści, kiedy Jeri, jak zwykle sama, przygotowywała się do wykładów w następnym tygodniu i zastanawiała, czy obejrzeć jakiś film w telewizji. Adres, na który przyszedł, był jednym z jej kilku stałych, zaszyfrowanych i rzadko używanych. Miały do niego dostęp tylko cztery osoby i żadna z nich nie mogła jej namierzyć. Nadawca był kimś, kogo nigdy nie spotkała, nie miała powodu tego robić i nie znała jego nazwiska. Płaciła mu zawsze gotówką, wysyłając pieniądze wsunięte między kartki kieszonkowego wydania książki na adres skrzynki pocztowej w Camden w stanie Maine, należącej do zagadkowej firmy o nazwie KL Data.

On też nie znał jej nazwiska. Zwracał się do niej *LuLu* i to mu wystarczało. Jak tutaj: Cześć, LuLu. Mam coś, co może Cię zainteresować. ???

LuLu? Uśmiechnęła się i pokręciła z niedowierzaniem głową na myśl o tym, ile fałszywych tożsamości stworzyła w ciągu minionych dwudziestu lat. Aliasy, tymczasowe skrzynki pocztowe, kamuflaże, hermetyczne adresy mailowe z dwuetapową identyfikacją, cała torba jednorazowych telefonów.

W jej samotnym świecie ten nadawca funkcjonował pod inicjałami KL; nie mając pojęcia, co oznaczają, nazwała go na własny użytek Kenny Lee. Według referencji sprzed lat Kenny Lee pracował kiedyś w organach ładu i porządku; Jeri nie miała pojęcia, w jakich okolicznościach stamtąd odszedł. Wiedziała tylko, że jego brat został zamordowany i sprawcy nie

złapano. Ta nierozwiązana sprawa nie dawała mu spokoju i dlatego zaczął się zajmować tym, czym się obecnie zajmował.

– Cześć, Kenny Lee – mruknęła pod nosem i odpisała:

Ile godzin?

Mniej niż trzy.

W porządku.

Nigdy nie miała okazji usłyszeć jego głosu i nie wiedziała, czy ma osiemdziesiąt, czy czterdzieści lat. Utrzymywali kontakt od prawie dziesięciu lat.

– Zobaczmy, co dla mnie masz – szepnęła.

Jego stawka wynosiła dwieście dolarów za godzinę i Jeri nie mogła sobie pozwolić na niespodzianki. Kenny Lee był niezależnym śledczym, samotnym rewolwerowcem, który nie podlegał nikomu i pracował dla każdego, kto zgodził się mu zapłacić. Z jego usług korzystały rodziny ofiar, małomiasteczkowi policjanci w kilkunastu stanach, FBI, dziennikarze śledczy, pisarze oraz hollywoodzcy producenci. Był nieocenionym źródłem informacji dla tych, którzy szukali danych na temat przestępstw popełnionych przy użyciu przemocy. Rzadko opuszczał swoją piwnicę i żył w wirtualnym świecie, przekopując bazy danych, hakując, zbierając informacje i je sprzedając. Znał statystyki zabójstw we wszystkich pięćdziesięciu stanach i spędzał w kartotece FBI więcej czasu niż ktokolwiek z Biura.

Kenny Lee był człowiekiem, do którego warto było się zwrócić, kiedy chodziło o morderstwa, zwłaszcza takie, których sprawcy nie zostali zidentyfikowani. Oficjalnie prowadził małą firmę za pośrednictwem adwokata z Bangor, który zajmował się kontraktami i przekazami pieniężnymi. Cała działalność KL opierała się na marketingu szeptanym,

szeptanym w dodatku bardzo cicho. Nigdzie się nie reklamował i nikomu nie odmawiał. Używał wielu aliasów i zakodowanych adresów mailowych i pobierał honoraria w gotówce – wszystko po to, żeby chronić tożsamość klientów oraz zabójców, których śledzili ci pierwsi.

Godzinę później Jeri siedziała w półmroku, czekając i zadając sobie pytanie, czy KL znalazł kolejną ofiarę sędziego. Nie był nieomylny. Nikt nie jest nieomylny. Przed dziesięcioma miesiącami zgłosił się z informacją o zabójstwie przez uduszenie w Kentucky, która wydawała się z początku obiecująca. Jeri zapłaciła mu za cztery godziny pracy, a potem spędziła dwa miesiące, badając ten przypadek do chwili, kiedy policja aresztowała sprawcę, który przyznał się do winy. Innego sprawcę.

Niestety, takie rzeczy się zdarzają, napisał jej KL w liście. Śledził tysiące spraw w całym kraju i miał świadomość, że wiele z nich nigdy nie zostanie rozwiązanych.

Co roku w Stanach Zjednoczonych dochodzi do trzystu zabójstw zaliczanych oficjalnie do kategorii uduszenia, asfiksji lub zadzierzgnięcia. Połowa polega na złapaniu za szyję w celu zakończenia domowej kłótni i te sprawy są na ogół szybko rozwiązywane.

Pozostałe popełniane są za pomocą pętli, którą morderca zaciska na szyi ofiary. Używane są do tego elektryczne kable, paski, bandany, druty, łańcuchy, sznurowadła, druciane wieszaki do ubrań oraz różnego rodzaju sznury i liny. Bardzo często korzysta się z nylonowego sznura tego samego typu co ten, którym uduszono ojca Jeri – można go kupić w sklepach stacjonarnych i online.

Większość zabójstw należących do tej drugiej kategorii pozostaje nierozwiązana.

Kiedy zapikał jej laptop, otworzyła go, zastosowała protokoły uwierzytelniające i wpisała hasła. Mail był od Kenny'ego Lee.

Pięć miesięcy temu w Biloxi, w hrabstwie Harrison w stanie Missisipi, zginął przez uduszenie niejaki Lanny Verno. Nie mam jeszcze zdjęć z miejsca zdarzenia, ale wkrótce mogę je uzyskać. Opis użytej pętli wydaje się znajomy. To sznur o średnicy 9,5 mm, zawiązany takim samym węzłem co we wcześniejszych przypadkach. Poważne rany głowy, zadane prawdopodobnie jeszcze przed śmiercią. Zmarły miał 37 lat i pracował jako malarz pokojowy. Zabito go tam, gdzie pracował, bez świadków. Doszło jednak do komplikacji. Zdaniem policji na miejscu przestępstwa pojawiła się kolejna osoba i spotkał ją podobny los, tyle że nie została uduszona. Śmierć nastąpiła w wyniku urazu głowy. Policja uważa, że ta druga osoba pojechała tam, żeby wręczyć Lanny'emu Verno wypłatę: było piątkowe popołudnie i Verno jej oczekiwał. Pierwsze zabójstwo było w oczywisty sposób zaplanowane. Zabójca nie zostawił żadnych śladów z wyjątkiem sznura. Krew należała wyłącznie do ofiar. Żadnych odcisków palców czy stóp, żadnych włókien, żadnych świadków. Kolejne sterylne miejsce zbrodni, zbyt sterylne. Śledztwo trwa, informacje dla prasy są skąpe. Akta są pilnie strzeżone, dlatego nie ma żadnych zdjęć i raportu z sekcji zwłok. Jak wiesz, to zawsze zabiera trochę czasu.

KL na tym na razie zakończył, dając Jeri czas na zastanowienie. Ta, sfrustrowana, pokręciła głową, pamiętając swoje często nieudane próby uzyskania dostępu do policyjnych akt, które z biegiem lat obrastały kurzem. Tak się składało, że im mniej dowodów mieli śledczy, tym zazdrośniej chronili akta. Nie chcieli, żeby ktoś zorientował się, jak nikłe poczynili postępy. Napisała:

Co wiesz o samym sznurze i o węźle?

Metoda i motyw. To pierwsze technicy kryminalistyczni i policjanci prowadzący śledztwo mieli jak na dłoni. Ustalenie tego drugiego mogło jednak zabrać długie tygodnie i miesiące. KL odpisał:

Mam raport przesłany do FBI przez stanowe laboratorium kryminalistyczne. Sznur opisany jest jako biało-jasnoniebieski, nylonowy, o średnicy 9,5 mm i długości 75 cm. Do raportu nie dołączono żadnych fotografii z miejsca zdarzenia. Sprawa jest oczywiście nierozwiązana, śledztwo w toku, więc większość informacji jest pilnie strzeżona przez policję. Standardowa procedura. Pełna blokada.

Jeri poszła do kuchni, wyjęła z lodówki dietetyczną colę, napiła się, wróciła na sofę do swojego laptopa i wysłała KL wiadomość:

W porządku, wchodzę w to. Prześlij, co masz. Dzięki.

Kwadrans później przyszło:

Cała przyjemność po mojej stronie.

...

Położone przy Zatoce Meksykańskiej Mobile jest oddalone od Biloxi tylko o godzinę jazdy międzystanową dziesiątką, ale miasta te znajdują się w dwóch różnych stanach, dwóch różnych światach. Wychodząca w Mobile „Press-Register” ma niewielu czytelników w Luizjanie, a „Sun Herald” z Biloxi jeszcze mniej w Alabamie.

Jeri wcale nie zdziwiło, że gazety z Mobile nie poświęciły wiele uwagi zabójstwu popełnionemu sto kilometrów dalej. Otworzyła laptopa, włączyła VPN i zaczęła szukać. W sobotę dziewiętnastego października na pierwszej stronie „Sun Herald” pojawiły się informacje o podwójnym zabójstwie. Mike Dunwoody był przedsiębiorcą budowlanym, dobrze znanym w Biloxi i na wybrzeżu. Gazeta zamieściła jego zdjęcie pobrane ze strony firmy. Pozostawił żonę Marszę, dwoje dzieci i trójkę wnucząt. W chwili publikacji materiału szczegóły pogrzebu były jeszcze nieznane.

O Lannym Verno wiadomo było o wiele mniej. Mieszkał na osiedlu przyczep w pobliżu Biloxi – sąsiad zeznał, że od kilku lat. Dziewczyna Lanny’ego odchodziła od niego i wracała. Zdaniem jednego z jego pracodawców Lanny pochodził z Georgii, ale nie mógł nigdzie zagrać miejsca.

W następnych dniach „Sun Herald” starał się za wszelką cenę eksploatować temat. Policja była wyjątkowo wstrzemięźliwa i nie udzielała

żadnych informacji. Nie udało się także wyciągnąć czegoś od członków rodziny. Nabożeństwo żałobne odbyło się w dużym kościele i uczestniczyły w nim tłumy. Na prośbę rodziny nie dopuszczono tam reporterów. W Biloxi pojawił się daleki kuzyn Lanny'ego Verno i niezbyt chętnie zgodził się zabrać jego zwłoki do Georgii. Tydzień po zabójstwach szeryf Black zwołał konferencję prasową, niczego jednak na niej nie ujawnił. Reporter zapytał, czy z miejsca przestępstwa zostały zabrane telefony ofiar, na co usłyszał standardowe „Bez komentarza”.

„Ale czy to prawda – dążył dalej reporter – że te dwa telefony zostały wyjęte ze skrzynki pocztowej w Neely?”

Szeryf wyglądał tak, jakby ktoś ujawnił nazwisko zabójcy, ale opanował się i rzucił znów:

„Bez komentarza”.

Identycznej odpowiedzi udzielił na prawie wszystkie inne pytania.

Zachowanie szeryfa zrodziło plotki, że szykuje się przełom w sprawie: że są tak małomówni, bo wkrótce dopadną zabójcę i nie chcą go spłoszyć.

Do niczego takiego jednak nie doszło. Mijały kolejne tygodnie i miesiące. Rodzina Dunwoodych wyznaczyła nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za każdą informację o zabójstwie. Wywołało to falę telefonów od świrów, którzy nie mieli pojęcia o niczym.

Od rodziny Lanny'ego Verno nie było żadnych wiadomości.

...

Po wypiciu o północy mocnej kawy Jeri szykowała się do kolejnej bezsennej nocy przed komputerem. KL przesłał jej omówienie sprawy oraz kopię oficjalnego raportu, który policja stanowa Missisipi złożyła w FBI.

Jeri podążała tą drogą wiele razy i na myśl, że będzie musiała przejrzeć kolejne akta, przechodziły ją ciarki.

Rozdział 12

Nadzorująca KDS pięcioosobowa rada składała się z emerytowanych sędziów i adwokatów, którzy mieli fory u gubernatora. Poważni donatorzy i liczący się gracze nagradzani byli nominacjami do ciał cieszących się większym prestiżem niż KDS – do rad nadzorczych uczelni, komisji do spraw hazardu i tym podobnych, instytucji o dużych budżetach i bonusach, pozwalających wybrańcom podróżować i stykać się z możnymi tego świata. Członkowie rady nadzorczej KDS byli uprawnieni do darmowego zakwaterowania i pobierania osiemdziesięciu centów za kilometr. Spotykali się sześć razy w roku – trzy razy w Tallahassee i trzy w Fort Lauderdale – żeby ocenić, jak prowadzone są sprawy, wysłuchać stron i udzielić reprimendy sędziom. Usunięcia z urzędu zdarzały się rzadko. Od powstania KDS w 1968 roku spotkało to tylko trzech sędziów.

W poniedziałek rano czworo członków rady zebrało się na rutynowym posiedzeniu. Piąte miejsce było nieobsadzone, a gubernator miał zbyt wiele spraw na głowie, żeby uzupełnić skład. Dwie osoby, którym to zaproponował, odmówiły, stwierdził więc, że ma to gdzieś. Posiedzenie odbywało się w wypożyczonej sali konferencyjnej stanowego Sądu Najwyższego, bo siedziba KDS była zbyt depresyjna, by przebywać w niej przez cały dzień.

Pierwszym punktem porządku dziennego było spotkanie z dyrektorką o dziesiątej, poświęcone omówieniu rozpatrywanych przez komisję spraw,

jej finansów, problemów kadrowych i tak dalej. Spotkanie upłynęło w niezbyt przyjaznej atmosferze, bo Charlotte Baskin była na wylocie i wszyscy o tym wiedzieli.

Następnie rada nadzorcza miała zająć się konkretnymi sprawami.

...

Lacy cieszyła się, że nie ma w tym momencie żadnej sprawy, z powodu której musiałaby spotkać się z radą nadzorczą KDS. Jej poniedziałek zaczął się tak samo jak zwykle: długo przekonywała siebie, że musi pędzić do biura i zachęcać zespół do wydajniejszej pracy na rzecz podatników. Niewiele to dało, głównie dlatego, że myślami nadal była na plaży i basenie. Ona i Allie mieli za sobą trzy niespieszne lunchy popijane winem, dużo snu, dużo seksu i długie spacery brzegiem morza. W pewnym momencie zgodzili się, że powinni na razie zapomnieć o przyszłości i żyć chwilą. Poważnymi sprawami będą się martwili później.

Po rozstaniu z nim zaczęła jednak zadawać sobie pytanie, które nie dawało jej spokoju od piątku: co zrobię z pierścieniem zaręczynowym, jeśli mi go wręczy?

Nie znała na nie odpowiedzi.

O dziewiątej czterdzieści osiem przyszedł kolejny mail od Jeri. W weekend Lacy dostała ich co najmniej pięć i wszystkie zignorowała. Zbyt długo już odkładała czekającą ją trudną rozmowę. Przekonała się, że odwlekanie czegoś tylko komplikuje sprawę. Wystukała na swoim telefonie jeden z numerów. Jeri nie odebrała i nie włączyła się poczta głosowa. Lacy spróbowała innego. To samo. Tracąc szybko cierpliwość do tego kamuflażu, wybrała ostatni numer.

– Cześć, Lacy – odezwał się miły, choć zmęczony głos. – Gdzieś ty się podziewała?

A co to cię, do diabła, obchodzi? – pomyślała Lacy, po czym przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

– Dzień dobry, Jeri – powiedziała. – Rozumiem, że to bezpieczna linia.

– Oczywiście. Przepraszam za niedogodności.

– Tak. Widzę, że dzwoniłaś i wysyłałaś maile przez cały weekend.

– Owszem. Musimy porozmawiać.

– Rozmawiamy teraz, w poniedziałek. Wyjaśniłam ci chyba, że nie pracuję w weekendy, i prosiłam, żebyś nie dzwoniła i nie wysyłała maili. Zgadza się?

– Tak, masz rację i bardzo mi przykro, ale to jest naprawdę ważne.

– Wiem, że to ważne, Jeri, i mam dla ciebie złą wiadomość. Rozmawiałam ponownie z szefową, przedstawiłam jej dokładnie twoje podejrzenia, ale podtrzymała swoje stanowisko. Nie będziemy się angażować w śledztwo w sprawie zabójstw. Koniec kropka. Jak mówiłam ci już kilka razy, nie mamy odpowiednich narzędzi ani kompetencji, żeby prowadzić tego rodzaju sprawy.

W słuchawce zapadła cisza. Która powinna być krótka, bo Lacy wiedziała już, że jej rozmówczyni nie przyjmuje do wiadomości odmowy.

– Ale mam przecież prawo złożyć skargę – odezwała się po chwili Jeri.

– Znam na pamięć wasz statut. Mogę to zrobić anonimowo. A KDS musi, z mocy prawa, rozpatrzyć ją w ciągu czterdziestu pięciu dni. Zgadza się?

– Owszem, tak mówi statut.

– W takim razie złożę skargę.

– A moja szefowa natychmiast przekaże ją policji stanowej.

Lacy spodziewała się ostrej riposty, którą Jeri niewątpliwie miała na końcu języka. Czekala i czekała, i w końcu zdała sobie sprawę, że rozmowa dobiegła końca. Jeri przerwała połączenie.

Lacy nie była tak naiwna, by uznać, że ta nigdy już się nie odezwie. Może jednak na jakiś czas da jej spokój. Poznały się zaledwie tydzień wcześniej.

I może nie będzie już więcej zabójstw.

...

Jeri zadzwoniła już po półgodzinie.

– Nie mam stuprocentowej pewności, Lacy – zaczęła – ale mamy chyba dwie kolejne ofiary. Numer siedem i osiem. W tej chwili staram się to potwierdzić, więc mogę się mylić. Mam nadzieję, że się mylę. Tak czy owak, on nie przestanie.

– Potwierdzić? Nie wiedziałam, że potwierdziłaś inne.

– Potwierdziłam, przynajmniej we własnym przekonaniu. Moja teoria opiera się na poszlakach, ale musisz przyznać, że jest przekonująca.

– Nie wiem, czy jest przekonująca, ale z całą pewnością nie wystarczy do wszczęcia śledztwa. Powtarzam ci któryś raz z rzędu, że nie zamierzamy się w to angażować.

– To twoja decyzja czy decyzja waszej tymczasowej dyrektorki?

– A jakie to ma znaczenie? Nie angażujemy się.

– Zaangażowalibyście się, gdyby to do ciebie należała decyzja?

– Do widzenia, Jeri.

– Świetnie, Lacy, ale od tego momentu będziesz miała krew na rękach.

– Wydaje mi się to lekką przesadą.

Jeri przez chwilę mówiła coś niewyraźnie.

– Ostatnio morduje częściej, Lacy – powiedziała po kilku sekundach. – Jedna ofiara na rok. To dość typowe dla seryjnych zabójców, w każdym razie tych sprytnych. Zaczynają powoli, odnoszą sukcesy, doskonałą swoje

umiejętności, pozbywają się oporów i lęku i dochodzą do wniosku, że są genialni. I wtedy zaczynają popełniać błędy.

– Jakiego rodzaju błędy?

– Nie będę o tym mówić przez telefon.

– To ty do mnie zadzwoniłaś.

– Tak, i nie wiem po co. – Jeri ponownie przerwała połączenie.

Przy biurku Lacy pojawiła się bezgłośnie Felicity i wręczyła jej staroświecką różową karteczkę z numerem telefonu.

– Lepiej zadzwoń do tego faceta – powiedziała. – Był dość obcesowy.

– Dzięki – odparła Lacy, odbierając od niej karteczkę i dając jej wzrokiem do zrozumienia, że może wyjść. – I zamknij, proszę, za sobą drzwi.

Aktualnym szefem rady nadzorczej KDS był Earl Hatley, były sędzia, sympatyczny facet, jeden z niewielu poznanych przez Lacy w ciągu ostatnich lat członków rady, któremu zależało na poprawie jakości sądownictwa. Musiał trzymać telefon w ręce, bo odebrał natychmiast. Poprosił, żeby zostawiła to, czym się aktualnie zajmuje, i wzięła udział w pilnym zebraniu rady w budynku Sądu Najwyższego.

Piętnaście minut później Lacy weszła do małej sali konferencyjnej i powitało ją czworo członków rady. Earl poprosił, żeby usiadła, i wskazał krzesło u szczytu stołu.

– Oszczędzę sobie długich wstępów, Lacy – powiedział – bo jesteśmy już spóźnieni, a sprawa jest nagląca.

Lacy uniosła w odpowiedzi obie dłonie.

– Zamieniam się w słuch.

– Spotkaliśmy się dziś rano z Charlotte Baskin i wręczyła nam rezygnację. Odchodzi ze skutkiem natychmiastowym. Odbyło się to za

porozumieniem stron. Jak zapewne dobrze wszyscy wiemy, nie nadawała się do tej funkcji i wpływały na nią liczne skargi. Ponownie nie mamy zatem dyrektora wykonawczego.

– Jestem nadal zatrudniona? – zapytała Lacy, której w najmniejszym stopniu nie wytrąciło to z równowagi.

– Oczywiście. Nie możesz teraz odejść, Lacy.

– Dzięki.

– Jak wiesz, Charlotte była czwartym dyrektorem wykonawczym w ciągu ostatnich dwóch lat. Słyszałem, że morale w komisji jest niskie.

– Jakie morale? – prychnęła. – Wszyscy szukają nowej pracy. Siedzimy tutaj, czekając, aż nas zwolnicie. I czego się po nas spodziewacie? Ciężko jest zachować entuzjazm, kiedy rok po roku obcinacie budżet.

– Rozumiem. To nie jest nasza wina. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Wiem, czyja to jest wina, i nie mam do was pretensji. Ale ciężko jest pracować pod nieudolnym kierownictwem, a czasami bez żadnego kierownictwa i wsparcia ze strony legislatury. Gubernator ma nas wszystkich w nosie.

– W przyszłym tygodniu spotykam się z senatorem Fowinkle'em – powiedziała Judith Taylor. – Jak wiesz, pilnuje finansów i jego podwładni uważają, że może nam załatwić więcej pieniędzy.

Lacy uśmiechnęła się i pokiwała głową, jakby była bardzo wdzięczna. Słyszała to już wiele razy.

– Oto, jaki mamy plan, Lacy – powiedział Earl. – Jesteś starszą śledczą i najbardziej znaną osobą w tej instytucji. Koledzy szanują cię, a nawet podziwiają. Chcemy, żebyś została tymczasową dyrektorką do czasu, kiedy znajdziemy stałą.

– Nie, dziękuję.

– To była szybka odpowiedź.

– Podobnie jak pana pytanie. Jestem tu od dwunastu lat i wiem, jak to wygląda. Najwyższe stanowisko jest najgorsze.

– Będzie tylko tymczasowe.

– W tych czasach wszystko jest tymczasowe.

– Nie zamierzasz chyba złożyć dymisji?

– Wszyscy o tym myślimy. Trudno nas winić. Jeśli ustawodawca jest łaskawy, dostajemy jako pracownicy stanowiska takie same podwyżki jak wszyscy. Więc kiedy zmniejszają nam budżet, nie mamy wyboru: musimy ciąć wszystko oprócz płac. Liczbę personelu, sprzęt, podróże służbowe i tak dalej.

Czworo członków rady wymieniło ponure spojrzenia. Sytuacja wydawała się beznadziejna. W tym momencie mogli wszyscy wyjść, złożyć rezygnacje, wrócić do domu i pozwolić, by ktoś inny zajmował się skargami na sędziów.

Judith Taylor nie dawała jednak za wygraną.

– Pomóż nam, Lacy – poprosiła. – Obejmij to stanowisko na sześć miesięcy. Możesz ustabilizować agencję i dać nam trochę czasu, żebyśmy zorganizowali pieniądze. Będziesz szefową i dajemy ci wolną rękę. Mamy do ciebie zaufanie.

– Olbrzymie zaufanie – dodał szybko Earl Hatley. – Masz zdecydowanie największe doświadczenie.

– Pensja też nie jest najgorsza – dodała Judith.

– Nie chodzi o pieniądze – odparła Lacy. Wynagrodzenie wynosiłoby dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie, miła odmiana w porównaniu z jej obecnymi siedemdziesięcioma tysiącami. Nigdy nie myślała o dyrektorskiej pensji, to znaczy nikomu jej nie zazdrościła. Byłaby to jednak rzeczywiście poważna podwyżka.

– Możesz zrestrukturyzować tę firmę, jak tylko chcesz – powiedział Earl. – Zatrudniaj, zwalnij, nie będziemy się wtrącać. Ale statek tonie i potrzebujemy stabilności.

– W jaki sposób chcecie zorganizować pieniądze? – zapytała Lacy. – W tym roku kongres stanowy ponownie zmniejszył budżet, do jeden przecinek dziewięć miliona. Cztery lata temu KDS dostawała dwa przecinek trzy. To jest nic w porównaniu z wynoszącym sześćdziesiąt miliardów budżetem stanu, a zostaliśmy powołani przez tego samego ustawodawcę i wypełniamy zleconą przez niego misję.

– My też mamy dosyć cięć, Lacy, i bierzemy na siebie kongres – powiedziała z uśmiechem Judith. – Pozwól, że się tym zajmiemy. Ty poprowadzisz agencję, my znajdziemy pieniądze.

Trzeźwy osąd Lacy zmały nagle myśli o Jeri Crosby. Co będzie, jeśli jej podejrzenia okażą się uzasadnione? Co będzie, jeśli nadal będzie dochodziło do zabójstw? Jako dyrektorka, stała lub tylko pełniąca obowiązki, będzie mogła zrobić ze skargą Jeri, co tylko zechce.

Pomyślała również o pieniądzach, całkiem pokaźnej podwyżce. Podobał jej się pomysł reorganizacji, pozbycia się balastu i poszukania świeżych talentów. Przypomniała sobie weekend z Alliem i przygnębiający fakt, że nie poczynili postępów w planowaniu przyszłości. W związku z tym nieprędko mogła się spodziewać jakichś poważnych zmian.

Czwórka członków rady, uśmiechając się, czekała, jakby bardzo zależało im na pozytywnej odpowiedzi.

– Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny – poprosiła z poważną miną Lacy.

Rozdział 13

Śledząc Rossa Bannicka, Jeri nigdy nie zapominała o kluczowej rzeczy: był zabójcą o wielkiej cierpliwości. Czekał pięć lat, żeby zabić jej ojca, dziewięć, żeby zabić reportera, dwadzieścia dwa, żeby zabić Kronke'a, i około czternastu, żeby zabić drużynowego skautów. Odkrycie punktu, w którym jego ścieżka życiowa przecięła się ze ścieżką Lanny'ego Verno, jeśli w ogóle tak się stało, będzie jak zwykle wymagało żmudnego i bolesnego przekopywania się przez kilometry publicznych rejestrów sięgających dziesięcioleci wstecz.

Jako zatrudniona na etacie profesorka, Jeri miała trzy razy w tygodniu wykłady i regularnie pełniła dyżury naukowe. Książka, którą pisała, miała zostać oddana do druku lata temu. Udawało jej się wypełniać swoje obowiązki na tyle dobrze, by zadowolić dziekana i studentów, ale za bardzo skupiała się na popełnionej przed laty zbrodni, by stać się wybitnym wykładowcą jak jej ojciec. Była rozwiedziona, atrakcyjną kobietą, lecz nie miała czasu na relacje damsko-męskie. Córka studiowała w Michigan, szło jej dobrze i prawie codziennie rozmawiały przez telefon albo kontaktowały się mailowo. W wolnym czasie Jeri absorbowało wyłącznie jedno: śledzenie zabójcy. Zajmowała się tym co noc aż do rana, szukając tropów, wymyślając zvariowane teorie, zderzając się ze ścianą i tracąc na to mnóstwo czasu. Marnuje życie, powtarzała sobie w duchu wiele razy.

...

Jeri miała świadomość, że wędrowny malarz pokojowy Lanny Verno nie zawracałby sobie głowy głosowaniem w wyborach, mimo to przejrzała rejestry wyborcze w hrabstwach Chavez, Escambia i Santa Rosa. Znalazła w nich dwóch Lannych L. Verno. Jeden był za stary, drugi od dawna nie żył. W rejestrze wydziału komunikacji znalazła jeszcze jednego i ten akurat nadal cieszył się dobrym zdrowiem.

Internetowe lokalizatory, zarówno te darmowe, jak i płatne, znalazły w zachodniej Florydzie pięciu Lannych Verno. Oczywisty problem polegał na tym, że Jeri nie miała pojęcia i nie mogła się dowiedzieć, czy i w jakim okresie jej Lanny Verno w ogóle tu mieszkał, a jeśli tak, to kiedy stąd wyjechał. Ze skąpego raportu, który Kenny Lee ściągnął z bazy danych FBI, wynikało, że zdaniami partnerki Verna byli ze sobą niecałe dwa lata i mieszkali w przyczepie niedaleko Biloxi.

Jeżeli miał w życiu kilka kobiet, być może wziął z którąś z nich rozwód. Jeri straciła kilka godzin, przekopując się przez akta rozwodowe stanu Floryda, i nie znalazła nic użytecznego. Jeżeli miał dzieci, być może pozwano go o alimenty, ale o tym też nic nie znalazła w aktach. Z dwudziestoletniego doświadczenia wiedziała, jak mało miarodajne mogą być dane z sądów rodzinnych. Wiele użytecznych informacji było utajnianych ze względu na dobro pokrzywdzonych.

Jeżeli Verno był przez długie lata malarzem pokojowym, istniało duże prawdopodobieństwo, że mógł mieć kłopoty z policją.

Na Florydzie nie zapadł jednak żaden wyrok skazujący przeciwko Lanny'emu Verno. Nie został również oskarżony w żadnym procesie cywilnym. Na szczęście dziesięć lat wcześniej policja w Pensacoli zdigitalizowała wszystkie akta i umieściła głęboko w chmurze historię trzydziestu lat aresztowań i wokand sądowych. O wpół do trzeciej w nocy,

popijając kolejną dietetyczną colę, Jeri znalazła informację o aresztowaniu w kwietniu 2001 roku niejakiego Lanny'ego L. Verno. Zarzucano mu napaść z użyciem broni. Przejrzała wokandę i dowiedziała się, że jedenastego czerwca 2001 w sądzie miejskim w Pensacoli Verno został uniewinniony i zarzuty przeciwko niemu oddalono.

Ross Bannick miał wtedy trzydzieści sześć lat i od dziesięciu lat prowadził praktykę prawną w tej okolicy.

Czy to wtedy skrzyżowały się ich ścieżki? Czy tam się to wydarzyło?

To był strzał w ciemno, ale w świecie Jeri wszystko było strzałem w ciemno.

...

Wybrała prywatnego detektywa z Mobile, który mógł twierdzić, że jest z Atlanty albo z jakiegokolwiek innego miejsca. Z internetowego wpisu firmy pogrzebowej wynikało, że dalecy krewni Lanny'ego Verno pochowali go niedaleko Atlanty.

Niechętnie zatrudniała prywatnych detektywów, ale często nie miała wyboru. Prowadzący śledztwo policjanci prawie zawsze byli białymi facetami w średnim wieku, którym nie podobało się, że ich dawnymi dochodzeniami interesuje się kobieta, do tego innego koloru skóry. To były męskie sprawy i im ktoś był bielszy, tym lepiej. Większość oszczędności Jeri wydawała na prywatnych detektywów – ci wyglądali i nawijali tak samo jak gliniarze, z którymi mieli do czynienia.

Rollie Tabor, który służył kiedyś w policji, brał sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę, nie lubił ściemy i akceptował jej teorie. Zatrudniała go już wcześniej i się sprawdził. Pojechał do Pensacoli, odwiedził komisariat i zamieszał w wystarczającym stopniu w głowie sierżantowi dyżurnemu, by ten posłał go do magazynu kilka przecnic dalej, gdzie były składowane

starocie. Głównie dowody rzeczowe – wyniki badań w sprawie gwałtu, tysiące sztuk skonfiskowanej broni każdego rodzaju – ale również nieodebrane rzeczy i niezliczone akta piętrzące się na wysokich pod sam sufit regałach. Starszy policjant w spłowiałym mundurze przywitał go przy kontuarze i zapytał, czego chce.

– Nazywam się Dunlap, Jeff Dunlap – przedstawił się Tabor.

Funkcjonariusz zaczął wpisywać to nazwisko w dzienniku wizyt, a Tabor spojrzał na jego identyfikator. Sierżant Mack Faldo. Służył tu od co najmniej pięćdziesięciu lat i pewnie nie pamiętał już, kiedy przestało mu zależeć na pracy.

– Ma pan jakiś dowód tożsamości? – zapytał.

Tabor miał imponującą kolekcję dowodów tożsamości. Wyjął z portfela prawo jazdy wystawione na nazwisko Jeffa Dunlapa, który niczego nie podejrzewając, żył sobie spokojnie w miasteczku Conyers na obrzeżach Atlanty. Gdyby sierżant Faldo chciał to sprawdzić, czego oczywiście nie miał zamiaru robić, znalazłby autentyczną osobę z autentycznym adresem i natychmiast dałby sobie spokój. Ale Faldo był zbyt zmęczony, żeby spojrzeć na prawo jazdy i na Dunlapa i porównać zdjęcie z oryginałem.

– Muszę zrobić kopię – mruknął, po czym podszedł do wiekowej kserokopiarki i po dłuższym czasie wrócił z prawem jazdy Dunlapa. – Więc czym mogę panu służyć? – zapytał tonem sugerującym, że cokolwiek to będzie, zepsuje mu dzień.

– Szukam akt sądowych sprzed mniej więcej piętnastu lat. Niejaki Lanny Verno został aresztowany, ale tutejszy sąd go uniewinnił. Kilka miesięcy temu Verno został zamordowany w Biloxi i jego rodzina wynajęła mnie, żebym sprawdził jego przeszłość. Spędził tu trochę czasu i być może spłodził jakieś dzieci. Facet był... jak by to powiedzieć... obieżyświatem.

Tabor podał sierżantowi wydruk z imieniem i nazwiskiem Verna, numerem jego ubezpieczenia społecznego oraz datą urodzenia i śmierci. Dane nie były oficjalnie poświadczone, ale sierżantowi to nie przeszkadzało.

– Kiedy go aresztowali? – zapytał.

– W czerwcu dwa tysiące pierwszego roku.

Sierżantowi opadły powieki, jakby zaraz miał sobie uciąć drzemkę.

– Idziemy tam – powiedział, wskazując głową drzwi.

Tabor ruszył za nim do obszernego pomieszczenia z kolejnymi regałami na akta. Każda szuflada miała z przodu karteczkę z wpisanym rokiem i miesiącem. Dotarłszy do akt z roku 2001, Faldo przystanął, wyciągnął z szafki całą szufladę i postawił ją na stojącym nieco dalej zagraconym i zakurzonym stole.

– Czerwiec dwa tysiące pierwszego – mruknął. – Udanych łowów.

– Czy te rzeczy nie są teraz zdigitalizowane? – zapytał Tabor, rozglądając się dokoła.

– Nie wszystkie. To są akta spraw, które z jakiegoś powodu zostały oddalone. Jeżeli zapadł wyrok, akta powinny trafić do archiwum. Te tutaj powinno się spalić, panie Dunlap.

– Rozumiem.

Faldo musiał być zmęczony już na samym początku dyżuru, a teraz padał z nóg.

– Żadnego fotografowania – zastrzegł. – Jeśli będzie pan potrzebował kopii, przynosi mi pan akta. Dolar za stronę.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparł Faldo i odszedł, zostawiając detektywa z milionem bezwartościowych akt.

W szufladzie na stole było ich co najmniej sto, ułożonych w porządku chronologicznym. Tabor znalazł w ciągu kilku minut dokumenty z dwunastego czerwca i wyciągnął akta Lanny'ego L. Verno.

W środku było tylko kilka kartek. Na pierwszej był sporządzony przez funkcjonariusza N. Ozmenta RAPORT NT. INCYDENTU.

Skarżący [nazwisko zacznione] przybył do komisariatu i oświadczył, że miał tego dnia utarczkę z Vernem, że chodziło o zapłatę za wykonane usługi i że Verno straszył go i nawet wyciągnął pistolet. Potem sytuacja się uspokoiła i Verno wyszedł. Nie było żadnych świadków. Skarżący [nazwisko zacznione] podpisał zeznanie i oskarżył Verna o próbę napaści.

Nazwisko skarżącego było dwukrotnie przekreślone grubym czarnym markerem.

Na drugiej kartce był RAPORT Z ARESZTOWANIA z dołączonym zdjęciem Verna, zrobionym w miejskim areszcie, a także adresem zatrzymanego i numerem ubezpieczenia społecznego. Określono go jako samozatrudnionego. Wcześniej zatrzymano go tylko raz, za jazdę po pijanemu.

Trzecia strona była kopią zawartej z agencją poręczeń AAA Bail umowy o wpłacie kaucji w wysokości pięciuset dolarów.

Na stronie czwartej widniał nagłówek: OPIS CZYNNOŚCI SĄDOWYCH, ale poza tym była zupełnie pusta.

Tabor przejrzał inne akta w szufladzie i przestudiował zawarte w nich opisy czynności sądowych. Każdy był spisany na formularzu i dawał pojęcie, co działo się w sądzie. Podane były nazwiska sędziego, prokuratora, oskarżonego, obrońcy (jeśli taki brał udział w procesie), powoda, ofiary oraz świadków. Wszystkie inne formularze były wypełnione. Sprawy dotyczyły kradzieży sklepowych, napaści, spuszczenia ze smyczy psów, spożywania alkoholu w miejscach publicznych,

przeklinania, czynów nieobyčajnych, napastowania i tak dalej. Wszystkie te zarzuty nie znalazły potwierdzenia przed sądem.

NIEUPOWAŻNIONE FOTOGRAFOWANIE I KOPIOWANIE AKT WZBRONIONE, ostrzegała tablica na ścianie.

Tabor pytał się w duchu, kto poza nim i jego klientką chciałby – z upoważnieniem czy bez – fotografować lub kopiować te akta.

Zaniósł akta Verna do pierwszego pomieszczenia i ponownie zakłócił spokój wiekowego sierżanta.

– Mogę prosić o skopiowanie tych akt? – powiedział. – Cztery strony.

Wstając z krzesła, Faldo niemal się uśmiechał.

– Dolar za stronę – oznajmił, biorąc akta.

Tabor patrzył, jak sierżant metodycznie rozpina cztery kartki, kopiuje je i spina z powrotem. Wyciągnął pięciodolarowy banknot, ale Faldo nie chciał go przyjąć.

– Opłata tylko kartą kredytową – oznajmił.

– Nie używam kart – odparł Tabor. – Oddałem wszystkie po postępowaniu upadłościowym lata temu.

To naprawdę zmartwiło sierżanta; skrzywił się, jakby miał atak biegunki.

– Przykro mi, ale nie przyjmuję gotówki.

Cztery kserokopie leżały na blacie, niepotrzebne i niechciane przez nikogo innego na świecie.

Tabor położył banknot na blacie i wziął do ręki kserokopie.

– Mam odnieść akta z powrotem? – zapytał.

– Nie. Ja się tym zajmę.

Było to zadanie o rzeczywiście kluczowym znaczeniu.

– Dziękuję – powiedział Tabor.

– Nie ma za co.

W samochodzie Tabor zadzwonił do Jeri, ale włączyła się poczta głosowa. Wszedł do kafejki i popijając kawę, sfotografował cztery kartki i jej przesłał. Oddzwoniła, kiedy dopijał trzecią. Powiedział jej, co odkrył i jak wyglądały inne dokumenty. Było oczywiste, że akta Verna zostały wyczyszczone.

– Ten funkcjonariusz, N. Ozment, jeszcze tam pracuje? – zapytała.

– Nie. Już to sprawdziłem.

– I w aktach nie ma żadnych innych nazwisk? Tylko Verno i Ozment?

– Nie, żadnych innych.

– To ułatwia chyba nasz następny krok. Niech pan postara się odnaleźć N. Ozmenta.

...

Jeri dyżurowała w swoim gabinecie na kampusie. Otwarte drzwi zachęcały studentów do rozmowy, ale siedziała sama, skubiąc lekkostrawną sałatkę i popijając ją dietetyczną colą. Trudno było jeść, kiedy ktoś, komu płaciła sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę pracy, właśnie się dla niej trudził i nie wiadomo było, jak długo to potrwa. Żołądek jak zwykle podchodził jej do gardła, ale ekscytowało ją odkrycie, że sfałszowano akta. Powtarzała sobie, że nie wie, czy Lanny Verno, którego namierzyła w Pensacoli, jest tym, którego zabito w Biloxi. Musiała przyznać, że to wcale nie jest takie pewne. W całym kraju było dziewięćdziesięciu ośmiu Lannych Verno.

Mimo to mogło się do niej uśmiechnąć szczęście. Jako poważany sędzia, Ross Bannick miał z pewnością ułatwiony dostęp do dawnych akt sądowych i dowodów rzeczowych. Musiał cieszyć się szacunkiem policjantów – jako wybieralny urzędnik co cztery lata potrzebował ich poparcia. Mógł również bez trudu obchodzić ich procedury.

Malarz pokojowy Lanny Verno przed trzynastu laty postraszył bronią wziętego adwokata, Rossa Bannicka, i nie poniósł za to kary?

Podczas lunchu, podobnie jak przy śniadaniu i kolacji, przejrzała kilka gazet i znalazła interesującą informację w „Tallahassee Democrat”. Na stronie szóstej u dołu były krótkie notki na temat lokalnych nominacji. Według jednej z nich tymczasową dyrektorką Komisji Dyscyplinarnej Sędziów została Lacy Stoltz, zastępując na tym stanowisku Charlotte Baskin, którą gubernator mianował dyrektorką Komisji do spraw Hazardu.

Rozdział 14

Wspinając się po szczeblach kariery i zmieniając urzędy jak rękawiczki, Kleopatra nauczyła się nie trzymać w swoim gabinecie zbyt wielu papierów i nigdy nie przemalowywać jego ścian. Nie mówiąc nikomu ani słowa, choć w KDS roiło się od plotek, zabrała swoje rzeczy i wyszła z budynku. Plotki nie podążyły w ślad za nią, lecz skupiły się na Lacy, która miała ją zastąpić.

Następnego dnia rano zwołała zebranie w sali przylegającej do przyprawiającego o depresję gabinetu szefowej i potwierdziła, że w najbliższej przyszłości będzie tymczasowo pełniącą obowiązki dyrektorki. Wiadomość została przyjęta z entuzjazmem przez jej kolegów i cały personel. Po raz pierwszy od wielu miesięcy na ich twarzach pojawiły się uśmiechy. Przedstawiła im kilka zmian, które miała zamiar wprowadzić. Po pierwsze, będzie wolno pracować w domu, pod warunkiem że robota zostanie wykonana. Po drugie, w piątkowe popołudnia w lecie można będzie wyjść wcześniej, pod warunkiem że będzie się pod telefonem. Po trzecie, żadnych zebrań personelu, chyba że okaże się to bezwzględnie konieczne. Po czwarte, składka na kupienie lepszej kawy. Po piąte, zerwanie z polityką otwartych drzwi. Po szóste, nieoficjalny dodatkowy tydzień urlopu. Obiecała postarać się o więcej funduszy i obniżyć poziom stresu. Miała zamiar nadal urzędować w swoim starym gabinecie, bo nigdy nie lubiła dużego i nie chciała, żeby go z nią kojarzono.

Kiedy wszyscy pogratulowali jej awansu, wróciła za biurko, na którym leżała piękna wiązanka świeżo dostarczona z kwiaciarni. Dołączony liścik był od Alliego, z wyrazami miłości i podziwu. Felicity wręczyła jej karteczkę z informacją, że dzwoniła Jeri Crosby z najlepszymi życzeniami z okazji awansu.

...

Tabor podjechał do komisariatu policji we wschodniej części Pensacoli i zapytał siedzącego za biurkiem starszego gliniarza, czy przypadkiem nie wie, co porabia teraz funkcjonariusz Ozment.

– Norris? – odparł sierżant.

Tabor, który nie wiedział, co oznacza inicjał „N.”, zerknął do pustego notesu i pokiwał głową.

– Tak, to on. Norris Ozment.

– Znów coś przeszkrobał?

– Nie, skądże. W hrabstwie Duval zmarł jego wujek i zostawił mu trochę kasy. Pracuję dla stanowych adwokatów.

– Jasne. Norris zwolnił się jakieś pięć, sześć lat temu i przeszedł do sektora prywatnego. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, pracował w jakimś hotelu na wybrzeżu.

Tabor nagryzmolił coś w notesie.

– Pamięta pan w jakim?

Do pokoju zajrzał kolejny gliniarz.

– Słuchaj, Ted, pamiętasz, w jakim hotelu zatrudnił się Norris? – zapytał go sierżant.

Ted wbił zęby w pączka i przez chwilę zastanawiał się nad trudnym pytaniem.

– Chyba w Seagrove Beach, nie? Hotel nazywa się Pelican Point.

– Zgadza się – mruknął sierżant. – Dostał niezłą fuchę w Pelican Point. Nie wiem, czy jeszcze tam pracuje.

– Dzięki, panowie – odparł z uśmiechem Tabor.

– Może pan zostawić kasę tutaj – powiedział sierżant i wszyscy się roześmiali. Taki był z niego żartowniś.

Tabor wyjechał z Pensacoli na wschód dziewięćdziesiątkąósemką i podążał nią wzdłuż wybrzeża. Zadzwoił do Pelican Point i dowiedział się, że Norris Ozment nadal tam pracuje, choć był zbyt zajęty, żeby podejść do stacjonarnego telefonu. Recepcjonista nie chciał dać numeru jego komórki. Tabor podjechał do hotelu, znalazł Ozmenta w lobby i zaczął mu wciskać kit. Trzymał się opowieści, że jest detektywem z Atlanty wynajętym przez rodzinę zmarłego mężczyzny w celu namierzenia jego ewentualnego potomstwa.

– Załatwimy to w pięć minut – dodał z przyjaznym uśmiechem.

Foyer było puste, hotel tylko do połowy wypełniony. Ozment mógł poświęcić chwilę detektywowi. Usiedli przy stoliku w barze i zamówili kawę.

– Rzecz dotyczy sprawy sądowej, w której zeznawał pan w Pensacoli, w dwa tysiące pierwszym.

– Chyba pan żartuje? Nie potrafię nawet powiedzieć, co robiłem w zeszłym tygodniu.

– Mam tak samo. To była sprawa w sądzie miejskim.

– Jeszcze gorzej.

Tabor wyciągnął kopię raportu z aresztowania i rozłożył ją na stoliku.

Ozment przeczytał to, co napisał w innej epoce swojego życia, i wzruszył ramionami.

– Nie za bardzo kojarzę – mruknął. – Dlaczego to nazwisko jest zamazane?

– Nie mam pojęcia. Trafne pytanie. Verno został zamordowany w Biloxi pięć miesięcy temu. Wynajęła mnie jego rodzina. Nic się panu nie nasuwa?

– Musiałbym się zastanowić. Zeznawałem w sądzie miejskim prawie codziennie, to był prawdziwy kierat. Dlatego między innymi oszczędłem. Miałem dosyć adwokatów i sędziów.

– Pamięta pan adwokata o nazwisku Bannick? Ross Bannick.

– Jasne. Znałem większość miejscowych papug. Później wybrano go na sędziego. Chyba nadal nim jest.

– Czy jest możliwe, że to on był ofiarą domniemanej napaści?

Ozment ponownie wbił wzrok w raport z aresztowania i w końcu się uśmiechnął.

– No tak. Ma pan rację. Teraz sobie przypomniałem. Ten facet, Verno, malował Bannickowi dom i powiedział, że ten nie zapłacił mu całej forsy. Bannick twierdził, że praca nie została w całości wykonana. Ścięli się któregoś dnia i Bannick zeznał, że Verno groził mu bronią. Ten zaprzeczał. Jeśli dobrze pamiętam, sędzia oddalił zarzuty, bo nie było dowodów. Po prostu słowo przeciwko słowu.

– Jest pan pewien?

– Tak, przypomniałem sobie. To dość niezwykle mieć adwokata jako poszkodowanego w sprawie. Nie zeznawałem, bo nic nie widziałem. Pamiętam, że Bannick był porządnie wkurzony. Jako adwokat myślał, że sędzia weźmie jego stronę.

– Widział się pan później z Bannickiem?

– Jasne. Kiedy wybrano go do sądu okręgowego, widywałem go bardzo często. Ale od wielu lat nie pracuję w policji. I wcale za nią nie tęsknię.

– Bannick nie kontaktował się z panem po tym, jak pan oszczędł?

– Nie było powodu.

– Dzięki. Być może będę musiał jeszcze do pana zadzwonić.

– Jestem do dyspozycji.

Kiedy rozmawiali, podwładni Ozmenta sprawdzili tablice rejestracyjne samochodu detektywa. Był wynajęty. Jego historia raczej nie trzymała się kupy. Gdyby Ozmentowi na tym zależało, mógłby spróbować namierzyć Jeffa Dunlapa. Ale stara sprawa z sądu miejskiego nie wydawała mu się ważna.

Wyjeżdżając z hotelu, Tabor zadzwonił do klientki.

...

Jeri zakręciło się w głowie i ugięły się pod nią kolana. Siadła na sofie w swoim zagraconym mieszkaniu i zaciskając powieki, wzięła kilka głębokich oddechów. Ośmiu zabitych w siedmiu różnych stanach. Siedem ofiar zaduszonych w identyczny sposób, wszystkie, które przez czysty pech zderzyły się na swojej życiowej drodze z Rossem Bannickiem.

Gliniarze z Biloxi nie dotrą do Norrisa Ozmenta i nie dowiedzą się o zakończonej w sądzie awanturze między Lannym Verno i Bannickiem. Odkryją co najwyżej, że Verno został złapany za kierownicą po pijaku, i zignorują to jako mało ważne. Był w końcu ofiarą, nie zabójcą, a tego rodzaju wykroczenia niewiele ich obchodziły. Sprawa nie posuwała się naprzód, śledztwo znalazło się w ślepych zaułku.

Zabójca śledził ofiarę przez prawie trzynaście lat. Wyprzedzał policję o kilka długości.

Oddychaj głęboko, powiedziała sobie. Nie zdołasz rozwiązać tajemnicy wszystkich morderstw. Wystarczy ci jedno.

Rozdział 15

Oprócz całkiem pokaźnej podwyżki, którą chętnie przyjęła, i większego gabinetu, do którego się nie przeprowadziła, awans nie dawał Lacy wielu dodatkowych przywilejów. Jednym z nich był jednak służbowy samochód, najnowszy model chevroleta impali z niskim przebiegiem. Jeszcze niedawno wszyscy śledczy mieli do dyspozycji służbowe auta i nie przejmowali się wydatkami na podróże. Cięcia budżetowe położyły temu kres.

Lacy zdecydowała, że jej przybocznym zostanie Darren Trope i jako taki będzie ją często woził. Wkrótce dowie się o tajemniczej świadkini i jej zapierających dech oskarżeniach, nie pozna jednak, przynajmniej na razie, jej prawdziwej tożsamości.

Darren zaparkował na w połowie pustym hotelowym parkingu przy międzystanowej dziesiątce, kilkanaście kilometrów na zachód od Tallahassee.

– Nasz kontakt zobaczy, że wchodzimy do hotelu, więc od razu dowie się, że tutaj jesteś – powiedziała Lacy.

– Nasz kontakt?

– Przykro mi, ale w tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Uwielbiam to. Całą tę atmosferę tajemniczości.

– Nie masz pojęcia, w co się wplątujesz. Siedź po prostu w lobby albo w hotelowej kawiarni.

– Gdzie spotykasz się z naszym kontaktem?

– Na trzecim piętrze.

– Nie czujesz się zagrożona?

– Nie, a poza tym mam ciebie i w razie czego przyjdiesz mi z pomocą. Zabrałeś pistolet?

– Zapomniałem.

– Co z ciebie za agent?!

– Nie wiem. Myślałem, że jestem po prostu nisko opłacanym, niskiej rangi inspektorem śledczym.

– Załatwię ci podwyżkę. Jeśli nie wrócę po godzinie, możesz zakładać, że jestem porwana i prawdopodobnie torturowana.

– I co mam wtedy robić?

– Uciekaj.

– Masz to jak w banku. Posłuchaj, Lacy, jaki jest dokładnie cel tego małego rendez-vous?

– No właśnie. Co my tutaj robimy? Spodziewam się, że nasz kontakt wręczy mi oficjalną skargę przeciwko sędziemu okręgowemu, z zarzutami, że sprawując urząd, popełnił zabójstwo, być może wiele razy. Próbowалам kilkakrotnie odesłać nasz kontakt gdzie indziej, najlepiej do FBI albo innej zwalczającej poważną przestępczość agencji, ale ta osoba jest uparta i ciężko przerażona. Śledztwo, bez względu na to, jak będzie wyglądało, zacznie się u nas. A gdzie się zakończy, nie mam pojęcia.

– Znasz dobrze nasz kontakt?

– Nie. Spotkałyśmy się dwa tygodnie temu. W kawiarni na parterze Siler Building. Zrobiłeś jej zdjęcie.

– Więc to ta kobieta?

– Tak.

– Wierzysz jej?

– Chyba tak. Ciągłe się waham. To przerażające zarzuty, ale skarżąca przedstawia całkiem mocne poszlaki. Nie żelazne dowody, pamiętaj, ale wystarczająco ciekawe fakty, żeby nabrać podejrzeń.

– To niesamowite, Lacy. Musisz mnie dopuścić do śledztwa. Uwielbiam historie spod znaku płaszcza i szpady.

– Bierzesz udział w tym śledztwie, Darren. Ty i Sabelle. To jest nasz zespół. Rozumiesz? Tylko nasza trójka. I musisz mi obiecać, że nie będziesz mnie pytać o prawdziwą tożsamość skarżącej.

Darren przystawił palec do ust.

– Obiecuję.

– Idziemy.

Kawiarnia była po prawej stronie lobby, za recepcją. Darren oddalił się tam bez słowa, a Lacy pojechała na trzecie piętro, znalazła właściwy pokój i wcisnęła dzwonek.

Jeri otworzyła drzwi bez słowa i bez uśmiechu. Pokój był mały, z pojedynczym łóżkiem.

Lacy weszła powoli do środka, rozglądając się dokoła.

– Dzięki, że przyjechałaś – odezwała się po chwili Jeri. – Usiądź. – W pokoju stało tylko jedno krzesło, naprzeciwko telewizora.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Lacy.

– Jestem wrakiem człowieka, totalnym wrakiem. – Zniknęły gdzieś stylowe ciuchy i podróbki designerskich okularów. Jeri miała na sobie czarny dres i znoszone tenisówki. Nie była umalowana i wydawała się o wiele starsza. – Usiądź, proszę.

Lacy usiadła na krześle, a Jeri na skraju łóżka.

– To jest moja skarga – powiedziała, wskazując leżące na biurku papiery. – Staralam się streszczać i użyłam nazwiska Roe. Betty Roe. Mam twoje słowo, że nikt inny nie pozna mojego prawdziwego?

– Nie mogę tego obiecać, Jeri. Już o tym mówiłyśmy. Mogę ci zagwarantować, że nikt w KDS nie pozna twojego nazwiska, ale na późniejszym etapie nie ma żadnych gwarancji.

– Na późniejszym etapie? Co to znaczy?

– Mamy czterdzieści pięć dni, żeby rozpatrzyć twoją skargę. Jeśli znajdziemy dowody, które ją potwierdzą, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak pójść z tym na policję albo do FBI. Nie możemy aresztować tego sędziego za zabójstwa, Jeri. Rozmawiałyśmy już o tym. Możemy zdjąć go z urzędu, ale utrata pracy nie będzie w tym momencie jego największym zmartwieniem.

– Musicie mnie przez cały czas chronić.

– Zrobimy to, co do nas należy, tyle mogę ci obiecać. W KDS nikt poza mną nie będzie znał twojego nazwiska.

– Wolałabym nie trafić na jego listę, Lacy.

– Ja też wolałabym na nią nie trafić.

Jeri włożyła ręce do kieszeni i zatopiona w myślach, zakołysała się na piętach.

– On znowu zabija – odezwała się po dłuższej chwili. – I nie przestanie tego robić.

– Twierdzisz, że jest kolejna ofiara?

– Owszem. Pięć miesięcy temu zabił niejakiego Lanny'ego Verno w Biloxi, w stanie Missisipi. Ta sama metoda, taki sam sznur. Odkryłam, dlaczego to zrobił. Ja to odkryłam, nie policja, lecz ja. Trafiłam na ślad Verna w Pensacoli, sprzed trzynastu lat. Udało mi się ustalić, jak mogły się

skrzyżować ich ścieżki, i odkryłam to ja, nie policja. Policja nie ma o tym pojęcia.

– Policja nie wie również nic o Bannicku – zauważyła Lacy. – Co się wydarzyło?

– Chodziło o dawną awanturę przy remoncie domu Bannicka. Wygląda na to, że Verno postraszył go pistoletem. Powinien był chyba pociągnąć za spust. Bannick pracował wtedy jako adwokat, nie sędzia, i oskarżył Verna o napaść. W sądzie oddalono zarzuty. Verno został zwolniony i jak się domyślam, trafił na listę Bannicka. A ten czekał trzynaście lat. Potrafisz to sobie wyobrazić, Lacy?

– Nie.

– Zabija coraz częściej, co jest dość typowe. Każdy seryjny zabójca jest inny i z pewnością nie ma żadnych ogólnych zasad, których by przestrzegali. Często zdarza się, że przyspieszają, a potem ponownie zwalniają. – Jeri kołysała się w przód i w tył jak w transie. – Ale nasz zaczyna ryzykować, popełnia błędy. O mało nie został złapany, kiedy jakiś biedak pojawił się w nieodpowiednim momencie w miejscu zabójstwa. Bannick roztrzaskał mu czaszkę. Zabił go, lecz nie użył sznura. Sznur jest tylko dla wybranych.

Lacy ponownie zdziwiła pewność siebie, z jaką Jeri opisywała rzeczy, których nigdy nie widziała i których nie była w stanie udowodnić. Jej siła przekonywania była frustrująca.

– Co wiemy o miejscu zbrodni? – zapytała.

– Niewiele, bo nadal trwa śledztwo i policja nie ujawnia żadnych informacji. Drugi zabity był miejscowym budowlańcem i znał wielu ludzi, w związku z czym policja jest pod presją. Ale wydaje się, że Bannick tak jak zawsze nie pozostawił żadnych śladów.

– Sześć plus dwa daje osiem ofiar.

– O których wiemy. Może być ich więcej.

Lacy wzięła leżące na biurku papiery, ale nie zaczęła ich czytać.

– Czego dotyczy skarga? – zapytała.

Jeri przestała się kołysać i pomasowała oczy, jakby była senna.

– Tylko trzech zabójstw. Ostatnich trzech – odparła. – Lanny’ego Verno i Mike’a Dunwoody’ego w zeszłym roku oraz Perry’ego Kronke’a w Marathon dwa lata temu. Kronke był starszym wspólnikiem w dużej kancelarii. Prawdopodobnie wycofał się z propozycji zatrudnienia Bannicka po ukończeniu przez niego wydziału prawa.

– Dlaczego akurat te zabójstwa?

– Lanny’ego Verno, bo łatwo udowodnić jego związki z Pensacolą. Mieszkał tam kiedyś i udało mi się go namierzyć. Sprawa jest łatwa, kiedy pokażemy policji, jak to zrobić. Trzeba przejrzeć stare wokandy online i akta przechowywane w magazynie. Rzeczy, które już odkryłam, Lacy. Nakarmimy tym łyżeczką gliniarzy i być może uda im się złożyć to do kupy.

– Będą potrzebowali jakichś dowodów rzeczowych. Nie tylko koincydencji.

– To prawda. Ale oni nigdy nie słyszeli o Rossie Bannicku. Kiedy powiesz im, kim jest, i połączysz kropki, wówczas będą mogli załatwić nakazy.

– A Kronke? Dlaczego on?

– To jedyne morderstwo popełnione na Florydzie i w grę wchodzi dłuższa podróż. Jazda z Pensacoli do Marathon na Florida Keys trwa dziesięć godzin, więc Bannick nie załatwił tego w jeden dzień. Musiał wynająć pokój w hotelu, kupić benzynę. Być może poleciał samolotem. To zostawia ślady. Będziesz mogła prześledzić jego kroki przed zabójstwem

i po nim. Przejrzeć jego wokandę, zobaczyć, kiedy miał rozprawy, i tak dalej. Prosta detektywistyczna robota.

– Nie jesteśmy detektywami.

– Jesteście przecież śledczymi, prawda?

– Swego rodzaju.

Jeri wstała, przeciągnęła się i podeszła do okna.

– Kim jest facet, który z tobą przyjechał? – zapytała, wyglądając na zewnątrz.

– Darren. Kolega z pracy.

– Po co go ze sobą zabrałaś?

– Ponieważ w ten sposób pracuję, Jeri. Jestem teraz szefową i to ja ustaliam reguły.

– Tak, ale czy mogę ci ufać?

– Jeśli mi nie ufasz, zanieś swoją skargę na policję. To do nich zresztą powinna trafić. Nigdy nie prosiłam się o tę sprawę.

Jeri zasłoniła nagle oczy dłońmi i załkała. Lacy, zaskoczona tym nagłym wybuchem emocji, pożałowała, że nie okazuje jej więcej współczucia. Miała do czynienia z kruchą kobietą.

Podala jej jednorazowe chusteczki z łazienki i czekała, aż kryzys minie.

– Przepraszam cię – powiedziała Jeri, wycierając policzki. – Jestem w rozsypce i nie wiem, jak długo jeszcze zdołam to ciągnąć. Nigdy nie sądziłam, że dotrę do tego punktu.

– W porządku, Jeri. Obiecuję, że zrobię, co mogę, i że będę chroniła twoje nazwisko.

– Dziękuję.

Lacy zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę, że jest w tym pokoju dopiero osiemnaście minut. Jeri jechała tu z Mobile cztery godziny.

W pokoju nie było kawy, ciastek, wody, niczego, co można by potraktować jako śniadanie.

– Muszę się napić kawy – oznajmiła Lacy. – Zamówić dla ciebie?

– Jasne. Dzięki.

Wysłała esemesa do Darrena, kazała mu kupić dwie duże kawy i dodała, że odbierze je za dziesięć minut przy windzie na dole.

– Włączyłaś do skargi Lanny’ego Verno – zwróciła się do Jeri, odkładając telefon – bo mieszkał kiedyś w Pensacoli i tam właśnie zetknął się z Bannickiem, tak?

– Zgadza się.

– Ale to nie jedyna ofiara z Pensacoli. Również pierwsza ofiara, drużynowy skautów, Thad Leawood, dorastał w tym mieście, niedaleko od domu Bannicka. Zamordowany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, prawda?

– Tak, w dziewięćdziesiątym pierwszym.

– I twoim zdaniem był pierwszy?

– Mam taką nadzieję, ale nie wiem. To wie tylko Bannick.

– A ten reporter, Danny Cleveland, pisywał do „Pensacola Ledger” i mieszkał tam przed piętnastu laty. Znaleziono go martwego w jego mieszkaniu w Little Rock.

– Widzę, że odrobiłaś pracę domową.

Lacy wyszła z pokoju, kręcąc głową. Odebrała kawę od Darrena i po kilku minutach wróciła. Postawiła kubek Jeri na komodzie, ale ta go zignorowała. Lacy upiła duży łyk, podeszła do drzwi i wróciła.

– W aktach, które dałaś mi na początku, jest mowa o dwóch kobietach, które były jego ofiarami – powiedziała. – Ale teraz o nich nie wspominasz. Możesz powiedzieć coś więcej?

– Oczywiście. Podczas studiów na Florydzie poznał dziewczynę, Eileen Nickleberry. Obracali się w tych samych kręgach. Pewnego wieczoru imprezowali w bractwie, do którego należał Bannick, i wszyscy ostro pili. Dużo wódki, trawki, przypadkowego seksu. Bannick i Nickleberry poszli do jego pokoju, ale najwyraźniej mu nie stanął. Dziewczyna wyśmiała go, powiedziała innym i poczuł się upokorzony. W bractwie stał się przedmiotem kpin. To było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Mniej więcej trzynaście lat później Eileen została zamordowana niedaleko Wilmingtonu w Karolinie Północnej.

Lacy słuchała tego z niedowierzaniem.

– Drugą dziewczyną była Ashley Barasso – kontynuowała Jeri. – Studiowali razem na wydziale prawa w Miami, to jest pewne. Zginęła przez uduszenie, takim samym sznurem, sześć lat po tym, jak ukończyli studia. Wiem o niej mniej niż o innych ofiarach.

– Gdzie została zamordowana?

– W Columbus w Georgii. Mężatka, dwójka małych dzieci.

– To straszne.

– Wszystkie te zbrodnie są straszne, Lacy.

– Jasne.

– Moim zdaniem Bannick ma poważny problem z seksem. Wynikający zapewne z molestowania przez Thada Leawooda, kiedy miał jedenaście albo dwanaście lat. Nie otrzymał chyba pomocy i wsparcia, jakich potrzebował. Często tak się zdarza z dziećmi. Tak czy owak, nie doszedł po tym do siebie. Zamordował Eileen, bo się z niego nabijała. Nie wiem, co się zdarzyło między nim a Ashley Barasso, i prawdopodobnie nigdy się nie dowiem. Ale studiowali na tym samym roku, w tej samej grupie, więc można bezpiecznie założyć, że się znali.

– Czy przed zabójstwem lub po nim były molestowane seksualnie?

– Nie, jest na to za sprytny. W miejscu zbrodni najważniejszym dowodem rzeczowym są zwłoki. Mogą dostarczyć, i na ogół dostarczają, wielu informacji. Ale Bannick jest ostrożny i pozostawia po sobie tylko sznur. Jego motywem jest zawsze zemsta. Z wyjątkiem Mike’a Dunwoody’ego, który pojawił się, niestety, w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu.

– No dobrze. Pozwól, że zapytam cię o coś, co wydaje się dość oczywiste. Jesteś Afroamerykanką.

– No, tak.

– Domyślałam się, że w latach osiemdziesiątych bractwa studenckie na Uniwersytecie Florydy składały się w przeważającym stopniu z białych studentów.

– Zgadza się.

– A ty tam nie studiowałaś?

– Nie.

– Więc jak udało ci się poznać historię Bannicka i Eileen? To wszystko plotki, opowieści z trzeciej ręki i historia zapamiętana przez garstkę bogatych nadużywających alkoholu studentów. Mam rację?

– W zasadzie tak.

– No więc?

Jeri otworzyła dużą sfatygowaną teczkę, wyjęła z niej książkę i wręczyła ją Lacy. Ta wbiła wzrok w nazwisko autorki.

– Kto to jest Jill Monroe? – zapytała.

– To ja. Wydałam tę książkę na własny koszt. Jest jedną z kilku, które opublikowałam, każdą pod innym pseudonimem. Nie nadaje się raczej do czytania i nie chciałam, żeby ktoś ją czytał. To jest mój kamuflaż, Lacy, fragment fikcji, którą stało się moje życie.

– O czym jest ta książka?

– To tak zwane true crime, rzeczy, które ściągnęłam z internetu, niestrzeżone prawem autorskim.

– Zamieniam się w słuch.

– Posługuję się tymi książkami, żeby zyskać wiarygodność. Udaję weterankę gatunku true crime i kronik kryminalnych. Oczywiście freelancerkę, zawsze freelancerkę. Mówię, że pracuję nad książką o nierozwiązanych zabójstwach młodych kobiet, które zostały uduszone. W tej konkretnej sprawie sprawdziłam listę stowarzyszeń studenckich na Uniwersytecie Florydy i w końcu rozwiązałam łamigłówkę. Żadna z dawnych koleżanek Eileen nie chciała ze mną gadać. To zajęło mi całe miesiące, może lata, ale w końcu znalazłam wylewnego członka bractwa. Spotkałam się z nim w barze w St. Pete. Powiedział, że znał Eileen i znało ją wielu chłopców. I że od wielu lat nie rozmawiał z Bannickiem. Po paru drinkach opowiedział mi o jego nieudanej akcji z Eileen. Dodał, że Bannick strasznie to przeżywał.

Lacy chodziła przez chwilę po pokoju, próbując to ogarnąć.

– No dobrze, ale jak w ogóle dowiedziałaś się o śmierci Eileen? – zapytała.

– Mam informatora. Stukniętego informatyka. Byłego gliniarza, który zbiera i analizuje więcej statystyk dotyczących zbrodni niż ktokolwiek inny na tej planecie. W Stanach dochodzi rocznie do trzystu zabójstw przez uduszenie. Wszystkie są raportowane do FBI. Mój informator bada zamknięte śledztwa i szuka wzorów postępowania i podobieństw. Trafił na zabójstwo Eileen Nickleberry dziesięć lat temu i poinformował mnie o nim. Trafił na zabójstwo Lanny'ego Verno i też mnie o nim poinformował. Nie wie nic o Bannicku i nie ma pojęcia, jak wykorzystuję jego informacje. Myśli, że jestem autorką piszącą o prawdziwych zbrodniach.

– Podziela twój punkt widzenia? Że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą?

– Nie płacę mu, żeby podzielał mój punkt widzenia, i nigdy o tym nie dyskutujemy. Płacę mu, żeby przesiewał dane i zawiadamiał mnie, kiedy coś wydaje się podejrzanе.

– Gdzie jest ten facet? Pytam z czystej ciekawości.

– Nie wiem. Używa różnych nazwisk i adresów, tak jak ja. Nigdy się nie spotkaliśmy, nigdy nie rozmawialiśmy przez telefon i nigdy nie będziemy. Gwarantuje całkowitą anonimowość.

– Jak mu płacisz? Jeśli wolno zapytać.

– Gotówką przesyłaną na skrzynkę pocztową w Maine.

Przytłoczona tym wszystkim Lacy usiadła. Wypiła kolejny łyk kawy i wzięła głęboki oddech. Zaczęła sobie uświadamiać, jak wiele informacji zdołała zgromadzić Jeri w ciągu minionych dwudziestu paru lat.

– Wiem, że jest tego bardzo dużo – powiedziała Jeri, jakby czytała jej w myślach, po czym wyjęła z kieszeni pendrive'a i jej podała. – Jest tam wszystko, ponad sześćset stron danych, artykuły prasowe, akta policji. Wszystko, co moim zdaniem może się okazać użyteczne. I wiele rzeczy, które mogą się takie nie okazać.

Lacy wzięła pendrive'a i schowała go do kieszeni.

– Jest zaszyfrowany – poinformowała ją Jeri. – Prześlę ci esemesem hasło.

– Dlaczego go zaszyfrowałaś?

– Bo całe moje życie jest zaszyfrowane, Lacy. Wszystko, co robimy, zostawia ślad.

– Uważasz, że Bannick podąża twoim śladem?

– Nie wiem, ale staram się nie narażać.

– No dobrze, jaka jest szansa, że wie, że ktoś go namierzył? Mówimy o ośmiu zabójstwach, Jeri. Objęłaś poszukiwaniami duży obszar.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Osiem morderstw w ciągu dwudziestu dwóch lat i na tym nie koniec. Rozmawiałam z setkami ludzi, z których większość nie podała mi żadnych użytecznych informacji. Jasne, nie można wykluczyć, że ktoś z jego studenckich czasów powie mu, że pytała o niego jakaś kobieta, ale nigdy nie używam prawdziwego nazwiska. Owszem, jakiś gliniarz z Little Rock, Signal Mountain albo Wilmingtonu może się wygadać, że prywatny detektyw węszy wokół dawnego śledztwa w sprawie zabójstwa, ale nie sposób mnie z tym powiązać. Jestem niezwykle ostrożna.

– W takim razie dlaczego tak się niepokoisz?

– Bo Bannick jest bardzo sprytny, bardzo cierpliwy i nie zdziwiłoby mnie, gdyby wracał.

– Dokąd? – zapytała po chwili Lacy.

– Na miejsca przestępstwa. Robił to Ted Bundy i inni zabójcy, chyba wiesz. Bannick nie jest aż tak nieostrożny, ale może monitorować policję, sprawdzać, co się dzieje ze starymi aktami i czy ktoś się nimi nie interesuje.

– W jaki sposób?

– Przez internet. Może bez trudu hakować policyjne bazy danych i monitorować sytuację. A także skorzystać z usług prywatnych detektywów. Jeśli zapłacisz im odpowiednią sumę, wykonują dla ciebie robotę i zachowują to w tajemnicy.

Telefon Lacy cicho zabręczał. Spojrzała na ekran. Dzwonił Darren.

– Na górze wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. Będę za dziesięć minut – odparła, po czym odłożyła telefon i spojrzała na Jeri, która znów wycierała łzy z policzków i kołysała się na krześle.

– Możesz przyjąć, Jeri, że twoja skarga została złożona i zegar tyka – powiedziała Lacy.

– Będę informowana na bieżąco?

– Jak często?

– Codziennie?

– Nie. Odezwę się, kiedy... i jeśli... poczynimy jakieś postępy.

– Musicie poczynić postępy, Lacy, musicie go powstrzymać. Nie wyobrażam sobie innego rozwiązania. Jestem wykończona. Wykończona fizycznie, emocjonalnie i finansowo. Dotarłam do kresu swoich możliwości. Nie mogę uwierzyć, że w końcu znalazłam się w tym punkcie.

– Obiecuję, że będę w kontakcie.

– Dzięki, Lacy. Zachowaj ostrożność, proszę.

Rozdział 16

Sobota dwudziestego drugiego marca była pięknym ciepłym dniem i Darren Trope, dwudziestoosmioletni singiel, nie palił się, żeby spędzać go w biurze. Przyjechał do Tallahassee dziesięć lat wcześniej, przeżył osiem cudownych lat, studiując prawo i biznes, i nie planował rozstawać się z kampusem i tym, co się tam działo. Był jednak zadurzony w Lacy Stoltz, nowej szefowej, i kiedy kazała mu się stawić w sobotę rano o dziesiątej i przynieść markową kawę, zjawił się dziesięć minut wcześniej. Przyniósł również standardową kawę dla Sadelle, trzeciego członka ich „grupy zadaniowej”. Jako najmłodszy Darren miał zajmować się technologią oraz donoszeniem kawy.

Choć Lacy nie spodziewała się, że ktoś będzie im przeszkadzał, uprzedziła resztę personelu, że w sobotę rano biuro będzie niedostępne. W zespole, który kończył na ogół pracę w piątek w południe, szanse, że ktoś będzie nabijał w weekend nadgodziny, były niewielkie. Poniedziałkowy ranek był wystarczająco blisko.

Zebrali się w sali konferencyjnej obok gabinetu dyrektorki. Darren, który w poprzednią środę zawiózł szefową na spotkanie z „kontaktem”, coś niecoś już wiedział i nie mógł się doczekać, kiedy dowie się więcej. Sadelle, blada, schorowana i wyglądająca tak samo upiornie jak przez ostatnie siedem lat, siedziała przy stole na elektrycznym wózku inwalidzkim i delektowała się tlenem.

Lacy wręczyła im obojgu kopię skargi Betty Roe i zaczęli ją w milczeniu czytać. Sadelle wzięła głęboki oddech.

– Więc to jest ta skarga dotycząca zabójstwa, o której wspominałaś – powiedziała.

– Tak jest.

– A Betty Roe to nasza tajemnicza dziewczyna?

– Tak.

– Mogę zapytać, dlaczego się w to angażujemy? Wydaje mi się, że to sprawa dla facetów, którzy noszą broń u pasa.

– Próbowałam wyperswadować Betty Roe składanie u nas tej skargi, ale nie byłam w stanie jej powstrzymać. Nie chce iść z tym na policję, bo boi się Rossa Bannicka. Jest przekonana, że może stać się jednym z jego celów.

Sadelle spojrzała z powątpiewaniem na Darrena, po czym oboje wrócili do lektury. Kiedy skończyli, zapadła długa cisza.

– Powiedziałaś „jednym z jego celów” – odezwał się w końcu Darren. – Jakby w tej sprawie było drugie dno.

Lacy uśmiechnęła się.

– Mamy osiem ofiar. Trzy, o których mowa jest w tej skardze, plus pięć innych. Zdaniem Betty zabójstwa zaczęły się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku i trwają aż do dzisiaj, to znaczy do uśmiercenia Lanny’ego Verno pięć miesięcy temu. Betty uważa, że Bannick zasmakował w tym i może stać się nieostrożny.

– Jest ekspertką od seryjnych zabójców? – zapytał Darren.

– Nie bardzo wiem, jak zostaje się ekspertem od takich spraw, ale Betty dużo wie. Śledzi... to jej słowo, nie moje... Bannicka od ponad dwudziestu lat.

– Co ją do tego skłoniło?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku Bannick zamordował jej ojca. To była ofiara numer dwa.

Ponownie zapadło długie milczenie. Darren i Sadelle wbijali wzrok w blat stołu.

– Czy ona jest wiarygodna? – zapytała po chwili Sadelle.

– Czasami bardzo. Jej zdaniem Bannick zabija z zemsty i ma listę potencjalnych ofiar. Uważa, że jest metodyczny, cierpliwy i bardzo inteligentny.

– Jaką kartotekę ma u nas Bannick? – zapytał Darren.

– Czystą. Żadnych skarg. Bardzo dobrze oceniany przez radę adwokacką.

Sadelle łyknęła trochę tlenu.

– Motyw zemsty oznacza, że znał wszystkie ofiary, tak? – zapytała.

– Tak.

Darren nagle zachichotał i obie zmierzyły go surowym wzrokiem.

– Przepraszam – rzucił – ale nie mogę przestać myśleć o czterech innych skargach, które mam teraz na biurku. Jedna dotyczy dziewięćdziesięcioletniego sędziego, który nie jest już w stanie dotrzeć do sądu. Być może jest sztucznie podtrzymywany przy życiu. W innej chodzi o sędziego, który przemawiając w Klubie Rotariańskim, wygłosił komentarz na temat toczącej się sprawy.

– Rozumiemy, o co ci chodzi – powiedziała Lacy. – Wszyscy zajmujemy się takimi sprawami.

– Wiem, przepraszam. Rzecz w tym, że teraz mamy rozwiązać sprawę ośmiu zabójstw.

– Nieprawda. W skardze jest mowa tylko o trzech.

Sadelle zerknęła ponownie na swoją kopię skargi.

– No dobrze – mruknęła. – Te pierwsze dwa zabójstwa, Lanny Verno i Mike Dunwoody. Jakie są związki czy domniemane związki Bannicka z tymi dwoma mężczyznami?

– Nic nie wiąże go z Dunwoodym, który pojawił się po prostu na miejscu zbrodni zaraz po tym, jak Bannick zamordował Lanny'ego Verno. Trzydzieści lat wcześniej Verno i Bannick starli się w miejskim sądzie w Pensacoli. Verno wygrał i znalazł się na czarnej liście Bannicka.

– Dlaczego Betty wybrała akurat tę sprawę?

– Bo śledztwo nadal się toczy i mamy dwie ofiary w tym samym miejscu. Być może gliniarze z Missisipi coś wiedzą.

– A ten trzeci, Perry Kronke?

– Ta sprawa też nie została zamknięta i jest jedyną, która toczy się na Florydzie. Betty uważa, że policja w Marathon nie ma żadnych tropów. Bannick wie, co robi, i nie zostawia żadnych śladów poza sznurem na szyi ofiary.

– Wszystkich osiem ofiar zostało zaduszonych? – zapytał Darren.

– Z wyjątkiem Dunwoody'ego. Pozostała siódemka została zaduszona tego samego rodzaju sznurem, zawiązanym takim samym dziwnym żeglarskim węzłem.

– Jaki był motyw w przypadku Kronke'a?

– Pytasz o to, w jaki sposób trafił na listę?

– No, tak.

– Bannick skończył prawo na Uniwersytecie Miami. Dostał staż w dużej tamtejszej kancelarii, w której Kronke był starszym współpracownikiem. Zdaniem Betty firma w ostatniej chwili wycofała ofertę pracy i Bannick wylądował na lodzie. Musiało go to niezłe wkurzyć.

– Czekał z tym dwadzieścia jeden lat? – zdziwiła się Sadelle.

– Tak uważa Betty.

– I znaleźli Kronke’a na jego łódce ze sznurem zawiązanym na szyi?

– Tak, według wstępnego raportu policji. Jak mówiłam, choć minęły już dwa lata i policja nic nie znalazła, sprawa jest nadal otwarta i nie ma publicznego dostępu do akt.

Wszyscy troje popijali przez dłuższą chwilę kawę i starali się zebrać myśli.

– Mamy czterdzieści pięć dni, żeby rozpatrzyć skargę i coś z tym zrobić – odezwała się w końcu Lacy. – Jakies pomysły?

– Myślę, że powinnam odejść na emeryturę – zarzęziła Sadelle.

To rozśmieszyło pozostałych dwoje, choć Sadelle nie była raczej znana z poczucia humoru. Koledzy z KDS spodziewali się, że prędzej umrze, niż przejdzie na emeryturę.

– Twoja prośba o dymisję została niniejszym odrzucona – powiedziała Lacy. – Musisz wspierać mnie w tej sprawie. Darren?

– No... nie wiem. Te zabójstwa są badane przez detektywów z wydziału zabójstw, którzy są wyszkoleni i doświadczeni. I nie udaje im się znaleźć żadnych tropów? Nie mają żadnych podejrzanych? Co, do diabła, mamy zrobić? Kusi mnie udział w takiej zwariowanej sprawie, ale to jest zajęcie dla kogoś innego.

Lacy pokiwała głową.

– Na pewno masz jakiś plan – mruknęła Sadelle.

– Tak – przyznała Lacy. – Betty chce zachować anonimowość i boi się angażować w to policję. Dlatego zwraca się do nas. Wie, że mamy ograniczoną jurysdykcję, ograniczone środki, ograniczone wszystko. Wie również, że z mocy prawa jesteśmy zobowiązani rozpatrzyć każdą skargę, więc nie możemy tej po prostu odrzucić. Uważam, że powinniśmy się tym zająć bezpiecznie, po cichu, żeby nie spłoszyć Bannicka, i po mniej więcej

trzydziestu dniach zobaczymy, co mamy. I wtedy prześlemy to prawdopodobnie policji stanowej.

– Teraz rozumiem – rzucił Darren. – Jeżeli Bannick jest seryjnym zabójcą, w co nie do końca wierzę, niech dopadną go prawdziwi gliniarze.

– Sabelle?

– Nie chcę trafić na jego listę.

Rozdział 17

W następny wtorek dwie trzecie grupy zadaniowej opuściło o ósmej rano Tallahassee i pojechało do oddalonego o cztery godziny jazdy Biloxi. Samochód prowadził Darren, przyboczny, podczas gdy Lacy, szefowa, czytała raporty, telefonowała i generalnie zajmowała się rzeczami, którymi powinna się zajmować tymczasowa dyrektorka KDS. Szybko odkryła, że zarządzanie zasobami ludzkimi jest najmniej przyjemną częścią jej roboty.

– Czytam ostatnio o seryjnych zabójcach – odezwał się nagle Darren, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę. – Wiesz, kto jest amerykańskim rekordzistą, jeśli chodzi o liczbę ofiar?

– Jezu, nie mam pojęcia. Może ten Gacy, który zabił kilkadziesiąt osób w Chicago?

– John Wayne Gacy zabił trzydzieści dwie osoby, a w każdym razie tyle zapamiętał. Zakopał je pod swoim domem na przedmieściach. Policja znalazła szczątki dwudziestu ośmiu, więc uznano, że mówi prawdę. Zeznał, że kilka zwłok wyrzucił do rzeki, nie był jednak pewien ile.

– A Ted Bundy?

– Bundy oficjalnie przyznał się do trzydziestu, ale ciągle zmieniał zeznania. Zanim usmażono go na krześle elektrycznym... nawiasem mówiąc, tu, w naszym ukochanym stanie... spędził dużo czasu ze

śledczymi z całego kraju, głównie z zachodnich stanów, skąd pochodził. Miał błyskotliwy umysł, ale nie pamiętał po prostu wszystkich ofiar. Uważa się powszechnie, że zabił około stu młodych kobiet, lecz nie sposób tego potwierdzić. Często zabijał kilka osób jednego dnia i porywał po kilka ofiar w tym samym miejscu. Głosuję na niego jako na najbardziej porąbanego w całym tym porąbanym towarzystwie.

– I to on jest rekordzistą?

– Nie, jeśli chodzi o potwierdzone zabójstwa. Niejaki Samuel Little przyznał się do dziewięćdziesięciu i zakończył swoją działalność dopiero przed dziesięciu laty. Władze wciąż prowadzą śledztwo. Do tej pory potwierdziły sześćdziesiąt zabójstw.

– Widzę, że naprawdę cię to wciągnęło.

– To są fascynujące rzeczy. Słyszałaś kiedyś o Mordercy z nad Green River?

– Chyba tak.

– Przyznał się do siedemdziesięciu, skazany został za czterdzieści dziewięć. Prawie wszystkie ofiary były pracownicami seksualnymi w rejonie Seattle.

– Do czego zmierzasz?

– Nie powiedziałem, że do czegoś zmierzam. Fascynujące jest to, że żaden z tych facetów nie zabijał przez cały czas w ten sam sposób. I nie znalazłem na razie żadnego, który robiłby to przez dwadzieścia lat i zabijał tylko tych, których znał. Wszyscy to zbrodniarze psychopaci, niektórzy bardzo inteligentni, inni mniej, ale z tego, co udało mi się ustalić w trakcie dość szerokich poszukiwań, żaden nie jest nawet w odległym stopniu podobny do Bannicka. Do kogoś, kto zabija tylko z zemsty i ma listę ofiar.

– Nie wiemy, czy ma listę ofiar.

– Możesz to nazwać, jak chcesz. Pamięta nazwiska tych, którzy mu podpadli, i przez długie lata ma ich na celowniku. To wydaje się bardzo nietypowe.

Lacy westchnęła i pokręciła głową.

– Nadal nie mogę w to wszystko uwierzyć – powiedziała. – Mówimy o wyłanianym w wyborach popularnym sędzim, tak jakbyśmy wiedzieli na pewno, że zabił kilka osób. Z zimną krwią.

– Nie jesteś przekonana?

– Nie wiem. A ty?

– Ja chyba tak. Jeśli Betty Roe prawidłowo ustaliła fakty, a Bannick rzeczywiście znał wcześniej ofiary, to nie może być zwykły zbieg okoliczności.

W tym momencie zawibrował jej telefon i musiała odebrać.

...

Dale Black, szeryf hrabstwa Harrison, czekał już na nich, kiedy punktualnie o drugiej po południu przyjechali do jego biura. Poprowadził ich korytarzem do małej wielofunkcyjnej sali, przedstawił detektywowi Napierowi, który prowadził śledztwo, po czym wszyscy usiedli przy stole.

– Sprawdziliśmy was online – zaczął rozmowę szeryf – i wiemy trochę, czym się zajmujecie. W gruncie rzeczy nie jesteście prawdziwymi śledczymi, zgadza się?

Lacy uśmiechnęła się, bo wiedziała, że kiedy ma do czynienia z mężczyznami nieco od niej starszymi, czarujący uśmiech pomaga na ogół uzyskać to, co chciała, w każdym razie dużo z tego, co chciała. A jeśli tego nie uzyska, może zawsze liczyć na to, że rozbroi facetów i zneutralizuje ich negatywne nastawienie.

– Zgadza się – odpowiedziała. – Jesteśmy prawnikami i zajmujemy się skargami złożonymi na sędziów.

Napierowi spodobał się jej uśmiech i odpowiedział swoim, który był zdecydowanie mniej sympatyczny.

– Na sędziów Florydy, tak? – zapytał.

– Tak, mamy siedzibę w Tallahassee i pracujemy na rzecz tego stanu – odparła Lacy.

Darren, któremu wcześniej kazała milczeć i wszystko notować, wypełniał jej instrukcje co do joty.

– Pytanie brzmi: dlaczego interesuje was to podwójne zabójstwo? – zapytał Napier.

– To chyba oczywiste. Zarzucamy po prostu wędkę. Dostaliśmy właśnie skargę na sędziego, w niezwiązanej z tym sprawie, i w trakcie czynności przygotowawczych trafiliśmy na pewne informacje o Lannym Verno. Wiecie chyba, że kiedyś mieszkał na Florydzie?

Napier przestał się uśmiechać i spojrzał na szefa.

– Chyba tak – odparł, po czym otworzył grubą teczkę, polizał kciuk i przerzucił kilka kartek. – Tak, kilka lat wcześniej był zatrzymany na Florydzie za jazdę po pijanemu.

– Macie informacje, że mniej więcej w dwa tysiące pierwszym roku mieszkał w okolicach Pensacoli?

Detektyw zmarszczył czoło, zaczął znowu przerzucać kartki, ale w końcu pokręcił głową.

– Wiemy, że mieszkał tam wtedy i pracował jako malarz pokojowy i złota rączka – oznajmiła miłym tonem Lacy. – To może być dla was użyteczna informacja.

Napier zamknął teczkę i posłał jej kolejny uśmiech.

– Jego dziewczyna, ta, z którą mieszkał, powiedziała, że przyjechał tutaj przed kilku laty, ale okazał się, mówiąc delikatnie, nieodpowiedzialny.

– I miał krewnych w rejonie Atlanty? – zapytała Lacy. Było to pytanie, ale z jej tonu wynikało, że dobrze zna odpowiedź.

– Skąd o tym wiecie?

– Trafiliśmy na jego nekrolog, jeśli można to nazwać nekrologiem.

– Nie mieliśmy raczej większego kontaktu z jego rodziną. Za to bardzo często kontaktują się z nami Dunwoody'owie.

– Nie obrazicie się, że o to zapytam: czy macie już jakiegoś podejrzanego? – Lacy posłała im kolejny uśmiech.

Napier skrzywił się i spojrzał na szeryfa, a ten wyduł w odpowiedzi wargi.

– Nie pytam o jego nazwisko – dodała, zanim zdążyli odpowiedzieć, że nie, żadnego nie mają. – Ciekawi mnie, czy macie jakieś konkretne tropy.

– Nie mamy żadnych podejrzanych – wypalił szeryf Black.

– A wy macie? – zapytał Napier.

– Być może – odparła Lacy, już się nie uśmiechając.

Obaj gliniarze wypuścili głośno powietrze z płuc, jakby spadł im ciężar z serc. Jak skomentował później Darren, byli wyraźnie zbudowani tymi dwoma słowami: „Być może”.

– Co możecie nam powiedzieć o miejscu zbrodni? – zapytała Lacy.

Detektyw wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że to nie będzie takie łatwe.

– Dobrze, ale jakie obowiązują w tym wypadku zasady? – zapytał Black. – Nie jesteście z policji, nie jesteście nawet z tego stanu. Jak poufna jest nasza pogawędka? Jeśli przedstawimy wam szczegóły, nic nie wycieknie na zewnątrz, tak?

– Oczywiście. Nie jesteśmy policjantami, ale od czasu do czasu mamy do czynienia z działaniami przestępczymi, więc dobrze rozumiemy wymóg poufności. Nic dobrego nie wyniknie z powtarzania komuś uzyskanych tutaj informacji. Macie na to moje słowo.

– W miejscu zabójstwa nie było żadnych śladów. Żadnych odcisków, włókien, włosów, niczego. Krew należała wyłącznie do obu ofiar. Nie było nic, co świadczyłoby o stawianiu oporu albo walce. Verno był uduszony, ale na jego głowie była też poważna rana. Dunwoody miał roztrzaskaną czaszkę.

– A sznur?

– Sznur?

– Sznur na szyi Verna.

Napier miał zamiar odpowiedzieć, ale Black go powstrzymał.

– Może pani opisać ten sznur? – zapytał.

– Chyba tak. Jest albo zielono-, albo niebiesko-biały, żeglarski, nylonowy, o średnicy dziewięciu i pół milimetra i długości siedemdziesięciu pięciu centymetrów, poczwórnie pleciony. – Lacy umilkła i patrzyła, jak spoglądają na nią z niedowierzaniem. – Zawiązany przy podstawie czaszki podwójnym węzłem wyblinkowym – dodała.

Obaj gliniarze szybko się opanowali i przybrali pokerowe miny.

– Rozumiem, że zna pani naszego sprawcę z innego miejsca przestępstwa – powiedział Napier.

– Niewykluczone. Możemy rzucić okiem na fotografie?

Lacy nie miała pojęcia, jacy są sfrustrowani. Od podwójnego zabójstwa minęło pięć miesięcy, a oni nadal tkwili w ślepych zaułku. Każdy domniemany trop prowadził ich na manowce i oznaczał kolejną stratę czasu. Każda nowa teoria okazywała się błędna. Zabójstwo Verna zostało tak starannie zaplanowane, że musiało mieć jakiś powód, ale nie byli

w stanie ustalić motyw. Mało było wiadomo o jego przeszłości. Co do Dunwoody'ego, byli przekonani, że znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Wiedzieli o nim wszystko i nie znaleźli żadnego motywu.

Czy Lacy Stoltz z Komisji Dyscyplinarnej Sędziów mogła pomóc im dokonać przełomu w sprawie?

Przez pół godziny przeglądali wszyscy makabryczne zdjęcia z miejsca przestępstwa. Szeryf Black uprzedził wcześniej, że ma wkrótce ważne spotkania, ale nagle zostały odwołane.

W końcu Lacy i Darren, nadal nic nie mówiąc, zaczęli się szykować do wyjścia.

– Więc kiedy porozmawiamy o tym waszym podejrzanym? – zapytał szeryf.

– Nie teraz – odparła z uśmiechem Lacy. – Traktujemy to spotkanie jako pierwsze z kilku. Chcemy nawiązać z wami dobre robocze stosunki oparte na wzajemnym zaufaniu. Dajcie nam trochę czasu i pozwólcie działać. Jeszcze do was wrócimy.

– Taki układ wydaje się uczciwy. W tej sprawie jest jeden element, który może okazać się pomocny. Nie ma go w aktach, bo go utajnił. Wygląda na to, że sprawca popełnił błąd. Wiemy, jakim jeździł pojazdem.

– Pomocny? Wygląda mi na kluczowy.

– Być może. Widzieliście fotografie dwóch telefonów komórkowych, które zabrał ofiarom. Pojechał potem na północ do małego miasteczka Neely w Missisipi, godzinę jazdy stąd. Wsadził je do koperty bąbelkowej o wymiarach trzynaście na dwadzieścia centymetrów, zaadresował przesyłkę do mojej córki w Biloxi i wrzucił ją do standardowej skrzynki przed urzędem pocztowym.

Napier pokazał im kolejne zdjęcie, przedstawiające kopertę z adresem.

– W ciągu kilku godzin – podjął szeryf – namierzyliśmy telefony i znaleźliśmy je w tej skrzynce pocztowej. Trzymają je nadal w stanowym laboratorium, ale na razie niczego nie wykryli.

Spojrzał na Napiera i ten przejął od niego pałeczkę.

– Ktoś zobaczył, jak sprawca zatrzymuje się przy poczcie – powiedział.
– O siódmej wieczorem w piątek, dwie godziny po zabójstwach. Nie było dużego ruchu, bo w Neely nigdy go nie ma, ale jeden z sąsiadów zauważył, że przed pocztą zatrzymuje się pick-up. Jego kierowca podszedł do skrzynki i wsunął do niej przesyłkę, jedyną, którą wrzucono tam po piątej po południu. W Neely nie wysyła się aż tak wiele listów. Sąsiad uznał wrzucanie przesyłki do skrzynki o tej porze dnia za dziwne. Siedział na werandzie dość daleko od poczty i nie widział dobrze kierowcy. Ale ten przyjechał szarym pick-upem, chevroletem, dość nowym modelem ze znakami rejestracyjnymi z Missisipi.

– Jesteście pewni, że to był zabójca? – zapytała Lacy, co było bardzo nieprofesjonalnym pytaniem.

– Nie. Jesteśmy pewni, że to był mężczyzna, który wrzucił telefony do skrzynki. Prawdopodobnie zabójca, ale tego nie wiemy na pewno.

– Oczywiście. Po co pojechał na północ, żeby wyrzucić te telefony?

Napier wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Niech pani nie daje się wciągnąć w jego grę – przestrzegł ją Black. – Moim zdaniem chce się z nami trochę podroczyć. A w szczególności ze mną. Musiał wiedzieć, że znajdziemy te telefony w ciągu kilku godzin i nie trafią do mojej córki.

– A może chciał, żebyśmy zobaczyli, że jeździ pick-upem ze znakami z Missisipi, bo wcale nie jest z Missisipi – powiedział Napier. – To cwany gość, prawda?

– Tak, bardzo cwany.

- I robił to już wcześniej? – zapytał szeryf.
- Tak uważamy.
- I wcale nie jest z Missisipi?
- Naszym zdaniem nie.

Rozdział 18

Jeri nie była gotowa na ten nowy etap swojego życia. Przez ponad dwadzieścia lat napędzało ją pragnienie odnalezienia i stawienia czoła mordercy ojca. Wystarczająco trudne było już jego zidentyfikowanie; udało jej się to dzięki determinacji i wytrwałości, które często zadziwiały ją samą. Czym innym było oskarżenie go o popełnione zbrodnie. Wskazanie palcem Rossa Bannicka było czymś zatrważającym, nie dlatego, że bała się pomyłki, lecz ponieważ ten człowiek budził w niej przerażenie.

Ale zrobiła to. Złożyła skargę w stanowej agencji powołanej do ścigania nieuczciwych sędziów i teraz to KDS miała dorwać Bannicka. Jeri nie wiedziała, czego może się spodziewać po Lacy Stoltz i instytucji, którą ta kierowała, ale sprawa wylądowała teraz na jej biurku. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Lacy doprowadzi do zatrzymania i skazania mężczyzny, o którym Jeri nie potrafiła przestać myśleć.

W dniach, które nastąpiły po jej ostatnim spotkaniu z Lacy, odkryła, że nie jest w stanie przygotowywać się do wykładów, zbierać materiałów do książki ani nawet odwiedzać nielicznych przyjaciółek. Dwa razy poszła do psychoterapeutki i przyznała, że czuje się przygnębiona, samotna i bezwartościowa. Kusilo ją, żeby zajrzeć do internetu i zacząć przekopywać stare sądowe akta. Często spoglądała na telefon; czekała na wiadomość od Lacy i powstrzymywała się, żeby nie wysyłać jej co godzinę maila.

Lacy zadzwoniła po dziesięciu dniach i rozmawiały przez kilka minut. Nie miała, co nie było zaskakujące, nic nowego do zakomunikowania. Jej zespół dopiero się organizował, przeglądał akta, układał plany i tak dalej. Jeri skończyła nagle rozmowę i poszła na spacer.

Na rozpatrzenie skargi zostało już tylko trzydzieści pięć dni, ale w KDS najwyraźniej nic się nie działo.

...

Według rejestrów urzędu skarbowego hrabstwa Chavez Ross Bannick nabył w maju 2012 roku jasnoszarego używanego półtonowego pick-upa marki Chevrolet, jeździł nim przez dwa lata i sprzedał go miesiąc po zabójstwie Verna i Dunwoody'ego. Nabywca, diler używanych samochodów o nazwisku Udell, po krótkim czasie odsprzedał go niejakemu Robertowi Tragerowi. Darren pojechał do Pensacoli i odnalazł Tragera, a ten wyjaśnił, że nie ma już tego samochodu. W sylwestra poprzedniego roku pijany kierowca zignorował znak stopu i wjechał w chevroleta, kompletnie go rozbijając. Trager sprzedał go na złom, zadowolony, że uszedł z życiem. Kiedy on i Darren popijali mrożoną herbatę na werandzie, pani Trager odszukała zdjęcie Roberta i jego wnuka, stojących z wędkami przed szarym pick-upem. Darren sfotografował zdjęcie telefonem i przesłał je detektywowi Napierowi w Biloxi. Ten pojechał do miasteczka Neely i pokazał je jednemu naocznemu świadkowi.

Świadek stwierdził, że pick-up wydaje się „bardzo podobny” do tego, którego widział. *To zawęźa pole poszukiwań do mniej więcej pięciu tysięcy szarych chevroletów w tym stanie. Powodzenia*, napisał Napier w mailu do Lacy.

Dalsze poszukiwania wykazały, że Bannick zmieniał auta jak rękawiczki. W ciągu minionych piętnastu lat kupił i sprzedał co najmniej osiem używanych pick-upów różnych marek, modeli i kolorów.

Po co sędziemu tyle pick-upów?

Obecnie jeździł fordem explorerem z 2013 roku, wziętym w leasing u lokalnego dilerka.

...

Trzydziestego pierwszego marca, trzynaście dni po złożeniu przez Jeri skargi, Lacy i Darren polecili z Tallahassee do Miami, wynajęli samochód i pojechali na południe z Florida Keys do miasta Marathon, liczącego dziewięć tysięcy mieszkańców. Dwa lata wcześniej w łodzi dryfującej niedaleko rezerwatu Great White Heron znaleziono ciało emerytowanego prawnika Perry'ego Kronke'a. Miał roztrzaskaną czaszkę, cała łódź była we krwi, a przyczyną śmierci było uduszenie nylonowym sznurem, który zawiązano na jego szyi z taką siłą, że ofierze popękała skóra. Nie było świadków, żadnych widzianych w okolicy podejrzanych osobników ani śladów. Sprawa nadal była otwarta, dlatego też ujawniono niewiele szczegółów.

Kenny Lee, niezależny śledczy Jeri, nie był w stanie ściągnąć z FBI zdjęć tego miejsca przestępstwa.

Szefem policji w Marathon był komendant Turnbull, Jankes z Michigan, który wybrał się kiedyś w zimie na południe i nie wrócił już do domu. Poza licznymi innymi obowiązkami pełnił również funkcję detektywa od spraw zabójstw. Przywitał się z Lacy i Darrenem ciepło, lecz z pewną rezerwą, i podobnie jak szeryf Black w Biloxi od razu postawił sprawę jasno: stwierdził, że jego goście nie są policjantami.

– Wcale się pod nich nie podszywamy – odparła Lacy z megawatowym uśmiechem. – Badamy skargi przeciwko sędziom, a ponieważ jest ich w tym stanie tysiąc, mamy pełne ręce roboty.

Reakcją był nerwowy chichot. Trzeba dobrać się do skóry tym wszystkim zblatowanym sędziom.

– Dlaczego interesuje was sprawa Kronke’a? – zapytał Turnbull.

Darren po raz kolejny w ogóle się nie odzywał. Całą gadkę miała trzymać szefowa. Umówili się, jak to ma wyglądać, i oboje uznali, że ich bajeczka może wydać się prawdopodobna.

– To są rutynowe działania, naprawdę – powiedziała Lacy. – Badamy nową skargę złożoną przeciwko sędziemu w Miami i trafiliśmy na ślady możliwej przestępczej działalności zmarłego pana Kronke’a. Czy nie znał go pan przypadkiem bliżej, zanim został zamordowany?

– Nie. Mieszkał w Grassy Key. Zna pani tę okolicę?

– Nie.

– To enklawa bogatych emerytów przy zatoce na północ stąd. Jej mieszkańcy trzymają się razem. To nie jest mój przedział cenowy.

– Zabójstwo zostało popełnione dwa lata temu. Macie jakichś podejrzanych?

Turnbull roześmiał się, jakby pomyślał, że da się znaleźć jakieś tropy w tej sprawie, był po prostu śmieszny.

– Nie wiem, czy powinienem w ogóle odpowiadać na tak bezceremonialnie postawione pytanie – odparł, szybko się opanowawszy. – Do czego zmierzacie?

– Wykonujemy po prostu naszą pracę, komendancie.

– Jak poufna jest nasza rozmowa?

– Całkowicie. Nie mamy powodu, żeby ją ujawniać. Pracujemy dla stanu Floryda i naszym zadaniem, podobnie jak pańskim, jest prowadzenie dochodzeń w sprawie różnych wykroczeń.

Turnbull zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, omiatając ich nerwowo wzrokiem. W końcu wziął głęboki oddech i odprężył się.

– Tak, na samym początku mieliśmy podejrzanego, a w każdym razie wydawało się nam, że jesteśmy na tropie – powiedział. – Zawsze zakładaliśmy, że zabójca podpłynął łodzią. Znalazł pana Kronke’a samego, łowiącego, jak to miał w zwyczaju, kulbaki czerwone. Kilka ryb miał już w lodówce. Żona zeznała, że wyszedł tamtego dnia z domu o siódmej rano i spodziewał się spędzić przyjemny dzień na wodzie. Sprawdziliśmy każdą marinę i rejestry wynajmu łodzi w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. – Turnbull przerwał, wyjął z kieszonki na piersi okulary do czytania, otworzył akta i szybko odszukał dane, o które mu chodziło. – Tamtego ranka wynajęto dwadzieścia siedem łodzi, oczywiście wszystkie wędkarzom. Zabójstwo popełniono piątego sierpnia, w szczycie sezonu połowów kulbaka czerwonego.

– Rozumiem. – Lacy nigdy nie słyszała o kulbaku czerwonym i nie była pewna, co to za ryba.

– Sprawdziliśmy wszystkie dwadzieścia siedem nazwisk – podjął Turnbull. – Zajęło to trochę czasu, ale na tym polega w końcu nasza praca. Jeden z facetów okazał się byłym więźniem, który odsiedział kilka lat w federalnym więzieniu za napaść na agenta FBI. Dość niesympatyczny gość. Podnieciliśmy się i poświęciliśmy mu trochę czasu. Ostatecznie jednak okazało się, że to nie on.

Zdaniem Lacy sędzia Bannick nie był na tyle nieostrożny, by po wytrwałym obserwowaniu przez ponad dwadzieścia lat Perry’ego Kronke’a wynająć w okolicy łódź w czasie, gdy planował go zamordować. Udała

jednak, że bardzo ją to interesuje. Po piętnastu minutach rozmowy z komendantem i przekonaniu się, ile zdziałał, nie mogła powiedzieć, że jest pod wrażeniem.

– Poprosiliście o pomoc policję stanową? – zapytała.

– Oczywiście, od razu. W końcu to zawodowcy. Zajęli się sekcją zwłok, szukaniem śladów, większością czynności w ramach wstępnego dochodzenia. Pracowaliśmy ramię przy ramieniu. Pod każdym względem przykład wzorowej współpracy. Wspaniali gliniarze. Polubiłem ich.

Jak miło.

– Moglibyśmy rzucić okiem na akta? – zapytała słodkim głosem Lacy.

Na czole Turnbulla pojawiły się głębokie bruzdy. Zdjął z nosa okulary i zaczął żuć ich zauszniak, spoglądając na nią tak, jakby zapytała o życie seksualne jego żony.

– Po co? – chciał wiedzieć.

– W tej sprawie może być coś, co okaże się ważne dla naszego dochodzenia.

– Nie rozumiem. My tu mamy zabójstwo, wy skorumpowanego sędziego. Co ma wspólnego jedno z drugim?

– Nie wiemy, komendancie. Po prostu szukamy, tak samo jak wy. Wykonujemy solidną policyjną robotę.

– Nie mogę wam pokazać akt. Załatwcie nakaz sądowy albo coś podobnego, wtedy chętnie wam pomogę. Bez nakazu nie ma mowy.

– Niech będzie. – Lacy wzruszyła ramionami, jakby dała za wygraną. Skoro tak stawiał sprawę, nie było o czym mówić. – Dziękuję, że poświęcił nam pan czas.

– Nie ma sprawy.

– Wrócimy z nakazem.

– Świetnie.

– Jedno ostatnie pytanie, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

– Słucham.

– Sznur, którego użył zabójca... czy jest dołączony do dowodów rzeczowych?

– Jasne. Mamy go.

– I wie pan, jak wygląda?

– Oczywiście. To narzędzie zbrodni.

– Może pan go opisać?

– Mogę, ale nie zrobię tego. Wróćcie z nakazem sądowym.

– Założę się, że to żeglarski sznur, nylonowy, o długości mniej więcej siedemdziesięciu pięciu centymetrów, poczwórnie pleciony, niebiesko-biały albo zielono-biały.

Bruzdy na czole Turnbulla znów się pojawiły, a na dodatek opadła mu szczęka. Odchylił się do tyłu i splótł obie dłonie na karku.

– Niech mnie szlag – mruknął.

– Trafiłam? – spytała Lacy.

– Owszem, trafiła pani. Rozumiem, że widziała pani już wcześniej, jak pracuje ten facet.

– Być może. Niewykluczone, że mamy podejrzanego. Teraz nie mogę o nim mówić, ale będę mogła w przyszłym tygodniu albo w przyszłym miesiącu. Gramy w tej samej drużynie, panie komendancie.

– Czego chcecie?

– Obejrzeć akta, wszystkie. I zostanie to między nami.

Turnbull zerwał się rażno na nogi.

– Chodźcie ze mną – rzucił.

...

Dwie godziny później zaparkowali przy marinie i podeszli z Turnbullem, ich nowym najlepszym kumplem, do dziesięciometrowej łodzi patrolowej z napisami POLICJA na lewej i prawej burcie. Jej kapitan, stary gliniarz w mundurowych szortach, powitał ich na pokładzie, jakby wybierali się w rejs wycieczkowy. Lacy i Darren usiedli obok siebie na ławce przy prawej burcie i cieszyli się przejażdżką po gładkim oceanie. Turnbull stanął przy kapitanie i wymieniali między sobą uwagi w niezrozumiałym policyjnym żargonie. Po piętnastu minutach łódź zwolniła i prawie się zatrzymała.

Turnbull podszedł do przodu i wskazał wodę przed dziobem.

– Znaleźli go gdzieś tutaj – powiedział. – Jak widzicie, miejsce jest dość odosobnione.

Lacy i Darren wstali z ławki i rozejrzeli się. Ze wszystkich stron otaczała ich woda. Domy na oddalonym o półtora kilometra najbliższym brzegu były ledwo widoczne. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych łodzi.

– Kto go znalazł? – zapytała Lacy.

– Straż nadbrzeżna. Żona zaczęła się niepokoić i zadzwoniła w parę miejsc. Znaleźliśmy jego pick-upa i przyczepę w marinie i uznaliśmy, że nadal jest na wodzie. Zawiadomiliśmy straż nadbrzeżną i zaczęła go szukać.

– Niezłe miejsce, żeby kogoś zamordować – mruknął Darren, odzywając się chyba po raz pierwszy tego dnia.

Turnbull głośno odchrząknął.

– Prawie idealne, gdyby ktoś mnie pytał – odparł.

...

Kupił łódź rok wcześniej, kiedy plan był w powijakach. Nie była szczególnie ładna, nawet w przybliżeniu nie tak luksusowa jak ta, która należała do jego przyszłej ofiary, ale nie starał się nikomu zaimponować. Żeby nie zawracać sobie głowy wożeniem łodzi na przyczepie i parkowaniem, wynajął miejsce przy kei na południe od Marathon. Później sprzeda zarówno łódź, jak i małe mieszkanie niedaleko mariny; miał nadzieję, że jedno i drugie z zyskiem. Zdomowiwszy się w okolicy i nie znając tam nikogo, zaczął wypływać na połów, co nawet mu się spodobało, i śledzić ofiarę, co było celem jego życia. Papiery – umowę na sprzedaż łodzi, konto w miejscowym banku, wpisy do hipoteki, licencję wędkarską, podatki od nieruchomości, rachunki za paliwo – można było łatwo sfalszować. Stanowe i lokalne sprawy urzędowe były dziecinną zabawką dla człowieka, który miał setki kont bankowych i pod fałszywym nazwiskiem kupował i sprzedawał różne rzeczy po prostu dla przyjemności.

Któregoś dnia wpadł na Kronke'a na pomoście i znalazł się dość blisko, by powiedzieć mu „dzień dobry”. Dupek nie odpowiedział. Już dwadzieścia trzy lata wcześniej miał opinię gburą i to się nie zmieniło. Miał szczęście, że nie trafił do jego kancelarii.

Tamtego dnia obserwował, jak Kronke rozładowuje swoją łódź, kupuje paliwo, ustawia wędki i przynęty i w końcu odpływa od pomostu zdecydowanie za szybko, zostawiając za sobą wielką falę. Kawał dupka. Ruszył za nim, zachowując dystans, który powiększał się, bo łódź tamtego miała lepsze silniki. Kronke znalazł w końcu odpowiednie miejsce, zatrzymał się i zaczął zarzucać wędki, a on cofnął się i obserwował go przez lornetkę.

Dwa miesiące wcześniej podpłynął do niego dość blisko i poprosił o pomoc; twierdził, że ma problemy z silnikiem. A ten kutas zostawił go półtora kilometra od brzegu.

Tamtego dnia, kiedy Kronke sprawdzał wędkę zarzucone na kulbaka czerwonego, popłynął prosto na jego łódź. Uświadomiwszy sobie, że jakaś mniejsza łódka jest niebezpiecznie blisko, Kronke zastygł w bezruchu i spojrzał na niego jak na kretyna.

– Hej, nabieram wody! – zawołał, dopływając do jego łodzi.

Kronke wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „To twój problem”, i odłożył wędkę.

– Co jest, do diabła?! – krzyknął, kiedy łodzie się zderzyły.

To były jego ostatnie słowa. Miał osiemdziesiąt jeden lat i był jak na swój wiek całkiem żwawy, ale w bezpośrednim starciu zupełnie bez szans.

Zabójca szybko zarzucił linę na knagę, przeskoczył na sąsiednią łódź, wyciągnął teleskopową pałkę, zakręcił ołowianą kulą i trafił nią prosto w bok głowy Kronke’a, rozbijając mu czaszkę. Uwielbiał ten dźwięk. Sekundę później uderzył go ponownie, choć nie było to konieczne. Wyjął nylonowy sznur, zawiązał go dwa razy wokół jego szyi, wbił kolano w rdzeń kręgowy ofiary i pociągnął dość mocno, by zedrzeć jej skórę z karku.

Drogi Panie Bannick,

wysoko oceniamy Pana letni staż w naszej firmie i mieliśmy zamiar zaoferować Panu jesienią stanowisko młodszego partnera, jednak, jak Pan zapewne słyszał, nasza firma połączyła się właśnie z kancelarią Reed & Gabbanoff, globalnym gigantem z siedzibą w Londynie. To spowodowało duże przesunięcia w zatrudnieniu personelu, przez co nie możemy, niestety, zatrudnić wszystkich letnich stażystów.

Życzymy Panu sukcesów w przyszłości.

Szczerze oddany

H. Perry Kronke,
Wspólnik zarządzający

– Życzę ci sukcesów w przyszłości, H. Perry – powtarzał, zaciskając węzeł coraz mocniej i mocniej.

Minęły dwadzieścia trzy lata, ale tamta odmowa dalej go bolała. Nie dawała mu spokoju. Kancelaria zaproponowała pracę wszystkim innym stażystom. Do fuzji nie doszło. Ktoś, bez wątpienia inny stażysta, rozpuścił plotki, że Bannick nie lubi dziewczyn i się z nimi nie umawia.

Zawiązał sznur w podwójny węzeł wyblinkowy i przez kilka sekund podziwiał swoje dzieło. Rozejrzawszy się, zobaczył odległą o niecały kilometr łódź zmierzającą na otwarte wody. Złapał za linę swojej łodzi, przyciągnął ją bliżej, po czym skoczył do wody i zmył z siebie całą krew.

– Życzę ci sukcesów w przyszłości, H. Perry.

...

Rok później sprzedał ze skromnym zyskiem mieszkanie oraz łódź. Obie transakcje były zawarte na Roberta Westa, jednego z trzydziestu czterech Robertów Westów w tym stanie.

Uwielbiał załatwiać wszystko pod cudzym nazwiskiem.

Rozdział 19

Z obszernej literatury na temat seryjnych zabójców, z którą zapoznała się Jeri, wynikało, że prawie żaden z nich nie przestał zabijać, dopóki nie został ujęty, nie zginął z ręki policji lub własnej albo nie został zmuszony do przejścia na emeryturę przez podeszły wiek lub wyrok więzienia. Demony, które nimi zawładnęły, były nieubłagane i okrutne; nie dawały się wyegzorcyzmować. Można było je zneutralizować wyłącznie przez wyrok śmierci lub więzienia.

Z jej kalendarza wynikało, że Bannick wytrzymał bez zabijania jedenaście lat. W 1998 roku uśmiercił Eileen Nickleberry koło Wilmingtonu, a następnie czekał aż do 2009, żeby dopaść reportera, Danny'ego Clevelanda, w jego mieszkaniu w Little Rock. Potem zabijał trzy razy szybciej. Przyspieszył kroku, co nie było czymś niezwykłym.

Powtarzała sobie, że jej kalendarz jest w gruncie rzeczy bezwartościowy, bo tak naprawdę nie ma pojęcia, ile jest ofiar. Może nie odnaleziono jeszcze wszystkich zwłok? Niektórzy zabójcy ukrywają je i po latach zapominają, gdzie to zrobili. Inni, tacy jak Bannick, pragną, żeby ofiary zostały znalezione. Jako samozwańcza profilerka Jeri uważała, że Bannick chce, by ktoś – policja, media, rodziny – wiedział, że te zabójstwa są ze sobą związane. Dlaczego? Wynikało to prawdopodobnie z jego spalonego ego, chęci wykazania, że jest mądrzejszy od policji. Był tak

bardzo dumny z tego, co robił, że chciał być podziwiany, nawet anonimowo. Być może pragnął, by jego działalność przeszła do legendy.

Nigdy nie wierzyła, że chce zostać złapany. Cieszył się wysokim statusem, był popularny, zamożny, wykształcony – czyli drastycznie różnił się od przeciętnego seryjnego zabójcy, jeśli w ogóle istnieje ktoś taki. Uwielbiał jednak manipulować ludźmi. Był socjopata, który zabijał, żeby się zemścić, lecz czerpał również satysfakcję z samego planowania morderstw i uśmiercania ofiar w perfekcyjny sposób.

Osiem zabójstw w siedmiu stanach w ciągu dwudziestu dwóch lat – przynajmniej z tego, co wiedziała. Bannick miał dopiero czterdzieści dziewięć lat i jako zabójca był teraz najbardziej sprawny. Każde udane morderstwo dodawało mu pewności siebie i jeszcze bardziej go ekscytowało. Popełniwszy kilka bezkarnie, uważał pewnie, że nigdy nie zostanie złapany. Kto jeszcze był na jego liście?

Kartki formatu A4 były ze standardowej ryzy białego papieru do kopiowania, kupionej rok wcześniej w sieci Staples w Dallas. Koperta prosta i nie do namierzenia. Do pisania Jeri użyła kupionego w second handzie w Montgomery procesora tekstu marki Olivetti pierwszej generacji z połowy lat osiemdziesiątych, z małym ekranem i niewielką pamięcią.

W silikonowych rękawiczkach umieściła ostrożnie kilka kartek na tacce, włączyła ekran i przez dłuższą chwilę się w niego wpatrywała. Żołądek podszedł jej do gardła i przez jakiś czas nie była zdolna do niczego. W końcu zaczęła powoli pisać, wciskając niezgrabnie klawisz po klawiszu.

Sędzio Bannick,

Komisja Dyscyplinarna Sędziów stanu Floryda prowadzi dochodzenie w sprawie Pana niedawnych działań dotyczących

Verna, Dunwoody'ego i Kronke'a.

Czy są również inne ofiary? Tak sędzę.

Tego dnia zjadła jak zwykle bardzo mało i zaskoczyły ją nagłe mdłości. Pobiegnęła do łazienki i wymiotowała tak długo, aż od torsji rozboleła ją klatka piersiowa i kręgosłup. Ostrożnie się poruszając, napiła się wody i w końcu wróciła za biurko. Patrzyła długo na to, co napisała, wiadomość, którą układała w głowie tysiąc razy, słowa, które powtarzała w myślach po wielokroć.

Jak zareaguje na nie Bannick? Czy ten anonimowy list będzie dla niego katastrofą, czymś przerażającym, druzgoczącym, odmieniającym życie? Taką w każdym razie miała nadzieję. Był zbyt opanowany i wyrachowany, by wpadać w panikę, ale jego świat nigdy już nie będzie taki sam. Zachwieje się w posadach. Wiedząc, że ktoś jest na jego tropie, on i jego demony włączą piąty bieg. Nie było nikogo, komu mógłby się zwierzyć, nikogo, kto udzieliłby mu schronienia.

Chciała, żeby jego świat zachwiał się w posadach. Chciała, żeby Bannick uważał na swój każdy krok, oglądał się przez ramię, wzdrygał na każdy hałas, przyglądał się uważnie każdemu nieznanemu. Chciała, żeby w nocy nie mógł zasnąć, nasłuchiwał i drżał ze strachu, tak jak bardzo długo drżała ona.

Pomyślała o Lacy i zaczęła się po raz któryś z rzędu zastanawiać, czy dobrze robi, ujawniając jej zaangażowanie. Ostatecznie uznała, że Bannick jest zbyt sprytny, żeby zrobić coś głupiego. Poza tym Lacy była twardzielką, która powinna dać sobie radę. W którymś momencie ją zresztą ostrzeże.

Wydrukowała list i włożyła go do koperty. Wydrukowanie na niej jego adresu ponownie dostarczyło jej emocji: *R. Bannick, 825 Eastman Lane,*

Cullman, Floryda, 32533.

Znaczek nie wymagał zwilżenia śliną. Po nalepieniu go długo leżała zlna potem na kanapie.

Następny tekst napisała również na białej kartce, ale od innego producenta.

*Teraz, gdy wiem, kim jesteś,
Ślę ci wiadomość zza grobu
Tak bardzo oddalona w czasie i przestrzeni
Od tamtej nocy z tobą i Dave'em.
Skradałeś się i czekałeś tyle czasu,
By dopaść mnie w ustronnym miejscu
I rozładować swój gniew i lęki
Na dziewczynie, którą znałeś jako Eileen.*

Kompletnie roztrzęsiona, wybuchła głośnym śmiechem, wyobrażając sobie czytającego jej biały wiersz Bannicka. Śmiała się z jego przerażenia, niedowierzania i wściekłości na myśl, że dopadła go jego ofiara.

...

W sobotę wyjechała z Mobile i po godzinie dotarła do Pensacoli. W podmiejskim centrum handlowym, między punktem nadawczym FedExu i punktem nadawczym UPS-u, znalazła standardową niebieską skrzynkę pocztową dla zmotoryzowanych. Najbliższa kamera monitoringu była daleko, nad drzwiami kawiarni. Mając na dłoniach rękawiczki i nie wysiadając z samochodu, wrzuciła do skrzynki pierwszy list. Wiedziała, że w poniedziałek zostanie ostemplowany w centrum dystrybucyjnym

w Pensacoli i nie później niż we wtorek dostarczony do skrzynki przy frontowych drzwiach Bannicka.

Dwie godziny później zjechała z ekspresówki w Greenville w Alabamie i wrzuciła swój wiersz do skrzynki przy miejskim urzędzie pocztowym. Wiedziała, że przesyłka zostanie odebrana w poniedziałek, przewieziona do Montgomery, ostemplowana i wysłana z powrotem do Pensacoli. Bannick powinien ją dostać w środę, najpóźniej w czwartek.

Wróciła bocznymi drogami do Mobile, czerpiąc przyjemność z samej jazdy. Słuchała jazzu ze stacji Sirius XM i co chwila uśmiechała się do siebie w lusterku wstecznym. Pierwsze dwa listy zostały wysłane. Zdobyła się na odwagę, żeby stawić czoło zabójcy, a w każdym razie zmusić go do ostatecznej rozgrywki. Faza polowania dobiegła końca i to wprawiało ją w euforię. Teraz, nadal anonimowa, przechodziła do kolejnej fazy. Jej misja nie była w żadnym wypadku zamknięta, ale trwająca dwadzieścia dwa lata najtrudniejsza część dobiegła końca.

Sprawę prowadziła obecnie Lacy, która w pewnym momencie zaangażuje w to policję stanową, może nawet FBI. Bannick nigdy się nie dowie, kto go wytropił.

...

Późnym wieczorem czytała powieść, popijając drugi kieliszek wina i walcząc z pokusą poszukania czegoś online. Piknięcie telefonu zasygnalizowało nowy mail na jednym z jej bezpiecznych kont. To był KL, Kenny Lee. Pytał, czy jeszcze nie śpi. Poczowała nagle, że męczy ją to cholerne śledztwo. Chciała, żeby zostawiono ją w spokoju, ale KL był starym znajomym, takim, z którym nigdy nie miała się spotkać. Odpisała więc:

Cześć. Co słyhać?

Wszystko gra. Mam nowy przypadek śmierci przez uduszenie sznurem w Missouri. Sprzed czterech miesięcy, wygląda podobnie.

Dowiadując się o kolejnym morderstwie, Jeri jak zwykle się skrzywiła i jak zwykle uznała, że to sprawka Bannicka. Miała już jednak tego wszystkiego dosyć i nie chciała wydawać więcej pieniędzy i trwonić sił.

Jak bardzo podobnie?

Nie mam jeszcze zdjęć i opisu sznura. Nie ma żadnych śladów na miejscu zbrodni i żadnych podejrzanych.

Jeri zdawała sobie sprawę, że w Stanach ginie przez uduszenie trzysta osób rocznie i udaje się rozwiązać mniej więcej sześćdziesiąt procent tych spraw. To pozostawiało sto dwadzieścia nierozwiązanych zabójstw – trudno było je przypisać jednemu sprawcy.

Prześpię się z tym.

Innymi słowy, nie włączaj jeszcze licznika nabijającego dwieście dolców za godzinę. Kenny Lee pomógł jej dotrzeć do czterech ofiar Bannicka i chyba już dość mu zapłaciła.

Słodkich snów.

U was nadal pada śnieg?

Wysyłała mu gotówkę na skrynkę pocztową w Camden w stanie Maine. Podejrzewała, że KL mieszka gdzieś w pobliżu.

Pada dokładnie w tym momencie. Ile masz ofiar?

Osiem. Siedem zaduszonych sznurem i Dunwoody.

Czas poszukać wsparcia. Trzeba powstrzymać tego gościa. Mam kontakty.

Ja też. Sprawa ruszyła z miejsca.

OK.

Rozdział 20

Grupa zadaniowa spotkała się w poniedziałek rano w sali konferencyjnej i porównała notatki. Minęło dwadzieścia dni na zbadanie skargi i nie mogli się pochwalić istotnymi wynikami. Na użytek trzeciego członka grupy Lacy zdała sprawozdanie z ich wypadu do Marathon, ale biedna Sadelle albo drzemała, albo była pod wpływem środków przeciwbólowych.

Za to Darren miał coś ciekawego do powiedzenia.

– Odbylem pogawędkę z panem Larrym Toscano – oznajmił, pijąc markową kawę – partnerem w firmie Paine and Steinholtz z Miami, która wyewoluowała przed wielu laty z firmy Paine and Grubber. Latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Bannick pracował tam jako stażysta. Toscano nie chciał z początku współpracować, ale wyjaśniłem mu, że KDS ma w pewnych przypadkach prawo wystawiania nakazów sądowych, więc jeśli okaże się to konieczne, wkroczymy do ich biura i zaczniemy sprawdzać akta. Biorąc pod uwagę nasz ograniczony personel, było to oczywiście ściemą, ale blef zadziałał i Toscano spokorniał. Odnalazł szybko dane dotyczące zatrudnienia i potwierdził, że Bannick rzeczywiście pracował tam w wakacje przed ostatnim rokiem prawa. Powiedział, że chłopak przykładał się do pracy, zebrał dobre oceny u prawnika, dla którego pracował, i ogólnie robił dobre wrażenie, ostatecznie jednak nie zaproponowano mu zatrudnienia. Chciałem poznać więcej szczegółów

i Toscano musiał ponownie zajrzeć do akt. Wygląda na to, że tamtego lata firma Paine and Grubber wzięła na staż dwudziestu dwóch studentów z różnych uczelni i że wszyscy poza Bannickiem otrzymali oferty pracy. Zapytałem, dlaczego Bannick jej nie dostał, skoro miał dobre oceny, ale Toscano tego nie wiedział. W tamtym czasie jednym z dwóch partnerów zarządzających był Perry Kronke i to on odpowiadał za letni program stażowy. Toscano dodał, że mają kopię listu, w którym Kronke poinformował Bannicka, że nie zostanie zatrudniony. Kiedy ponownie wspomniałem o nakazie sądowym, przesłał mi kopię całej teczki personalnej Bannicka. Nie ma tego dużo, ale potwierdza to, co wiedzieliśmy wcześniej: ich ścieżki przecięły się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

Sadelle zaczerpnęła głośno powietrza.

– Możesz powiedzieć jeszcze raz, jak Betty Roe się o tym dowiedziała?

– wymamrotała.

– Pisze w skardze – odparła Lacy – że odszukała byłego wspólnika w dużej kancelarii, rówieśnika Bannicka, który był na stażu w Paine and Grubber w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Dobrze więc znał Bannicka i z tego, co wiemy, być może nadal ma z nim jakiś kontakt. Twierdził, że Bannickowi bardzo zależało na tej pracy i źle zniósł odmowę.

– I umieścił Kronke’a na swojej liście – powiedziała Sadelle. – Zapiszę go dzisiaj i skopię mu dupę później.

– Coś w tym rodzaju. Dwadzieścia kilka lat później.

– Mam szczerą nadzieję, że nie zrobiłam niczego, żeby go zdenerwować. Choć i tak jestem już jedną nogą w grobie.

– Nie chcę tego słyszeć – rzuciła Lacy.

– Przeżyjesz nas wszystkich – dodał Darren.

– Chcesz się założyć? – spytała Sadelle.

– Jak odbiorę wygraną, jeśli wygram?

– Słuszna uwaga.

Lacy zamknęła teczkę i popatrzyła na swoją grupę zadaniową.

– A zatem, kochani, w jakim dokładnie punkcie się znajdujemy?

Wiemy, że Bannick znał dwie ze swoich ofiar, co sugerowała Betty w skardze. Jak już mówiłam, dała mi również, na razie nieoficjalnie, dokumentację na temat pięciu innych zabójstw popełnionych na osobach, które miały pecha i zdenerwowały kiedyś sędziego Bannicka. Na szczęście nie musimy się nimi na razie zajmować.

– Dlaczego nie zwrócimy się z tym po prostu do policji stanowej? – chciała wiedzieć Sadelle.

– Bo i tak zajmują się tą sprawą, robią to od zabójstwa Kronke’a – odparła Lacy. – Widzieliśmy akta, mają setki stron.

– Tysiące – poprawił ją Darren.

– Okej, tysiące. Rozmawiali z kilkudziesięcioma osobami z Marathon i jego okolic, które znały ofiarę. Sprawdzili każdą umowę na wynajem łodzi, każdą transakcję kupna paliwa, każdą nową licencję wędkarską. I nic. Rozmawiali z byłymi wspólnikami Kronke’a z kancelarii w Miami. Nic. Z jego byłymi klientami. Nic. Z członkami rodziny. Nic. Przekopali starannie całą jego przeszłość i teraźniejszość i nie znaleźli kompletnie niczego. Żadnego konkretnego tropu, który dokądś by prowadził. Zrobili, co do nich należy, ale nie mają się czym pochwalić, więc została im kolejna nierozwiązana sprawa czekająca na cud.

– W środę znów lecę do Miami, żeby spotkać się ze stanowymi śledczymi – powiedział Darren. – Rozmawiałem z nimi kilka razy przez telefon i odniosłem wrażenie, że są skłonni z nami współpracować. Pokażą

nam pewnie te same akta, które widzieliśmy w Marathon, ale nigdy nie wiadomo. Może wiedzą coś, o czym nie wie Turnbull.

– Więc dlaczego nie powiedzieć im o Bannicku? Skoro znamy nazwisko zabójcy, a w każdym razie mamy złożoną oficjalnie skargę, w której mówi się, że to zrobił, to dlaczego nie przekazać tej informacji śledczym? – wyrzęziła Sadelle, po czym skuliła ramiona, szykując się na kolejny łyk tlenu. Jej maszyna zaszumiła trochę głośniej. – Chodzi o to, Lacy, że tracimy czas. Naprawdę nie mamy tu dużo do roboty. Prawdziwi gliniarze mają miliardowe budżety, wszystko, od psów gończych po helikoptery i satelity, i nie potrafią rozwiązać tych spraw. Co niby mamy robić? Moim zdaniem powinniśmy przekazać tę sprawę policji stanowej. Niech ona go przyskrzyni.

– Do tego to zmierza – mruknął Darren.

– Być może, ale obiecałam Betty, że bez jej zgody nie będziemy angażować w to policji – powiedziała Lacy.

– My nie działamy w ten sposób – zaprotestowała Sadelle. – Kiedy skarga zostaje złożona, jest pod naszą jurysdykcją. Stronie skarżącej nie wolno dyktować nam, jak mamy procedować. Dobrze o tym wiesz.

– Wiem, ale i tak dziękuję za wykład.

– Nie ma za co.

– Ona nas wykorzystuje, Lacy – wtrącił Darren. – Mówiliśmy już o tym w zeszłym tygodniu. Betty chce się za nami schować i zaangażować w to policję. Więc jaki będzie nasz następny krok?

– Zobaczymy. Poleć do Miami, spotkaj się ze stanowymi i w poniedziałek zdaj nam raport.

...

Tego popołudnia Lacy wyszła wcześniej z pracy i podjechała do kompleksu dwupiętrowych budynków biurowych. Wyciszony, wygodny i luksusowy gabinet mecenasa R. Buforda Furra miał świadczyć o tym, że jest on wziętym adwokatem. W poczekalni nie było innych klientów, a urodziwa młoda stażystka rozmawiała przez telefon. Dokładnie o czwartej zaprowadziła Lacy do wielkiej sali, w której Furr zmagał się z siłami zła. Uściskał ją serdecznie, jakby przyjaźnili się od lat, i wskazał sofę, która kosztowała pewnie więcej niż jej samochód.

Furr był jednym z najlepszych adwokatów procesowych na Florydzie i mógł się poszczycić wieloma wygranymi werdyktami. I robił to: na ścianach wisiły jego fotografie oraz oprawione w ramki nagłówki gazet. Znali go wszyscy prawnicy i kiedy Lacy postanowiła wnieść pozew w związku ze sfingowanym wypadkiem drogowym, w którym zginął jej kolega Hugo Hatch, a ona została ranna, tak naprawdę nie miała dużego wyboru.

Wcześniej wynajęła go Verna, wdowa po Hatchu, i Furr złożył w jej imieniu pozew o spowodowanie śmierci. Tydzień później złożył pozew w imieniu Lacy. Rozpatrzenie obu opóźniało się z nietypowego powodu: obfitości gotówki. Syndykat przestępczy, który zgarniał miliony z kasyna należącego do rdzennych Amerykanów, poukrywał swoje aktywa na całym świecie. Federalni nadal je odnajdywali, a ponieważ było tego tak dużo, przyciągało uwagę wielu pokrzywdzonych. Oraz ich adwokatów. Stanowe i federalne sądy były zawałone roszczeniami.

Najpoważniejszą przeszkodą stojącą na drodze do pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy był rozległy i skomplikowany pozew federalny obejmujący sprzeczne ze sobą roszczenia rdzennych Amerykanów, do których należało kasyno. Dopóki ta sprawa nie zostanie rozwiązana, nikt

nie wiedział, ile pieniędzy zostanie dla innych poszkodowanych, w tym dla Lacy Stoltz i Verny Hatch.

Furr omówił z nią najnowsze czynności procesowe dotyczące konfiskaty mienia zgromadzonego w wyniku przestępstwa oraz innych kwestii.

– Obawiam się, Lacy, że będziesz musiała złożyć zeznanie – powiedział, marszcząc czoło.

– Nie chcę przez to ponownie przechodzić – odparła. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Wiem. Jednym z problemów jest to, że prawnicy wyznaczeni przez sąd do przekazania pieniędzy pracują na godziny, za bardzo wysokie stawki, więc wcale im się nie spieszy, żeby to szybko załatwić.

– Jezu. To rzeczywiście coś nowego – skomentowała.

Furr roześmiał się.

– I nie mówimy tutaj o prowincjonalnych stawkach z Tallahassee – dodał. – Ci goście biorą osiemset dolców za godzinę. Będziemy mieli szczęście, jeśli cokolwiek nam zostawią.

– Nie możesz złożyć skargi do sądu?

– Złożono bardzo wiele skarg. Wszyscy walczą ze wszystkimi.

Lacy przez chwilę się nad tym zastanawiała. Furr obserwował ją.

– Złożenie zeznania nie będzie takie straszne – powiedział.

– Nie wiem, czy dam radę przeżywać na nowo cały wypadek, widok zakrwawionego Huga. Prawdopodobnie konającego.

– Dobrze cię przygotujemy. Poza tym przyda ci się to doświadczenie, bo być może będziesz musiała zeznawać, jeśli dojdzie do procesu.

– Nie chcę procesu, Buford. Postawiłam sprawę jasno. Jestem pewna, że marzysz o wielkim spektaklu, z całą bandą łajdaków siedzących na ławie

oskarżonych i z jak zwykle oczarowanymi przez ciebie przysięgłymi. Kolejny ważny werdykt w twojej karierze.

Furr roześmiał się.

– Po to właśnie żyję, Lacy. Wyobrażasz sobie, jak wyciągają z więzienia tych szubrawców i każą im brać udział w procesie? To marzenie każdego adwokata.

– Nie moje. Zniosę jakoś złożenie zeznania, ale nie proces. Naprawdę chcę zawrzeć ugodę.

– Zawrzemy ją, obiecuję. W tym momencie musimy po prostu zmusić stronę przeciwną do ujawnienia wszystkich informacji.

– Nie wiem, czy mnie na to stać.

– Chcesz wycofać pozew?

– Nie. Chcę o nim zapomnieć, kiedy zawrzemy umowę. Nadal mam koszmary i ten pozew wcale mi nie pomaga.

– Rozumiem. Po prostu mi zaufaj, dobrze? Załatwiałem podobne rzeczy wiele razy. Należy ci się wysokie odszkodowanie i je dostaniesz.

Podziękowała mu skinieniem głowy.

Rozdział 21

Kiedy zadzwonił telefon w jego kieszeni, sierżant Faldo zajmował się zestawami do identyfikacji sprawcy gwałtu. Dzwonił szef wszystkich szefów, przełożony całej policji w Pensacoli, i jak zwykle nie owijał niczego w bawełnę. Sędzia Ross Bannick musiał tego popołudnia sprawdzić coś w starych aktach. Będzie w sądzie co najmniej do czwartej i chce odwiedzić sierżanta Faldo punktualnie o wpół do piątej. Sierżant miał zrobić wszystko, czego zażyczy sobie Wysoki Sąd.

– Po prostu zrób mu laskę, jasne? – sprecyzował szef.

– Tak jest, panie komendancie – odparł Faldo. Nie trzeba mu było mówić, jak ma wykonywać swoją pracę.

Przypomniał sobie, że Bannick chyba był już u niego przed wielu laty. Sędziowie sądu okręgowego i w ogóle jacykolwiek sędziowie odwiedzali magazyn dowodów rzeczowych niezmiernie rzadko. Gośćmi Falda byli prawie wyłącznie gliniarze albo dostarczający dowody, które miały być przechowane do procesu, albo przekopujący stare akta. Zorientował się jednak już dawno temu, że skarbiec, którego strzegł, może zainteresować właściwie każdego. Odwiedzali go prywatni detektywi, reporterzy, pisarze, szukający strzępów informacji zdesperowani krewni ofiar, a także jasnowidze i co najmniej jedna wiedźma.

Uśmiechnięty sędzia Bannick pojawił się dokładnie o wpół do piątej i przywitał się z Faldem. Wydawał się autentycznie zadowolony, że może się z nim spotkać, i zapytał go o przebieg jego wzorowej służby. Był rasowym politykiem, podziękował mu więc za nią i poprosił, żeby zatelefonował do niego, gdyby czegoś potrzebował.

Chodziło o stare akta z dwa tysiące pierwszego roku. Dotyczyły sprawy, która stanęła przed sądem miejskim i została oddalona, trywialnej sprawy niemającej żadnego znaczenia dla nikogo poza emerytowanym znajomym sędziego z Tampy, który poprosił go o przysługę. Tak w każdym razie brzmiała jego bajeczka.

Kiedy rozmawiając o futbolu, weszli w głąb magazynu, Faldo przypomniał sobie te akta. Znalazł kwiecień, maj, a potem czerwiec dwa tysiące pierwszego roku i wyciągnął całą szufladę.

– Oskarżony nazywał się Verno – powiedział Bannick, śledząc kciuk przesuwającego akta sierżanta.

– Mam – rzucił z dumą Faldo, po czym wyjął akta z szuflady i podał je sędziemu.

Bannick poprawił na nosie okulary do czytania.

– Ktoś oglądał ostatnio te akta? – zapytał od niechcenia.

Sierżant wszystko sobie dokładnie przypomniał.

– Tak, panie sędzio. Jakiś facet pojawił się tu kilka tygodni temu. Skserowałem jego prawo jazdy. Powinienem je mieć.

Bannick wziął do ręki kserokopię i spojrzał na zdjęcie niejakiego Jeffa Dunlapa z Conyers w stanie Georgia.

– Czego chciał?

– Nie mam pojęcia, czego poza aktami. Skopiowałem mu je, w cenie dolara za kartkę. Z tego, co pamiętam, zapłacił cztery dolce. – Faldo pamiętał również, że Dunlap rzucił na kontuar pięciodolarowy banknot,

choć opłaty mogły być wnoszone tylko kartą. Uznał jednak, że nie będzie mówić o skromnej łapówce przyjętej przez marnie wynagradzanego policyjnego weterana.

Bannick przyglądał się przez chwilę wyjętym z akt kartkom. Zsunięte na czubek nosa okulary nadawały mu wygląd intelektualisty.

– Kto zaczernił nazwisko skarżącego? – zapytał, nie oczekując tak naprawdę, że Faldo udzieli mu odpowiedzi.

Prawdopodobnie pan, panie sędzio, mógł powiedzieć Faldo. Z mojego dziennika przyjęć wynika, że w ciągu ostatnich trzynastu lat tylko dwie osoby interesowały się tymi aktami. Pan, dwa lata temu, a teraz cały ten Dunlap.

Sierżant Faldo rozpoznał jednak trafnie sytuację i wiedział, czego się od niego oczekuje.

– Nie mam pojęcia, panie sędzio – odparł.

– W porządku. Może mi pan przesłać kopię prawa jazdy tego faceta?

– Oczywiście, panie sędzio.

...

Sędzia Bannick odjechał spod policyjnego magazynu swoją jak zawsze niepozorną i nieprzyciągającą uwagi terenówką.

Prywatny detektyw z Georgii przyjechał do Pensacoli, żeby zapoznać się z beużytecznymi policyjnymi aktami trzynaście lat po tym, jak sprawa została zamknięta. Robiąc to, odnalazł skąpe dane na temat aresztowania i procesu Lanny'ego Verno, Panie świeć nad jego duszą. Trudno to było zrozumieć, chyba że wyciągnęło się dość oczywisty wniosek, że ktoś interesował się przeszłością Bannicka.

Sędzia stale łykał ibuprofen, by pozbyć się bólu głowy. Jego umysł pracował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Powtarzał sobie, że

powinien myśleć powoli i metodycznie, przyglądać się z każdej strony każdej hipotezie, ale wiele obrazów z przeszłości zasnuwała mgła. Podjechał do centrum handlowego na północy Pensacoli, jednego z dwóch, które do niego należały. Po jednej stronie był tam multipleks, po drugiej supermarket Kroger, a między nimi osiem mniejszych firm, wszystkie regularnie płacące czynsz. Zaparkował obok popularnej siłowni, którą odwiedzał prawie codziennie, i ruszył zadaszoną alejką jak każdy robiący zakupy klient. Między siłownią a studiem jogi skręcił w szerszą alejkę, zatrzymał się przy nieoznakowanych drzwiach, przyłożył do zamka klucz magnetyczny i zbliżył twarz do skanera. Kiedy drzwi się odblokowały, szybko wszedł do środka.

To był jego drugi gabinet, sanktuarium, azyl i kryjówka. Bez okien, z tylko jednym wejściem, naszpikowany czujnikami alarmowymi i obserwowany dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ukryte kamery. Nie było żadnego dokumentu potwierdzającego jego istnienie, żadnych pozwoleń na budowę czy rachunków za media. Nie miał tam wstępu nikt poza nim. Elektryczność, woda, kanalizacja, internet i kablówka były doprowadzone ze znajdującej się za grubą ścianą siłowni, której właściciele płacili odpowiednio zmniejszony czynsz, co potwierdzono uściskiem dłoni. Formalnie rzecz biorąc, stanowiło to naruszenie kilku drobnych przepisów i regulacji i jako sędzia bolał nad tym, że musi oszukiwać. Ale i tak nikt nie miał się o niczym dowiedzieć. Prywatność, którą cieszył się w tym swoim drugim gabinecie, uśmierzała wszelkie ewentualne wyrzuty sumienia.

Mieszkał piętnaście kilometrów dalej w Cullman, w eleganckim domu z prywatnym gabinetem, który mógł być bez trudu przeszukany przez ludzi wyposażonych w odpowiednie nakazy. Jego służbowy, dość ponury gabinet mieścił się na drugim piętrze sądu okręgowego hrabstwa Chavez, w miejscu

należącym do podatników i choć niekoniecznie otwartym dla publiczności, to również łatwym do przeszukania.

Niech szukają. Niech zabiorą wszystkie akta i komputery z jego domowego i służbowego gabinetu – nie znajdą tam przeciwko niemu nawet strzępu dowodu. Mogą go śledzić online, sprawdzić jego twarde dyski i prawnicze serwery, wszystkie maile, które wysłał z tych komputerów, lecz i tak nie trafią na żaden ślad.

Większość swojego dorosłego życia przeżył, bojąc się nakazów, policji i przyłapania na gorącym uczynku. Ten lęk dręczył go tak mocno i od tak dawna, że w codziennym życiu instynktownie stosował wszelkiego rodzaju środki bezpieczeństwa. I na razie umykał przed obławą.

Obawa przed aresztowaniem nie wynikała z lęku, że będzie musiał zapłacić cenę. Bardziej z tego, że będzie musiał zaprzestać.

Jego zamiłowanie do technologii, technik obserwacyjnych, a nawet do szpiegostwa miało swoje źródło w filmie, którego tytuł dawno już zapomniał. Oglądał go sam w nocy w piwnicy, kiedy był wystraszonym i skrzywdzonym trzynastolatkiem, po tym, jak rodzice poszli spać. Bohaterem był nieprzystosowany chudy dzieciak, którego prześladowali chuligani z sąsiedztwa. Zamiast podnosić ciężary i nauczyć się karate, chłopiec zaczął interesować się alternatywną nauką, szpiegostwem, rodzajami broni, balistyką, nawet bronią chemiczną. Jako pierwszy w mieście kupił sobie komputer i nauczył się programowania. Dzięki temu udało mu się zemścić na chuliganach i odjechał w stronę zachodzącego słońca.

Film był raczej kiczowaty, ale zachęcił młodego Rossa Bannicka do zainteresowania się nauką i technologią. Ubłagał rodziców, żeby na gwiazdkę i urodziny kupili mu komputer Apple II. Dorzucił do niego czterysta pięćdziesiąt dolarów z własnych oszczędności. W szkole średniej

i na studiach wydawał każdego zaoszczędzonego dolara na aktualizacje i najnowsze gadzety. W młodości podsłuchiwał rozmowy telefoniczne, filmował uprawiających seks członków bractwa, nagrywał wykłady, których nie powinno się nagrywać, unieruchamiał kamery monitoringu, otwierał wytrychami drzwi do zabezpieczonych pomieszczeń i ryzykował na sto innych sposobów. Nigdy tego później nie żałował. Ani razu go nie złapano, nie było na to najmniejszej szansy.

Pojawienie się internetu dało mu nieograniczone możliwości.

...

Zdjął krawat i marynarkę i rzucił je na skórzaną sofę, na której często sypiał. Z tyłu miał szafę z ubraniami i małą lodówkę z napojami. Sto metrów dalej, koło kina, była kafejka i kiedy pracował do późna, często tam samotnie jadał. Podszedł do grubych metalowych drzwi, wystukał kod, zaczekał, aż cofną się ołowiane bolce, po czym wkroczył jeszcze głębiej w swój tajny świat. Krypta, jak nazywał ją z dumą na własny użytek, była mierzącym dwadzieścia metrów kwadratowych dźwięko-, wodo- i ognioszczelnym pomieszczeniem. Nikt poza nim go nigdy nie widział i nikt nie miał zobaczyć. Pośrodku stało biurko z dwoma trzydziestocalowymi monitorami. Na jednej ze ścian był ekran pokazujący przesyłane przez kamery IP obrazy jego domu, gabinetu, sądu oraz budynku, w którym aktualnie przebywał. Na kolejnej – sześćdziesięciocalowy telewizor plazmowy. Pozostałe dwie ściany były puste – żadnego łechtania ego, żadnych oprawionych w ramki dyplomów, nagród i listów z gratulacjami. Ten chłam prezentował na ścianach, które mogli zobaczyć inni. W gruncie rzeczy w całym tym pomieszczeniu nie było niczego, co pozwoliłoby zidentyfikować jego właściciela. Nazwisko Bannicka nigdzie się nie pojawiało.

Gdyby padł jutro trupem, jego komputery i telefony zaczekałyby cierpliwie czterdzieści osiem godzin, po czym skasowałyby swoją zawartość.

Usiadł przy biurku, włączył komputer i czekał, aż na ekranie pojawi się obraz. Następnie wyjął z teczki dwa listy i położył je przed sobą. Ten w kopercie ostemplowanej w Pensacoli informował go o dochodzeniu wszczętym przez KDS. Ten w kopercie ostemplowanej w Montgomery zawierał głupawy wierszyk. Oba wysłane były przez tę samą osobę mniej więcej w tym samym czasie.

Aktywował VPN, żeby ominąć zapory bezpieczeństwa, i po podaniu hasła wszedł do dark webu, gdzie czekał na niego zawsze niejaki Rafe. Bannick był zatrudniony przez stan i już dawno temu uzyskał nielegalny dostęp do rządowych baz danych Florydy. Korzystając z dostosowanego do jego indywidualnych potrzeb programu szpiegowskiego o nazwie Maggotz, stworzył własnego tajnego agenta, trolla, którego nazwał Rafe i który całkowicie anonimowo penetrował stanowe serwery i chmurę. Ponieważ Rafe nie był przestępcą, nie kradł ani nie pobierał danych w celu wymuszenia okupu, lecz tylko szukał pewnych informacji, szanse jego wykrycia były praktycznie zerowe.

Rafe mógł na przykład śledzić obieg informacji pomiędzy siedmioma sędziami Sądu Najwyższego Florydy i ich urzędnikami, dzięki czemu Bannick dokładnie wiedział, jaka zapadnie decyzja w sprawie apelacji od jego wyroków. Ponieważ nie mógł w żaden sposób wpłynąć na tę decyzję, informacja była w gruncie rzeczy bezużyteczna, ale dobrze było zawsze wiedzieć, w którą stronę wieje wiatr.

Jego troll mógł również śledzić wrażliwą korespondencję między prokuratorem generalnym i gubernatorem. Mógł zapoznać się z opiniami prokuratorów na temat urzędujących sędziów. Mógł zaglądać do raportów

policji stanowej i ustalić, czy robią jakieś postępy w poszczególnych śledztwach.

A co w tej chwili najważniejsze, mógł śledzić na bieżąco działalność Komisji Dyscyplinarnej Sędziów. Bannick podobnie jak dzień wcześniej sprawdził ją i nie znalazł żadnego dokumentu, w którym wymieniono by jego nazwisko. To było deprymujące i denerwujące.

Do diabła, w tym momencie wszystko było denerwujące.

Łyknął kolejną tabletkę ibuprofenu i zastanawiał się, czy nie napić się wódki. Nie lubił jednak zbyt alkoholu i planował iść do siłowni. Żeby złagodzić stres, musiał przez dwie godziny potrenować z ciężarami.

Zabawna była lektura innych skarg, którymi zajmowała się aktualnie KDS. Śmieszyły go zarzuty stawiane jego kolegom sędziom, z których kilku dobrze znał, a kilkoma pogardzał. Rozbawienie nie trwało jednak długo.

Bannick rozkoszował się tym, co robił. W porównaniu z jego zbrodniami inne zgłaszane do KDS przewinienia były po prostu niepoważne. Teraz jednak ktoś poznał jego historię. Ale dlaczego, jeśli złożył na niego skargę, nie została ona ujawniona?

Znowu rozboleła go głowa i znowu sięgnął po tabletki.

Osoba, która wysłała mu list i wierszyk, znała prawdę. Wymieniła Kronke'a, Verna i Dunwoody'ego i zasugerowała, że ofiar jest więcej. Jak dużo wiedziała? Jeśli złożyła skargę do KDS, zrobiła to zapewne pod warunkiem, że nie zostanie to nigdzie zarejestrowane, przynajmniej w ciągu czterdziestu pięciu dni przeznaczonych na wstępne dochodzenie.

Bannick przeszedł do małego pokoiku z tyłu, rozebrał się, wziął długi gorący prysznic i włożył dres. Zasiadłszy znowu przy biurku, kazał Rafe'owi przeszukać archiwa policji stanowej, akta tak słabo chronione, że buszował w nich niepostrzeżenie od trzech lat. Tym razem znalazł akta

Perry'ego Kronke'a z miasta Marathon i z zaskoczeniem ujrzał świeży wpis szefa wydziału dochodzeniowego policji stanowej Florydy, detektywa Grimsleya:

Dzwonił dzisiaj szef Turnbull z Marathon; 31 marca odwiedziło go dwoje prawników z KDS Florydy – Lacy Stoltz i Darren Trope, którzy byli zainteresowani zabójstwem Kronke'a. Oświadczyli, że być może mają podejrzanego, ale na razie nic nie ujawnią; nie podali żadnych nazwisk; popłynęli w miejsce, gdzie zostały znalezione zwłoki Kronke'a, ale niczego nie znaleźli. Obiecali, że jeszcze się skontaktują. Turnbull nie przywiązuje do tego większego znaczenia; jego zdaniem już się nie odezwą i nie musimy w związku z tym podejmować żadnych działań.

W miejscu zabójstwa Kronke'a Bannick nie zostawił żadnych śladów. Zanurzył się nawet głęboko w zatoce.

– *Być może mają podejrzanego* – powtórzył na głos. Czy to możliwe, że po dwudziestu trzech latach bycia niewidzialnym ktoś wreszcie uznał go za *podejrzanego*? Kto? Na pewno nie Lacy Stoltz i Darren Trope. Byli niskiego szczebla urzędnikami, reagującymi na skargę złożoną przez tę samą osobę, która wysyłała mu teraz listy.

Głęboki oddech i medytacja nie pomogły przewyciężyć stresu.

Sięgał już po wódkę, ale ostatecznie wyszedł do siłowni, zawsze ostrożny, zawsze obserwujący wszystkich dokoła. Choć przestraszony i spięty, powiedział sobie, że musi się odprężyć i mieć jasną głowę. Skręciwszy za rogiem, wszedł do centrum fitness i dołączył do sesji jogi, po której miał zamiar podnosić ciężary.

Rozdział 22

W piątek rano, jedenastego kwietnia, Norris Ozment zasiadł przy swoim biurku w hotelu Pelican Point i zaraz potem dostał telefon z recepcji.

– Dzwoni do ciebie sędzia Bannick z Cullman.

Zaskoczony tym, że tak szybko słyszy znów nazwisko sędziego, Ozment odebrał telefon. Obaj przyznali, że pamiętają się z czasów służby Ozmenta w policji w Pensacoli.

– Załatwiam pewną sprawę dla starego znajomego z Tamy – oznajmił Bannick, kiedy zostały przełamane pierwsze lody – i interesują mnie informacje na temat niejakiego Lanny’ego Verno, z tego, co słyszałem, typowego lumpa, który kilka miesięcy temu został zabity w Biloxi. Przed laty miał sprawę w miejskim sądzie w Pensacoli i to pan go aresztował. Kojarzy pan tę historię?

– Cóż, panie sędzio, normalnie na pewno bym nie kojarzył, ale tak się składa, że kojarzę.

– Naprawdę? To było trzynaście lat temu.

– Owszem. Złożył pan zeznanie, a ja aresztowałem gościa.

– Tak było. – Bannick roześmiał się głośno i nieszczerze. – Facet groził mi bronią palną w moim własnym domu, a sędzia go uniewinnił.

– To było dawno temu, panie sędzio. Nie tęsknię za chwilami, które spędzałem w sądzie miejskim, i staram się o nich zapomnieć. Na pewno nie

pamiętałbym tej sprawy, ale tak się składa, że miesiąc temu pojawił się tutaj prywatny detektyw i zadawał mi pytania na temat Verna.

– Nie może być.

– A jednak.

– Czego chciał?

– Powiedział tylko, że jest ciekaw.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli spytam, co go tak ciekawiło?

Właściwie Ozmentowi nie bardzo podobały się te wszystkie pytania, ale Bannick był sędzią sądu okręgowego, któremu podlegały przestępstwa kryminalne. Gdyby chciał, mógłby prawdopodobnie wystawić nakaz i uzyskać dostęp do dokumentacji hotelu. Poza tym był zaangażowany w dawną sprawę przeciwko Vernowi jako domniemana ofiara. Takie myśli chodziły po głowie Ozmentowi, kiedy zastanawiał się, co powiedzieć.

– Poinformował mnie, że ktoś zabił Verna – odparł w końcu – i że został wynajęty przez jego rodzinę, żeby sprawdzić plotki o możliwych nieślubnych dzieciach.

– Skąd był ten detektyw?

– Powiedział, że z Georgii. Z Conyers pod Atlantą.

– Pokazał panu jakąś legitymację?

– Nie, panie sędzio. I nie dał mi swojej wizytówki. W ogóle o nią nie poprosił i nie dałem mu swojej. Ale nasze kamery na parkingu sfilmowały jego samochód i sprawdziliśmy rejestrację. Wynajął go w Hertz w Mobile.

– To ciekawe.

– Ja myślę. Uznałem wtedy, że przyleciał z Atlanty do Mobile i tam wynajął samochód. Szczerze mówiąc, panie sędzio, niewiele mnie to obchodziło. To była drobna sprawa kryminalna sprzed stu lat, a oskarżony

został uniewinniony przez sąd miejski. A teraz ktoś zabił go w Missisipi. Generalnie nie powinno mnie to obchodzić.

– Rozumiem. Przyjrzał się pan temu samochodowi?

– Tak, panie sędzio. Mamy go na wideo.

– Mógłby pan przesłać mi je mailem?

– Musiałbym porozmawiać z moim kierownikiem. Nie wiem, czy to nie narusza zasad bezpieczeństwa.

– Chętnie sam porozmawiam z pana kierownikiem. – W tonie Bannicka zabrzmiała nutka groźby. Był sędzią i przywykł do tego, że stawiał na swoim.

Ozment rozejrzał się po pustym biurze.

– Jasne, panie sędzio – powiedział. – Proszę mi podać pana adres mailowy.

Bannick podał mu tymczasowy adres, jeden z wielu, których przez krótki czas używał, a potem likwidował. Pół godziny później patrzył na dwie fotografie: jedną przedstawiającą tył białego buicka z rejestracją z Luizjany i drugą, na której był Jeff Dunlap. Wysłał do Ozmenta maila z podziękowaniami i dołączył do niego bezużyteczną broszurę opisującą obowiązki i misję sędziów i pracowników Dwudziestego Drugiego Okręgu Sądowego Florydy. Kiedy Ozment otworzył załącznik, do sieci hotelu Pelican Point wszedł tylnymi drzwiami Maggotz i natychmiast ją zainfekował. Bannick raczej nie przewidywał, że będzie musiał ją przeglądać, ale nagle uzyskał dostęp do listy gości, danych finansowych, akt personalnych pracowników, mnóstwa kart kredytowych i wyciągów bankowych. I to nie tylko Pelican Point. Hotel należał do małej sieci dwudziestu butikowych hoteli i Rafe, gdyby miał ochotę, zyskałby jeszcze więcej danych do eksplorowania.

Trzeba było jednak zająć się pilniejszymi sprawami. Bannick zadzwonił do swojego sądu i porozmawiał z sekretarką. Tego dnia poza spotkaniem z adwokatami o jedenastej nie miał żadnych ważnych spraw do załatwienia.

W rejonie Atlanty mieszkało siedmiu Jeffów albo Jeffreyów Dunlapów, ale w mieście Conyers tylko dwóch. Jeden, którego żona miała głos nastolatki, był nauczycielem. Drugi emerytowanym kierowcą miejskich autobusów, który oświadczył, że nigdy nie był w Mobile. To potwierdzało podejrzenie, które Bannick żywił od początku: prywatny detektyw posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Pięciu innych Dunlapów miał zamiar sprawdzić później, żeby zyskać pewność.

Gdy zadzwonił do punktu Hertza w Mobile, trafił na młodą kobietę o imieniu Janet i ustalił z nią szczegóły weekendowego wynajmu samochodu. Janet wysłała potwierdzenie na jeden z adresów mailowych Bannicka, a on odpisał: Dziękuję, Janet. Kwota, którą pobraliście, różni się od podanej w waszym potwierdzeniu o 120 \$. Proszę przejrzeć załącznik i postarać się usunąć niezgodność. Kiedy tylko Janet otworzyła załącznik, Rafe dostał się tylnymi drzwiami do Hertz North America. Bannick unikał hakowania dużych korporacji, bo ich zapory były bardziej wyrafinowane, ale wiedział, że tak długo, jak Rafe będzie tylko węszył, a nie próbował coś zwędzić albo wymusić, pozostanie najprawdopodobniej niewykryty. Zanim on za kilka godzin odwoła rezerwację wynajmu, Rafe sprawdzi numery rejestracyjne pojazdów Hertza wynajmowanych w Luizjanie.

Wiedział, że Hertz wynajmuje rocznie w Stanach pół miliona pojazdów i rejestruje je we wszystkich pięćdziesięciu stanach. Enterprise, największa firma wynajmu, miała na koncie ponad sześćset tysięcy pojazdów.

Okazało się to dla Rafe'a dużym wyzwaniem, choć nigdy się nie skarżył i nigdy nie ociągał. Zaprogramowano go tak, żeby jeśli trzeba, pracował przez dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu.

Podczas gdy Rafe dyskretnie się trudził, Bannick obdzwaniał wszystkich Jeffów Dunlapów w Atlancie.

...

O wpół do jedenastej zawiązał krawat, przejrzał się w lustrze i stwierdził, że wygląda na zestresowanego i podenerwowanego. Nie bez powodu. W nocy prawie nie spał; świat walił mu się na głowę. Po raz pierwszy w życiu czuł się osaczony. Dojechanie do sądu hrabstwa Escambia w Pensacoli zajęło mu piętnaście minut. Wszyscy adwokaci byli z miasta i wyznaczył im szybko terminy. Udało mu się sprawiać wrażenie tak samo serdecznego i miłego jak zawsze. Wysłuchał każdej ze stron i obiecał szybką mediację. A potem popędził do swojego drugiego gabinetu w centrum handlowym i zamknął się w środku.

Jedenastego marca buick został wynajęty przez niejakiego Roliego Tabora, prywatnego detektywa zarejestrowanego w Alabamie. Tabor jeździł tym samochodem dwa dni i zwrócił go dwunastego marca po przejechaniu siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów.

Co typowe dla większości prywatnych detektywów, nie reklamował się zbyt w sieci. Przedstawiciele tej profesji skłonni są podawać tylko te informacje, które mogą przyciągnąć klientów, czyli nic naprawdę użytecznego. Na swojej stronie internetowej pisał, że jest byłym policjantem, doświadczonym, godnym zaufania i dyskretnym. Co to miało znaczyć? Zajmował się zaginionymi osobami, rozwodami, przyznawaniem opieki nad dzieckiem, zbieraniem poufnych informacji i tak dalej. Na stronie był adres pocztowy jego mieszczącego się w Mobile biura, numer telefonu i mail. Nie było fotografii detektywa.

Z porównania zdjęcia z hotelowego monitoringu z tym na fałszywym prawie jazdy skopiowanym przez sierżanta Faldo wynikało niezbicie, że

mężczyzna przedstawiający się jako Jeff Dunlap był w obu miejscach i wypytywał o Lanny'ego Verno. Tak naprawdę nazywał się Rollie Tabor. Dlaczego kłamał?

Bannick przez godzinę zastanawiał się nad planem działania, wymyślając i odrzucając kolejne pomysły. Kiedy w końcu wpadł na właściwy, założył kolejne konto mailowe i wysłał Taborowi wiadomość.

Drogi Panie Tabor. Jestem lekarzem mieszkającym w Birmingham i potrzebuję usług prywatnego detektywa w rejonie Mobile. Chodzi o relacje rodzinne. Polecili mi Pana znajomi. Czy jest Pan dostępny? Jeżeli tak, jaka jest Pana stawka za godzinę?
Dr Albert Marbury

Sprawdził, czy mail doszedł, i czekał. Trzydzieści jeden minut później Tabor odpowiedział:

Doktorze Marbury, dziękuję. Jestem dostępny. Biorę 200\$ za godzinę.
RT

Bannick skrzywił się na dwieście dolarów za godzinę. Najwyraźniej była to specjalna stawka dla doktora. W odpowiedzi zgodził się na nią i dołączył link do strony hotelu w Gulf Shores, w którym, jak napisał, przebywała prawdopodobnie jego żona. Kiedy Tabor otworzył maila i załącznik, do jego komputera zakradł się tylnymi drzwiami Rafe i zaczął węszyć. Okazało się, że Tabor prowadził bardzo ograniczoną dokumentację, przynajmniej jeśli chodzi o to, co wprowadzał do komputera. Bannick dobrze wiedział, że wielu prywatnych detektywów prowadzi dwie wersje ksiąg – jedną dla urzędu podatkowego, drugą dla siebie. Wiele transakcji było nadal gotówkowych. Po godzinie Rafe niczego nie znalazł. Ani słowa o Lannym Verno i o Jeffie Dunlapie, ani słowa o wycieczce do Pensacoli i Seagrove Beach sprzed miesiąca. I z całą pewnością nic na temat klienta, na którego zlecenie prowadził to śledztwo.

Bannick łyknął kolejny ibuprofen i diazepam na uspokojenie nerwów. Zdał sobie sprawę, że osłabł z głodu, ale żołądek podchodził mu do gardła i bał się, że po zjedzeniu czegoś na pewno zwymiotuje. Miał już dosyć siedzenia w Krypcie – w tym momencie chciał sięść za kierownicę, wcisnąć gaz i wyjechać z miasta na weekend. Może stojąc na jakimś odległym molo, plaży albo szczycie, zdoła spojrzeć jasnym okiem wstecz i coś z tego zrozumieć.

Ktoś wiedział. Ktoś wiedział o nim bardzo dużo.

...

Wyszedł z Krypty, przeszedł do małego pomieszczenia na tyłach, rozebrał się do bokserów i włożył szorty oraz T-shirt. Potrzebował świeżego powietrza, spaceru po lesie, ale nie mógł teraz stąd wyjść. Nie w tym kluczowym momencie. Znalazł w lodówce pomarańczę i zjadł ją, popijając czarną kawą.

...

Maggotz tkwił zakamuflowany w komputerach biura szeryfa hrabstwa Harrison od czasu zamordowania Lanny'ego Verno i Mike'a Dunwoody'ego. Kiedy ofiary zostały odnalezione, Rafe aktywował się i zaczął węszyć.

Po zjedzeniu pomarańczy Bannick przywitał się z Rafe'em i kazał mu przejrzeć dokumentację prowadzącego śledztwo detektywa Napiera. Dwudziestego piątego marca w raporcie dziennym Napier zamieścił następującą notkę:

W związku z zabójstwem Verna i Dunwoody'ego odbyłem dziś spotkanie z Lacy Stoltz i Darrenem Trope'em z Komisji Dyscyplinarnej Sędziów stanu Floryda. Udostępniłem im akta, ale

nic nie zostało skopiowane ani zabrane. Zasugerowali, że mają być może podejrzanego, lecz nie chcieli rozwijać tematu. Wiedzą więcej, niż chcą powiedzieć. Jeszcze się odezwą.

E. Napier

Bannick zaklął szpetnie i wstał od biurka. Czuł się jak osaczone ranne zwierzę, które ucieka przez las przed ujadającymi coraz głośniejszymi gońcami psami.

...

Eileen była numerem czwartym. Eileen Nickleberry. W chwili śmierci miała trzydzieści dwa lata. I według nekrologu była rozwiedziona.

Uwielbiał kolekcjonować nekrologi swoich ofiar. Miał je wszystkie w aktach.

Odnalazł ją po trzynastu latach – trzynastu lat po tym, jak wyśmiała go w pokoju akademika, a potem pijana jak bela stoczyła się na dół i poinformowała resztę towarzystwa, że „Rossowi nie stanął”. „Rossowi sflaczał”. Zaśmiewała się i powtarzała to bez końca, ale nazajutrz rano większość balangowiczów zapomniała o całym incydencie. Eileen zagięła jednak na niego parol i w końcu w kręgu znajomych rozeszło się, że Bannick ma problem. Bannickowi nie staje.

Sześć lat później odnalazł swoją pierwszą ofiarę, drużynowego skautów. Zabicie go poszło zgodnie z planem. Cofnąwszy się i spojrzawszy na ciało Thada Leawooda, nie poczuł nawet cienia żalu, żadnych wyrzutów sumienia. Przeciwnie – ogarnęła go prawdziwa euforia, poczucie władzy, kontroli i co najlepsze, spełnionej zemsty. Od tamtej chwili wiedział, że nigdy się nie zatrzyma.

Siedem lat po Leawoodzie, mając już na koncie trzy ofiary, odnalazł wreszcie Eileen. Sprzedawała nieruchomości na północ od Myrtle Beach; jej uśmiechniętą ładną twarz widać było na każdym słupie ogłoszeń, jakby ubiegała się o miejsce w radzie miasta. Miała kilka ofert w nadmorskim osiedlu składającym się z czterdziestu domków. Wynajął jeden z nich w lecie 1998 roku, zanim jeszcze został sędzią. W niedzielny ranek zwałił ją do pustego domku, który próbowała sprzedać – CENA Z RABATEM! – i w momencie, gdy go rozpoznała, rozłupał jej głowę ołowianą kulą. Kiedy sznur wrzynał się jej w szyję i wydawała ostatnie tchnienie, przypomniał jej szeptem, jak z niego szydziła.

Dopiero po pięciu godzinach zaczęło się coś dziać. Kiedy zrobiło się nieprzyjemnie i ludzie zaczęli krzyczeć, siedział z piwem na tarasie wynajętego domku i patrzył, jak podjeżdżają karetki i radiowozy. Uśmiechnął się, słysząc syreny. Przez tydzień czekał, aż do jego drzwi zapukają gliniarze i zapytają, czy czegoś nie widział, ale nikt się nie zjawił. Zapłacił w całości czynsz i nigdy tam nie wrócił.

Zabójstwa dokonał w nadmorskim miasteczku Sunset Beach, w hrabstwie Brunswick w Karolinie Północnej. Dopiero dziewięć lat później hrabstwo zdigitalizowało akta. Kiedy to się stało, Bannick czekał już ze swoimi programami szpiegującymi pierwszej generacji. Podobnie jak w przypadku innych jednostek policji, często uaktualniał dane, szukając jakiejś aktywności i udoskonalając hakerskie narzędzia.

Po kilku latach sprawa zabójstwa Eileen wylądowała w szufladzie. Nie było żadnego poważnego podejrzanego. W aktach odnotowano okazjonalne zainteresowanie ze strony pisarzy zajmujących się przestępczością, reporterów, członków rodziny i innych jednostek policji.

W piątek po południu Bannick po raz pierwszy od kilku miesięcy wysłał Rafe'a na poszukiwania. Z cyfrowego datowania wynikało, że akta

Eileen nie były otwierane przez trzy lata. Aż do momentu, kiedy zajrzał do nich jakiś reporter – albo ktoś, kto się za niego podawał.

Rozdział 23

Udało mu się nie wyrzygać pomarańczy. Chciał się chwilę zdrzemnąć, ale był zbyt nakręcony. Złapał sportową torbę, pobiegł do siłowni za rogiem i przez dwie godziny pedałowal na stacjonarnym rowerze, wioslowal, podnosił ciężary i biegał po bieżni. Kiedy był kompletnie wykończony, zajrzał do łazni. Upewniwszy się, że jest sam, rozebrał się i owinął ręcznikiem.

Telefon do Norrisa Ozmenta był błędem, ale nie miał innego wyjścia. Ozment mógł go teraz powiązać z zamordowaniem Verna, tak samo jak zrobił to Tabor. Było jednak mało prawdopodobne, że władze w Missisipi kiedykolwiek dotrą do Ozmenta. Jeszcze mniej prawdopodobne, że ten będzie chciał się do nich zwrócić. Po co miałyby to robić?

Sędzia Bannick pomasował skronie i wdychając parę, próbował oddychać wolniej. Osoba, która złożyła skargę do KDS, zrobiła to anonimowo, z zastrzeżeniem, że nic nie znajdzie się w aktach cyfrowych. Osoba, która wynajęła Rolliego Tabora, żeby pod nazwiskiem Jeffa Dunlapa przejrzeć stare akta sądowe, zrobiła to z zastrzeżeniem, żeby niczego nie umieszczał online. Osoba, która wysłała Bannickowi dwa anonimowe listy, starała się zatrzeć za sobą wszelkie możliwe ślady.

Wiedziała o Eileen Nickleberry.

To musiała być jedna i ta sama osoba. Nie było po prostu innego wytłumaczenia. Nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności. Sprawą pierwszorzędnej wagi było jej odnalezienie.

A kiedy ją już znajdzie, co zrobi zacny sędzia? Z pewnością ją zabije, to nie powinno być trudne. Czy nie jest jednak za późno? Czy pani Stoltz z tej parszywej Komisji Dyscyplinarnej Sędziów ma dość dowodów, żeby iść z tym na policję? Zapewnił się w duchu, że nie, i takie też było jego najgłębsze przekonanie. Postawienie go w stan oskarżenia będzie dość łatwe, ale skazanie niemożliwe. Prowadził wiele procesów o zabójstwo, studiował kryminalistykę i wiedział o niej więcej niż niejeden ekspert. Co najważniejsze, wiedział, ile trzeba dowodów, żeby wykazać ponad wszelką wątpliwość, że popełnił zbrodnię. Cholernie dużo. O wiele więcej, niż jakikolwiek nisko opłacany gliniarz zdoła znaleźć na jego cmentarnym szlaku.

Na jego liście było kilkanaście nazwisk. Dziesięć ofiar gryzło już ziemię, pozostało mu niewiele. Dunwoody się nie liczył, bo nie było go na liście. Po prostu źle trafił i był jedyną ofiarą, na myśl o której sędziego dręczyły wyrzuty. W przeciwieństwie do innych Dunwoody nie zasłużył na to, by umrzeć. Ale Bannick nie mógł na to nic poradzić.

Miał teraz zresztą o wiele większe kłopoty.

Zabójca nie może nie oglądać się przez ramię i od wielu lat Bannick bał się, że zostanie rozliczony. Właściwie miał dość czasu, żeby się nad tym zastanowić i obmyślić kilka możliwych reakcji. Pierwszą było odejście, zniknięcie, zanim zostanie poddany upokarzającej procedurze aresztowania, postawienia w stan oskarżenia i procesu sądowego. Miał mnóstwo pieniędzy i świat stał przed nim otworem. Wiele w życiu podróżował i odwiedził kilka miejsc, w których mógłby się zaszyć i nigdy nie zostać

znaleziony. Preferował kraje, z którymi Stany Zjednoczone nie miały umowy o ekstradycji.

Kolejną strategią było pozostanie i walka. Upieranie się, że jest niewinny, stawienie czoła prokuratorom i przygotowanie się do wielkiego procesu. Wiedział dokładnie, kogo wynająć na obrońcę. Żadna ława przysięgłych nie mogła go skazać, bo policja nie miała dowodów. Wierzył mocno, że z tego samego powodu żaden prokurator nie postawi go w stan oskarżenia. W USA nigdy dotąd nie oskarżono o zabójstwo urzędującego sędziego. Gdyby tak się stało, media urządziłyby cyrk o epickich rozmiarach. Nawet najbardziej ambitny prokurator bałby się przegrać przed tak olbrzymią publicznością.

Które z jego morderstw dałoby się najłatwiej udowodnić na procesie? Było to arcyważne pytanie i zastanawiał się nad nim prawie codziennie. Mając o sobie dość wygórowane zdanie, uważał, że był tak sprytny i inteligentny, że prokuratura nie zdoła go oskarżyć o żadne z nich. Pozostanie i walka o dobre imię były najatrakcyjniejszą opcją.

Wybierając ją, mógłby zlikwidować kolejne osoby z listy.

Ostatnie wyjście było najłatwiejsze. Mógł po prostu skończyć ze sobą i zabrać swoje zbrodnie do grobu.

...

W późne piątkowe popołudnia sędzia Bannick pijał na ogół martini w towarzystwie jednego lub dwóch kolegów. W okolicy było kilka barów, które lubili, w tym pewien klub przy nabrzeżu z widokiem na rozpościerającą się w oddali Zatokę Meksykańską. W ten piątek nie miał ochoty z nikim się spotykać, ale musiał się napić. Przyrzucił sobie martini w tylnym pokoju i popijając je, zadawał sobie oczywiste pytanie: kim jest ta osoba?

Gliniarz nie zawracałby sobie głowy anonimowymi listami. Po co tracić czas? Po co alarmować podejrzanego? Po co bawić się w takie gierki? Poza tym gliniarze niczego nie znaleźli. Miał stały nielegalny dostęp do baz danych wszystkich komend i wiedział, że w sprawie żadnego z zabójstw nic się nie dzieje. Szeryf w Biloxi i jego detektyw Napier wciąż starali się znaleźć podejrzanego, ale robili to tylko dlatego, że były dwie ofiary, w tym jedna dobrze znana w okolicy. Nie mieli jednak czym się pochwalić i po sześciu miesiącach podążali tą samą ścieżką co inni.

Wynajęcie prywatnego detektywa kosztowałoby zbyt wiele. Bez względu na to, jak niska byłaby jego stawka godzinowa, powiązanie zabójstwa Eileen w Karolinie Północnej w 1998 roku z morderstwem Perry'ego Kronke'a w 2012 roku oraz podwójnym zabójstwem Verna i Dunwoody'ego w zeszłym roku wymagałoby po prostu zbyt wiele pracy. Nikogo nie byłoby na to stać. Znał dobrze swoje ofiary i ich rodziny. Perry Kronke był z nich wszystkich zdecydowanie najbogatszy, ale wdowa po nim była schorowana i z pewnością nie chciała wydawać fortuny na odnalezienie zabójcy męża. Obaj synowie prowadzili z umiarkowanym sukcesem biznesy w Miami.

Bannick odsunął wykładzinę dywanową w rogu pomieszczenia, otworzył kluczem ukryty pod nią sejf i wyjął schowanego tam pendrive'a. Podłączył go do komputera, przejrzał zawartość i już po kilku sekundach na ekranie ukazał się plik zatytułowany KRONKE. Ponieważ sam zebrał i spisał wszystko, co w nim było, znał jego zawartość na pamięć, ale stałe monitorowanie własnej przeszłości było częścią jego życia. Czujność była tak samo ważna jak metodyczne planowanie.

Testament Kronke'a został notarialnie poświadczony w hrabstwie Monroe na Florydzie cztery miesiące po jego śmierci. Jego starszy syn, Roger, został wymieniony jako wykonawca, co sąd zatwierdził. Masa

spadkowa została spisana bez opóźnień. Hipoteka nie miała obciążeń i nie było żadnych innych długów poza tymi na kartach kredytowych. W momencie śmierci Kronke i jego żona posiadali wspólnie dom, wyceniony na osiemset tysięcy dolarów, dwa małe domy na wynajem, po dwieście tysięcy każdy, portfel akcji wyceniony na dwa miliony sześćset tysięcy, papiery wartościowe wycenione na trzysta czterdzieści tysięcy oraz gotówkę na kilku kontach bankowych o łącznej wartości dziewięćdziesięciu tysięcy. Razem z samochodem, łodzią i mniejszymi ruchomościami dawało to łącznie cztery miliony czterysta tysięcy dolarów.

Testament trafił do rejestru publicznego. Zhakowanie maili notariusza było dziecinnie łatwe dzięki Rafe'owi i jego świetnej znajomości systemu sądowego stanu Floryda. Rafe śledził również panią Kronke i finanse świeżo upieczonej wdowy. Na podstawie jej wyciągu bankowego wiedział, że co miesiąc otrzymuje dwa tysiące dolarów z ubezpieczenia społecznego, cztery i pół tysiąca emerytury z kancelarii męża oraz trzy tysiące osiemset z emerytalnego planu oszczędnościowego.

Generalnie wyglądało na to, że ma dużo gotówki, ale nie płaciła raczej dużych sum prywatnym detektywom. Rzadko do kogoś pisała; z jej maili do synów wynikało, że rozważa sprzedaż domu i przeniesienie się do luksusowego osiedla dla seniorów. Z maili między synami przebijała obawa, że mama za dużo wydaje i zostawi im w związku z tym mały spadek.

Nie było mowy o wydawaniu pieniędzy na poszukiwanie zabójcy.

Bannick uznał, że osoba, która go śledzi, nie robi tego na polecenie kogoś z rodziny Kronke'ów.

Na drugim końcu finansowej drabiny był Lanny Verno. Nie miał żadnego majątku i nikt nic po nim nie odziedziczył. Nie miał też żadnych urzędzeń, które można by zhakować, dzieci i żadnej rodziny poza

mieszkającą z nim czasem kobietą, która odchodziła od niego i wracała, i pieprzyła się z kim popadnie. Verno był ostatnią osobą, której bliscy mogliby nasłać na Bannicka prywatnych detektywów.

Sędzia otworzył kolejny plik, zatytułowany EILEEN NICKLEBERRY.

Jej rodzina również nie budziła podejrzeń. Eileen zginęła przed szesnastu laty, nie spisała testamentu i niewiele po sobie zostawiła. Na wykonawcę testamentu sąd wyznaczył jej matkę. Mieszkanie i samochód zostały zlicytowane – uzyskane pieniądze poszły na spłatę pożyczek i kart kredytowych. Po zaspokojeniu roszczeń dłużników rodzicom, którzy byli rozwiedzeni, oraz rodzeństwu Eileen zostało do podziału cztery tysiące dolarów.

Co ciekawe, ojciec wynajął adwokata, żeby złożyć pozew o nieumyślne spowodowanie śmierci przeciwko właścicielowi osiedla, na którym została zamordowana. Rafe śledził maile przez mniej więcej rok, do czasu, kiedy stało się jasne, że nic z tego nie będzie. Bannicka zadziwił pomysł, żeby to adwokat, a nie gliniarze, badał sprawę zabójstwa. Policja, podobnie jak prawnicy, od początku była w kropce i śledztwo utknęło w martwym punkcie. Oprócz konserwatora osiedla – bez kryminalnej przeszłości i z solidnym alibi – nie było żadnego podejrzanego. Kolejne zabójstwo doskonałe.

Ostatnią ofiarą wymienioną przez śledzącą sędziego osobę był Mike Dunwoody.

Bannick otworzył poświęcony mu plik, choć bardzo wątpił, żeby jego rodzina wynajęła prywatnego detektywa. Dunwoody zginął zaledwie przed pięcioma miesiącami, a szeryf Black i detektyw Napier mówili i robili wszystko, co trzeba, żeby przekonać zainteresowanych, że czynią postępy. Rodzina opłakiwała zmarłego w milczeniu i ufała władzom. Dunwoody pozostawił wszystko żonie i wyznaczył ją na wykonawczynię testamentu.

Po pięciu miesiącach jeszcze nie zatwierdziła go w sądzie. Z wyciągów kont bankowych członków rodziny, firmowych i osobistych, wynikało, że wiedzie im się podobnie jak większości deweloperów – raz lepiej, raz gorzej, ale bez fajerwerków. Trudno było uwierzyć, że mogą wydać dziesiątki tysięcy dolarów na prywatne śledztwo.

Śledząca Bannicka osoba nie była gliniarzem ani prywatnym detektywem, ale korzystała z usług takich ludzi jak Rollie Tabor do zbierania informacji. Kto wynająłby detektywa z Mobile?

Ktoś szukający bombowego tematu, jak zatrudniony w jakiejś gazecie dziennikarz albo freelancer, nie miałby cierpliwości, by śledzić sprawę tak długo. Chcieli zarobić na tym pieniądze, a kto funkcjonowałby przez lata bez zapłaty?

Sędzia przyrządził sobie kolejne martini, przeszedł z nim do pomieszczenia od frontu i usiadł w półmroku na sofie. Popijał je powoli i czuł, jak gin odnajduje drogę do jego zamroczonego mózgu. Ból głowy ustąpił na jakiś czas. Bannick miał dosyć tego miejsca, ale czuł się tu bezpiecznie. Nikt nie mógł go zobaczyć. Nikt na całym świecie nie wiedział, gdzie jest. Przez całe dorosłe życie śledził swoje ofiary i teraz uznał za przerażające, że ktoś śledzi jego. Jego ofiary nigdy nie miały jednak pojęcia, że coś im grozi, natomiast on wiedział. Wiedział, że ktoś zagiął na niego parol.

Stracił poczucie czasu, a telefon zostawił w Krypcie. Wyciągnął się na sofie i zapadł w głęboki sen.

...

Kiedy spał, Rafe przeszukiwał sieć Atlas Finders, bo tak nazywało się biuro prywatnego detektywa Rolliego Tabora. Zakradł się do komputera

jego zatrudnionej na ćwierć etatu sekretarki i znalazł tam kilka fotografii. Na jednej z nich była ona i jej szef, pan Tabor.

Parę godzin później Bannick spojrział na uśmiechniętą twarz Rolliego i upewnił się, że to ten sam facet, którego wychwyciła kamera na parkingu hotelu Pelican Point i którego buźka widniała na fałszywym prawie jazdy Jeffa Dunlapa. Zdjęcie potwierdzało to, co już wiedział: Rollie Tabor, prywatny detektyw z Mobile, został wynajęty przez kogoś, żeby prześwietlić brudną przeszłość sędziego Bannicka.

Rafe nie zdołał znaleźć nic więcej w biurze Atlas Finders. Trzeba by się włamać na telefon Tabora, a tego Bannick nie potrafił. Pilnie się ucząc i często wcielając w życie swoją wiedzę, stał się całkiem niezłym hakerem komputerowym, ale ze smartfonami nie szło mu tak dobrze. Nadal się uczył, lecz dużo mu brakowało.

Było wciąż ciemno, kiedy parę minut po szóstej w sobotę rano wynurzył się w końcu ze swojego bunkra. Czynna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siłownia była pusta, podobnie jak parking. Chciał jak najszybciej wrócić do domu i szybko ruszył z miejsca. Wyjeżdżając na ulicę, złapał się na tym, że zerka w lusterko wsteczne, i o mało nie parsknął śmiechem, gdy zdał sobie sprawę z absurdalności tej sytuacji.

Dwadzieścia minut później, kiedy słońce wyglądało zza chmur na wschodzie, wjechał na strzeżone osiedle w Cullman i zaparkował przed swoim garażem. Zgasiwszy silnik, wyjął telefon, wyłączył system bezpieczeństwa i sprawdził najnowsze nagrania monitoringu. Dopiero kiedy się upewnił, że jest bezpieczny, wysiadł z samochodu i wszedł do domu. Pozapalał światła i włączył ekspres. Patrząc, jak parzy się kawa, czekał, aż rozjaśni mu się w głowie po wypitych koktajlach. Potem nalał sobie filiżankę i przeszedł powoli przez gabinet do frontowych drzwi.

Otworzył je, wyszedł na werandę, zerknął w prawo i w lewo i sięgnął do zamontowanej przy drzwiach małej skrzynki pocztowej.

Znalazł w niej kolejną białą kopertę, bez adresu zwrotnego.

to wydawało się całkiem nieszkodliwe

kolejny aquapark przy plaży

zrównać teren, spalić krzaki i budować

kolejna żyła złota, wystarczy tylko sięgnąć

próbowałeś ukryć się w mroku

żeby nikt nie trafił na twoje nazwisko

chowales się za swoimi wspólnikami

kierując całym przekrętem

chwała wolnej prasie

która odkrywa prawdę, demaskuje kłamstwa

nie dopuszcza kanciarzy do urzędu

pilnuje, by sędziowie byli uczciwi i mądrzy

przegrana ze starym sędzią bardzo cię bolała

ubodła twoje rozrośnięte ego

więc obwiniles mnie o swoją korupcję

i cieszyles się, gdy umarłem.

Rozdział 24

Zanim Lacy zdążyła zrobić sobie kawę, spokój sobotniego poranka został zakłócony dwa razy. Pierwszy telefon obudził ją trzy minuty po ósmej. Numer nieznany, potencjalny spam. Innymi słowy, nie odbieraj. Coś podpowiadało jej jednak, żeby odebrać, i jeśli okaże się, że to automat, po prostu się rozłączyć, jak zawsze.

– Dzień dobry, Lacy – odezwała się cicho Jeri.

Lacy szybko pohamowała złość.

– Dzień dobry, Jeri. Z jakiego powodu dzwonisz?

– Po prostu dużo o tobie ostatnio myślę. Co porabiasz?

– No cóż, kiedy zadzwoniłaś, spałam. Jest sobota, dzień wolny i dzisiaj nie pracuję. Chyba ci to już wyjaśniłam.

– Przepraszam – powiedziała Jeri tonem, w którym nie słychać było cienia poczucia winy. – Ale właściwie dlaczego to ma być zawsze element twojej pracy? Dlaczego nie możemy pogadać jak dwie przyjaciółki?

– Bo nie jesteśmy jeszcze przyjaciółkami. Jesteśmy znajomymi, które spotkały się po raz pierwszy miesiąc temu. Kiedyś, gdy doprowadzimy do końca sprawę, która nas do siebie zbliżyła, być może zostaniemy przyjaciółkami, ale na tym etapie nimi nie jesteśmy.

– Rozumiem.

– Nie sądzisz, że zbyt lekko używa się słowa „przyjaciel”?

– Chyba tak.

– I jakikolwiek jest powód, dla którego dzwonisz, nie chodzi o przyjaźń. Prawdopodobnie chodzi ci o sprawę, nad którą pracujemy.

– Owszem, Lacy. I przykro mi, że zawracam ci głowę.

– Jest sobotni ranek, Jeri, i mnie obudziłaś.

– Rozumiem. Posłuchaj, zaraz się rozłączę, ale pozwól mi powiedzieć to, co chcę powiedzieć. Dobrze?

– W porządku.

– Jest bardzo prawdopodobne, że Bannick wie o złożonej skardze i o tym, że sprawdzasz jego przeszłość. Nie mogę tego udowodnić, ale doszłam do wniosku, że ma jakiś szósty zmysł, wyjątkową intuicję... sama nie wiem. W każdym razie jest nadzwyczaj inteligentny i skrupulatny, a poza tym ma, jak sądzę, lekką paranoję. Żyję z nim od tak dawna, że czasami wydaje mi się, że jest wszędzie. Uważaj, Lacy. Jeśli dowie się, że jesteś na jego tropie, będzie gotów na wszystko.

– Wzięłam to pod uwagę.

– Dobrze. Do widzenia.

Jeri zakończyła rozmowę i Lacy natychmiast pożałowała tego, że była taka oschła. Biedna kobieta była wrakiem człowieka, i to od wielu lat. Powinna jej okazywać więcej cierpliwości.

Ale był wczesny sobotni ranek.

Zamknęła oczy, bo chciała jeszcze trochę pospać, lecz zaczął mruzczyć Frankie. Pomyślała o Alliem i o tym, jak dobrze byłoby go mieć przy sobie. A potem, całkiem już wybudzona, zaczęła myśleć o Jeri Crosby i jej smutnym życiu.

Nie myślała tylko o swoim starszym i jedynym bracie, Guntherze. Kiedy zadzwonił dziesięć minut po Jeri, wiedziała, że ten beztroski dzień nie potoczy się tak, jak planowała. Oświadczył, że ma nowy samolot, chce

się nim pochwalić, a ponieważ jest wspaniała wiosenna pogoda, wybierze się nim na południe i zaprosi młodszą siostrę na lunch.

– Jestem teraz na pasie, zaraz startuję i będę w Tallahassee za osiemdziesiąt cztery minuty. Spotkamy się na lotnisku.

Cały Gunther. Świat kręcił się wokół niego; wszyscy inni byli tylko statystami. Lacy umyła zęby, coś na siebie narzuciła, wyprowadziła i nakarmiła psa, po czym pojechała na lotnisko, wiedząc, że jej spokojną leniwą sobotę diabli wzięli. Tak naprawdę jednak nie była wcale zaskoczona. Nic, co dotyczyło jej brata, nie mogło jej zaskoczyć. Był zapalonym pilotem, który zmieniał samoloty prawie tak samo szybko, jak kupował i sprzedawał sportowe samochody. Ostro pogrywał również z kobietami, a także z bankierami i inwestorami. Kiedy rynki szybowwały, wydawał na lewo i prawo, a kiedy pikowały, pożyczał, gdzie się dało. Nawet gdy popyt na budowane przez niego centra handlowe i szeregowce był całkiem duży, nadal wydawał się balansować na krawędzi bankructwa. Ponieważ miał zwyczaj koloryzować i zwyczajnie zmyślać, Lacy straciła już rachubę, ile razy złożył wnioski o bankructwo. Chyba trzy razy, a do tego dwa rozwody i jeden wycofany w ostatniej chwili akt oskarżenia.

Mimo różnych problemów Gunther nie cierpiał jednak na bezsenność i zaczynał każdy dzień z entuzjazmem i pewnością siebie. Jego apetyt na życie był zaraźliwy i jeżeli uparł się, że przyleci na lunch, nie sposób było go powstrzymać, bez względu na to, co sobie wcześniej zaplanowała.

Czekając w prywatnym terminalu, obserwując przylatujące i odlatujące małe samoloty i popijając kiepską kawę, obawiała się i zarazem nie mogła się doczekać spotkania z Guntherem. Po śmierci rodziców potrzebowali się nawzajem. Oboje byli bezdietnymi singlami i wyglądało na to, że na nich skończy się ta rodzina. Siostra ich matki, Trudy, chciała pełnić funkcję

matriarchini i za bardzo się we wszystko wtrącała. Lacy i Gunther zjednoczyli się w oporze.

Lacy nie była jednak zachwycona jego wizytą, bo wymądrzał się prawie na każdy temat. Od jej sfingowanego wypadku miał zbyt wiele do powiedzenia o złożonym przez nią pozwie, adwokacie i ich strategiach procesowych. Uważał, że siostra marnuje się w KDS. Nie był również zbyt zachwycony Alliem Pacheco, choć być może rewanzował się w ten sposób Lacy za to, jak traktowała każdą dziewczynę, którą ośmielił się jej przedstawić. Uważał, że Tallahassee to zadupie i powinna się przeprowadzić do Atlanty. Nie podobał mu się jej samochód. I tak dalej.

I oto pojawił się: wylazł ze smukłego małego samolociku i zeskoczył ze skrzydła, bez bagażu i bez teczki, playboy, który wybrał się na lunch i przejażdżkę. Uściskali się w progu i wyszli z terminalu.

– Nadal jeździsz tym dziadowskim autkiem? – zapytał, zapiąwszy pasy.

– Posłuchaj, Gunther, jak zwykle miło cię widzieć. Ale ostatnią rzeczą, jaką chcę dzisiaj słyszeć, jest stały strumień docinków na temat mojego życia. I mojego samochodu. Czy to jest jasne?

– Rany, siostrzyczko. Wstałaś lewą nogą z łóżka?

– Owszem.

– Widziałaś mój samolot? Czyż nie jest piękny?

– Jest, jeśli samoloty mogą być piękne.

– Kupiłem go w zeszłym miesiącu od gościa, którego żona złapała na zdradzie. Smutne.

Gunther w żadnym wypadku się tym nie smucił.

– Co to za model? – zapytała wyłącznie dlatego, że wypadła.

– Wypasiona turbośmigłowa socata TBM siedemset. Ferrari ze skrzydłami. Czteryście sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zrobiłem superinteres.

Superinteres w przypadku Gunthera oznaczał, że namówił kolejnego bankiera do udzielenia mu pożyczki.

– Brzmi ekscytująco – rzuciła Lacy. – Ale jest dość mały.

– Cztery miejsca, dla mnie wystarczy. Chcesz się przelecieć?

– Mieliśmy się wybrać na lunch. – Lacy przeleciała się z nim dwa razy i to jej wystarczyło. Gunther był poważnym pilotem, który nie wygłupiał się i nie ryzykował, ale był jednak Guntherem.

– Oczywiście – odparł, spoglądając nagle na ekran telefonu. – Co u Alliego? – zapytał, chowając go do kieszeni. – Nadal z nim jesteś?

– Jestem i jest mi z nim dobrze. Kim jest twoja nowa sympatia?

– Która? Słuchaj, moim zdaniem pora, żeby ten facet albo się zdeklarował, albo poszedł w cholerę. Ile ze sobą jesteście? Dwa lata?

– Aha, więc jesteś teraz ekspertem od małżeństwa?

Gunther roześmiał się i Lacy po chwili też. Pomysł, by dawał jej rady na froncie miłosnym, był naprawdę komiczny.

– W porządku, o tym już ani słowa – obiecał. – Rozmawiałaś ostatnio z ciocią Trudy? Dokąd jedziemy?

– Do domu, żebym mogła wziąć prysznic. Nie miałam na to wcześniej czasu.

– Jak możesz marudzić w taki piękny sobotni poranek?

– Nie, nie rozmawiałam z Trudy. Powinnam do niej zadzwonić. A ty?

– Też jej unikam. Biedactwo. Po śmierci mamy jest zagubiona. Były najlepszymi przyjaciółkami, a teraz został jej tylko mąż.

– Ronald jest w porządku – powiedziała Lacy.

– Jest świrem i dobrze o tym wiesz. Tak naprawdę wcale się nie lubią, ale przypuszczam, że po pięćdziesięciu latach nie mogą się rozejść.

– Porozmawiajmy o czymś innym. Jak twoje interesy?

– Wołałbym porozmawiać o wujku Ronaldzie.

– Czyli nieszczególnie?

– Wprost przeciwnie, idzie mi świetnie. Potrzebuję pomocy, Lacy. Chcę, żebyś przeniosła się do Atlanty i ze mną pracowała. Światła wielkiego miasta, większe możliwości. Zarobimy fortunę i znam z dziesięciu wspaniałych facetów, których mógłbym ci przedstawić.

– Nie mam raczej ochoty umawiać się z twoimi znajomymi.

– Daj spokój, Lacy. Zaufaj mi. Ci faceci mają kasę i będą z nich ludzie.

Ile wyciąga Allie w tym swoim FBI?

– Nie mam pojęcia i mało mnie to obchodzi.

– Czyli niewiele. Pracuje dla rządu.

– Tak jak ja.

– I o to chodzi. Możesz mieć lepiej. Większość koleśków, o których mówię, jest milionerami i mają własne firmy. Mają wszystko.

– Jasne, łącznie z alimentami i opieką nad dzieckiem.

Gunther roześmiał się.

– No dobrze, kilku ma i to.

W tym momencie zadzwonił jego telefon i już wkrótce dyskutował zażarcie na temat linii kredytowej. W sobotni rano?

Nadal nawijał przez telefon, kiedy zaparkowała przy swoim domu. Weszli do środka, zostawiła go na dole, a sama weszła do sypialni na piętrze.

...

Lunch mieli zjeść na zacienionym tarasie w luksusowej restauracji, daleko od śródmieścia. Rezerwując stolik, Lacy poprosiła o wczesną porę,

bo wciąż miała nadzieję na uratowanie choćby części popołudnia. Kiedy usiedli tam o wpół do dwunastej, taras był pusty.

Na początek zamówili mrożoną herbatę – Lacy zrobiła to szybko pierwsza. Gdyby Gunther zamówił jak zwykle butelkę wina, nie mógłby usiąść tego dnia za sterami samolotu. Odetchnęła z ulgą, gdy zignorował listę win i zaczął komentować menu. Jedząc w Tallahassee, powtarzał zwykle, jak marnie tu karmią. W Atlancie knajpy były o wiele lepsze. Tym razem darował to sobie i zamówił sałatę z krabami. Lacy zdecydowała się na grillowane krewetki.

– Nadal jesz jak ptaszek – powiedział, patrząc z podziwem na siostrę. – I wspaniale wyglądasz.

– Dzięki, i nie dyskutujemy więcej na temat mojej wagi. Wiem, do czego zmierzasz.

– Daj spokój. Od dwudziestu lat nie przytyłaś nawet o kilogram.

– Nie, i nie zamierzam przytyć dzisiaj. O czym jeszcze chciałbyś ze mną porozmawiać?

– Po tamtej kolizji zostały z ciebie skóra i kości. Chciałem powiedzieć „po tamtym wypadku”, ale to przecież wcale nie był wypadek, prawda?

Domyśliła się, że to miły wstęp do dyskusji na temat jej pozwu.

– Kiedy zdjęli ze mnie gips i bandaże, ważyłam czterdzieści pięć kilo – odparła z uśmiechem.

– Pamiętam i muszę powiedzieć, że przebyłaś od tego czasu długą drogę. Jestem z ciebie dumny, Lacy. Nadal chodzisz na terapię?

– Masz na myśli fizykoterapię czy tę drugą?

– Mówię o fizykoterapii.

– Tak, dwa razy w tygodniu, ale niedługo ją skończę. Pogodziłam się z tym, że już zawsze tu i tam będzie mnie pobolewać i będę odczuwała sztywność. Miałam chyba w sumie szczęście.

Gunther dolał trochę soku cytrynowego do herbaty i spojrzął w bok.

– Nie nazwałbym tego szczęściem, ale skończyło się to dla ciebie lepiej niż dla Huga. Biedak. Wciąż jesteś w kontakcie z wdową? Jak ona ma na imię?

– Verna. Nadal się przyjaźnimy.

– Ma tego samego adwokata co ty, prawda?

– Owszem. Porównujemy notatki i wzajemnie się wspieramy. Żadna z nas nie chce procesu. Nie wiem, czyby go zniosła.

– Nigdy do niego nie dojdzie. Dranie pójdą na ugodę.

Gunther miał o wiele większe doświadczenie w sporach cywilnych, choć w jego przypadku chodziło o zerwane kontrakty i niespłacone pożyczki. Z tego, co wiedziała, nie znał się na odszkodowaniach.

– Rozumiem, że chodzi głównie o ujawnienie dokumentów posiadanych przez stronę pozwaną – powiedział, starając się dotrzeć do sedna problemu.

– Na to wygląda. Mój adwokat twierdzi, że być może będę musiała złożyć zeznania. Na pewno przez to przechodziłeś.

Gunther parsknął z niesmakiem.

– Jasne. Przednia zabawa. Gapisz się na siedzących po drugiej stronie pięciu adwokatów, którzy łapią cię za każde słowo, każdą sylabę, śliniąc się na myśl, że wyciągną z ciebie więcej pieniędzy. Dlaczego twój adwokat nie może doprowadzić do ugody? Powinien to zrobić już wiele miesięcy temu.

– To skomplikowane. Jasne, do wzięcia jest kupa forsy, ale to tylko przyciąga więcej sępów, więcej głodnych adwokatów.

– Rozumiem. Ale na ile byś się zgodziła, Lacy? Jaka jest twoja cena?

– Nie wiem. Jeszcze do tego nie doszliśmy.

– Masz prawo do milionów, siostrzyczko. Ci dranie celowo staranowali twój samochód. Zostałaś...

– Proszę... Wszystko to dobrze wiem, Gunther, i nie będziemy do tego wracać.

– Dobrze, przepraszam. Po prostu się o ciebie martwię. Nie wiem, czy masz odpowiedniego adwokata.

– Mówiłam ci już sto razy: potrafię zadbać o siebie i mojego adwokata. Nie musisz tracić czasu i się tym zamartwiać.

– Wiem. Przepraszam. Jestem twoim starszym bratem i nie mogę na to nic poradzić.

W tym momencie podano im lunch i oboje chyba się z tego ucieszyli. Zaczęli jeść i rozmowa się urwała. Guntherowi chodziło najwyraźniej po głowie wiele myśli, ale nie wiedział, jak je wyrazić.

Najbardziej bała się, że kiedy zawrze ugodę, brat będzie nagle potrzebował dużego zastrzyku gotówki. Gdyby tak się stało, była gotowa mu odmówić. Wiedziała, że zaciąga nowe długi, żeby spłacić stare, że zastawił wszystko, co posiada, i stąpa po cienkiej linii między wielką fortuną i plajtą. Jeśli w ogóle uda jej się uzyskać odszkodowanie, Gunther nie dostanie z niego ani centa. Jeśli to doprowadzi do konfliktu, trudno. Wolała zachować kasę i starać się jakoś załagodzić sytuację, niż dać mu ją, patrzeć, jak ją traci, a potem wysłuchiwać jego pustych obietnic.

On tymczasem porzucił temat odszkodowania, żeby przedstawić jej swój najnowszy projekt. Miało to być zaplanowane od podstaw miasteczko ze zróżnicowanymi domami, centralnym miejskim placem, budynkiem sądu, kościołami i szkołami, fontannami, sadzawkami i obowiązkowym polem golfowym. Regularna utopia. Kosztująca pięćdziesiąt milionów dolarów i współfinansowana oczywiście przez innych inwestorów. Lacy udawała, że słucha tego z zainteresowaniem.

Taras zaczął się wypełniać i wkrótce otoczył ich tłum gości. Gunther zastanawiał się, czy nie zamówić kieliszka wina, ale zmienił zdanie, kiedy

Lacy poprosiła o espresso. O pierwszej zapłacił rachunek i oznajmił, że musi wracać na lotnisko. Kolejna umowa wisiała na włosku i był potrzebny w Atlancie.

Uściskała go na prywatnym terminalu i patrzyła, jak kołuje po płycie lotniska. Bardzo go kochała, ale odetchnęła z ulgą, kiedy odleciał.

Rozdział 25

Z dobrze zaopatrzonej garderoby sędziego Bannick wybrał jasnoszary designerski garnitur od Zegny, z wełny czesankowej, białą koszulę z mankietami francuskimi i szeroki granatowy krawat. Przez chwilę podziwiał się w lustrze i uznał, że wygląda jak stuprocentowy Europejczyk. Późnym popołudniem wyjechał z Cullman do położonej w śródmieściu Pensacoli starej dzielnicy North Hills. Ulice były tu ocienione koronami starych dębów, z których konarów zwisał mech hiszpański. Wiele tutejszych domów miało ponad sto lat i przetrwało niejednego huragan i niejedną recesję. Jako dzieciak Ross jeździł z kolegami rowerem po North Hills i podziwiał piękne rezydencje. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że kiedyś będzie tu mile widzianym gościem.

Skręcił na brukowany podjazd przed wspaniale odrestaurowaną wiktoriańską willą, zaparkował SUV-a przy lśniącym mercedesie, przeszedł przez patio i zastukał do drzwi. Melba, starsza gosposia, która organizowała życie Helen, przywitała go jak zwykle ciepłym uśmiechem i oświadczyła, że pani się ubiera. Może zechciałby się czegoś napić? Poprosił o piwo imbirowe i usiadł w swoim ulubionym fotelu w sali bilardowej.

Helen była wdową i kimś w rodzaju przyjaciółki, choć intymne relacje raczej go nie interesowały. Tak samo jak ją. Jej trzeci albo czwarty mąż zmarł ze starości, czyniąc ją kobietą zamożną, i wolała zachować majątek dla siebie. Uważała, że wszystkim ewentualnym absztyfikantom zależy

głównie na forsie. W związku z tym ich relacje były czysto towarzyskie. Chciała, by na imprezach był z nią przystojny młodszy mężczyzna, w dodatku sędzia. A on lubił ją, bo była inteligentna, trochę szalona i nie stanowiła dla niego żadnego zagrożenia.

Mówiła, że ma sześćdziesiąt cztery lata, ale można było w to wątpić. Lata agresywnej chirurgii plastycznej wygładziły trochę jej zmarszczki, zaokrągliły podbródek i rozjaśniły oczy, ale podejrzewał, że ma co najmniej siedemdziesiąt. Jego harem, jak nazywał go wyłącznie w duchu, składał się z kilku kobiet w wieku od czterdziestu jeden do siedemdziesięciu w jej wypadku. Żeby się nimi zainteresował, musiały być wpływowe albo bogate, i oczywiście samotne. Z całą pewnością nie szukał żony. W ostatnich latach rozstał się z kilkoma przyjaciółkami, kiedy zaczęły robić problemy.

Melba przyniosła mu piwo i bez słowa odeszła. Kolacja w klubie zaczynała się o wpół do ósmej i nie było mowy, żeby zjawili się tam na czas. Dla sędziego, który w większości spraw wymagał punktualności, czekanie na Helen stanowiło nie lada wyzwanie. Siedział więc, przyglądając się wspaniałym skórzanym meblom, perskim dywanom, dębowym regałom wypełnionym starymi książkami i pięknemu żyrandolowi z dziewiętnastego wieku. Dom miał na czterech kondygnacjach prawie tysiąc metrów kwadratowych. Helen i Melba korzystały z nich tylko w małej części.

Bannick zamknął oczy i zaczął rozmyślać o najnowszym wierszyku. Jego autor powiązał go z Dannym Clevelandem, reporterem „Pensacola Ledger”. Uśmierconym zaledwie przed pięcioma laty, w 2009 roku. A wcześniej z Eileen Nickleberry, zabitą w 1998 roku, z Perrym Kronkiem, który zginął w 2012 roku, oraz z Vernem i Dunwoodym, uśmierconymi przed niespełna rokiem. Miał wrażenie, że jego ofiary powstały z grobów

i maszerują niczym zombie, by go dopaść. W stanie osłupienia i niedowierzania, bił się z myślami i co godzina obmyślał nowe strategie.

Teraz zamknął oczy, przez chwilę głęboko oddychał, a potem wyjął z kieszeni tabletkę xanaxu i popił ją piwem imbirowym. Łykał za dużo tabletek. Miały uśmierzyć jego niepokoje i pomóc mu się odprężyć, ale przestały być skuteczne.

Czy to możliwe, że straci wysoką i uprzywilejowaną pozycję społeczną? Czy zostanie w jakiś niewyobrażalny sposób zdemaskowany? Przeszłość, którą starał się tak skrupulatnie i błyskotliwie ukryć, doganiała go. Teraźniejszość i wszystkie jej benefity były poważnie zagrożone. Przyszłość była zbyt straszna, by o niej myśleć.

– Witaj, skahbie – powiedziała Helen, wchodząc do pokoju.

Bannick zerwał się z fotela, wyciągnął ręce, by ją grzecznie uścisnąć, i posłał jej aseksualnego całusa.

– Wyglądasz cudownie, Helen – powiedział.

– Dziękuję ci, mój dhogi – odparła, zerkając na swoją czerwoną suknię bez rękawów. – Podoba ci się? Od Chanel.

– Jest piękna, olśniewająca.

– Dziękuję, skahbie. – Helen pochodziła z małego miasta w Georgii i uważała się za prawdziwą południową piękność.

Przyjrzała mu się bliżej i zmarszczyła brwi.

– Robisz wrażenie zmęczonego, sędzio – stwierdziła. – Masz podkrążone oczy. Znów zmagasz się z bezsennością?

– Chyba tak – odparł, choć nigdy nie miał problemów ze snem. – Za dużo spraw na wokandzie.

Za to u ciebie, Helen, zauważyłem kolejną fałdkę w talii. Nie wyglądasz tak uroczo, jak sądzisz, miał ochotę powiedzieć, ale był na to zbyt uprzejmy.

Zaletą Helen i czymś, co bardzo w niej podziwiał, było to, że nigdy nie dawała za wygraną. Zawsze na diecie, zawsze podążająca za najnowszą modą, zawsze studiująca osiągnięcia chirurgii plastycznej, kupująca najdroższe kosmetyki i gustownie ich używająca. Twierdziła, że czeka na idealną kobietą viagrę, by móc pofiglować sobie na sianie niczym nastolatka. Oboje zdrowo się z tego uśmiali, bo seks był tematem, którego normalnie unikali.

Tak bardzo dbała o swój wygląd, że nie chciał powiedzieć niczego, co nakłółoby jej rozdęte do granic niemożliwości ego.

Spojrzał na stopy Helen, na które zawsze wkładała jakieś oryginalne buty, i uśmiechnął się na widok szpilek ze skóry leoparda.

– Podobają mi się twoje kurewsko wysokie obcasy – oświadczył ze śmiechem. – Od Jimmy’ego Choo?

– Zawsze, skahbie.

Pożegnali się z Melbą i wyszli z domu. Do klubu jechali zwykle jej mercedesem, bo jako stuprocentowa snobka Helen czułaby się głęboko upokorzona, gdyby ktoś zobaczył ją w terenowym fordzie. Bannick otworzył przed nią drzwi od strony pasażera i usiadł za kierownicą. Była już za dwadzieścia ósma, a do klubu jechało się piętnaście minut. Rozmawiali przez chwilę o jego pracowitym tygodniu oraz o jej wnuczkach z Orlando – rozpuszczonych bachorach, których rozliczne problemy brały się wyłącznie z dużych pieniędzy.

– Wydajesz się jakiś rozkojarzony, sędzio – zauważyła po dziesięciu minutach Helen. – O co chodzi?

– O nic. Po prostu nie mogę się doczekać bajecznej kolacji składającej się z gumowatego kurczaka i niedogotowanego groszku.

– Nie będzie tak źle. Ale nie uda nam się chyba zatrzymać szefa kuchni.

Oboje byli członkami Escambia Country Club i znali prawdę. Każdy nowy szef kuchni odchodził po mniej więcej sześciu miesiącach. Żadnemu nie udało się spełnić wysokich wymagań członków klubu, przekonanych, że jak nikt inny znają się na winach i wykwintnej kuchni.

Escambia Country Club istniał od stu lat i miał pięciuset członków oraz stu kandydatów na liście oczekujących. W rejonie Pensacoli był „tym klubem” i chciała do niego należeć każda zamożna rodzina. Również nuworysze. Stojący na cyplu główny budynek otoczony był z trzech stron wodą. Odchodziły od niego w kilku kierunkach przystrzyżone fairwaye. Całe miejsce, poczynając od krętego ocienionego podjazdu, po osiemdziesiąt hektarów bujnej zieleni, miało posmak starych pieniędzy i ekskluzywności.

Wejście znajdowało się pod szerokim portykiem, pod który członkowie klubu podjeżdżali niemieckimi samochodami i byli witani przez odźwiernych w czarnych krawatach. Do pełnego szczęścia brakowało tylko czerwonego dywanu. Helen uwielbiała, kiedy jeden z nich otwierał drzwi samochodu i tak, jak to robił od wielu dziesięcioleci, pomagał jej wysiąść, a ona mogła mu powiedzieć „Dobhy wieczór, Herbercie”.

Pożegnawszy starego Herberta, wsparta na ramieniu sędziego Bannicka, weszła z nim do wspaniałego holu wejściowego, po którym krążyli kelnerzy z kieliszkami szampana. Żeby zaspokoić pragnienie, rzuciła się na jednego z nich. To nie był jej pierwszy drink tego dnia. Sędzia zadowolili się szklanką wody gazowanej. Czekają go długa noc i jeszcze dłuższa niedziela.

Wkrótce znaleźli się w tłumie nadzianych bywalców, mężczyzn w wymaganych regulaminem garniturach i pod krawatami, kobiet w najróżniejszych designerskich kreacjach. Starsze preferowały obcisłe materiały, niebezpiecznie głębokie dekolty i ramiączka, jakby chciały

pokazać, ile tylko się da podstarzałego ciała, i udowodnić, że nadal są powabne. Młodsze, których było mniej, wydawały się zadowolone ze swoich figur i nie czuły potrzeby się nimi afiszować. Wszyscy rozmawiali i śmiali się, przemieszczając się powoli szerokim korytarzem, na którego ścianach wisiły wielkie portrety. Po wejściu do głównej sali bankietowej lawirowali przez jakiś czas między stołami, by znaleźć przypisane im miejsca. Tego wieczoru nikt nie miał przemawiać, nie było podium ani wyróżnionych stolików dla sponsorów. W drugim końcu sali, za parkietem do tańca, stroiła instrumenty orkiestra.

Helen i sędzia zasiedli razem z ośmioma osobami, które dobrze znali, czterema parami związanymi, jak Bóg przykazał, węzłem małżeńskim, choć nikt tak naprawdę nie dbał o tego rodzaju formalności. Doktor z żoną, architekt z żoną, producent żwiru z żoną oraz najstarszy z nich, który jadł tu z żoną kolację każdego wieczoru i odziedziczył podobno więcej kasy, niż wszyscy pozostali razem wzięci. Wino płynęło strumieniami i wartko toczyły się rozmowy.

Sędzia Bannick zmuszał się, by wybuchać śmiechem i rozprawiać głośno o rzeczach, które nie miały żadnego znaczenia. Chwilami jednak popadał w zadumę; przytłaczały go obawy przed tym, co może zdarzyć się w przyszłości, niepewność, co znajdzie w poniedziałek w skrzynce pocztowej, i lęk przed całkowitym zdemaskowaniem. Rozglądając się po sali i widząc przyjaciół i ludzi, których od dawna znał i podziwiał, nie mógł nie zastanawiać się nad tym, co o tym wszystkim powiedzą.

W garniturze od Zegny, ocierający się o moźnych tego świata, był szanowanym i podziwianym sędzią, a także, przynajmniej we własnej opinii, najinteligentniejszym zabójcą w dziejach Ameryki. Przestudiował historie innych. Same zbiry. Niektórzy kompletnie niedouczeni.

Odsunął od siebie te myśli i zaczął odpowiadać na pytanie, które padło przy stole. Chodziło o wyciek ropy w Zatoce Meksykańskiej. Plama zbliżała się do Pensacoli i wszyscy byli zaniepokojeni. Owszem, przewidywał, że w najbliższej przyszłości złożonych zostanie wiele pozwów. Znacie adwokatów, piszą pozwы, kiedy tylko zobaczą w oddali w plamę ropy, a czasami zanim ją zobaczą, powiedział. Wyciek był wiadomością dnia i przez chwilę wszyscy wypytywali sędziego, kto pozwie kogo. Nie trwało to długo; kobiety szybko straciły zainteresowanie i kiedy podano kolację, zaczęły konferować między sobą.

Kelnerzy byli dobrze wyszkoleni i sprawni i szybko dolewali do kieliszków, zwłaszcza do kieliszka Helen, która jak zwykle żłopała bez umiaru chardonnay i perorowała coraz głośniej. Wiedział, że do dziesiątej upije się w trupa i będzie musiał razem z Melbą taszczyć ją do domu.

Zadowolony, że nie musi się odzywać, przysłuchiwał się innym. Rozglądając się po sali, uśmiechał się i pozdrawiał skinieniem głowy znajomych przy innych stołach. Panował wesoły, nawet swawolny nastrój i wszyscy byli pięknie ubrani. Fryzury pań były idealne. Kobiety po czterdziestce miały podobne nosy i podbródki dzięki talentom doktora Rangle'a, najbardziej rozchwytywanego chirurga plastycznego w zachodniej Florydzie. Siedział dwa stoły dalej z drugą żoną, olśniewającą blondynką w nieokreślonym wieku, choć niektórzy przebąkiwali, że jest po trzydziestce. Kiedy nie rzeźbił akurat kobiet, Rangle sypiał z nimi; nie mogły mu się podobno oprzeć, a jego seksualne ekscesy były na ustach wszystkich.

Bannick, podobnie jak wielu mężów z okolicy, gardził tym człowiekiem, ale skrycie zazdrościł mu libido. I obecnej żony.

Na sali były dwie osoby, które miał ochotę zabić. Rangle był drugą z nich. Pierwszą był bankier, który odmówił mu kredytu, kiedy Bannick

miał trzydzieści lat i chciał kupić pierwszy biurowiec. Bankier stwierdził, że nie ma wystarczającej zdolności kredytowej, a szanse zarobienia przez niego dużych pieniędzy w zawodzie prawnika są mało prawdopodobne. W mieście działało już wystarczająco dużo przeciętnych adwokatów, których nie stać było na opłacenie rachunków. Typowy bankier, wydawało mu się, że zjadł wszystkie rozumy. Bannick kupił inny biurowiec, znalazł najemców, a potem kupił kolejny. Kiedy jego praktyka adwokacka się rozwinęła, wstąpił do Escambia Country Club i ostentacyjnie ignorował bankiera. W wieku trzydziestu dziewięciu lat został sędzią, a bankier dostał wylewu i musiał przejść na emeryturę.

Siedział teraz przy narożnym stole, stary i pokurczony, mamrocząc coś do małżonki. Można mu było tylko współczuć, ale to uczucie było Bannickowi obce.

Zabicie jego albo Rangle'a obarczone było jednak zbyt wielkim ryzykiem. Lokalne zbrodnie w niedużym mieście. Poza tym w porównaniu z innymi ich przewinienia były niewielkie. Tak naprawdę nigdy nie zamierzał umieścić ich na liście.

Kolacja zbliżała się do końca. Orkiestra zaczęła cicho grać, w większości stare przeboje Motown, uwielbiane przez obecnych. Kilka par wyszło na parkiet już podczas deseru. Helen lubiła tańczyć, a Bannick dotrzymywał jej kroku. Darowali sobie tort i zaczęli podrygiwać i wirować do muzyki Steviego Wondera i Smokeya Robinsona. Po kilku piosenkach zaschło jej jednak w gardle i musiała się czegoś napić. Zostawił ją przy stole z przyjaciółmi i wyszedł na patio, gdzie palili cygara i popijali whiskey mężczyźni.

Ucieszył się, widząc Macka MacGregora, stojącego samotnie z boku i trzymającego w jednej ręce kieliszek, a w drugiej telefon. Po dziesięciu latach sędziowania Bannick znał każdego adwokata między Pensacolą

i Jacksonville, a także wielu innych. Mack zawsze należał do jego ulubionych. Obaj mniej więcej w tym samym czasie weszli do lokalnych firm deweloperskich, a potem rozkręcili własne. Mack kochał salę sądową i szybko stał się utalentowanym i rozchwytywanym adwokatem procesowym. W tej okolicy był jednym z niewielu obrońców, którzy potrafili zajmować się sprawą aż do satysfakcjonującego werdyktu. Bannick obserwował z bliska jego pracę, choć nigdy nie sądził, że będzie któregoś dnia potrzebował jego usług.

W ciągu minionych trzech dni często łapał się na tym, że o nim myśli. Gdyby wszystko się posypało – choć nadal wierzył, że do tego nie dojdzie – pierwszy telefon wykona do Macka MacGregora.

– Dobry wieczór, panie sędzio – powiedział Mack, chowając telefon. – Zgubiłeś swoją dziewczynę?

– Odprowadziłem ją na piętro, żeby się wysikała. A kim jest twoja dzisiejsza towarzyszka?

– Jest nowa, naprawdę urocza. Znalazła mi ją sekretarka. – Mack rozwiódł się przed dziesięcioma laty i od tego czasu był stale na łowach.

– Całkiem ładna.

– I na tym koniec, wierz mi.

– Niczego więcej chyba nie trzeba?

– Wystarczy – przyznał Mack. – Kto dostanie sprawę tiki baru w Fort Walton?

– Jeszcze nie wiem. Zdecyduje o tym sędzia Watson. Chciałbyś ją?

– Być może.

Miesiąc wcześniej dwóch motocyklistów z Arizony wszczęło burdę w podrzędnej knajpie niedaleko Fort Walton Beach nad oceanem. W ruch poszły pięści, potem noże, a na koniec broń palna i kiedy opadło potłuczone

szkło, na ziemi leżały trzy trupy. Motocykliści uciekli, ale złapano ich w Panama City Beach.

Zgodnie z zasadą, że każda osoba oskarżona o poważne przestępstwo ma prawo do porządnego adwokata, Mack i jego partner bronili każdego roku pro bono co najmniej jednego oskarżonego o zabójstwo. Dodawało to pikanterii ich codziennej praktyce adwokackiej. Mack lubił brutalne, a nawet makabryczne szczegóły zbrodni, często odwiedzał więzienia i chętnie poznawał ludzi, którzy byli zdolni kogoś zabić.

– Wygląda mi to na twój rodzaj sprawy – mruknął Bannick.

– Życie jest dzisiaj takie nudne.

Cóż, Mack, wkrótce może się to zmienić dla nas obu, pomyślał Bannick.

– Jeśli podejmiesz się obrony pro bono, mogę coś zorganizować – powiedział.

– Przedyskutuję to w kancelarii. Przedzwonię do ciebie w poniedziałek. Nie ma chyba zagrożenia karą główną?

– Nie. Z całą pewnością nie było to zabójstwo z premedytacją. Wygląda na to, że dwóch idiotów upiło się i wszczęło bójkę. Pisziesz już pozwy w sprawie wycieku ropy?

– Na pewno się przy tym pożywimy – odparł ze śmiechem Mack. – Połowa palestry pływa teraz łodziami po Zatoce Meksykańskiej i szuka ropy. To będzie bonanza.

– Jak każda katastrofa ekologiczna.

Przez dłuższą chwilę zabijali czas, opowiadając sobie plotki o adwokatach, których znali, i o pozwach, którymi się zajmowali. Mack wyciągnął skórzaną cygarnicę i poczęstował sędziego cohibą. Obaj zapalili, znaleźli whiskey, po czym zmienili temat na przyjemniejszy i zaczęli rozmawiać o młodych dziewczynach. Bannick zdał sobie w końcu sprawę,

że Helen będzie go szukać, i pożegnał się z Mackiem. Wchodząc do budynku klubu, miał nadzieję, że nie będzie musiał się z nim rychło spotkać.

Rozdział 26

Powrót do domu był jak zwykle ciężki. Kiedy dreptali po ceglach, którymi wyłożone było patio, Helen nawet na bosaka co chwila traciła równowagę.

– Zostań na drinka, skahbie – zagruchała.

– Nie, Helen, już dawno powinniśmy być w łóżkach, a poza tym pęka mi głowa.

– Orkiestra tak pięknie grała, prawda? Co za uroczy wieczór...

Melba czekała już przy drzwiach, które wcześniej otworzyła. Bannick podał jej szpilki, przekazał Helen i cofnął się o krok.

– Muszę lecieć, kochanie. Zadzwoń rano.

– Ale ja chcę się napić.

Pokręcił głową, posłał znaczące spojrzenie Melbie i pospieszył do terenówki. Podjechał do centrum handlowego, zaparkował obok innych stojących przed kinem pojazdów i ruszył do swojego tajnego gabinetu. Używając klucza magnetycznego i skanu twarzy, otworzył drzwi i przebrał się w strój do siłowni. Pół godziny po pożegnaniu z Helen popijał espresso i penetrował dark web, śledząc najnowsze odkrycia Rafe'a.

Monitorowanie policyjnych kartotek było czasochłonne i na ogół mało produktywnie. Nadal posługując się Maggotzem i posyłając tu i tam Rafe'a, miał do nich stały dostęp. Jak dotąd żadna z placówek policji nie zdołała

skutecznie zabezpieczyć swoich danych i sieci. Jedne były łatwiejsze, inne trudniejsze do zhakowania, ale nigdy nie wymagało to większego wysiłku. Wciąż zadziwiała go niefrasobliwość administratorów danych większości władz miejskich i okręgowych. Niewielkim kosztem można byłoby uniknąć dziewięćdziesięciu procent włamań. Rutynowo używano haseł w rodzaju *Admin* czy *Hasło*.

Bardziej żmudne było śledzenie ofiar. Miał do czynienia z dziesięcioma rodzinami, które zniszczył. Z rodzicami, współmałżonkami, dziećmi, rodzeństwem, ciotkami i wujami. Nie współczuł im. Chciał jedynie, by trzymali się od niego z daleka.

Osoba, która go tropiła, nie była gliniarzem, prywatnym detektywem ani autorką sensacyjnych książek o prawdziwych zbrodniach. Była kimś związanym z ofiarą, kimś, kto przez wiele lat obserwował go, zbierając informacje i zarzucając sieć.

Musiał zmierzyć się z tą nową sytuacją. Wiedział, że dzięki swojej inteligencji wytropi tego człowieka i położy kres jego listom. Położy kres tym głupim wierszykom.

Wykluczył już rodziny Eileen Nickleberry, Perry'ego Kronke'a, Lanny'ego Verno i Mike'a Dunwoody'ego. Cofnął się do początku, do swojego największego triumfu. Otworzył akta Thada Leawooda i obejrzał fotografie, częściowo czarno-białe, z czasów skautingu; jedną przedstawiającą całą drużynę na zlocie, kolejną, zrobioną przez jego matkę na ceremonii przyznania nagród – stał dumnie w galowym mundurku z przypiętymi do szarfy odznakami, a Leawood obejmował go ramieniem. Przyglądając się twarzom innych skautów, swoich bliskich kolegów, zastanawiał się, ilu jeszcze molestował Leawood. Był zbyt ostrożny, żeby ich o to pytać. Walt Sneed zauważył kiedyś, że Leawood za bardzo lubił

dotykać i ścisnąć dwunastolatków, i stwierdził, że to obłeśne, ale Bannick wolał nie drażnić tematu.

Jak młody człowiek, sprawiający wrażenie normalnego, mógł zgwałcić dziecko, małego chłopca? Choć minęło wiele lat, nadal nienawidził Leawooda. Nie miał wtedy pojęcia, że ktoś może robić takie rzeczy.

Przestał oglądać zdjęcia, które zawsze sprawiały mu ból, i przeszedł do rodziny Leawooda. W krótkim nekrologu wymieniono tych, których pozostawił: rodziców i starszego brata. Żadnej wzmianki o żonie. Ojciec zmarł w 2004 roku. Matka miała dziewięćdziesiąt osiem lat, dawno straciła kontakt z rzeczywistością i wegetowała w nędznym domu starców.

Bannick zastanawiał się często, czy nie sprzątnąć jej ot tak, dla czystej przyjemności. Za to, że urodziła kogoś takiego jak Thad Leawood.

Tyle było celów, o których rozmyślał przez lata.

Brat, Jess Leawood, wyjechał z miasta niedługo po tym, jak wyszły na jaw fakty o molestowaniu; przeprowadził się do Salem w Oregonie, gdzie mieszkał przez co najmniej ćwierć wieku. Teraz miał siedemdziesiąt osiem lat i był wdowcem na emeryturze. Sześć lat wcześniej Bannick, używając jednorazowego telefonu, zadzwonił do niego i powiedział, że jest piszącym o prawdziwych zbrodniach autorem i bada stare policyjne akta w Pensacoli. Czy Leawoodowie wiedzą, że Thad molestował dzieci? Połączenie się urwało, rozmowa dobiegła końca. Chodziło mu wyłącznie o to, by dowalić komuś z tej rodziny.

Z tego, co wiedział, Jess nie kontaktował się z nikim z rodzinnego miasta. Trudno było mu się dziwić.

Ostatni wierszyk dotyczył Danny'ego Clevelanda, reportera z „Pensacola Ledger”. Czterdziestojednoletni w chwili śmierci, był rozwiedziony i miał dwójkę nastoletnich dzieci. Jego rodzina przewiozła zwłoki do Akron i tam je pogrzebała. Według ich wpisów w mediach

społecznościowych córka studiowała obecnie na trzecim roku Uniwersytetu Zachodniego Kentucky, a syn wstąpił do armii. Wydawało się niemożliwe, by któreś z nich zdołało wytropić błyskotliwego seryjnego zabójcę. Można było też założyć, że ekszona nie dbała o to, kto zabił byłego męża.

Zaczął przewijać kolejne pliki. Ashley Barasso, jedyna dziewczyna, którą kiedykolwiek kochał. Poznali się na wydziale prawa i nawiązali cudowny romans, który skończył się nagle, kiedy porzuciła go dla futbolisty. Był załamany i cierpiał przez sześć lat, do momentu, gdy ją dopadł. Kiedy zastygła w końcu w bezruchu, jego ból ustąpił jak ręką odjął – złamane serce się zagoiło. Rachunki zostały wyrównane. Jej mąż udzielił kilku wywiadów i wyznaczył nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za pomoc w wykryciu zabójcy, ale nikt się po nią nie zgłosił i cztery lata później wdowiec po Ashley ponownie się ożenił, miał kolejne dzieci i zamieszkał niedaleko Waszyngtonu.

Preston Dill był jednym z pierwszych klientów jego kancelarii adwokackiej. On i jego żona chcieli wziąć rozwód bez orzekania o winie, ale nie był w stanie zebrać pięciuset dolarów na opłatę. Nienawidzili się wzajemnie i mieli już oboje kolejnych partnerów, ale mecenas Bannick nie zgodził się stanąć z nimi przed obliczem sędziego, dopóki nie dostanie honorarium. Preston oskarżył go wtedy o sypianie z jego żoną i złożył skargę w radzie adwokackiej, pierwszą z wielu w ciągu kilku lat. Jego taktyka polegała na tym, żeby wynająć adwokata, nie zapłacić mu, a potem skarżyć się, że robota nie została wykonana. Wszystkie skargi Dilla zostały oddalone jako niepoważne. Cztery lata później znaleźli go martwego na wysypisku śmieci niedaleko Decatur w Alabamie. Jego rodzina była rozproszona, mało znacząca i prawdopodobnie nie mieli żadnych podejrzeń.

Profesor Bryan Burke zginął w wieku sześćdziesięciu dwóch lat; jego ciało znaleziono w 1992 roku przy szlaku turystycznym nieopodal jego uroczego małego domu na obrzeżach Gaffney w Karolinie Południowej. Spoglądając na jego zdjęcie w roczniku wydziału prawa, Bannick prawie słyszał jego rozbrzmiewający w sali zajęć głęboki baryton. „Proszę nam opowiedzieć o tej sprawie, panie...” Tu zawsze następowała pauza, a studenci zwijali się ze strachu i modlili, by ktoś inny został wywołany do odpowiedzi. Studenci profesora Burke’a zaczynali go po pewnym czasie uwielbiać, ale Bannick nie pozostał tam wystarczająco długo. Po załamaniu nerwowym, o które winił wyłącznie Burke’a, przeniósł się do Miami i zaczął planować zemstę.

Burke miał dwoje dorosłych dzieci. Alfred, żonaty, z trójką dzieci, pracował w firmie technologicznej w San Jose. Tak w każdym razie wynikało z ostatniej aktualizacji, którą Bannick wykonał osiemnaście miesięcy wcześniej. Przez chwilę próbował to sprawdzić, ale nie mógł zweryfikować obecnego miejsca zatrudnienia Alfreda. Pod jego adresem mieszkał teraz ktoś inny. Najwyraźniej Alfred zmienił pracę i przeniósł się gdzie indziej. Bannick skarcił się w duchu za to, że nie sprawdził tego wcześniej. Dopiero po godzinie ustalił, że Alfred mieszka w Stockton, nadal jednak nie wiedział, gdzie jest zatrudniony.

Córka profesora Burke’a, Jeri Crosby, rozwiedziona, jedno dziecko, miała czterdzieści sześć lat. Według ostatniej aktualizacji mieszkała w Mobile i wykładała na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Południowej Alabamy. Bannick znalazł stronę uczelni i potwierdził, że Crosby nadal tam pracuje. Co dziwne, jako jedyna osoba z wydziału nie miała zdjęcia na stronie. Najwyraźniej była bardzo skryta.

Z wcześniejszych plików wynikało, że zrobiła licencjat na Uniwersytecie Stetsona, magisterium na Uniwersytecie Howarda

w Waszyngtonie i doktorat z nauk politycznych na Uniwersytecie Teksasu. W 1990 roku wyszła za Rolanda Crosby'ego, rok później urodziła dziecko, a po sześciu kolejnych latach się rozwiodła. Na Uniwersytecie Południowej Alabamy została zatrudniona w 2009 roku.

To, że mieszkała w Mobile, było zastanawiające. To stamtąd był prywatny detektyw Rollie Tabor.

Bannick wysłał Rafe'a do rejestrów Hertza i zasnął na sofie.

...

Po dwóch godzinach, o trzeciej nad ranem, obudził go budzik w telefonie. Sędzia spryskał wodą twarz, umył zęby, włożył dżinsy i adidas i opuścił tajny gabinet. Wyjechał z miasta biegnącą wzdłuż plaży drogą numer dziewięćdziesiąt i zatrzymał się na czynnej przez całą dobę stacji benzynowej, gdzie wciąż chętnie przyjmowano gotówkę i była tylko jedna kamera monitoringu. Po zatankowaniu zaparkował w ciemnym miejscu za sklepem i zmienił tablice rejestracyjne. Na większości płatnych autostrad na Florydzie fotografowano teraz wszystkie pojazdy. Dojechał pustą podrzędą drogą do międzystanowej dziesiątki, nastawił tempomat na sto dwadzieścia kilometrów na godzinę i przygotował się na długi dzień. Miał do przejechania tysiąc kilometrów i dużo czasu na rozmyślanie. Połknął tabletkę amfetaminy, popił ją mocną kawą z termosu i próbował delektować się samotnością.

W całym życiu przejechał w nocy setki tysięcy kilometrów. Dziewięć godzin to był dla niego drobiazg. Kawa, amfetamina, dobra muzyka. Z odpowiednim wspomaganie mógł prowadzić przez kilka dni.

...

Dave Attison należał do bractwa studenckiego na Uniwersytecie Florydy, ostro tam imprezował i podobnie jak Bannick ukończył studia jako jeden z najlepszych studentów na roku. On i Ross przez dwa lata mieszkali w jednym pokoju i wiele razy leczyli wspólnie kaca. Po licencjacie ich drogi się rozeszły, jeden poszedł na prawo, drugi na stomatologię. Dave specjalizował się w endodoncji i został wziętym dentystą w Bostonie. Przed pięciu laty, kiedy znudziły mu się długie śnieżne zimy, powrócił do rodzinnego stanu, kupił klinikę stomatologiczną w Fort Lauderdale i robił kokosy, wykonując wyłącznie leczenie kanałowe po tysiąc dolców od zęba.

Attison widział ostatnio Bannicka siedem lat wcześniej, na zjeździe absolwentów w hotelu w Palm Beach. Większość dawnych członków bractwa utrzymywała ze sobą kontakt, mailując i esemesując, inni nie. Ross nigdy nie interesował się podtrzymywaniem dawnych więzi. A teraz, ni z gruszki, ni z pietruszki, pojawił się nagle w Fort Lauderdale i chciał się spotkać na drinku. W niedzielne popołudnie. Zatrzymał się w Ritz-Carlton i umówili się w barze przy basenie.

Kiedy Dave podszedł do stolika, Ross już na niego czekał. Jak przystało na dawnych sublokatorów, mocno się uściskali i natychmiast przyjrzeni bacznie swoim przerzedzającym się siwiejącym włosom i obwodowi w pasie. Obaj zgodzili się, że trzymają się nie najgorzej. Po kilku wzajemnych docinkach zawołali kelnera i zamówili drinki.

– Co cię tutaj sprowadza? – zapytał Dave.

– Oglądam apartamenty w East Sawgrass.

– Kupujesz teraz apartamenty?

– Kupujemy. Grupa inwestorów. Kupujemy nieruchomości wszędzie, gdzie się da.

– Myślałem, że jesteś sędzią.

– Oficjalnie wybranym w Dwudziestym Drugim Okręgu Sądowym. Urzędującym od dziesięciu lat. Ale sędzia na Florydzie zarabia sto sześćdziesiąt tysięcy rocznie i nie da się zbić na tym fortuny. Dwadzieścia lat temu zacząłem kupować nieruchomości na wynajem. Nasza firma powoli się rozrasta i dobrze nam idzie. A co u ciebie?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Na świecie nigdy nie zabraknie bolących zębów.

– Co u żony, dzieci? – Ross chciał poruszyć tematy rodzinne, zanim zdąży to zrobić Dave, częściowo żeby pokazać, że ich nie unika. Podejrzewał już na studiach, że koledzy mają co do niego wątpliwości. Incydent z Eileen przeszedł do legendy. Choć później, niekoniecznie zgodnie z prawdą, utrzymywał, że spotyka się z dziewczynami, nie do końca mu wierzono. Nie pomagał w tym fakt, że się nie ożenił.

– Wszystko w porządku. Moja córka studiuje na Uniwersytecie Florydy, syn kończy liceum. Roxie przez pięć dni w tygodniu gra w tenisa i mam ją z głowy.

Według jednego z członków bractwa małżeństwo Dave’a z Roxie było burzliwe. Na zmianę wyprowadzali się od siebie. Kiedy syn opuści rodzinne gniazdo, dadzą sobie prawdopodobnie spokój.

Kelner podał zimne piwo i stuknęli się szklankami. Obok przeszła zgrabna dziewczyna w bikini i to na chwilę odwróciło ich uwagę.

– To były dni – mruknął z nostalgią Ross.

– Dobijamy pięćdziesiątki, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Niestety, tak.

– Myślisz, że kiedyś przestaniemy się rozglądać za dziewczynami?

– Będę się za nimi rozglądać, póki żyję – powtórzył swoją mantrę Ross. Jego piwo robiło się ciepłe. Chciał wypić tylko jedno. Droga do domu też będzie trwała dziewięć godzin.

Przez dłuższą chwilę wymieniali nazwiska dawnych kumpli. Śmiali się z idiotyzmów, które wyprawiali, numerów, które wykręcali innym, sytuacji, kiedy o mało nie wpadli. Ta sama co zwykle gadka podstarzałych absolwentów.

– W zeszłym roku miałem dziwne spotkanie – zaczął swoją bajeczkę Ross. – Pamiętasz Corę Laker z Phi Mu?

– Jasne, śliczna dziewczyna. Została adwokatką, prawda?

– Zgadza się. Byłem na stanowej konwencji palestry w Orlando i wpadłem na nią. Jest współpracowniczką w dużej kancelarii w Tampie, świetnie jej się wiedzie. Nadal dobrze wygląda. Wypiliśmy kilka drinków i w pewnym momencie zaczęła mówić o Eileen. Były chyba ze sobą blisko i załamywał jej się głos. Powiedziała, że sprawa jej zabójstwa nie zostanie rozwiązana. I że jakiś prywatny detektyw namierzył ją i chciał porozmawiać o Eileen i o tym, co się działo w Phi Mu. Rozłączyła się, nie chciała z nim gadać, ale zdziwiło ją, że ktoś interesuje się tą sprawą.

Dave prychnął cicho i odwrócił wzrok.

– Do mnie też ktoś zadzwonił – przyznał.

Bannick przełknął z trudem ślinę. Długa jazda z Pensacoli do Fort Lauderdale i z powrotem mogła przynieść wymierne efekty.

– W sprawie Eileen? – zapytał.

– Tak, jakieś trzy albo cztery lata temu. Mieszkaliśmy już tutaj... to mogło być nawet przed pięciu laty. Jakaś kobieta powiedziała, że jest autorką piszącą o prawdziwych zbrodniach, i zapytała o studenckie czasy Eileen. Pracowała podobno nad książką o nierozwiązanych sprawach. O dziewczynach, które były napastowane czy coś w tym rodzaju.

– To była kobieta?

– Tak. Powiedziała, że napisała już kilka książek. Proponowała, że mi którąś prześle.

– Zrobiła to?

– Nie, nie chciałem z nią gadać. To było w innym życiu, Ross. To, co przytrafiło się Eileen, jest naprawdę smutne, ale nic na to nie poradzę.

Kobieta. Przekopująca się przez jego nierozwiązane sprawy. Wypad do Fort Lauderdale okazał się bardzo owocny.

– To dziwne – mruknął Bannick. – Rozmawialiście tylko raz?

– Tak. Odmówiłem jej. Poza tym tak naprawdę nie miałem nic do powiedzenia. Baletowaliśmy wtedy tak ostro, że nie wszystko pamiętam. Za dużo wódy i trawki.

– Tak, to były piękne dni.

– Może wpadłbyś na kolację? Roxie nadal nędznie gotuje, ale możemy wziąć coś na wynos.

– Dzięki, Dave, ale spotykam się na kolacji z inwestorami.

Godzinę później Bannick był z powrotem w drodze. Jechał zatłoczoną międzystanową dziewięćdziesiątką i miał do pokonania tysiąc kilometrów.

Rozdział 27

Sadelle spóźniła się dziesięć minut na poranną poniedziałkową odprawę. Kiedy wjechała do sali małym wózkiem, wyglądała jeszcze marniej niż zwykle. Przeprosiła za spóźnienie i oświadczyła, że czuje się dobrze. Lacy sugerowała jej już kilka razy, żeby wzięła sobie kilka dni wolnego i odpoczęła. Sadelle bała się tego. Praca utrzymywała ją przy życiu.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – zaczął Darren – żeby sprawdzić listy pasażerów linii lotniczych. Po powtórnej groźbie wystawienia nakazu odezwała się Delta, więc mamy dane od wszystkich linii: Deltę, Southwest, American i Silver Air. Sprawdziliśmy wszystkie loty z Pensacoli, Mobile, Tallahassee oraz Jacksonville do Miami i Fort Lauderdale. W miesiącu poprzedzającym zabójstwo Perry’ego Kronke’a żaden Ross Bannick nie poleciał na południe.

– Zakładasz, że posłużył się swoim prawdziwym nazwiskiem – zauważyła Lacy.

– Oczywiście. Chyba nie znamy żadnego z jego fałszywych. Tak czy nie?

Zignorowała go i upiła łyk kawy.

– Podróż samochodem z Pensacoli do Marathon trwa jedenaście godzin – powiedział. – Nie muszę dodawać, że gdyby się na nią zdecydował, nie

zdołalibyśmy namierzyć ani jego, ani jego auta.

– A rejestry z płatnych autostrad?

– Stan przechowuje je tylko przez sześć miesięcy, a potem kasuje. Poza tym łatwo uniknąć płatnych autostrad.

– Co z hotelami?

Sadelle zarzęziła, jakby chciała zaczerpnąć powietrza.

– Kolejna igła w kolejnym stogu siana – odparła. – Wiecie, ile jest hoteli na południu Florydy? Tysiące. Sprawdziliśmy sto w najbardziej prawdopodobnym średnim przedziale cenowym i nic nie znaleźliśmy. W samym Marathon i jego pobliżu jest jedenaście. Nic.

– Marnujemy tylko czas, przekopując rejestry w ten sposób – mruknął Darren.

– Tak wyglądają czynności śledcze – rzuciła Lacy. – Czasami najśłynniejsze zbrodnie rozwiązuje się dzięki fragmentarycznym danym, które na pierwszy rzut oka wydają się nieistotne.

– Ile wiesz o najśłynniejszych zbrodniach?

– Niewiele, ale czytam książki o seryjnych zabójcach. Fascynująca lektura.

Sadelle udało się w końcu wziąć głęboki oddech.

– Czy zakładamy – odezwała się, należycie natleniona – że kiedy zamordował Verna, pojechał do Biloxi samochodem?

– Verna i Dunwoody’ego. Owszem, takie jest nasze założenie. Jak długo tam się jedzie z Pensacoli? Dwie godziny?

– Mniej więcej dwie – odparł Darren. – To właśnie jest fascynujące. Wiem, że prowadzimy dochodzenie w sprawie tylko trzech z ośmiu zabójstw, ale jeśli przyjrzeć im się całościowo, wszystkie zostały popełnione w odległości, którą z Pensacoli da się pokonać w ciągu jednego

dnia. Danny Cleveland w Little Rock, osiem godzin jazdy. Thad Leawood w pobliżu Chattanooga, sześć godzin. Bryan Burke w Gaffney w Karolinie Południowej, osiem godzin. Ashley Barasso w Columbus w Georgii, cztery godziny. Perry Kronke w Marathon i Eileen Nickleberry w Wilmingtonie, w oba miejsca około dwunastu godzin jazdy. Nie musi lecieć samolotem, wynajmować samochodu i płacić za hotel. Wystarczy, że siądzie za kierownicą własnego auta.

– Osiem zabójstw to tylko te, o których wiemy – przypomniała mu Lacy. – Założę się, że jest ich więcej. Każde zostało popełnione w innym stanie.

– Zna się na zabójstwach lepiej od nas – mruknęła Sadelle.

– Domyślam się, że ma w tej dziedzinie większe doświadczenie – przyznał Darren. – No i jest sprytniejszy.

– To prawda, ale my mamy Betty, która zdołała go namierzyć – powiedziała Lacy. – Pomyślcie o tym. Jeśli ona się nie myli, to oznacza, że udało jej się zidentyfikować zabójcę. Zrobiła coś, z czym nie poradziła sobie cała armia policjantów.

– Coś, z czym my tym bardziej nie zdołamy sobie sami poradzić – odpaliła Sadelle.

– Owszem, ale wiedzieliśmy o tym od samego początku. Szukajmy dalej.

– Więc kiedy idziemy z tym na policję? – zapytał Darren.

– Już niedługo.

...

Dwaj detektywi z policji stanowej zadzwonili do drzwi dokładnie o ósmej rano, tak jak zostali poproszeni. W ciemnych ubraniach i ciemnych

okularach, przyjechali ciemnego koloru samochodem i każdy ciekawski sąsiad od razu wiedział, że są gliniarzami.

Wezwano ich do domu sędziego okręgowego w niecodziennej sprawie. Spotykali się w swojej karierze z wieloma sędziami, ale zawsze na sali rozpraw, nigdy w ich domach.

Sędzia Bannick, cały w uśmiechach, zaprowadził ich do przestronnej kuchni i poczęstował kawą. Na stole leżała zaadresowana do niego biała koperta formatu A4.

– Dostałem to w sobotę, w tym domu. Listonosz wrzucił to do skrzynki przy frontowych drzwiach – powiedział. – Trzeci list w ciągu tygodnia. W każdej kopercie był tekst wydrukowany przez najwyraźniej niepoczytalną osobę. W tym momencie nie przekażę wam oryginałów tych listów. Ten trzeci zawierał najwięcej gróźb pod moim adresem. Po otrzymaniu i otwarciu pierwszych dwóch zastosowałem pewne środki ostrożności. Włożyłem rękawiczki i starałem się nie dotykać koperty i listu więcej, niż było to konieczne. Listonosz z pewnością dotknął wszystkich kopert.

– Pewnie tak – mruknął porucznik Ohler.

– Nie wiadomo, co znajdziecie, ale będą tam prawdopodobnie odciski palców listonosza, żadnych moich, i jeśli będziemy mieli szczęście, coś, co zostawiła ta obłąkana osoba.

– Oczywiście, panie sędzio.

Porucznik Dobbs wyciągnął plastikową torebkę i ostrożnie wsunął do niej kopertę.

– Natychmiast się tym zajmiemy – powiedział. – Mogę zapytać, jak bardzo to jest pilne?

– Jak poważne są groźby? – dodał Ohler.

– Cóż, na razie nie będę wychodził z domu uzbrojony, ale dobrze byłoby wiedzieć, kto za tym stoi – odparł Bannick.

– Myśli pan o kimś konkretnym? – zapytał Dobbs.

– Raczej nie. To znaczy... sędziowie zawsze mają do czynienia ze świrami, którzy piszą do nich listy, ale nikt nie przychodzi mi do głowy.

– Dobrze. Jeszcze dzisiaj przekazemy to do laboratorium. Jutro będziemy wiedzieli, czy na kopercie są jakieś wyraźne odciski palców. Jeśli tak, spróbujemy je zidentyfikować.

– Bardzo panom dziękuję.

Detektywi wrócili do radiowozu.

– Ciekawi cię, dlaczego nie chciał nam pokazać tych trzech listów? – zapytał Ohler.

– Cholernie mnie to ciekawi – odparł Dobbs. – Najwyraźniej nie chce, żeby ktokolwiek je zobaczył.

– A pozostałe dwie koperty?

– Dotykał ich i są na nich prawdopodobnie jego odciski.

– A my mamy oczywiście jego odciski, prawda?

– Jasne. Pobiera się je każdemu prawnikowi, zanim otrzyma licencję.

Po kilku sekundach przejechali przez bramę strzeżonego osiedla.

– Jakie są szanse znalezienia na kopercie odcisków, które da się zidentyfikować? – zapytał Ohler, kiedy znaleźli się na autostradzie.

– Powiedziałbym, że zerowe. Psychole, którzy wysyłają anonimowe listy, są wystarczająco sprytni, żeby włożyć rękawiczki i zastosować inne środki ostrożności. To nie jest fizyka jądrowa.

– Mam przeczucie – oznajmił Ohler.

– Super. Kolejne przeczucie. Słucham.

– On wie, kto to jest.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Na żadnej podstawie. To przeczucie. Przeczucia nie muszą mieć mocnych podstaw.

– Zwłaszcza twoje.

...

Godzinę później sędzia Bannick zaparkował na swoim miejscu parkingowym przed sądem okręgowym hrabstwa Chavez i wszedł tylnym wejściem do budynku. Rozmawiał przez chwilę z Rustym i Rodneyem, dwoma odzianymi w takie same kombinezony sędziwymi woźnymi, po czym wszedł po schodach na drugie piętro, gdzie przez ostatnie dziesięć lat niepodzielnie rządził. Przywitał się z personelem i poprosił Dianę Zhang, swoją długoletnią sekretarkę i jedyną prawdziwą powierniczkę, żeby weszła z nim do gabinetu. Zamknął za nią drzwi, poprosił, żeby usiadła, i głośno odchrząknął.

– Mam złe wieści, Diano – oznajmił ponurym tonem. – Rozpoznano u mnie raka jelita grubego, stadium czwarte, i nie wygląda to dobrze.

Była zbyt osłupiała, żeby coś powiedzieć. Złapała oddech i zaczęła ocierać łzy.

– Mam szansę przeżyć, a poza tym zawsze zdarzają się cuda – pocieszyła ją.

– Kiedy się pan dowiedział? – zdołała wyjąkać. Spoglądając na niego przez łzy, po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak bardzo wydaje się zmęczony i wymizerowany.

– Mniej więcej miesiąc temu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni odbyłem rozmowy z lekarzami w całym kraju i zdecydowałem się na terapię alternatywną w klinice w Nowym Meksyku. Tyle mogę ci teraz powiedzieć. Poinformowałem prezesa sądu, Habberstama, że biorę od dziś

sześćdziesięciodniowy urlop zdrowotny. Rozdysponuje moje sprawy pomiędzy innych sędziów. Ty i inni będziecie otrzymywali pełne wynagrodzenie, nie mając zbyt dużo do roboty. – Bannick uśmiechnął się do niej, ale Diana nie zdołała odwzajemnić uśmiechu. – Przez następne dwa miesiące będzie tu o wiele spokojniej. Przez cały czas będę w kontakcie, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku.

Diana nie wiedziała, co powiedzieć. Jej szef nie miał żony ani dzieci, nikogo, do kogo mogłaby pójść z ciastem, prezentami i wyrazami współczucia.

– Gdzie pan będzie? – wymamrotała.

– Trochę tu, trochę tam. Jak już powiedziałem, będę w kontakcie i możesz do mnie w każdej chwili zadzwonić. Będę cię odwiedzał. Jeżeli umrę, nie nastąpi to w najbliższych miesiącach.

– Niech pan tak nie mówi!

– Dobrze, dobrze. Na razie nie wybieram się na tamten świat, ale tych kilka miesięcy będzie trudnych. Chcę, żebyś skontaktowała się z obrońcami i poinformowała ich, że sprawy, które prowadzą, zostaną przekazane innym sędziom. Jeśli będą pytali o powód, powiedz tylko, że jestem chory. Kiedy stąd wyjdę, odczekaj kilka minut i zawiadom innych. Sam wolę tego nie robić.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Ja też. Ale nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Zostawił ją całą we łzach i szybko wyszedł. Pojechał do salonu General Motors i wymienił starego SUV-a na nowego chevroleta tahoe. Podpisał stertę papierów, wyrównał różnicę ceny z jednego ze swoich licznych kont i zaczekał, aż przykręcą jego tablice rejestracyjne do nowego auta. Nie podobał mu się jego srebrny kolor, ale jak zwykle chciał jeździć pojazdem, który nie rzuca się w oczy.

Siedząc na miękkim skórzanym fotelu kierowcy, przez chwilę wdychał zapach nowego samochodu. Sprawdził GPS i inne aplikacje, sparował z systemem swój telefon i odjechał, kierując się w stronę międzystanowej dziesiątki. W pewnym momencie piknął jego telefon – esemes od jednego z sędziów. Przeczytał go na dużym ekranie: Sędzio Bannick. Z przykrością się dowiedziałem. Jestem do dyspozycji, gdybyś mnie potrzebował. Trzymaj się. TM.

Kolejne piknięcie, kolejna wiadomość. W sądzie okręgowym wieści rozchodziły się szybko. Do południa każdy sędzia, adwokat, sekretarka i urzędnik dowiedzą się, że jest chory i bierze urlop.

Nie miał cierpliwości do ludzi, którzy tłumaczyli swoje występki złym zdrowiem. Nie znosił, gdy ktoś zmyślał chorobę, żeby zatuszować ślady. Za dwa lata będzie musiał znów ubiegać się o urząd sędziego, lecz w tym momencie nie przejmował się za bardzo polityką. Informacja, że ma raka, mogłaby zachęcić potencjalnego oponenta do pewnych działań, ale tym mógł się zająć później. Teraz najważniejsze było zejście z widoku, skupienie się na tym, co najważniejsze, zajęcie się jego prześladowczynią i uniknięcie dochodzenia przed Komisją Dyscyplinarną Sędziów. Zachichotał na myśl, że tak mała agencja miałaby rozwiązać zagadkę zabójstw, których przez tyle lat nie udało się wyjaśnić doświadczonym gliniarzom. Pani Stoltz i jej pstrokata hałastrą, z ograniczonym co rok budżetem i kilkoma bezzębnymi ustawami.

W zestawieniu, które sporządził, było prawie siedemdziesięcioro bliskich, spokrewnionych albo spowinowaconych z jego ofiarami. Sprawdził każdą z tych osób i wyeliminował wszystkich poza pięciorgiem, z których czworo było mało prawdopodobnych. Był przekonany, że odnalazł swoją prześladowczynię. Była kobietą mającą wiele sekretów, niezwykle skrytą, przekonaną, że nie uda jej się namierzyć.

Choć Mobile było niedaleko i przejeżdżał przez nie setki razy, rzadko tam się zatrzymywał i tak naprawdę nie znał tego miasta.

Jego nowa perfekcyjna nawigacja pokazała mu ulicę, przy której mieszkała Jeri. Przyjrzy się tej okolicy później. Z Cullman miał do jej domu nie dalej niż godzinę.

Znalazł ją właściwie pod samym nosem.

Rozdział 28

Informacja była zbyt ważna, żeby wysłać ją mailem albo esemesem. Lepiej będzie porozmawiać osobiście, wyjaśnił szeryf Black. Był w Biloxi, cztery godziny jazdy z Tallahassee, i zaproponował spotkanie w połowie drogi. Umówili się w środę szesnastego kwietnia o trzeciej po południu, w fast foodzie przy międzystanowej dziesiątce, niedaleko małego miasteczka DeFuniak Springs.

Przed wyjazdem z Tallahassee Darren poprosił Lacy, żeby prowadziła, bo musiał zredagować raport. Najwyraźniej nie był zbyt dobrze napisany, bo już po kilkunastu kilometrach Darren usnął. Zbudziwszy się po solidnej półgodzinnej drzemce, przeprosił i przyznał, że w nocy trochę zabalował.

– Co to może być za wiadomość? – zapytała. – Zbyt ważna, żeby umieścić ją w mailu albo przekazać przez telefon?

– Mnie nie pytaj. Ostatnio to ty jesteś tajną agentką.

– To, że czytam książki o seryjnych zabójcach, nie oznacza wcale, że jestem tajną agentką.

– A co oznacza?

– Nie wiem. To dość przerażająca lektura, naprawdę. Niektórzy mają nieźle nasrane w głowie.

– Zaliczasz Bannicka do tej kategorii?

– Nie ma tam żadnych kategorii. Każdy przypadek jest całkowicie inny, każdy zabójca porąbany na swój własny sposób. Ale nie przeczytałam jeszcze o kimś, kto byłby tak cierpliwy jak Bannick albo u kogo motywem byłaby tylko i wyłącznie zemsta.

– Jaki jest normalny motyw?

– Nie ma czegoś takiego jak normalny motyw, ale ważną rolę odgrywa seks. To szok, jak zbrodzeni są niektórzy z tych facetów.

– W tych książkach, które czytasz, zamieszczają fotografie?

– W niektórych tak. Dużo krwi i okaleczeń. Pożyczyć ci?

– Chyba nie.

Usłyszawszy piknięcie telefonu, Darren wyjął go i przeczytał esemesa.

– Ciekawe – mruknął. – To od Sadelle. Sprawdziła dzisiejszą wokandę i wszystkie rozprawy sędziego Bannicka zostały odwołane. Tak samo wczoraj i tak samo jutro. Zadzwoiła do jego biura i dowiedziała się, że pan sędzia wziął urlop z przyczyn zdrowotnych.

Lacy przez chwilę nad tym rozmyślała.

– Zastanawiam się, dlaczego akurat teraz – powiedziała. – Nie sądzisz, że nas obserwuje?

– Co tu jest do obserwowania? Niczego nie ma online, więc nie ma pojęcia, czym się zajmujemy.

– Chyba że obserwuje policję.

– Tego nie można wykluczyć. – Darren podrapał się w zamyśleniu po brodzie. – Ale nawet jeśli to robi, nie wiedziałby o niczym, bo my też o niczym nie wiemy, prawda?

Przez kilka kilometrów jechali w milczeniu.

...

Nieoznakowany sedan był jedynym innym pojazdem na parkingu. Ubrani po cywilnemu szeryf Black i detektyw Napier czekali w środku, daleko od kontuaru, popijając kawę i bacznie się rozglądając. W fast foodzie nie było innych gości. Lacy i Darren kupili kawę i przywitali się. Cała czwórka zasiadła przy małym stoliku, starając się nie deptać sobie po nogach. Nikt nie miał przy sobie teczek.

– To nie powinno nam zabrać wiele czasu, choć właściwie może zająć – zaczął Black i skinął głową Napierowi, żeby przejął od niego pałeczkę.

Ten odchrząknął i ponownie się rozejrzał, jakby ktoś mógł ich podsłuchać.

– Jak wiecie, zabójca zabrał z miejsca zbrodni dwa telefony, a następnie wrzucił je w kopercie do skrzynki w małym urzędzie pocztowym godzinę drogi od miejsca zbrodni.

– W kopercie zaadresowanej do pana córki w Biloxi, tak? – zapytała Lacy.

– Tak jest – odparł Black.

– Przez cały ubiegły miesiąc FBI badało te dwa telefony w laboratorium – podjął Napier. – Poddawali je wszelkim możliwym testom. Są teraz pewni, że na telefonie Verna jest częściowy odcisk kciuka. Nie ma na nim żadnych innych odcisków, nawet samego Verna, co oznacza, że zabójca wytarł telefony. Na tym Mike’a Dunwoody’ego nie ma żadnych odcisków. Facet był staranny, co nie powinno dziwić, kiedy pamięta się, jak wyglądało miejsce zbrodni. Jak dobrze znacie się na odciskach palców?

– Przyjmijmy, że bardzo słabo – odpowiedziała Lacy.

Darren pokiwał głową, potwierdzając, że on także jest w tej dziedzinie ignorantem.

– Okej – mruknął Napier, jakby się tego spodziewał. – Odciski palców pobrano mniej więcej od dwudziestu procent ludności tego kraju. Ich lwia

część jest w bazach danych FBI. Jak pewnie się domyślicie, dysponują tam najnowszą technologią z najróżniejszymi algorytmami i tak dalej. Te rzeczy trochę mnie przerastają. Dzięki temu mogą w ciągu kilku minut zidentyfikować każdy odcisk. W tym przypadku zaczęli od Florydy.

– Zakładamy, że wasz podejrzany jest z Florydy – wtrącił szeryf, nachylając się do Lacy i Darrena.

Ciekawe, jak na to wpadli, przemknęło przez głowę Lacy.

– Całkiem słusznie – mruknęła.

– Odciski palców pobiera się od każdego przyszłego adwokata. We wszystkich stanach – wtrącił Darren, pragnąc dorwać się do głosu.

– Tak, wiemy o tym – odparł Napier. – I wiedzą o tym analitycy w FBI. Tak czy inaczej, nie znaleźli żadnych pasujących odcisków na Florydzie i nigdzie indziej. Zbadali pod najróżniejszymi kątami ten częściowy odcisk i doszli do wniosku, że linie papilarne zostały zmienione.

Napier przerwał na chwilę, żeby to do nich dotarło.

– Więc pierwsze pytanie, pierwsze z wielu – przejął od niego pałeczkę szeryf Black – brzmi: czy wasz podejrzany jest w stanie zmienić swoje linie papilarne?

– Można zmienić linie papilarne? – zapytał Darren, bo Lacy najwyraźniej zabrakło słów.

– Mówiąc w skrócie, tak, choć jest to prawie niemożliwe – odparł Napier. – Linie papilarne murarzy i kamieniarzy ścierają się czasami po latach ciężkiej pracy.

– Nasz człowiek nie jest murarzem – zaznaczyła Lacy.

– Jest sędzią, tak? – zapytał Black.

– Tak.

– Starcie linii papilarnych na opuszkach palców jest możliwe, ale wymaga to długiego czasu i jest bardzo rzadkie – podjął Napier. – Trzeba by przez rok szorować opuszki papierem ściernym. Albo czymś podobnym. Tutaj nie mamy do czynienia z taką sytuacją. Na tym odcisku linie papilarne są wyraźnie zarysowane, ale ich kształt wskazuje, że mogły zostać zmienione operacyjnie.

– Czy odcisk może pochodzić od dziewczyny Verna albo od kogoś, kogo znał? – zapytała Lacy.

– Sprawdzili to. Okazało się... co nie było dużym zaskoczeniem... że jego dziewczynę kilka razy aresztowano, więc jej odciski są w bazie danych. Nie pasują. Spędziliśmy z nią wiele godzin i twierdziła, że nie zna nikogo, kto mógłby dotykać telefonu Verna. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatnim razem sama go dotykała.

Wszyscy czworo popijali przez chwilę kawę z tekturowych kubków i unikali kontaktu wzrokowego.

– Zmienione operacyjnie? – odezwał się w końcu Darren. – Jak się to robi?

Napier uśmiechnął się.

– Niektórzy eksperci twierdzą, że to niemożliwe, ale odnotowano kilka przypadków. Kilka lat temu holenderska policja dostała cynk i wkroczyła do małego mieszkania w Amsterdamie. Poszukiwaną osobą był doświadczony złodziej współczesnych dzieł sztuki, prawdziwy zawodowiec. Niektóre z nich, warte miliony, znaleziono poukrywane w ścianach. Jego nowe odciski palców nie zgadzały się w pełni ze starymi. Ponieważ złapali go na gorącym uczynku z łupem, zdecydował się zawrzeć ugodę i wszystko wyśpiewać. Powiedział, że w Argentynie działa pewien niezarejestrowany chirurg plastyczny, do którego można się zgłosić i zamówić sobie nową fizjonomię albo nowe blizny. Specjalizuje się

również w zmienianiu linii papilarnych. Kiedy wpiszeć do wyszukiwarki słowa *zmiana linii papilarnych*, znajdziecie parę ogłoszeń. Tak się składa, że nie jest to zakazane.

– Myślałam właściwie o face liftingu – mruknęła Lacy.

– Po co? – odparł z uśmiechem szeryf.

– W każdym razie to coś, co można zrobić, jeśli ktoś ma dużo czasu – podsumował Napier. – Jak cierpliwy jest wasz podejrzany?

– Bardzo – odparł Darren.

– Podejrzewamy, że jest aktywny od ponad dwudziestu lat – dodała Lacy.

– Aktywny?

– Owszem. Verno i Dunwoody nie są prawdopodobnie jego jedynymi ofiarami.

Dwaj gliniarze przez chwilę to sobie przyswajali, popijając kawę.

– Miałyby pieniądze na tego rodzaju operację? – zapytał w końcu Napier. Oboje, Lacy i Darren, pokiwali głowami.

– Przypuszczam, że w dłuższym czasie, krok po kroku, stać by go było na operację wszystkich dziesięciu palców – powiedziała Lacy.

– To oznacza wielkie zaangażowanie – skomentował Black.

– Jest zaangażowany, zdeterminowany i bardzo inteligentny.

Kolejny łyk kawy, kolejne myśli kołaczące się w głowach. Czy to mógł być wielki przełom po tylu porażkach?

– To naprawdę nie ma sensu – rzucił po chwili szeryf. – To znaczy... jeśli ten facet jest taki sprytny, to dlaczego nie cisnął po prostu tych telefonów do jeziora lub rzeki? Po co się wygłupiał i wysyłał je na adres mojej córki? Musiał wiedzieć, że w ciągu kilku godzin namierzemy je

i znajdziemy. Był piątek. Nie istniała szansa, żeby leżały nieodkryte w skrzynce pocztowej aż do poniedziałku.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek odkryjemy, co go napędza i co sobie wyobraża – powiedziała Lacy.

– Jeśli chce pani wiedzieć, to było całkiem głupie.

– Facet popełnia błędy. O mało nie został zdemaskowany przez Mike’a Dunwoody’ego. Później, kiedy wrzucał telefony do skrzynki pocztowej, ktoś zauważył jego pick-upa. A teraz wygląda na to, że jedna z jego rękawiczek zsunęła się albo rozdarła, no i mamy odcisk kciuka.

– Owszem, mamy go – potwierdził szeryf. – Pytanie brzmi, co z nim zrobimy. Następny krok jest oczywisty: musimy zdobyć aktualne odciski palców waszego podejrzanego. Jeśli będą pasować, jesteście w domu.

– Jakie są szanse ich zdobycia? – zapytał Napier.

Lacy spojrzała na Darrena, a ten pokręcił głową na znak, że nie ma bladego pojęcia, jak to zrobić.

– Nakaz przeszukania? – zasugerował szeryf.

– Na jakiej podstawie? – odpaliła Lacy. – W tym momencie nie ma żadnego powodu, żeby go wystawiać. Podejrzany jest sędzią, który ma w małym palcu procedury śledcze i sądowe. Nie uda się przekonać innego sędziego, żeby wystawił nakaz.

– Więc będą go chronić?

– Nie. Po prostu będą chcieli zobaczyć więcej dowodów, a my ich nie mamy.

– Poda nam pani jego nazwisko?

– Jeszcze nie. Podam je, i to niedługo, ale na razie nie mogę powiedzieć nic więcej.

Szeryf Black skrzyżował ręce na piersi i spiorunował ją wzrokiem. Napier uciekł spojrzeniem w bok, wyraźnie sfrustrowany.

– Gramy do tej samej bramki, naprawdę – zapewniła ich.

Gliniarze z trudem hamowali emocje.

– Posłuchajcie. Mamy po prostu informatora – powiedziała z uśmiechem Lacy. – Osobę, która wniosła skargę. Wie o wiele więcej od nas i żyje w ciągłym strachu, od wielu lat. Obiecaliśmy jej, że będziemy prowadzić to dochodzenie w określony sposób. Nic więcej nie mogę teraz powiedzieć. Musimy zachować skrajną ostrożność.

– Więc co mamy robić? – zapytał szeryf Black.

– Czekać. KDS zakończy dochodzenie i spotkamy się ponownie.

– Chciałbym postawić sprawę jasno – odezwał się Black. – Macie poważnie podejrzanego o podwójne zabójstwo, choć sami przyznajecie, że nie zajmujecie się zabójstwami, tak? Ten facet jest urzędującym na Florydzie sędzią i popełnił poza tym inne zbrodnie, tak?

– Tak, chociaż nie określiłabym go jako poważnie podejrzanego. Aż do dzisiaj nie mieliśmy żadnych dowodów rzeczowych wskazujących, że popełnił jakiegokolwiek przestępstwo. Panowie, nadal nie można wykluczyć, że nie jest sprawcą. Co będzie, jeśli częściowy odcisk kciuka nie będzie pasował?

– Sprawdźmy to.

– Zrobimy to, ale jeszcze nie teraz.

Spotkanie zakończyło się uściskami dłoni i wymuszonymi uśmiechami.

...

Porucznik Ohler z policji stanowej Florydy zadzwonił do Bannicka z oczywistą wiadomością, że analiza koperty nie wykazała niczego

ciekawego. Dwa pobrane odciski palców należały do listonosza dostarczającego pocztę koło południa.

Rozdział 29

W czwartek Bannick miał już serdecznie dosyć wszystkich życzliwych dusz, esemesów, wiadomości na poczcie głosowej i wyrazów troski o jego zdrowie. Czekał na listonosza, który pojawiał się zwykle w południe. Włożył rękawiczki, wyjął pocztę ze skrzynki i zobaczył kolejną białą kopertę. W środku był następny wierszyk.

*pozdrowienia z za grobu
raczej tu zimno i ciemno
szepty, głosy, jęki
można się bać wielu rzeczy
twoje zbrodnie nie wymagały odwagi
szok, sznur, zaciśnięta pętla
jesteś chorym tchórzem
najgorszym ze wszystkich drani
żałosny student prawa
najbardziej z nich wszystkich nadęty
wiadomo było, że poniesiesz klęskę
bezczelny niewydarzony dupku*

– Pisze teraz o swoim ojcu – mruknął pod nosem, wpatrując się w leżącą na kuchennym stole kartkę.

Torbę spakował już wcześniej. Pojechał do centrum handlowego w Pensacoli i zaparkował przy siłowni. Wszedł do swojego tajnego gabinetu, otworzył Kryptę, umieścił najnowszy list w segregatorze, posprzątał trochę, sprawdził nagrania z kamer i upewniwszy się, że nic mu nie grozi, pojechał na lotnisko i przez trzy godziny czekał na lot do Dallas. Tam zmienił plany i wylądował po zmroku w Santa Fe. Lot, samochód i hotel zarezerwował na własne nazwisko i zapłacił za nie swoją kartą kredytową.

O dziewiątej czasu wschodniego zatelefonował do Diany Zhang i powiedział jej, że jest w klinice onkologicznej w Santa Fe. Dodał, że czuje się dobrze i jest psychicznie przygotowany do walki z chorobą. Brzmiał optymistycznie i obiecał, że wróci do orzekania, zanim zdążą za nim zateśknąć. Diana przekazała mu jak zwykle wyrazy współczucia i zapewniła, że wszyscy bardzo się o niego martwią. Nie po raz pierwszy zaznaczył, że wybrał klinikę tak daleko od domu, żeby uniknąć zamieszania. To będzie długa samotna podróż, którą musi odbyć w pojedynkę. Kiedy się z nią żegnał, łamał jej się głos.

Była mu bardzo oddana.

Wyłączył telefon i wyjął z niego baterię.

Kolację przyniesiono mu do pokoju. Próbował obejrzeć na kablówce mecz baseballu, ale w końcu przerzucił się na porno. Godzinę później zasnął i spał aż do drugiej w nocy, kiedy obudził go alarm w telefonie. Wziął prysznic, łyknął tabletkę amfetaminy, zapakował narzędzia do małej sportowej torby i opuścił hotel. Do Houston miał piętnaście godzin jazdy.

O świcie zatrzymał się na parkingu niedaleko El Paso i zmienił tablice rejestracyjne. Podróżował teraz czterodrzwiową kią zarejestrowaną na nieistniejącego Teksańczyka. I prowadził ją ostrożnie, ustawivszy tempomat na obowiązującą prędkość i przestrzegając wszystkich przepisów.

Mandat za przekroczenie prędkości albo, broń Boże, jakakolwiek kolizja pogrzebałyby z kretesem jego misję. Jak zawsze miał na głowie nisko naciągniętą czapkę, jedną z wielu ze swojej kolekcji, i ani na chwilę nie zdejmował ciemnych okularów. Kupił benzynę i coś do jedzenia na kartę kredytową wydaną na jedno ze swoich fałszywych nazwisk. Comiesięczne wyciągi przychodziły na skrzynkę pocztową w Destin.

W samochodzie rzadko słuchał muzyki lub audiobooków i nużyła go bezustanna radiowa paplanina. Lubił w ciszy i w samotności planować następny krok. Rozpatrywać wszystkie szczegóły, przygotowywać się na to, co może się zdarzyć. Stał się tak skuteczny, tak sprawny i tak bezlitosny, że od wielu lat uważał, że nie da się złapać. Poza tym stale analizował stare zbrodnie, żeby upewnić się, czy czegoś nie zaniedbał.

Kiedy kogoś zabijasz, popełniasz dziesięć błędów. Jeśli potrafisz zidentyfikować siedem z nich, jesteś genialny. Gdzie to przeczytał? A może to była kwestia z jakiegoś filmu?

Jaki był jego błąd?

Jak do niego doszło? Musiał się tego dowiedzieć.

Do tej pory żył w przekonaniu, że nigdy nie będzie zmuszony zaplanować Odejścia.

...

W roku 1993, dwa lata po tym, jak Bannick ukończył studia prawnicze, kancelaria prawna w Pensacoli, w której pracował, rozpadła się, bo wspólnicy pokłócili się o podział dużego honorarium, co często stanowi przedmiot sporu. Wylądował wtedy na ulicy. Pożyczył pięć tysięcy od ojca, otworzył własną firmę i zaczął się reklamować. Nowy rewolwerowiec w mieście. Nie przymierał głodem, ale szau nie było. Pisał testamenty średnio zamożnym ludziom i bronił drobnych przestępców w miejskim

sądzie. Przełom nastąpił, kiedy w Zatoce Meksykańskiej poszła na dno łódź z druhnami i zatonęło sześć młodych kobiet. Miejscowi adwokaci walczyli ostro o sprawy. Dzięki testamentowi, który napisał wcześniej za pięćdziesiąt dolarów klientowi, jedna z nich trafiła do jego kancelarii.

Przebiegły adwokacina Mal Schnetzer zdążył omotać trzy rodziny i złożyć pierwsze pozwy, zanim jeszcze pogrzebano ofiary. Nie zwracając uwagi na względy etyczne, złożył wizytę klientowi Bannicka i próbował przejąć sprawę. Bannick dowiedział się o tym, padły ostre słowa i emocje sięgnęły zenitu, ostatecznie jednak zgodził się przyłączyć do pozwu zbiorowego. Nie miał doświadczenia w sprawach dotyczących nieumyślnego spowodowania śmierci, a Schnetzer dużo mówił o murowanej wygranej w procesie.

Wielkie sumy okazały się znacznie mniejsze, niż wyobrażali sobie prawnicy. Firma, do której należała barka, nie miała innych aktywów i złożyła wniosek o bankructwo. Jej ubezpieczyciel z początku nie chciał wypłacić odszkodowania i dopiero skutecznie postraszony przez Schnetzera, wyłożył trochę pieniędzy. Schnetzer wystawił wtedy do wiatru Bannicka po raz drugi; powiedział klientowi, że może załatwić mu natychmiast czterysta tysięcy, jeżeli ten zgodzi się pogonić Bannicka i oświadczy, że w ogóle nie chciał z nim podpisywać umowy. Zanim Bannick się zorientował, Schnetzer doprowadził do ugody, wypłacił pieniądze klientom, sobie i innym adwokatom, oczywiście z wyjątkiem żółtodzioba, który został w ten sposób sprytnie wymanewrowany. Bannick nie wynegocjował odpowiedniego porozumienia z autorami pozwu zbiorowego, a jego umowa z byłym klientem była tylko słowna. Umówił się z nim, że dostanie jedną trzecią wynegocjowanego odszkodowania.

Jedna trzecia od sumy czterystu tysięcy znacznie zasiliłaby konto młodego niezamożnego adwokata, ale pieniądze przeszły mu koło nosa.

Bannick poskarżył się sędziemu, nie znalazł jednak u niego zrozumienia. Zastanawiał się, czy nie pozwać Schnetzera, ostatecznie jednak nie zrobił tego z trzech powodów. Po pierwsze, nie chciał wdawać się w spór z oszustem. Po drugie, wątpił, czy kiedykolwiek dostanie choćby dolara. A po trzecie i najważniejsze, nie chciał występować w roli niedoświadczonego prawnika, który dał się wykiwać łowcy nieszczęść. I tak został już dostatecznie upokorzony. Jego historię opowiadano w kularach sądów.

Umieścił za to Mała Schnetzera na swojej liście.

Z zadowoleniem dowiedział się, że po oszukaniu kolejnych klientów Schnetzer został aresztowany, skazany na dwa lata i wyrzucony z palestry. Po wyjściu z więzienia przeniósł się do Jacksonville, gdzie naganiał klientów innym łowcom nieszczęść. Zarobił trochę i był na tyle bezczelny, że założył małą firmę, w której bez korzyści wynikających z przynależności do palestry załatwiał sprawy wraków przeznaczonych do kasacji. Kiedy oskarżono go o udzielanie porad prawnych bez licencji, zlikwidował firmę i wyjechał z Florydy.

Bannick obserwował z daleka jego posunięcia.

Po wielu latach pojawił się w Atlancie, gdzie pracował jako asystent prawny u kilku adwokatów rozwodowych. W 2009 roku Bannick odnalazł go w Houston, w renomowanej kancelarii zajmującej się powództwami cywilnymi. Schnetzer pracował tam jako „konsultant”.

...

Dwa miesiące wcześniej Bannick wynajął dwudziestometrową umebłowaną przyczepę na osiedlu w Sugar Land, pół godziny jazdy od centrum Houston. Na olbrzymim terenie stało tam przy szerokich alejkach osiemset zaparkowanych w równych rzędach identycznych białych

pryczep. Regulamin był szczegółowy i surowo przestrzegany: tylko dwa auta na przyczepę, żadnych łodzi ani motocykli, żadnego prania suszącego się na sznurach, żadnych tablic na trawnikach, żadnych nadmiernych hałasów. Małe trawniki były utrzymywane w nienagannym stanie przez administrację. Wszystkie ogrodowe krzesła, rowery i grille przechowywano w identycznych szopach za przyczepami. Odwiedził to miejsce dwa razy i choć nigdy nie marzył, żeby mieszkać w przyczepie, uznał to za relaksujące. Nikt w promieniu tysiąca kilometrów nie wiedział, kim jest i czym się zajmuje.

Po krótkiej drzemce pojechał do dużego dyskontu i kupił za pięćdziesiąt osiem dolarów jednorazową nokię z kartą SIM na siedemdziesiąt pięć minut rozmów. Ponieważ nie podpisywał umowy, ekspedient nie poprosił go o dane osobiste. Gdyby to zrobił, Bannick miał w portfelu całą kolekcję fałszywych praw jazdy. Czasami sprzedawcy chcieli okazania dowodu tożsamości, na ogół jednak mieli to w nosie. Na przestrzeni lat kupił wiele jednorazowych telefonów i wszystkie wyrzucił.

Wróciwszy do przyczepy, zadzwonił w piątek późnym popołudniem do kancelarii, w której Schnetzer pracował jako konsultant, i poprosił go do telefonu. Okazało się, że już wyszedł i miał się pojawić dopiero po weekendzie. Bannick wyjaśnił sekretarce, że sprawa jest pilna i musi z nim porozmawiać. Ta, dobrze poinstruowana przez szefostwo, zaczęła go wypytywać i dowiedziała się, że sprawa dotyczy młodego człowieka, który został fatalnie poparzony na platformie wiertniczej należącej do ExxonMobil. Zaproponowała, że znajdzie w firmie innego adwokata, ale pan Butler – bo tak się przedstawił Bannick – nie chciał się z nim spotkać. Przyjaciel polecił mu pana Schnetzera i tylko z nim zamierza rozmawiać.

Dziesięć minut później zabręczała jego jednorazowa nokia i usłyszał głos, który dobrze pamiętał. Podniósł swój o oktawę wyżej i postarał się

nadać mu skrzeczące brzmienie.

– Mój syn leży w szpitalu w Lake Charles. Ma poparzone ponad osiemdziesiąt procent ciała. To jest po prostu straszne, panie Snitcher.

– Moje nazwisko brzmi Schnetzer. – Nadal był dupkiem. – To zdarzyło się na platformie wiertniczej, tak? – Odszkodowania za wszystkie wypadki na platformach wiertniczych regulowała ustawa Jonesa: dla adwokatów była to kopalnia złota.

– Tak, proszę pana. Trzy dni temu. Nie wiem, czy to przeżyje. Chciałbym go odwiedzić, ale jestem niepełnosprawny i nie mogę prowadzić samochodu.

– I mieszka pan w Sugar Land, tak?

– Tak, proszę pana. Bez przerwy dzwonią do mnie adwokaci i robią mi wodę z mózgu.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Właśnie się z jednym z nich rozłączyłem.

– Niech pan z nimi nie rozmawia. Ile lat ma pana syn?

– Dziewiętnaście. To dobry chłopak, ciężko pracuje, wspiera mnie i swoją mamę. Nadal samotny. Jest wszystkim, co mamy, panie Schnetzer.

– Rozumiem. Więc nie może pan podjechać do nas do kancelarii?

– Nie, proszę pana. Gdyby była tutaj żona, podwiozłaby mnie, ale wraca w tym momencie z Kansas. Stamtąd pochodzimy. Musimy się dostać do szpitala. Nie wiem, co mam robić, proszę pana. Musi nam pan pomóc.

– W porządku. Niech pan posłucha: mogę być u pana w ciągu godziny, jeśli to panu pasuje.

– Może pan do mnie przyjechać?

– Tak. Chyba uda mi się to szybko zorganizować.

– To wspaniale, panie Schnetzer. Musimy mieć kogoś, kto nam pomoże.

- Niech pan po prostu nigdzie się nie rusza, dobrze?
- Może pan załatwić, żeby ci inni adwokaci się od nas odczepili?
- Jasne, zajmę się nimi, to żaden problem. Może mi pan podać swój adres?

...

Bannick obserwował przez żaluzje każdy przejeżdżający samochód. Mijały kolejne minuty. W końcu długi błyszczący pick-up Forda z podniesioną kabiną i wielkimi kołami zwolnił, zatrzymał się, cofnął i zaparkował za jego wynajętym autem.

Minione lata nie obeszły się łaskawie z Malem Schnetzerem. Znacznie przytył, miał zwisający nad paskiem imponujący brzuch oraz zaokrągloną twarz z podwójnym podbródkiem. Gęste siwe włosy związał na karku w kucyk. Wsiadł, uważnie się rozejrzał, popatrzył na przyczepę i dotknął pistoletu w kaburze na biodrze.

Bannick nie miał jeszcze nigdy do czynienia z uzbrojoną ofiarą i to go jeszcze bardziej podekscytowało. Złapał leżącą na sofie laskę, otworzył drzwi przyczepy i kuląc się jak ktoś, kto bardzo cierpi, wyszedł na niedużą werandę.

– Witam pana! – zawołał, kiedy Schnetzer mijał jego wynajęty samochód.

– Witam.

– Jestem Bob Butler. Bardzo dziękuję, że pan to robi. Mam w środku zimne piwo. Mogę pana poczęstować?

– Jasne. – Widząc zgiętego w pasie niegroźnego Butlera, Schnetzer wyraźnie się odprężył.

Minęło dwadzieścia jeden lat od czasu, kiedy ostatnio widzieli się w Pensacoli jako adwokaci. Z naciągniętą na czoło baseballówką i w tanich

ciemnych okularach Bannick nie powinien zostać rozpoznany. Wszedł do środka, przytrzymał drzwi i wpuścił Schnetzera do ciasnej przyczepy.

– Dziękuję, że pan przyjechał, panie Schnetzer.

– Żaden problem.

Mal obrócił się, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść, i w tym samym momencie Bannick wyciągnął z kieszeni teleskopową Leddie, rozłożył ją i walnął nią w tył jego głowy. Osadzona na końcu ołowiana kula rozłupała mu czaszkę. Mal stęknął, uniósł ręce i próbował się odwrócić. Leddie trafiła go ponownie, tym razem w lewą skroń, i upadł na tani stolik do kawy. Bannick szybko rozpiął kaburę na jego biodrze, wyciągnął z niej pistolet i zamknął drzwi przyczepy. Leżący na podłodze Schnetzer spoglądał na niego przerażonymi oczami, próbując coś powiedzieć. Bannick uderzył go jeszcze kilka razy, roztrzaskując mu czaszkę na sto kawałków.

– Sto trzydzieści trzy tysiące dolarów – powiedział, niemal wypluwając te słowa. – Porządne wysokie honorarium, które mi ukradłeś. Pieniądze, na które zasłużyłem i których desperacko potrzebowałem. Jakim ty byłeś łajdakiem, Mal, jakim obleśnym gównianym adwokacina. Tak się cieszyłem, kiedy zamknęli cię w pudle.

Mal stęknął i Bannick uderzył go ponownie. Kolejne krople krwi prysnęły na sofę i ścianę.

Oddychając głęboko, patrzył, jak Schnetzer łapie kurczowo powietrze. Po chwili włożył rękawiczki chirurgiczne, wziął sznur, owinął go dwa razy wokół jego szyi i wpatrując się w podbiegłe krwią oczy, mocno pociągnął. Wbijając mu stopę w klatkę piersiową i starając się ją zmiażdżyć, zaciskał sznur coraz mocniej. Minęła minuta, potem druga. Sznur wrzynał się w skórę ofiary. Czasami umierali z otwartymi oczami; to najbardziej lubił. W końcu puścił sznur i wyprostował się, żeby podziwiać swoje dzieło.

– Sto trzydzieści trzy tysiące dolarów – powtórzył. – Odebrane młodemu chłopakowi, ukradzione innemu adwokatowi. Ty nędzny gnoju.

Kiedy Mal wydał ostatnie tchnienie, jego podbiegłe krwią oczy pozostały otwarte, jakby chciał do końca oglądać marny kres swojego życia. Krew zalała jego twarz i szyję i zbierała się w kałużach na taniej wykładzinie dywanowej. Co za bałagan.

Bannick głęboko odetchnął i przez chwilę nasłuchiwał głosów z zewnątrz. Nie usłyszał niczego, co odbiegałoby od normy. Przeszedł do sypialni od frontu i wyjrzał przez okno. Dwóch chłopców przejeżdżało alejką na rowerach.

Ociąganie się było luksusem, na który rzadko sobie pozwalał, ale w tym akurat przypadku nie musiał się spieszyć. Przetrzęsął kieszenie Mala i znalazł jego klucze. Z tylnej kieszeni wyciągnął telefon i położył go na brzuchu ofiary. Wyjął z szafy tani odkurzacz, który kupił miesiąc wcześniej w dyskoncie za gotówkę, i odkurzył podłogę w kuchni i gabinecie, uważając, żeby nie dotknąć szczotką krwi. Skończywszy, wyjął z odkurzacza torbę na śmieci i zastąpił ją nową. Kuchennym ręcznikiem wytarł dokładnie Leddie i pistolet. Zmienił rękawiczki i wsadził stare do pustej plastikowej torby. Wytarł wszystkie klamki, kuchenny blat, ściany i każdą powierzchnię w łazience, choć wcześniej nic tam prawie nie ruszał. Spuścił wodę w toalecie i zamknął do niej dopływ. Następnie rozebrał się do bokserów, włożył ubranie do małej pralki, włączył szybki program, wziął z lodówki dietetyczny napój i usiadł w kuchni niecały metr od swojego dawnego kumpla Mala.

Przykre brzemię, które nosił przez dwadzieścia lat, zniknęło i poczuł, jak ogarnia go spokój.

Kiedy pranie się skończyło, włożył ubranie do suszarki i jeszcze trochę odczekał. W którymś momencie zaczęła brzęczeć telefon Mala. Ktoś chciał

wiedzieć, gdzie jest. Dochodziła siódma, jeszcze co najmniej godzina została do zachodu słońca.

Znając Mała, doszedł do wniosku, że oszust nie powiedział nikomu w kancelarii, dokąd się wybiera. Nie zostawił notki, numeru telefonu ani adresu potencjalnego nowego klienta. Całkiem możliwe, że nie zajrzał nawet do kancelarii, tylko od razu popędził do Sugar Land, żeby podpisać lukratywną umowę, za którą całe honorarium chciał zachować dla siebie.

Istniała jednak możliwość, że powiedział coś sekretarce. Dalsze siedzenie w przyczepie stawało się nudne, a ryzyko z każdą minutą rosło.

Kiedy ubrania Bannicka były suche, ubrał się i zapakował do plastikowej torby teleskopową Leddie, zużyte kawałki papierowego ręcznika, torbę z odkurzacza oraz pistolet Schnetzera. Po zmierzchu wyjrzał na zewnątrz i podszedł do jego forda. Dzieciaki kopały piłkę w alejce. Nadal w rękawiczkach, usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i odjechał. Trzy przecznice dalej zaparkował na parkingu przy centrum handlowym, zostawił kluczyk w stacyjce i zniknął w mroku. Dziesięć minut później był z powrotem przy swojej przyczepie. Wszedł do środka, zabrał plastikową torbę i po raz ostatni z zadowoleniem rzucił okiem na Mała, który bynajmniej nie zmartwychwstał.

Bannick wyłączył jednorazowy telefon, wyjął z niego baterię i odjechał.

Godzinę później skręcił na wielki parking przy międzystanowej czterdziestce na południe od Huntsville i zaparkował za kilkoma ciężarówkami. Ponownie zmienił tablice rejestracyjne, włożył te fałszywe do plastikowej torby i wyrzucił ją do dużego pełnego kontenera. W żadnym wypadku nie mógł dać się złapać z Glockiem Schnetzera.

Nagle wygłodniały, wszedł do baru i razem z innymi kierowcami ciężarówek zjadł ze smakiem jajka i bułeczki. Do Santa Fe miał dwanaście godzin jazdy i nie mógł się doczekać, żeby sięść za kółkiem.

Rozdział 30

Samolot Jeri wylądował na międzynarodowym lotnisku w Detroit w piątek o czternastej czterdzieści. Idąc przez zatłoczony terminal, czuła się wolna. Jaka to ulga znaleźć się daleko od Mobile, Florydy i tamtejszych trosk. W samolocie tłumaczyła sobie, że jej koszmar dobiegł końca, że poczyniła pierwsze odważne kroki, by sprawiedliwości stało się zadość, i że nikt jej nie śledzi. Odnalazła wynajęty samochód i wyjechała z parkingu, kierując się do Ann Arbor.

Denise, jej jedyne dziecko, kończyła studia magisterskie na wydziale fizyki Uniwersytetu Michigan. Dorastała w Athens w Georgii, bo tam wykładała wtedy Jeri; bez trudu skończyła tamtejszy college i dostała wysokie stypendium na Michigan. Jej ojciec, były mąż Jeri, pracował w Departamencie Stanu w Waszyngtonie. Ożenił się ponownie i Jeri rzadko się z nim kontaktowała, utrzymywał jednak bliskie stosunki z córką.

Nie widziała się z nią od Bożego Narodzenia, które spędziły na plaży w Cabo. W Ann Arbor była wcześniej dwa razy i miasto bardzo jej się podobało. Od dawna żyła samotnie i zazdrościła córce intensywnego życia towarzyskiego i szerokiego kręgu znajomych. Kiedy podjechała pod jej osiedle w Kerrytown, Denise już na nią czekała. Uściskały się mocno, wzajemnie sobie przyjrzały i obu spodobało się to, co zobaczyły. Obie były w niezłej formie i wiedziały, jak się ubrać, choć córka wysunęła się chyba na prowadzenie. Wyglądała świetnie we wszystkim, co na siebie włożyła,

także w dżinsach i adidasach. Po chwili zataskały bagaże Jeri do małego mieszkania, w którym mieszkała Denise. Na osiedlu wynajmowało mieszkania wielu studentów i zawsze gdzieś głośno grała muzyka i odbywało się jakieś przyjęcie. Zwłaszcza w kwietniowy piątkowy wieczór. Przy basenie stał keg z piwem, szybko więc zeszły na dół. Denise cieszyła się, mogąc przedstawić znajomym mamę jako „profesor Crosby”. Jeri z zadowoleniem popijała piwo z plastikowego kubka, słuchając rozmów i wygłupów osób o dwadzieścia lat od niej młodszych.

Jakiś przystojny student prawa przysiadł się do nich i wydawał się bardziej od innych zainteresowany jej córką. Denise wspomniała przez telefon, że być może kręci się koło niej jakiś facet, i Jeri miała oczy i uszy szeroko otwarte. Miał na imię Link, pochodził z Flint i nietrudno było zgadnąć, że jest kimś więcej niż tylko przygodnym znajomym Denise. W głębi serca Jeri cieszyła się, że jest Afroamerykaninem. Jej córka spotykała się wcześniej z różnymi chłopakami i Jeri to nie przeszkadzało, ale tak jak wszyscy wolą mieć wnuki podobne do niej.

Nie pytając o zdanie mamy, Denise zaprosiła Linka, żeby wybrał się z nimi do baru. Wyszli w trójkę z osiedla i przez jakiś czas spacerowali niespiesznie po Kerrytown. W końcu udało im się zająć stolik w ogródku Grotto Watering Hole i siedząc tam, obserwowali przechodzącą paradę studentów. Jeri tłumiała w sobie pokusę wypytania Linka o rodzinę, zainteresowania, studia, plany na przyszłość. Zdenerwowałoby to córkę, a przysięgła sobie, że w ten weekend będzie unikała wszelkich spięć. Ona i Denise zamówiły wino, Link kraftowe piwo. To świadczyło na jego korzyść. Jeri poznała w wystarczającym stopniu studenckie obyczaje, by patrzeć krytycznym wzrokiem na tych, którzy zaczęli wieczór od mocnych trunków.

Link nawijał jak najęty, co chwila wybuchał śmiechem i wydawał się bardzo zainteresowany prowadzonymi przez profesor Crosby wykładami. Jeri wiedziała, że jej się podlizuje, lecz i tak było jej miło. Parę razy spostrzegła, że gołąbeczki spoglądają na siebie z czystym uwielbieniem. Albo pożądaniem.

Po spędzonej z Linkiem godzinie miała wrażenie, że też się w nim zadurzyła.

W którymś momencie Denise musiała dać jakiś sygnał, którego nie zauważyła matka, i Link oświadczył, że musi iść. Drużyna softballu z jego wydziału prawa rozgrywała wieczorny mecz w międzyuczelnianej lidze i był tam oczywiście gwiazdorem. Jeri chciała, żeby został z nimi na kolacji, ale jakoś się wymówił. Może jutro wieczorem.

Kiedy tylko wyszedł, spoważniała.

– No dobrze, jak blisko ze sobą jesteście? – zapytała.

– Daj spokój, mamó, nie wchodźmy w to.

– Nie jestem ślepa, dziewczyno. Jak blisko?

– Nie dość blisko, żeby teraz o tym mówić.

– Sypiasz z nim?

– Oczywiście. Ty byś nie sypiała?

– Głupie pytanie.

– A z kim ty sypiasz?

– Z nikim i na tym polega problem.

Obie trochę nerwowo się roześmiały.

– Zmieniając temat, dwa dni temu zadzwonił Alfred – powiedziała Denise. – Co jakiś czas się odzywa.

– Bardzo miło z jego strony. Cieszę się, że do kogoś dzwoni. – Alfred był starszym bratem Jeri, wujem Denise. Jeri nie widziała się z nim od co

najmniej trzech lat. Przed zabójstwem ich ojca byli ze sobą blisko związani, a po nim starali się wzajemnie wspierać. Ale obsesja, z jaką Jeri starała się namierzyć zabójcę, w końcu ich od siebie oddaliła. Jej zdaniem Alfred zbyt wcześnie dał za wygraną. Uwierzył, że ta zbrodnia nigdy nie zostanie rozwiązana, i przestał o niej mówić. A że ona nie mówiła o niczym innym, odsunął się od niej. Żeby wyrwać się z rodzinnego miasta i zacząć nowe życie, wyjechał do Kalifornii i nie zamierzał wracać. Miał żonę, której Jeri nie znosiła, i trójkę dzieci, które uwielbiała, ale z którymi nie utrzymywała bliższych kontaktów, bo dzielił ją od nich zbyt wielki dystans.

Przez kilka minut popijały wino, przypatrując się studentom.

– Rozumiem, że twój ojciec odzywa się od czasu do czasu – powiedziała w końcu Jeri.

– Posłuchaj, mamó, dajmy sobie spokój z gadaniem o rodzinie, dobrze? Tato przesyła mi sto dolarów miesięcznie i dzwoni co dwa tygodnie. Esemesujemy, mailujemy do siebie i jesteśmy w kontakcie. Wolałabym, żeby nie przysyłał mi tych pieniędzy. Nie są mi potrzebne. Mam stypendium i pracę i potrafię się sama utrzymać.

– To poczucie winy, Denise. Odszedł, kiedy byłaś malutka.

– Wiem, mamó, i nie będziemy o tym mówić. Zjedźmy kolację.

– Mówiłam ci, że jestem z ciebie dumna?

– Co najmniej raz w tygodniu. Ja też jestem z ciebie dumna.

...

Kolację miały zjeść w Café Zola, popularnej restauracji w eleganckim budynku z czerwonej cegły tuż za rogiem. Denise zarezerwowała stolik z przodu sali i szykowały się na długą kolację i długą rozmowę. Zamówiły po kieliszku wina, a potem sałatki i rybę. Na prośbę matki Denise opowiedziała jej o studiach i eksperymentach naukowych, używając

terminów, które przekraczały możliwości rozumienia Jeri. Zamiłowanie do nauk ścisłych dziewczyna odziedziczyła po ojcu, zamiłowanie do historii i literatury po matce.

W połowie kolacji Jeri spoważniała.

– Chciałabym powiedzieć ci coś ważnego – oświadczyła.

– Jesteś w ciąży?

– Z wielu powodów jest to biologicznie niemożliwe.

– Tylko żartowałam, mamo. – Denise podejrzewała, że ta ważna wiadomość ma coś wspólnego z zabójstwem dziadka, tematem, który rzadko poruszały.

– Wiem. – Jeri odłożyła widelec i wzięła do ręki kieliszek, jakby musiała się wzmocnić. – Ja wiem... wiem, kto zabił mojego ojca.

Jej córka przestała jeść i wbiła niedowierzający wzrok w matkę.

– Tak – potwierdziła Jeri. – Po dwudziestu latach znalazłam sprawcę.

Nadal oniemiała dziewczyna przełknęła ślinę i upiła łyk wina. Skinieniem głowy dała matce znać, żeby mówiła dalej.

– Zawiadomiłam władze i ten koszmar być może się zakończy.

Denise wypuściła z ust powietrze i pokiwała głową, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

– Czy ta wiadomość ma mnie ucieszyć? Przepraszam, ale nie wiem, jak mam zareagować. Jest szansa, że zabójca zostanie aresztowany?

– Tak sądzę. Módlmy się i miejmy taką nadzieję.

– Gdzie on mieszka?

– W Pensacoli.

– To bardzo blisko Mobile.

– Rzeczywiście, dość blisko.

– Nie mów mi, jak się nazywa, dobrze? Nie wiem, czy jestem na to gotowa.

– Nie powiedziałam o tym nikomu, z wyjątkiem władz.

– Poszłaś na policję?

– Nie. Na Florydzie są inne agencje śledcze. Jedna z nich rozpatruje w tej chwili tę sprawę. Zakładam, że wkrótce zawiadomią policję.

– Masz dowody, że to on? Jak to się mówi, żelazne dowody?

– Nie. Obawiam się, że trudno będzie udowodnić, że to on, i to mnie oczywiście bardzo martwi.

Denise dopiła do końca wino, poprosiła przechodzącą kelnerkę o następny kieliszek i rozejrzała się dokoła.

– No dobrze, mamo – ściszyła głos – ale skoro nie ma dowodów, to jak dopadną tego faceta?

– Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, Denise. Dużo będzie zależało od policji i prokuratorów.

– Więc dojdzie do głośnego procesu i wszystkiego, co temu towarzyszy?

– Mam taką nadzieję. Dopóki go nie skażą i nie wsadzą za kratki, nie będę mogła spać spokojnie.

Denise często martwiła się obsesją matki. Alfred uważał, że jego siostra popada w urojenia. Silna obsesja na jakimkolwiek punkcie, a zwłaszcza związana z czymś tak traumatycznym jak morderstwo, nie może być zdrowa. W minionych latach Denise często rozmawiała o tym z wujem, choć ostatnio trochę mniej. Martwili się o Jeri, ale nie mogli na to nic poradzić.

Dla reszty rodziny śmierć Bryana Burke'a była czymś, o czym się nie mówiło.

– Będziesz musiała zeznawać w sądzie? – zapytała Denise, którą najwyraźniej to niepokoiło.

– Pewnie tak. Członek rodziny zamordowanego jest na ogół pierwszym świadkiem, którego powołuje prokuratura.

– Jesteś na to gotowa?

– Tak, jestem gotowa spojrzeć w oczy zabójcy. Nie uronię ani słowa z jego procesu.

– Nie zamierzam pytać, jak go znalazłaś.

– To długa i skomplikowana historia, Denise, i pewnego dnia ci ją opowiem. Ale nie teraz. Cieszymy się chwilą i pomyślmy o czymś przyjemniejszym. Uznałam po prostu, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Powiedziałaś Alfredowi?

– Nie, jeszcze nie. Wkrótce to zrobię.

– Powinnam się chyba cieszyć. To dobra wiadomość, prawda?

– Tylko jeżeli go skazą.

...

Sobotni rano zaczął się późno od jogurtu na sofie, która w ten weekend była łóżkiem Jeri. Obie, matka i córka, siedziały w piżamach aż do południa. W końcu wzięły prysznic i wyszły z domu, najpierw do kawiarni przy Huron Street. Był piękny wiosenny dzień, siedziały więc w słońcu, rozmawiając o życiu, przyszłości, modzie, serialach telewizyjnych i filmach, o wszystkim, co im przyszło do głowy. Jeri cieszyła się chwilami spędzonymi z córką, wiedząc, jak bardzo są cenne. Denise stawiała się mądrą i ambitną młodą kobietą z obiecującą przyszłością, która czekała ją daleko od Mobile, gdzie zresztą nigdy w życiu nie mieszkała.

Denise martwiła się, że życie przecieka jej matce między palcami i że z nikim go nie dzieli. W wieku czterdziestu sześciu lat była nadal piękna

i seksowna i miała wiele do zaoferowania, ale zależało jej wyłącznie na tym, by zabójca jej ojca nie uniknął kary. Jej obsesja wykluczała myśli o jakichkolwiek intymnych relacjach, nawet o przyjaźni. Był to temat, którego przez cały dzień unikały.

Wydział prawa organizował akurat całodzienny turniej softballu; w eliminacjach brało udział dwanaście drużyn. Denise zawiozła matkę swoją małą mazdą pod ośrodek sportowy, wypakowały leżaki i turystyczną lodówkę i rozłożyły koc pod drzewem przy ogrodzeniu lewego pola. Link natychmiast je odnalazł i usiadł na kocu. Popijając przedmeczowe piwo – robiła to większość zawodników, niektórzy nawet na boisku – rozmawiał z Jeri. Ta zapytała go o plany na przyszłość. Po studiach chciał popracować trochę w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie, a potem być może założyć własną firmę. Miał zamiar trzymać się z dala od wielkich korporacji i bronić praw osób z niepełnosprawnościami. Jego ojciec miał wypadek w pracy i był przykuty do wózka inwalidzkiego.

Im dłużej Jeri obserwowała Linka i Denise, tym bardziej była przekonana, że zostaną ze sobą na dłużej. I nie miała nic przeciwko temu. Chłopak był sympatyczny, inteligentny, dowcipny i najwyraźniej zakochany w jej córce.

– No dobrze, mamó – powiedziała Denise, kiedy pobiegł rozegrać mecz. – Chcę wiedzieć, jak znalazłaś tego faceta.

– Jakiego faceta?

– Zabójcę.

Jeri uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Chcesz poznać całą historię?

– Tak. Chcę wiedzieć.

– To może zająć trochę czasu.

– Mamy coś innego do roboty w ciągu kilku następnych godzin?

– W porządku.

Rozdział 31

W sobotni rano Lacy i jej chłopak wyjechali z Tallahassee do odległej o trzy godziny drogi Ocali, na północ od Orlando. Allie siedział za kółkiem, a Lacy zajmowała się rozrywką. Na początek puściła audiobooka Elmore’a Leonarda, ale szybko uznała, że ma dosyć słuchania o zbrodniach i trupach, i przerzuciła się na podcast o polityce. Ten także okazał się dołączający, więc włączyła stację NPR i przez godzinę zdrowo się uśmieła, słuchając odcinka *Wait Wait... Don't Tell Me*. Byli umówieni z panem Grayem na godzinę czternastą.

...

Herman Gray był w FBI żywą legendą; przez dwie dekady kierował w Quantico Działem Analiz Behawioralnych. Zbliżał się teraz do osiemdziesiątki i z żoną oraz trzema psami mieszkał na strzeżonym osiedlu na Florydzie. Allie dostał do niego kontakt od przełożonego i wykonał kilka niezbędnych telefonów. Herman oświadczył, że się nudzi i może im poświęcić dużo czasu, zwłaszcza że rozmowa miała dotyczyć seryjnych zabójców. Tropił ich i badał przez długie lata i z tego, co mówiono, znał ten gatunek lepiej niż ktokolwiek inny. Opublikował na ich temat dwie książki, z których żadna nie okazała się szczególnie pomocna. Obie były w gruncie rzeczy kronikami prowadzonych przez niego śledztw, z makabrycznymi fotografiami i trochę przesadną autoreklamą.

Przywitał ich ciepło i chyba naprawdę ucieszył się z odwiedzin. Żona zaproponowała, żeby zjedli razem lunch, ale odmówili. Podała im mrożoną niesłodzoną herbatę i przez pierwsze pół godziny rozmawiali na patio, podczas gdy spaniele Grayów lizały ich po łydkach.

– Oboje czytaliśmy pana książki, więc wiemy coś niecoś o pana karierze – przerwała mu grzecznie Lacy, kiedy Herman zaczął opowiadać o swoich sukcesach.

– Na ogół trzymałem się faktów. Tylko tu i ówdzie trochę podkoloryzowałem – odparł, wyraźnie zadowolony.

– To była fascynująca lektura – zapewniła go.

– Jak wyjaśniłem przez telefon, Lacy chciałyby przedstawić po kolei ofiary naszego sprawcy i usłyszeć, co pan o tym sądzi – wtrącił Allie.

– Mam dla was całe popołudnie – powiedział z uśmiechem Gray.

– Wszystko to jest ściśle tajne i nie wymienię prawdziwych nazwisk – uprzedziła Lacy.

– Rozumiem wymogi dyskrecji, pani Stoltz. Niech mi pani wierzy.

– Możemy mówić sobie po imieniu? Lacy i Allie?

– Oczywiście. Jestem Herman. Widzę, że przywieźliście ze sobą teczkę, więc macie jakieś dokumenty, być może fotografie.

– Owszem.

– Powinniśmy chyba przejść do kuchni i usiąść przy stole.

Ruszyli za nim do środka, razem z psami. Pani Gray dołała im herbaty. Herman usiadł przy stole naprzeciwko Lacy i Alliego.

Lacy wzięła głęboki oddech.

– Jest osiem zabójstw, o których wiemy – powiedziała. – Pierwsze zostało popełnione w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, ostatnie niespełna rok temu. Pierwszych siedem dokonano

przez uduszenie sznurem, tą samą metodą, lecz przy ostatnim sznur nie został użyty. Wyłącznie kilka uderzeń w głowę.

– Dwadzieścia trzy lata.

– Tak jest, proszę pana.

– Przeszliśmy chyba na ty.

– Oczywiście, przepraszam.

– Dziękuję. Za dwa miesiące skończę osiemdziesiąt lat, ale nie czuję się stary. – Herman był chudy jak szczapa i wyglądał, jakby mógł przejść w palącym słońcu kilkanaście kilometrów.

– Naszym zdaniem podejrzany zabił osiem osób. Sześciu mężczyzn i dwie kobiety.

– Wiecie, że ofiar może być więcej?

– Tak, ale nic nam o nich nie wiadomo.

Herman wyjął długopis i przysunął sobie blok do pisania.

– Porozmawiajmy o Numerze Pierwszym – rzucił.

Allie otworzył teczkę i podał Lacy akta.

– Numer Pierwszy to czterdziestoletni biały mężczyzna... wszyscy oprócz jednego byli biali – powiedziała. – Znalaziono go przy szlaku turystycznym w Signal Mountain w Tennessee. – Podała Hermanowi wydrukowaną kartkę z nagłówkiem *Numer Pierwszy*. Były na niej data i miejsce śmierci, wiek ofiary, przyczyna śmierci i kolorowe zdjęcie leżącego w krzakach Thada Leawooda.

Herman przestudiował dane i fotografię i zrobił notatki. Lacy i Allie uważnie go obserwowali, w ogóle się nie odzywając.

– Czy na miejscu zbrodni było coś poza zwłokami? – zapytał w końcu.

– Policja nie znalazła niczego. Żadnych odcisków palców, włókien, włosów, żadnej krwi nienależącej do ofiary. To samo dotyczy innych miejsc

zbrodni.

– Dziwny węzeł, chyba wyblinkowy.

– To podwójny węzeł wyblinkowy, niezbyt często używany – pospieszyła z wyjaśnieniem Lacy.

– Rzeczywiście rzadki. Jeśli stosował go za każdym razem, stanowi to oczywiście jego wizytówkę. Ile uderzeń w głowę?

– Dwa, najwyraźniej tym samym narzędziem.

– A wyniki sekcji?

– Roztrzaskana czaszka, liczne pęknięcia rozchodzące się promieniście od miejsca uderzenia. Policja w Wilmingtonie w Karolinie Północnej, gdzie została popełniona inna zbrodnia, uważa, że to coś w rodzaju młotka albo małej metalowej kuli.

– Za każdym razem wywołuje pożądany skutek, choć w miejscu zbrodni jest potem sporo krwi. Pyska tak silnie, że podejrzany ma ją prawdopodobnie na ubraniu.

– Którego, swoją drogą, przy żadnej z tych spraw nie znaleziono – dodała Lacy.

– Oczywiście. Motyw?

– Uważa się, że Numer Pierwszy molestował seksualnie zabójcę, kiedy ten był małym chłopcem.

– To bardzo mocny motyw. Są na to jakieś dowody?

– Niekoniecznie.

– W porządku. Przejdźmy do Numeru Drugiego.

Lacy podała Hermanowi kartkę z danymi Bryana Burke'a.

– Do zabójstwa doszło rok później, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim – powiedziała.

– W Karolinie Południowej – przeczytał.

– Tak, każde zabójstwo zostało popełnione w innym stanie.

Herman uśmiechnął się i zrobił notatki.

– Motyw?

– Ich ścieżki skrzyżowały się w college'u, gdzie studiował zabójca. Numer Drugi był jednym z jego profesorów.

Lacy pamiętała, żeby nie użyć słów „wydział prawa”. To ujawni później. Allie nie opowiedział o niej wiele Hermanowi; nie zdradził na przykład, gdzie pracuje i kto jest podejrzanym. To także mieli zamiar przedyskutować później, po południu.

Numerem Trzecim była Ashley Barasso.

– Zabita cztery lata później w Columbus w Georgii – oznajmiła Lacy. – Nie znamy motywu, wiemy tylko, że razem studiowali.

– Była w jakikolwiek sposób molestowana seksualnie?

– Nie. Była całkowicie ubrana, bez śladów molestowania.

– To niezwykle. Seks odgrywa ważną rolę w około osiemdziesięciu procentach seryjnych zbrodni.

Numerem Czwartym była Eileen Nickleberry, zabita w 1998 roku.

– Z tego, co wiemy, potem nasz człowiek zrobił sobie jedenastoletnią przerwę – powiedziała Lacy, zanim przeszła do Numeru Piątego.

– To bardzo długo – skomentował Herman, przyglądając się fotografii.

– Taki sam węzeł. Nie chce, żeby go złapano, jest na to za sprytny, ale chce, żeby ktoś wiedział, że to robi. To dosyć częste.

Ponownie coś zapisał, a jego żona weszła do kuchni i poczęstowała ich ciasteczkami. Nie została z nimi, ale Lacy odniosła wrażenie, że jest gdzieś blisko i chyba ich słucha.

Numerem Szóstym był Perry Kronke z Marathon.

– Skąd je macie? – zapytał Herman, przyjrząwszy się zdjęciom.

– Dostaliśmy je od informatora, który pracuje nad tą sprawą od wielu lat. Uzyskał je na podstawie ustawy o wolności informacji, z bazy danych FBI, z typowych źródeł. Mamy zdjęcia z sześciu pierwszych miejsc zbrodni, ale nie z ostatniego.

– Przypuszczam, że sprawa jest zbyt świeża – domyślił się Herman. – Biedak po prostu wybrał się na ryby, nikomu nie wadził. Został zabity w biały dzień.

– Byłam tam i miejsce jest bardzo ustronne.

– Rozumiem. A motyw?

– Ich ścieżki przecięły się w miejscu pracy. Chodziło prawdopodobnie o niespełnioną obietnicę posady.

– Więc jego także dobrze znał?

– Znał wszystkie ofiary.

Herman, któremu wydawało się, że widział już wszystko, był wyraźnie pod wrażeniem.

– Dobrze, obejrzyjmy ostatnie miejsce zbrodni – poprosił.

Lacy dała mu kartki z Numerem Siódmym i Ósmym i wyjaśniła, że prawdziwym celem był pierwszy mężczyzna, a drugi pojawił się tam po prostu w niewłaściwym czasie. Herman długo studiował dane i zdjęcia i w końcu podniósł wzrok.

– To wszystko? – zapytał z uśmiechem.

– Wszystko, o czym nam wiadomo.

– Możecie być pewni, że ofiar jest więcej, i możecie być pewni, że facet jeszcze nie skończył.

Lacy i Allie pokiwali głowami i zjedli po ciastku.

– Więc teraz chcecie, żebym przedstawił wam profil zabójcy, tak? – zapytał Herman.

– Jasne, to jeden z powodów, dla których tu przyjechaliśmy – odparł Allie.

Herman odłożył długopis, wstał, przeciągnął się i podrapał po brodzie.

– Biały mężczyzna, około pięćdziesięciu lat, rozpoczął swój proceder w wieku dwudziestu kilku. Singiel, prawdopodobnie nigdy się nie ożenił. Z wyjątkiem pierwszych dwóch zabójstw zabija zawsze w weekendy, co wskazuje, że ma ważną pracę. Wspomniałaś, że skończył studia, i wydaje się oczywiste, że jest inteligentny, nawet błyskotliwy, a także cierpliwy. Zbrodnie nie mają charakteru seksualnego, więc jest pewnie impotentem. Motyw znacie: jest nim chorobliwe pragnienie zemsty. Zabija bez żadnych skrupułów, co w przypadku seryjnych zabójców jest normą. Osobowość socjopatyczna, ogólnie mówiąc. Aspołeczny, ale z powodu wykonywanego zawodu zachowujący pozory i prowadzący coś, co wydaje się normalnym życiem. Siedem miejsc zbrodni w siedmiu stanach w ciągu dwudziestu trzech lat. Bardzo niezwykle. Wie, że policja nie będzie ich badała dość dokładnie, by połączyć je w całość. Czy jest w to zaangażowane FBI?

– Jeszcze nie – odparł Allie. – To kolejny z powodów, dla których tu jesteśmy.

– Zna się na technikach kryminalistycznych, procedurach policji i prawie – powiedziała Lacy.

Herman powoli usiadł i przejrzał swoje notatki.

– Bardzo niezwykle. Powiedziałbym, unikalne. Ten facet zrobił na mnie wrażenie. Co o nim wiecie?

– Z pewnością pasuje do twojego profilu – przyznała Lacy. – To sędzia.

Herman wypuścił z ust powietrze, jakby go to przerosło. Pokręcił głową i przez dłuższą chwilę się zastanawiał.

– Urzędujący sędzia? – zapytał w końcu.

– Wybrany w uczciwych wyborach.

– Kurczę. To naprawdę niezwykle. Narcystyczna rozdwojona osobowość. W jednym świecie funkcjonuje jako produktywny, szanowany członek społeczności, a w drugim przez długie godziny planuje następne zabójstwo. Trudno będzie go przyskrzynić. Chyba że...

– Chyba że popełni jakiś błąd, tak? – wtrącił Allie.

– Owszem.

– Uważamy, że popełnił go w trakcie ostatniej zbrodni – powiedziała Lacy. – Pytałeś wcześniej o FBI. Nie są zaangażowani w to śledztwo, ale znaleźli dowód rzeczowy. Częściowy odcisk kciuka na telefonie. W laboratorium w Quantico badali go przez długie miesiące, przeprowadzili wszystkie możliwe testy. Problem polega na tym, że ten odcisk do nikogo nie pasuje. Zdaniem FBI facet prawdopodobnie zmienił swoje linie papilarne.

Herman pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie znam się zbyt dobrze na liniach papilarnych – mruknął – ale wiem, że bez poważnego zabiegu chirurgicznego to jest właściwie niemożliwe.

– Stać go na coś takiego i miał dużo czasu – dorzuciła Lacy.

– Popytałem kilku naszych ekspertów – dodał Allie. – Twierdzą, że było kilka przypadków zmiany linii papilarnych.

– Skoro tak mówisz... Ja mam wątpliwości.

– My też – przyznała się Lacy. – Jeśli nie uda nam się znaleźć pasującego odcisku, sprawa będzie wyglądała beznadziejnie. Nie ma żadnych dowodów poza motywem, a sam motyw nie wystarczy. Prawda?

– Nie wiem. Rozumiem, że nie uda się zdobyć jego odcisków palców, tych aktualnych?

– Nie uda się bez nakazu – powiedziała Lacy. – Podejrzewamy go, ale dla sędziego to za mało, żeby podpisać nakaz.

– Potrzebujemy twojej rady, Herman – oznajmił Allie. – Jaki ma być nasz następny krok?

– Gdzie mieszka ten facet?

– W Pensacoli.

– A odcisk znaleziono w Missisipi, tak?

– Zgadza się.

– Czy tamtejsza policja zwróci się do FBI?

– Jestem pewien, że to zrobią. Starają się desperacko rozwiązać te zabójstwa.

– W takim razie zaczynicie od tego. Kiedy w sprawę włączą się nasi chłopcy, łatwiej będzie przekonać sąd federalny, żeby wydał nakaz przeszukania.

– Przeszukania czego? – zapytała Lacy.

– Jego domu, biura, każdego miejsca, w którym mogą być jego odciski.

– Mogą się tu wyłonić pewne problemy – zauważył Allie. – Pierwszy wynika z tego, że ten człowiek nie zostawia nigdzie odcisków. Drugi jest taki, że wyczuwając, że siedzimy mu na karku, może się w jednej chwili ulotnić.

– O odciski niech się martwią nasi chłopcy. Na pewno je znajdą. Nikt nie zdoła usunąć wszystkich w domu czy biurze. Co do obawy, że facet pryśnie, ryzyko jest realne. Nie możecie go aresztować, zanim nie okaże się, że pasuje do niego tamten odcisk kciuka. Nie macie żadnych innych dowodów?

– Na razie nie – odparła Lacy.

– Może wyłonić się jeszcze jeden problem – dodał Allie. – Jest całkiem możliwe, że Biuro nie zechce zająć się tą sprawą.

– Dlaczego?

– Z powodu nikłej nadziei na sukces. W pierwszych sześciu miejscach zbrodni odnotowano zero dowodów. Te sprawy są od wielu lat zamknięte. Wiesz, jakie mają podejście w Quantico. I jakie macie chroniczne braki kadrowe w Dziale Analiz Behawioralnych. Nie obawiasz się, że mogą przyjrzeć się uważnie sprawie i powiedzieć: „Nie wchodzimy w to”?

Herman zbył obawy Alliego machnięciem ręki.

– Nie, nie obawiam się. Mamy seryjnych zabójców, których usiłowaliśmy dopaść przez wiele lat i ich nie znaleźliśmy. Niektóre sprawy, przy których pracowałem przed trzydziestu laty, nadal nie są rozwiązane i nigdy nie będą. Ale to nie zniechęci Działu Analiz Behawioralnych. To jest ich chleb powszedni. I pamiętaj, że wcale nie muszą rozpracować wszystkich zabójstw. Wystarczy jedno, żeby go zamknąć. – Herman odłożył długopis i skrzyżował ręce na piersi. – Nie macie innego wyboru: musicie włączyć w to Biuro. Wyczuwam jednak pewne wahanie.

Lacy przedstawiła w skrócie historię Betty Roe i jej dwudziestoletnich zmagañ, by odnaleźć mordercę ojca.

– Ta pani nie szuka przypadkiem zatrudnienia? – przerwał jej Herman. – Moim zdaniem przydałaby się w Biurze.

Lacy roześmiała się.

– Ma dobrze płatną pracę – odparła. – Złożyła skargę w Komisji Dyscyplinarnej Sędziów. Tam właśnie pracuję. Betty Roe jest bardzo krucha i przerażona i obiecałam jej, że nie zawiadomimy policji przed zakończeniem naszego wstępnego dochodzenia.

Hermanowi raczej się to nie spodobało.

– To niedobrze – stwierdził. – W tym momencie ta kobieta nie jest już najważniejsza. Macie do czynienia z bardzo wyrafinowanym zabójcą, który jest nadal aktywny, i pora włączyć w to Biuro. Im dłużej będziecie czekać, tym więcej odnajdą trupów. Ten facet nie przestanie zabijać.

Rozdział 32

We wtorek „Pensacola Ledger” zamieścił w kronice kryminalnej na piątej stronie krótką notatkę na temat Mala Schnetzera, adwokata działającego niegdyś w rejonie Pensacoli, który w sobotę został zamordowany w Sugar Land w Teksasie, na zachód od Houston, gdzie ostatnio mieszkał. Policja nie udzielała wielu informacji, powtarzała jedynie, że Schnetzer został uduszony w przyczepie wynajętej przez osobę, której jeszcze nie odnaleziono. W artykule przypomniano, że w swoim czasie był znanym prawnikiem specjalizującym się w odszkodowaniach i że potem wydalono go z palestry i wsadzono za kratki za okradanie klientów. Artykuł zilustrowano zdjęciem z jego lepszych czasów.

Jeri przeczytała to, popijając poranną kawę. Natychmiast skojarzyła tę historię z innymi zabójstwami: Danny’ego Clevelanda, byłego reportera „Pensacola Ledger”, którego zaduszono w jego mieszkaniu w Little Rock w 2009 roku; Thada Leawooda, uśmierconego w 1991 roku niedaleko Signal Mountain w Tennessee; oraz Lanny’ego Verno, zamordowanego w Biloxi w poprzednim roku. Schnetzer, Cleveland i Leawood byli znani w Pensacoli i gazeta doniosła o ich śmierci. Verno spędził tu niewiele czasu, nic więc o nim nie napisano.

Odnalazła notki na temat zabójstw w lokalnych gazetach wychodzących w Little Rock, Chattanoodze, Houston i Biloxi, skompilowała z nich jeden plik i wysłała go z nowego konta mailowego reporterce o nazwisku

Kemper, która napisała o śmierci Schnetzera. Do pliku dołączyła tajemniczy komentarz: *Cztery nierozwiązane zabójstwa poprzez uduszenie osób, które były blisko związane z Pensacolą. Verno mieszkał tutaj w 2001. Odrób pracę domową!!!*

Nie dostała wcześniej wiadomości o zabójstwie Schnetzera i nie miała zamiaru się nim zajmować. Była wyczerpana, spłukana i nie miała po prostu siły wszczynać kolejnego śledztwa. Podejrzewała jak zwykle Bannicka, ale uznała, że może je poprowadzić ktoś inny.

Nazajutrz rano na dole pierwszej strony „Pensacola Ledger” ukazał się sensacyjny artykuł o czterech mieszkańcach Pensacoli, którzy zostali zamordowani w innych stanach. Miejscowa policja odmawiała komentarza i nie odpowiadała na żadne pytania, bo nic nie wiedziała. Zabójstwa zostały popełnione poza ich jurysdykcją. Taką samą postawę zajęła policja stanowa.

Jeri przeczytała z radością artykuł i natychmiast przesłała go, w zaszyfrowanej formie, do Lacy Stoltz. Po kilku minutach przekazała jej esemesem hasło do rozszyfrowania.

Lacy dostała tego maila, siedząc przy biurku i czytając wstępne oceny innych skarg. Próbowała go otworzyć, ale nie było w nim żadnej wiadomości. Któż inny mógł wysłać jej prywatnego maila, a potem hasło do odkodowania? Po raz kolejny podziwiała wytrwałość i dociekliwość Jeri. Nie mogła się nie uśmiechnąć, gdy przypomniała sobie komentarz Hermana Graya, że ktoś taki bardzo przydałby się w FBI.

Zamknęła drzwi i przez dłuższy czas czytała raporty o starych i nowych zabójstwach. Próbując ocenić, jaki wpływ na sprawę będzie miała poranna publikacja, doszła do wniosku, że nie sposób przewidzieć, co się stanie. Nie ulegało jednak kwestii, że sytuacja zasadniczo się zmieniła. Bannick na

pewno przeczyta ten artykuł, być może nawet już to zrobił. Kto mógł przewidzieć, jaki będzie jego następny krok?

...

Sędzia Bannick przeczytał ten artykuł w hotelowym pokoju w Santa Fe. Przeglądał jak zawsze „Pensacola Ledger” online, żeby wiedzieć, co dzieje się w domu, i kiedy zapoznał się z jego treścią, zaczął kląć pod nosem.

Jedyną osobą, która mogła powiązać Lanny’ego Verno z Pensacolą, była Jeri Burke. Eksgliniarz Norris Ozment raczej nic o tym nie wiedział.

Kilku starszych adwokatów pamiętało być może spór, jaki toczył w 1993 roku ze Schnetzerem o honorarium od klienta. Bannick wątpił, żeby reporterka z „Pensacola Ledger” słyszała o Dannym Clevelandzie, który wylał na niego wiadro pomyj i pozbawił szans w wyborach na urząd sędziego. W tamtym artykule Clevelandowi zależało głównie na pogrążeniu kilku szemranych deweloperów. Z tego, co sędzia wiedział, nikt nie mógł go powiązać z Thadem Leawoodem. Drużynowemu skautów nigdy nie postawiono zarzutów, a jego zastraszone ofiary zdały się na rodziców, którzy nie mieli pojęcia, co robić.

...

Miał wtedy trzynaście lat i po uzyskaniu osiemnastu odznak zdobył właśnie stopień Life. Jego celem było awansowanie na stopień Eagle przed ukończeniem czternastu lat. Ojciec bardzo go w tym wspierał, bo wiedział, że syn zacznie niedługo szkołę średnią i skauting przestanie być dla niego taki ważny. Ross prowadził patrol Shark, najlepszy w całej drużynie. Uwielbiał w skautingu wszystko: weekendy w lesie, trening przed przepłynięciem mili, zloty, uzyskiwanie kolejnych odznak, ceremonie, w trakcie których je przyznawano, pracę na rzecz społeczności.

Po tym, jak Leawood go zgwałcił, Ross nie poszedł na zbiórkę, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Kiedy opuścił drugą, rodzice chcieli wiedzieć dlaczego. Nie był w stanie nieść samotnie tego brzemienia i im powiedział. Przerażeni i zdruzgotani, nie mieli pojęcia, do kogo zwrócić się o pomoc. Ojciec poszedł w końcu na policję i dowiedział się, że już wcześniej została złożona skarga, przez chłopca, który nie chciał, by ujawniano jego tożsamość.

Ross podejrzewał, że chodzi o Jasona Wrighta, kolegę, który dwa miesiące wcześniej nagle odszedł z drużyny.

Policja chciała przesłuchać Rossa, ale to go przerażało. Bał się wychodzić z domu i sypiał w nogach łóżka rodziców. Ci uznali w końcu, że ochrona ich dziecka jest ważniejsza od domagania się kary. Koszmar przybrał na sile, kiedy w „Pensacola Ledger” ukazała się relacja o śledztwie policji w sprawie *zarzutów o molestowanie seksualne*, które postawiono Thadowi Leawoodowi, lat dwadzieścia osiem. Zdaniem doktora Bannicka za wyciek odpowiadała policja i w mieście zawrzało.

Leawood ulotnił się i słuch o nim zaginął. Dopiero po czternastu latach zapłacił za swoje zbrodnie.

...

Późnym popołudniem w środę Lacy uznała, że nie będzie już szukała pretekstów, żeby odwlec załatwienie sprawy, którą i tak musiała załatwić. Zamknęła się w gabinecie i zadzwoniła pod pierwszy z kilku numerów, które dostała od Jeri. A potem pod następne. Żadne połączenie nie zostało odebrane, co było do przewidzenia. Kilka minut później dostała esemesa z nieznanego numeru. Przejdź na zieloną linię, napisała Jeri. Co oznaczało, że ma użyć jednorazowego telefonu. Lacy wyjęła go i po kolejnej minucie odebrała połączenie.

– Co powiesz na artykuł w „Pensacola Ledger”? – zapytała wesołym tonem Jeri.

– Interesujący to mało powiedziane. Zastanawiam się, jak udało im się tak szybko połączyć te zabójstwa.

– Och, nie wiem. Na pewno dostali anonimowego maila od kogoś, kto jest dobrze poinformowany, nie sądzisz?

– Tak sądzę.

– Ciekawe, jak zareaguje nasz chłopak.

– Na pewno zepsuło mu to dzień.

– Mam nadzieję, że dostał masywnego wylewu i zadusił się własnymi rzygowinami. Podobno szwankuje na zdrowiu. Krążą plotki o raku jelita grubego, ale raczej w to wątpię. Wydaje mi się to pretekstem, żeby wyjechać z miasta.

– Jesteś w wojowniczym nastroju.

– We wspaniałym, Lacy. Poleciałam do Michigan i spędziłam weekend z córką. To była cudowna wizyta.

– To dobrze, bo mam dla ciebie wiadomość, która może ci się nie spodobać. Zakończyliśmy ocenę twojej skargi i uważamy, że jest zasadna. W związku z tym przekazujemy ją policji stanowej i FBI. Nasza decyzja jest ostateczna.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie powinnaś być zaskoczona, Jeri – brnęła dalej Lacy. – Tego właśnie zawsze chciałaś. Posłużyłaś się nami, żebyśmy wszczęli dochodzenie i sprawdzili wiarygodność zarzutów. Ty w tym czasie pozostawałaś w cieniu. Nie ma w tym nic złego i zapewniam cię, że dotąd nie padło nigdzie twoje nazwisko. Dopóki to możliwe, będziemy nadal chronili twoją tożsamość.

– Co to znaczy „dopóki to możliwe”?

– To znaczy, że nie wiem, jak potoczy się śledztwo. Nie wiem, czy FBI będzie chciało cię w to włączyć, ale na pewno wiedzą, jak chronić kluczowych świadków.

– Nie zmrużę oka, dopóki go nie aresztują i zamkną. Ty też powinnaś na siebie uważać, Lacy. Ostrzegałam cię o tym.

– Ostrzegałaś i jestem ostrożna.

– On jest od nas sprytniejszy i ma oczy dookoła głowy.

– Twoim zdaniem wie o naszym dochodzeniu?

– Zakładaj, że wie, dobrze? Zawsze spodziewaj się najgorszego. On tu wróci.

Lacy zacisnęła powieki, mając ochotę zakończyć rozmowę. Paranoja Jeri była czasami nie do zniesienia.

Rozdział 33

Piecę nad siecią komputerową i telefoniczną biura szeryfa hrabstwa Harrison przejął dorabiający tam na ćwierć etatu Nick Constantine, dwudziestolatek studiujący zaocznie w pobliskim dwuletnim college'u. Praca bardzo mu się spodobała. Uwielbiał przesiadywać z gliniarzami, którzy potrzebowali na ogół pomocy przy zaawansowanych technologiach. Miał do tego wyjątkowy dryg i potrafił zaprojektować i naprawić prawie wszystko. Stale namawiał ich, żeby zaktualizowali to lub tamto, ale problemem był zawsze ograniczony budżet.

Nick wiedział, że sprawa Verna i Dunwoody'ego jest ściśle tajna. Nadal krążyły wokół niej sępy z mediów, a szeryf Black utajnił całą komunikację. Ku swojej wielkiej radości Nick został dopuszczony do miejsca zbrodni, a później doprowadził szeryfa i detektywa Mancuso do dwóch telefonów ofiar w małym miasteczku Neely w Missisipi. Łatwe zadanie, z którym poradziłby sobie dwunastolatek.

Rutynowo sprawdzał sieć pod kątem wirusów, ale nie był w stanie wykryć Rafe'a i jego wrednych kumpli od Maggotza, którzy przez większość czasu byli uśpieni. Błąd popełnił detektyw Napier, który wysłał do szeryfa niezaszyfrowaną wiadomość potwierdzającą spotkanie z FBI w piątek dwudziestego piątego kwietnia w siedzibie Biura w Pensacoli. Nazwał w niej federalnych *Hoovies* i dodał, że ekipa przyleci z Waszyngtonu z ekspertem, telefonem komórkowym oraz COK.

Uświadomiwszy sobie szybko własną nieostrożność, skasował maila, odszukał Nicka i poprosił go, żeby usunął go skutecznie z całej sieci. Nick zrobił to na wewnętrznym serwerze biura szeryfa i był pewien, że wszystko zostało wymazane.

Potem Nick i Napier znaleźli szeryfa i wyjaśnili mu, co się stało. Nick marzył o pracy dla FBI i wiadomość o spotkaniu bardzo go podekscytowała. zaproponował, że weźmie w nim udział, i dodał, że może być potrzebny w razie kolejnych wpadek. Szeryf Black nie był tym zachwycony.

...

Uśpiony, lecz stale obecny Rafe odczytał maila. Trzydzieści minut później odczytał go również sędzia Bannick i wpadł w panikę. Wiedział, jak bardzo FBI lubi skróty, i znał je równie dobrze jak działający w terenie agenci. COK – częściowy odcisk kciuka.

Szybko sprawdził kamery monitoringu oraz systemy alarmowe w swoim domu, w gabinecie w sądzie i w Krypcie. Nikt tam nie wkroczył. Zarezerwował najwcześniejszy lot z Santa Fe, wymeldował się z hotelu i ruszył do domu.

Podróż trwała nieskończenie długo, ale miał dzięki temu czas, żeby się zastanowić. Był przekonany, że nie zostawił żadnych odcisków palców, ale w jakiej znajdzie się sytuacji, jeśli tak się stało? Żaden odcisk zdjęty z tych telefonów nie będzie pasował do jego odcisków pobranych w przeszłości. Po latach, które poświęcił na zmianę linii papilarnych, częściowy odcisk można było mu przypisać, tylko porównując go z jego aktualnym odciskiem, pobranym z czegoś, czego dotknął przez ostatnie dziesięć lat.

Po dotarciu do domu o trzeciej nad ranem powinien się przespać, ale dzięki amfetaminie wcale nie był senny. Pracował w półmroku, nie

zapalając górnych świateł, żeby sąsiedzi nie wiedzieli, że wrócił. Włożył plastikowe rękawiczki i załadował do pralki pierwsze pranie. Część kubków i szklanek trafiła do wielkiego worka na śmieci.

Przetarcie na sucho każdej powierzchni rozmazuje niewidoczne odciski i sprawia, że są bezużyteczne. Nie chodziło mu jednak tylko o zwykłe rozmazanie. Zmieszał wodę z alkoholem i kwaskiem cytrynowym i zmoczoną tym roztworem ściereczką z mikrofibry przetarł blaty i sprzęty w kuchni. To samo zrobił z kontaktami, ścianami i półkami w szafkach. Wyjął z lodówki słoiki, puszki, butelki i plastikowe opakowania i wyrzucił ich zawartość do młynka na odpady. Pojemniki trafiły do worka. Niewiele gotował, lodówka nigdy więc nie była pełna.

Niewidoczne odciski pozostają na powierzchniach długie lata. Klnąc pod nosem, powtarzał skrót COK.

W łazience wyszorował ściany, sedes, baterię prysznicową i podłogę. Opróżnił szafkę, zostawiając tylko szczoteczkę do zębów, jednorazową maszynkę, krem do golenia i do połowy pustą pastę Colgate. Pobranie odcisków z wszelkiego rodzaju tkanin było prawie niemożliwe, ale i tak wrzucił do pralki wszystkie duże i małe ręczniki.

To samo zrobił w salonie z pilotem do telewizora, wszystkimi czasopismami i kilkoma starymi gazetami. Wytarł ledowy ekran i wyszorował ściany oraz skórzane meble.

W gabinecie wytarł klawiaturę starego laptopa, dwa nieużywane już telefony i stos materiałów piśmiennych. Zerknął na szafkę wypełnioną aktami i zdecydował, że zajmie się nimi później.

Czyszczenie będzie wymagało długich godzin, jeśli nie dni, i wiedział, że to dopiero początek. Zrobi to po raz drugi, a może i trzeci. O świcie, zanim zbudzili się sąsiedzi, zatargał trzy wielkie worki ze śmieciami do SUV-a i usiadł w fotelu, żeby się zdrzemnąć.

Nie mógł jednak zasnąć. O ósmej wziął prysznic i wyrzucił stare ubrania. Zerkając do szafy, zdał sobie sprawę, ilu jeszcze rzeczy musi się pozbyć. Włożył do pralki bieliznę i kolejne ręczniki i dodał dwa razy więcej detergentu.

W końcu ubrał się na sportowo i wyszedł. Zadzwoił do Diany Zhang i poinformował ją, że wrócił do miasta i chce wpaść do sądu. Kiedy przyjechał tam o dziewiątej, personel powitał go jak wracającego z wojny bohatera. Pogawędził z nimi przez chwilę i zapewnił, że pierwsza sesja chemioterapii poszła dobrze i lekarze są dobrej myśli. Spędzi teraz kilka dni w domu, a potem wróci do Santa Fe.

Ich zdaniem sprawiał wrażenie zmęczonego, wręcz wycieńczonego.

W gabinecie usiadł za biurkiem i podyktował sekretarce listę rzeczy do załatwienia. Potem oświadczył, że musi wykonać parę ważnych telefonów, i poprosił, żeby wyszła. Zamknął za nią drzwi na klucz i rozejrzał się dokoła. Biurko, skórzane fotele, roboczy stół, szafy na akta, regały wypełnione książkami prawniczymi. Na szczęście większości nie dotykał przez ostatnie lata. Zadanie wydawało się przerastać jego siły, ale nie miał wyboru. Otworzył teczkę, włożył plastikowe rękawiczki, wyjął trzy opakowania nasączonych alkoholem ściereczek i zabrał się do pracy.

Dwie godziny później poinformował personel, że wraca do domu, żeby odpocząć. Nie dzwońcie, proszę. Zamiast do domu pojechał jednak do swojej tajnej kwatery w centrum handlowym w Pensacoli. Wątpił, by kiedykolwiek trafił tu ktoś szukający jego odcisków palców, ale nie mógł ryzykować. Zaprojektował to miejsce ze skrajną ostrożnością i pamiętał, by nie zostawiać żadnych śladów na wypadek sytuacji awaryjnej. Wszystko było zdigitalizowane – żadnych książek, akt, rachunków, niczego, co mogłoby stanowić dowód.

Wyciągnął się na sofie i udało mu się dwie godziny pospać.

...

Z opublikowanego oficjalnie online rozkładu zajęć Jeri wynikało, że o drugiej po południu ma w budynku nauk humanistycznych wykład z polityki komparatywnej. Bannick dojechał w godzinę do Mobile i odnalazł budynek, zapamiętawszy wcześniej dokładnie mapę kampusu.

Jej samochód, biała toyota camry z 2009 roku, stał na parkingu dla pracowników i studentów razem z setką innych pojazdów. Na szybie każdego była nalepka uprawniająca do parkowania. Bannick pojechał stamtąd do automatycznej myjni, umył swojego nowego chevroleta tahoe, po czym stanął przed odkurzaczami i otworzył wszystkie czworo drzwi. Trudząc się przy sprzątaniu, wymienił tablice i teraz miał rejestrację z Alabamy. Kiedy chevrolet był piękny i lśniący, Bannick podjechał z powrotem pod budynek nauk humanistycznych i zaparkował jak najbliżej toyoty camry. Podniósł klapę z tyłu tahoe, wyjął lewarek i zapasowe koło i udawał, że je wymienia, choć wcale nie złapał gumy.

Ochroniarz przejeżdżający starym bronco wzdłuż rzędu samochodów zatrzymał się za chevroletem.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał, nie wysiadając z samochodu.

– Nie trzeba – odparł Bannick. – Wymieniłem już koło.

– Nie widzę nalepki uprawniającej do parkowania.

– Oczywiście, proszę pana. Złapałem gumę tuż obok. – Bannick wskazał ulicę. – Zaraz mnie tu nie będzie.

Ochroniarz odjechał bez słowa.

Cholera! Błąd, którego nie dało się uniknąć.

Nie dotykając nawet śrub na kole podniesionego na lewarku chevroleta, Bannick wyjął z bagażnika ważący pół kilograma, nie większy od książki kieszonkowej lokalizator GPS BlueCloud TS-180 z magnetycznym

mocowaniem i ruszył nonszalancko w stronę toyoty. Obserwując przez ciemne okulary wszystko, co się rusza, widząc trójkę studentów, którzy wchodzili do budynku i nie zwracali na niego w ogóle uwagi, podszedł do samochodu Jeri, szybko się pochylił i przymocował urządzenie pod bakiem. Jego bateria wystarczała na sto osiemdziesiąt godzin pracy i była aktywowana ruchem, w związku z czym lokalizator nie działał, kiedy auto stało w miejscu. Bannick wrócił do chevroleta, opuścił go z podnośnika, zapakował do bagażnika zapasowe koło i lewarek, zamknął klapy i wyjechał z parkingu. Nie zobaczył już nigdzie ochroniarza.

Dwie godziny później toyota camry zaczęła się przemieszczać. Śledził jej trasę na ekranie telefonu i wkrótce zobaczył ją na własne oczy. Jeri zatrzymała się przy pralni, odebrała ubrania i odjechała do domu.

Lokalizator działał bez zarzutu.

Bannick wrócił do Cullman, zaczekał do wpół do szóstej po południu, kiedy budynek sądu był zamykany, po czym pojechał do Pensacoli i wszedł tylnym wejściem do sądu, używając własnego klucza. W ciągu dziesięciu lat wchodził tam, kiedy mu się żywnie podobało, i bardzo rzadko widywał kogoś po godzinach. Nie popełniał żadnego wykroczenia, chciał po prostu posprzątać swój gabinet.

Powycierał ponownie wszystkie powierzchnie i dobrze po zmroku wyszedł stamtąd z dwiema grubymi teczkami, w których były akta i notesy. Ciężko pracujący sędzia.

Rozdział 34

W piątek rano Lacy i Darren dotarli do Pensacoli już za kwadrans dziesiąta. Wyznaczone na dziesiątą zebranie miało być czymś w rodzaju spotkania na szczycie. Biuro FBI znajdowało się na szóstym piętrze śródmiejskiego biurowca i czekał już tam na nich agent specjalny Dagner z Pensacoli.

Z trzypiętrowego hotelu dwie przecznice dalej sędzia Bannick obserwował parking przed biurowcem przez przenośny teleskop monokularowy. Patrzył, jak Lacy i Darren znikają w budynku, a dziesięć minut później na parkingu pojawia się nieoznakowany sedan z rejestracją z Missisipi i wysiadają z niego dwaj mężczyźni. Ubrani po cywilnemu, w płaszczach i pod krawatami, jak przystało na oficjalne spotkanie. Następny był czarny SUV. Wszystkie jego drzwi otworzyły się jednocześnie i czworo federalnych, trzech mężczyzn i jedna kobieta, w bardziej eleganckich ciemnych garniturach, wysiadło i pospieszyło do wejścia. Ostatnia dwójka przybyła samochodem z rejestracją z Florydy. Kolejne ciemne garnitury.

Kiedy dziesięć po dziesiątej przestały się pojawiać następne samochody, Bannick usiadł na skraju łóżka i pomasaował skronie. Przyjechali federalni, *Hoovies*, ze swojego wielkiego biura w Waszyngtonie, a także policja stanowa i chłopcy z Missisipi.

Nie mógł dokładnie wiedzieć, co tam teraz mówią. Rafe nie zdołał spenetrować sieci.

Bannick zdawał sobie jednak dobrze sprawę, co jest grane, i wiedział, jak to ustalić.

...

Usiedli przy długim stole w największej sali w biurze. Dwie sekretarki przyniosły kawę i ciastka. Po dokonaniu prezentacji, podczas której padło tyle nazwisk, że Darren próbował je zanotować, zebranie otworzył szef. Nazywał się Clay Vidovich, był dowodzącym agentem specjalnym i zajął miejsce u szczytu stołu. Po jego prawej ręce siedzieli agenci specjalsi Suarez, Neff i Murray. Po lewej szeryf Black i detektyw Napier z Biloxi, a obok nich dwaj śledczy, Harris i Wendel, z policji stanowej Florydy. Lacy i Darren usiedli przy końcu stołu, jakby nie poczuli się do wspólnoty z prawdziwymi gliniarzami.

Znacząca była nieobecność policji z Pensacoli. Podejrzany miał tam liczne kontakty, ściany mają uszy i tak dalej. Gliniarze stamtąd tylko by przeszkadzali.

– Cała dokumentacja została zebrana, raporty zatwierdzone i sprawę oficjalnie przejmuje FBI – oznajmił na początek Vidovich. – Stanowimy teraz połączoną grupę zadaniową i wszyscy ze sobą w pełni współpracujemy. Co z policją stanową Missisipi, szeryfie?

– Z pewnością wiedzą o sprawie, ale poproszono mnie, żeby nie informować ich o tym wstępnym spotkaniu. Zakładam, że stawią się, kiedy będziemy ich potrzebowali.

– Na pewno nie teraz, może później. Zawiadomił pan policję w Marathon, poruczniku Harris?

– Nie, ale zrobię to, jeśli będą nam potrzebni.

– Dobrze. Kontynuujmy bez nich. Wszyscy przeczytaliśmy omówienie i chyba wiemy, o co chodzi. Ponieważ to od pani wszystko się zaczęło, pani Stoltz, może przedstawi nam pani w ciągu kilku minut podstawowe fakty.

– Oczywiście – odparła Lacy, szeroko się uśmiechając. Jediną obecną poza nią na sali kobietą była sprawiająca wrażenie twardzielki agentka Agnes Neff, która jeszcze ani razu się nie uśmiechnęła. Lacy wstała i odsunęła od siebie krzesło. – Tak naprawdę zaczęło się to od skargi złożonej przeciwko sędziemu Bannickowi przez Betty Roe, której prawdziwego nazwiska na razie nie ujawniamy.

– Kiedy je poznamy?

– Cóż, skoro jest to teraz wasze śledztwo, domyślam się, że w momencie, kiedy będziecie chcieli je poznać. Wolałabym jednak zachować je w tajemnicy tak długo, jak to jest możliwe.

– Rozumiem. Dlaczego Betty Roe się w to angażuje?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku niedaleko Gaffney w Karolinie Południowej został zamordowany jej ojciec. Sprawy nie udało się rozwiązać i prawie natychmiast odłożono ją na półkę. Betty Roe postanowiła odnaleźć zabójcę. Od wielu lat obsesyjnie się tym zajmuje.

– I mówimy o ośmiu zabójstwach, tak?

– Ośmiu, o których wie Betty Roe. Może ich być więcej.

– Moim zdaniem możemy założyć, że jest ich więcej. Jedyne, czym dysponuje Betty Roe, to motyw, tak?

– I metoda.

Vidovich spojrzał na Suareza i ten pokiwał głową.

– To ten sam facet. Ten sam rodzaj sznura i węzeł są jego znakiem firmowym – powiedział. – Mamy fotografie z miejsca zamordowania Schnetzera w Teksasie. Ten sam sznur i węzeł. Przyjrzelśmy się sekcjom

zwłok, ten sam rodzaj uderzenia w głowę, to samo narzędzie. Coś w rodzaju młotka pazurowego, który wbija się w czaszkę w określonym punkcie i powoduje, że linie pęknięć rozchodzą się na wszystkie strony.

Szef agentów spojrział na porucznika Harrisa.

– I zabójca miał z nim jakiś zatarg dawno temu? – zapytał.

– Tak – odparł Harris. – Przed wielu laty obaj pracowali w Pensacoli jako adwokaci.

– Zna pani osobiście tego sędziego, pani Stoltz?

– Nie, nie miałam tej przyjemności. Wcześniej nikt nie złożył na niego skargi. Czyste konto, cieszył się dobrą opinią.

– To ciekawe – stwierdził Vidovich i wszyscy pokiwali głowami. – Co pani zdaniem może zrobić Bannick, jeśli poprosimy go po prostu, żeby odpowiedział na parę pytań? Jest popularnym sędzią, pracownikiem aparatu sprawiedliwości. Nie ma pojęcia o częściowym odcisku kciuka. Dlaczego miałby z nami nie współpracować?

– Jeśli jest winny, po co miałby z wami współpracować? – odparła Lacy. – Jest inteligentny i dysponuje znacznymi środkami. Przez dwadzieścia lat udawało mu się w genialny sposób unikać wytropienia. Moim zdaniem może zniknąć w ułamku sekundy.

– Dziękuję.

Usiadła i przyjrzała się twarzom siedzących przy stole.

– Jest oczywiste, że są nam potrzebne jego odciski palców, te aktualne – oznajmił Vidovich. – Agnes, opowiedz nam o nakazie przeszukania.

Nadal się nie uśmiechając, agentka Neff zajrzała do notatek.

– Miałam wczoraj spotkanie w dziale prawnym w Waszyngtonie i uważają, że możemy to zrobić – oznajmiła. – Bannick jest głównym podejrzanym w sprawie o zabójstwo, a właściwie o dwa zabójstwa, i mamy tajemniczy częściowy odcisk, który do niczego nie pasuje. Dział prawny

twierdzi, że możemy starać się o nakaz. Powiadomiony został prokurator federalny w Missisipi i sędzia jest w pogotowiu.

– Mogę zapytać, co chcecie przeszukać? – zapytała Lacy.

– Dom i biuro – odparł Vidovich. – Musi tam być mnóstwo jego odcisków palców. Jeśli będą pasować, będzie po wszystkim. Jeśli nie, przeprosimy go i się zmyjemy. Betty Roe będzie mogła znowu bawić się w Sherlocka Holmesa.

– Dobrze, ale Bannick ma fioła na punkcie monitoringu i obserwacji. Jeśli ktoś się do niego włamie albo inaczej dostanie się do środka, będzie o tym natychmiast wiedział. I zniknie.

– Czy wiemy, gdzie jest w tej chwili?

Wszyscy pokręcili głowami. Vidovich spiorunował wzrokiem Harrisa.

– Nie, nie śledzimy go – odparł porucznik. – Nie mamy podstaw. Nie ma oficjalnie rozpoczętego dochodzenia, nie jest jeszcze podejrzany.

– Jest poza tym na urlopie zdrowotnym – dodała Lacy. – Według informatora, którego mamy w Pensacoli, twierdzi, że leczy raka. Jego biuro poinformowało jednego z naszych ludzi, że nie będzie orzekał przez co najmniej dwa miesiące. To samo widać na stronie sądu okręgowego.

Vidovich zmarszczył czoło i potarł brodę. Wszyscy czekali, co powie.

– W porządku, zacznijmy od odnalezienia go i wzięcia pod obserwację – oznajmił. – A tymczasem załatwimy nakaz przeszukania wydany przez sąd w Missisipi, przekazemy go do tutejszego sądu i wstrzymamy się z działaniem do momentu, kiedy facet zostanie zlokalizowany. Wtedy nie będzie mógł prysnąć i zastosujemy nakaz.

Przez godzinę dyskutowali na temat obserwacji: kto, gdzie, jak. Lacy i Darrena szybko to znudziło, początkowa ekscytacja się ulotniła i w końcu zapytali, czy mogą wyjść.

Vidovich obiecał, że będzie ich informował na bieżąco, ale było jasne, że ich praca dobiegła końca.

– Masz zamiar zawiadomić o tym Betty? – zapytał Darren, kiedy wyjeżdżali z Pensacoli.

– Nie. Nie musi wiedzieć, co się dzieje.

– Nie będziemy już się z nią kontaktować? Możemy zamknąć sprawę?

– Nie jestem pewna.

– Jesteś przecież szefową.

– Z całą pewnością.

– Więc dlaczego nie możesz powiedzieć, że KDS nie zajmuje się już tą sprawą?

– Masz jej dosyć?

– Jesteśmy prawnikami, Lacy, nie gliniarzami.

...

Trzygodzinna jazda z powrotem do Tallahassee przyniosła im wytchnienie. Minęło południe, był nietypowo chłodny wiosenny dzień i postanowili odpuścić sobie pracę w biurze.

...

Kiedy gliniarze i prawnicy rozmawiali o jego losie, sędzia Bannick podjechał do centrum handlowego i zamknął się w swoim tajnym gabinecie. Wyczyścił komputery, wymontował z nich twarde dyski, zabrał pendrive'y z sejfów i ponownie wszystko wyszorował. Przed wyjściem zresetował kamery i sensory i pojechał do Mobile.

Spędził popołudnie, włączając się po centrum handlowym, popijając espresso w Starbucksie i zimne napoje w barze, a potem zwiedzając port i jeżdżąc po mieście aż do zapadnięcia zmroku.

Rozdział 35

Zwykła biała koperta formatu A4, zapieczętowana i zaadresowana grubym czarnym flamastrem, *Jeri Crosby*, zawierała kopie jej trzech wierszyków. Niżej nie było adresu, bo nie był potrzebny. Pod nazwiskiem widniał napis *Do rąk własnych*. Bannick zaczekał do dziewiątej wieczorem i zaparkował przy krawężniku dwie przecznice od jej domu.

...

Jeri spędzała kolejny jałowy piątkowy wieczór, przerzucając kanały w telewizorze i walcząc z pokusą wejścia do internetu i wyszukania nowych morderstw. Lacy zadzwoniła do niej po lunchu z wiadomością, że w mieście jest FBI i przejmuje kontrolę nad śledztwem. Teraz, kiedy jej praca dobiegła końca i ściganiem Bannicka zajęli się profesjonaliści, Jeri powinna poczuć się lepiej. Okazało się jednak, że obsesje umierają powoli i proste przerzucenie wajchy i pójsie do przodu jest niemożliwe. Uczestniczyła w życiu zabójcy tak długo, że nie mogła przestać o nim myśleć. Nie miała żadnego innego celu, poza zaniedbywaną wcześniej pracą i miłością do córki. I nadal strasznie się bała. Zadawała sobie pytanie, jak długo będzie ją dręczył ten strach. Czy kiedykolwiek przeżyje jedną godzinę, nie oglądając się przez ramię?

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z zamyślenia. Przez chwilę mocowała się z pilotem, próbując ściszyć telewizor, po czym wzięła pistolet ze stolika

przy drzwiach i zerknęła na zewnątrz przez żaluzje. Uliczna latarnia oświetlała puste trawniki przed czterema szeregowcami. Za drzwiami nie było nikogo. Nie miała zamiaru ich otwierać, nie o dziewiątej w piątkowy wieczór. Nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby, nie zadzwoniwszy wcześniej, złożyć jej wizytę. Nawet startujący w wyborach kandydaci nie nachodzili ludzi o tej porze. Ściskając w ręce pistolet i powstrzymując się, by nie spojrzeć przez wizjer, czekała, aż dzwonek zadzwoni ponownie. Mijały kolejne minuty. To, że ten ktoś nie zadzwonił ponownie i tak naprawdę nie chciał się z nią wcale widzieć, pogarszało tylko sytuację. Czy to mogły być dzieciaki robiące głupie kawały? Coś takiego nigdy jej się dotąd nie zdarzyło, nie na tej spokojnej małej uliczce. Zdała sobie sprawę, że cała się spociła i żołądek podchodzi jej do gardła. Próbowwała głęboko oddychać, ale serce waliło jej jak młotem.

Podeszła powoli do drzwi.

– Kto tam? – zapytała dość głośno, żeby zostać usłyszana na podeście.

Oczywiście nie było żadnej odpowiedzi. Zebrała się na odwagę i zerknęła przez wizjer, spodziewając się niemal ujrzeć zezujące na nią podbiegłe krwią oko, ale nie zobaczyła niczego. Cofnęła się o krok, wzięła głęboki oddech i trzymając w prawej ręce pistolet, odsunęła zasuwę. Z założonym na głównych drzwiach łańcuchem wyjrzała przez burzowe drzwi i nikogo nie zobaczyła. Czy znowu miała omamy słuchowe? Czy naprawdę ktoś wcisnął dzwonek?

Kamera, idiotko! Dzwoniono do jej drzwi tak rzadko, że zapomniała o kamerze. Weszła do kuchni, wzięła do ręki smartfon, drżącymi palcami zdołała znaleźć apkę i puściła wideo. Kamera przy drzwiach była aktywowana ruchem i zaczęła nagrywać, kiedy ktoś wyszedł z odległych o dwa metry krzaków, wspiął się na podest, wcisnął kopertę pod burzowe

drzwi i zniknął. Obejrzała nagranie jeszcze kilka razy i poczuła, że zbiera jej się na mdłości.

Mężczyzna, z długimi blond włosami, które opadały mu na ramiona. Nasunięta nisko na czoło czapka bez żadnego napisu. Okulary w grubych oprawkach, a pod nimi kojarząca się z horrorem maska w kolorze skóry z namalowanymi dziobami po ospie.

Jeri zapaliła górne światło i usiadła na sofie z pistoletem i telefonem. Jeszcze raz obejrzała nagranie. Trwało sześć sekund, a mężczyzna był widoczny tylko przez trzy. Ale trzy sekundy wystarczyły. Zorientowała się, że płacze. Nienawidziła tego, ale nie były to łzy smutku. Żołądek podchodził jej do gardła, serce biło jak oszalałe i cała się trzęsła. Czowała, że zaraz zwymiotuje.

Wiedziała, że to dopiero początek.

W końcu zmusiła się, by wstać i podejść do drzwi. Otworzyła je, a potem drzwi burzowe. Na próg spadła koperta. Złapała ją, zamknęła oboje drzwi, wróciła do salonu i przez dziesięć minut jej się przyglądała.

Kiedy ją wreszcie otworzyła i zobaczyła swoje głupie wierszyki, dłonie same uniosły jej się do ust, żeby stłumić krzyk.

...

Policjantów zirytowało takie banalne zgłoszenie. Przyjechali po dwudziestu minutach, na szczęście bez migających niebieskich świateł. Czekała na nich na podeście.

– Podejrzany osobnik? – zapytał jeden z nich.

Drugi, żeby ją usatysfakcjonować, omiótł światłem latarki rabatkę z kwiatami i niczego nie zobaczył.

Jeri pokazała im nagranie.

– To tylko głupi żart, proszę pani – powiedział ten pierwszy, kręcąc głową na znak, że nie pochwała takiego zachowania. – Ktoś próbował panią po prostu śmiertelnie wystraszyć. – W piątek wieczorem w dużym mieście mieli na głowie pilniejsze sprawy: przestępstwa z użyciem przemocy, dilerów narkotykowych i pijanych nastolatków.

– Cóż, na pewno mu się to udało – odparła.

Podszedł do nich pan Brammer mieszkający w domu obok i gliniarze go przepytali. Jeri nie rozmawiała z nim od wielu tygodni, podobnie jak z innymi sąsiadami. Wiadomo było, że unika ludzi i nie jest zbyt przyjazna.

Pan Brammer powiedział, żeby zadzwoniła, jeśli to się zdarzy ponownie. Policjanci już się zbierali; obiecali, że przez następnych kilka godzin będą patrolowali teren. Kiedy odjechali, zamknęła się na wszystkie spusty, zapaliła wszystkie światła, usiadła na sofie i myślała o tym, co było nie do pomyślenia.

Bannick wiedział, że to ona. Przyjechał do jej domu, zadzwonił do drzwi i zostawił w progu jej wierszyki. I jeszcze tu wróci.

Zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Denise, ale po co miała ją straszyć? Córka była tysiące kilometrów stąd i nie mogła jej w żaden sposób pomóc. Mogła też zadzwonić do Lacy, żeby ktoś po prostu wiedział. Ale ta była trzy godziny jazdy od Mobile i o tej godzinie na pewno nie odbierze telefonu.

O północy Jeri zgasła wszystkie światła i siedziała dalej po ciemku, czekając.

Godzinę później spakowała małą torbę, z pistoletem w ręce wyszła tylnymi drzwiami z domu i wsiadła do samochodu. Odjeżdżając, miała oczy utkwione w lusterku wstecznym, ale nie zobaczyła nic podejrzanego. Lawirując cichymi bocznymi uliczkami, dotarła do międzystanowej dziesiątki, ruszyła nią na wschód i kiedy zgasy za nią światła miasta,

odetchnęła z ulgą. Wkrótce potem skręciła na południe, w stronę Zatoki Meksykańskiej. Droga numer 59 była o tej porze pusta i z pewnością nikt jej nie śledził. Jeri minęła Robertsedale i Foley, a potem zatrzymała się przy sklepie nocnym i przez dłuższy czas obserwowała drogę. Samochody przejeżdżały nie częściej niż co dziesięć minut. Pięćdziesiątkadziewiątka kończyła się przy plaży w Gulf Shores. Jeri mogła stąd pojechać na wschód albo na zachód. Bannick nadal czaił się gdzieś w pobliżu Mobile, więc skręciła w lewo, przejechała przez nadmorskie miasteczka Alabamy i przekroczyła granicę Florydy. Przez godzinę jechała drogą numer 98 i w końcu zatrzymała się na światłach w Fort Walton Beach. Przez kilka minut jechał za nią jakiś samochód, co było dziwne, bo droga była prawie pusta. Wiedziona impulsem, skręciła na północ w osiemdziesiątkępiątkę. Samochód nie skręcił za nią. Pół godziny później minęła międzystanową dziesiątkę i zobaczyła tablicę informującą o stacji benzynowej i motelu z restauracją.

Musiała odpocząć i zwabiły ją jasne światła oraz w połowie pustego parking. Zatrzymała się przed motelem Bayview, włożyła pistolet do torby i wysiadła, żeby wynająć pokój.

...

Bannick wjechał na parking dwadzieścia minut później. Siedząc z laptopem w SUV-ie, ponownie z rejestracją z Alabamy, zarezerwował pokój online. Po otrzymaniu potwierdzenia odczekał dziesięć minut i odpisał, że ma jakiś problem z rezerwacją. Proszę sprawdzić załącznik. Kiedy recepcjonista to zrobił, Rafe przedarł się przez kulejący system bezpieczeństwa i zaczął penetrować sieć motelu.

W nocy zameldował się tylko jeden gość, niejaka Margie Frazier, która zapłaciła za pobyt przedpłaconą kartą kredytową.

Jak miło, pomyślał sędzia. Jeri lubiła używać różnych nazwisk.

Rafe odnalazł ją w pokoju 232. Pokój 233, po drugiej stronie, był chyba wolny. Przy końcu korytarza były drzwi i schody używane tylko w sytuacjach awaryjnych.

W motelu funkcjonował typowy system kluczy elektronicznych z głównym przełącznikiem, który otwierał wszystkie drzwi w wypadku ewakuacji pożarowej. Rafe odnalazł inteligentny panel oświetlenia i sędzia wyłączył na próbę światła w lobby, odczekał chwilę i włączył je z powrotem. Nikt nie zareagował.

Po wejściu do pustego lobby Bannick nacisnął dzwonek w recepcji. Po jakimś czasie pojawił się zaspany młody człowiek i go przywitał. Szybko wypełnili papiery na wynajęcie pokoju na jedną noc. Gadkę trzymał głównie sędzia. Poprosił o pokój numer 233, mówiąc, że spędził w nim noc pół roku wcześniej i przespał całe dziewięć godzin, prawdziwy rekord. Chciał znów spróbować szczęścia. Chłopakowi było wszystko jedno.

Bannick pojechał windą na drugie piętro, bezszelestnie wślizgnął się do pokoju 233 i przyjrzał drzwiom. Oprócz elektronicznego zamka miały po wewnętrznej stronie kwadratową zasuwkę. Nic wymyślnego, ale był to w końcu tani motelowy pokój za dziewięćdziesiąt dolarów. Włożył cielistego koloru rękawiczki, otworzył laptopa i ponownie sprawdził systemy bezpieczeństwa i oświetlenia.

Margie zajmowała pokój po drugiej stronie korytarza, numer 232. Sąsiedni, 234, był pusty. Bannick polecił Rafe'owi odblokować na próbę wszystkie drzwi, wyszedł na korytarz i otworzył pokój numer 234, naciskając po prostu kłamkę. Wróciwszy do swojego, zablokował ponownie wszystkie drzwi, po czym zaczął rozkładać na taniej komódce sprzęt. Ostrożnie postawił na niej buteleczkę z eterem, ściereczkę z mikrofibry, małą latarkę i narzędzie do otwierania zamków. Wszystko to umieścił

w kieszeniach kamizelki, którą zakładał na takie okazje. Obok torby z narzędziami położył strzykawkę i małą butelkę ketaminy, silnego barbituranu używanego do anestezji.

Przeciągnął się, wziął kilka głębokich oddechów i przypomniał sobie dwie ważne prawdy: po pierwsze, nie ma innego wyboru, po drugie, porażka nie wchodzi w rachubę.

Poinstruował Rafe'a, żeby najpierw odblokował wszystkie drzwi, a potem wyłączył całe oświetlenie. Motel natychmiast utonął w mroku. Trzymając w zębach zapaloną latarkę, wyszedł na korytarz, nacisnął cicho klamkę drzwi do pokoju numer 232, wsunął w szparę narzędzie do otwierania zamków i przesunął zasuwkę, po czym otworzył drzwi na pół metra, zgasił latarkę i przeszedł na czworakach przez pokój. Do tej pory wszystko odbywało się całkiem bezszelestnie.

Jeri spała. Słuchając jej ciężkiego oddechu, uśmiechnął się, bo wiedział, że reszta będzie łatwa. Macając przed sobą podłogę, dotarł do jej łóżka, wyciągnął z kieszeni kamizelki nasączoną eterem ściereczkę, zapalił latarkę i zaatakował. Jeri spała na boku, pod kocem i nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia do chwili, gdy ciężka dłoń zakryła jej usta i zacisnęła się na nich tak mocno, że nie mogła oddychać. Oszołomiona, dezorientowana i przerażona, próbowała się wyrwać, ale napastnik był silny i miał nad nią całkowitą przewagę. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, to słodki smak czegoś, czym został nasączony kawałek materiału.

Bannick wyjrzał na korytarz: kompletna ciemność, żadnych głosów. Zawłókł Jeri do swojego pokoju, położył ją na łóżku, a potem wrócił do laptopa i włączył elektryczność.

Nigdy wcześniej jej nie widział. Średniego wzrostu, szczupłą, chyba ładną, choć trudno to było ocenić, gdy miała zamknięte oczy. Poszła spać

w czarnych spodniach do jogi i spłóviałym niebieskim T-shircie, by prawdopodobnie móc szybko rzucić się do ucieczki.

Wstrzyknął jej w lewe ramię pięćset miligramów ketaminy, która powinna ją zamroczyć na trzy do czterech godzin, po czym wrócił do jej pokoju, żeby zabrać adidas i lekką kurtkę. Widząc leżący na szafce nocnej samopowtarzalny pistolet kalibru 9 mm, pogratulował sobie, że nie zdążyła go użyć. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

SUV-a zaparkował wcześniej jak najbliżej zewnętrznych schodów. Wrzucił do środka torbę, otworzył tylną klapę, rozejrzał się i wrócił do pokoju. Ponownie wyłączył elektryczność, sprawdził dwa razy, czy nie działają kamery monitoringu, po czym podniósł Jeri z łóżka, zarzucił ją sobie na ramię i ruszył z nią korytarzem i na dół po schodach. Zatrzymał się przy skraju budynku, by znów się rozejrzeć, i nie widząc żadnego ruchu ani świateł, podbiegł do swojego samochodu.

Spocony i zdyszany, wrócił ponownie do pokoju, żeby zabrać laptopa, a także jej adidas i kurtkę, i upewnić się, że niczego nie zostawił. O trzeciej trzydzieści osiem wyjechał z parkingu przy motelu Bayview i ruszył na wschód wzdłuż wybrzeża.

Rozdział 36

Jeri ocknęła się w kompletnej ciemności z zawiniętą wokół głowy grubą tkaniną, pod którą ledwo mogła oddychać. Nadgarstki miała związane za plecami i bolały ją wykręcone jak w preclu ramiona i ręce. Nogi w kostkach też były skrępowane. Leżała na kołdrze. Pod nią wyczuwała coś, co było chyba skórzaną sofą. W ciepłym powietrzu unosił się dym.

Na razie żyła. Powoli rozjaśniało jej się w głowie. Odzyskując świadomość, usłyszała ciche trzaski ognia. Gdzieś niedaleko zakaszłał mężczyzna. Bała się poruszyć, ale piekielnie bolały ją ramiona i spróbowała zmienić pozycję.

– Czas, żebyś się ocknęła – odezwał się mężczyzna.

Znała jego głos.

Szarpnęła się, wierzgnęła i udało jej się usiąść.

– Bolał mnie strasznie ramiona – powiedziała. – Kim jesteś?

– Chyba wiesz.

Nagły ruch przyprawił ją o mdłości i bała się, że zwymiotuje.

– Niedobrze mi – wymamrotała, czując w ustach żółć.

– Pochyl się do przodu i rzygaj, ile tylko chcesz.

Przełknęła z trudem ślinę razem z wymiotami. Z braku powietrza zaczęła się pocić.

– Muszę złapać oddech, proszę. Duszę się.

– To jedno z moich ulubionych słów.

Podszedł do niej, pochylił się i ściągnął jej kaptur z głowy. Widząc bladą maskę z dziobami po ospie i bliznami, Jeri otworzyła szeroko usta, wrzasnęła i zaczęła wymiotować na podłogę. Kiedy skończyła, delikatnie sięgnął za jej plecy i rozpiął kajdanki. Jeri potrząsnęła rękami, żeby przywrócić w nich krążenie.

– Dzięki, sukinsynu – mruknęła.

Podszedł do kominka i stosu akt i zaczął powoli, jedno po drugim, wrzucać je w płomienie.

– Mogę napić się wody? – zapytała.

Skinieniem głowy wskazał jej butelkę stojącą przy lampie. Złapała ją i napiła się, starając się na niego nie patrzeć. On palił dalej akta, całkowicie ją ignorując.

W pokoju było ciemno, żaluzje spuszczone, oba okna zasłonięte kapami, najmniejszego śladu słonecznego światła. Niski sufit, ściany z bali uszczelnionych białym gipsem. Na stoliku do kawy długi zwój nylonowego sznura, z dwoma odciętymi końcami, żeby mogła mu się dobrze przyjrzeć.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

– Myślisz, że ci powiem?

– Nie. Zdejmij maskę, Bannick. Wiem, kim jesteś. Rozpoznaję cię po głosie.

– Spotkaliśmy się już?

– Dzięki Bogu nie, dopiero teraz. Widziałam cię na scenie, w *Śmierci komiwojażera*.

– Od jak dawna mnie śledzisz?

– Od dwudziestu lat.

- Jak mnie znalazłaś?
- Jak ty znalazłeś mnie?
- Popełniłaś parę głupich błędów.
- Tak jak i ty. Drętwieją mi kostki u nóg.
- Trudno. Ciesz się, że jeszcze żyjesz.
- Ty też. Od wielu lat myślałam, żeby cię zabić.

To go rozbawiło i usiadł naprzeciwko niej na stołku. Nie mogła patrzeć na jego maskę, wbiła więc wzrok w ogień. Nadal z trudem oddychała i serce waliło jej jak młotem. Gdyby tak strasznie się nie bała, przekłęaby się za to, że dała się podejść i złapać człowiekowi, którego nienawidziła od lat. Znowu zrobiło się jej niedobrze.

- Dlaczego mnie nie zabiłaś? – zapytał.
- Bo nie chciałam trafić przez ciebie za kratki, a poza tym nie jestem zabójczynią.
- Kiedy zabija się we właściwy sposób, to prawdziwa sztuka.
- Ty chyba wiesz o tym najlepiej.
- Owszem.
- Będę następna?
- Nie wiem.

Bannick powoli wstał, ściągnął z twarzy maskę, cisnął ją w ogień, a potem dorzucił tam jeszcze kilka teczek z aktami. Po chwili znów usiadł przed nią na stołku. Ich kolana niemal się dotykały.

- Dlaczego mnie jeszcze nie zabiłeś, Bannick? Byłabym numerem dziewiątym, dziesiątym, jedenastym?
- Co najmniej. Dlaczego miałbym ci to mówić?
- Więc paru zabójstw nie odkryłam. – Targnęły nią torsje i z grymasem bólu je opanowała. Zamknęła oczy, żeby na niego nie patrzeć.

Podszedł z powrotem do stosu akt leżących na stojaku na drewno i zaczął powoli rzucać je w ogień. Chciała zapytać, dlaczego je pali, ale mało ją to obchodziło. Ważne było tylko, by pozostać przy życiu, wydawało się to jednak wątpliwe. Pomyślała o Denise, jedynej osobie na całej planecie, która za nią zapłaci.

Bannick wrócił do niej.

– Mam kilka opcji, pani Crosby... – zaczął.

– Och, proszę cię, nie tak oficjalnie. Nie chcę od ciebie szacunku. Trzymajmy się „Jeri” i „Bannicka”, dobrze?

– Im więcej będziesz mówić, tym większe masz szanse, bo chcę wiedzieć, co wiesz, a co jeszcze ważniejsze, co wiedzą gliniarze. Mogę wyjechać, rozpuścić się w powietrzu i nikt mnie nigdy nie zobaczy. Ile powiedziałaś Lacy Stoltz?

– Nie mieszaj jej do tego.

– Naprawdę dziwię się, że to mówisz. Poszłaś do niej ze skargą, wymieniłaś Verna, Dunwoody’ego i Kronke’a, wspomniałaś o innych, wciągnęłaś ją w to, co, do diabła, teraz robi, a teraz prosisz, żebym jej w to nie mieszał. Mało tego, wysłałaś mi anonimowy list z informacją, że Lacy prowadzi oficjalne śledztwo w sprawie moich zabójstw. To był jeden z twoich błędów, Jeri. Wiedziałaś, że nie będzie miała wyboru, będzie musiała pójść z tym na policję, zrobić coś, co ty bałaś się zrobić. Dlaczego bałaś się policji?

– Może im nie ufam.

– Mądrze. Więc podrzuciłaś moją sprawę Lacy, bo miała obowiązek zbadać skargę na sędziego. Kryłaś się za nią, a teraz chcesz, żebym zostawił ją w spokoju. Tak?

– Nie wiem.

– Jak dużą wiedzę ma Lacy?

- Nie mam pojęcia. To ona prowadzi śledztwo.
- Więc ile jej powiedziałaś? Albo ujmijmy to inaczej: ile sama wiesz?
- A jakie to ma znaczenie? I tak mnie zabijesz. Wiesz co, Bannick?

Dopałam cię.

Nie odpowiedział na to, tylko podszedł do kominka i zaczął wrzucać do ognia kolejne akta, czekając, aż zaczną się palić, zanim cisnął następne. W ciepłym pokoju unosił się dym. Jedyne światło padało od ognia. Ściany i to, co za nimi było, spowijał mrok. Bannick na chwilę wyszedł i wrócił z kubkiem.

– Napijesz się kawy? – zapytał.

– Nie. Słuchaj, piekielnie bołą mnie kostki i drętwieją mi nogi. Mógłbyś rozluźnić mi trochę więzy, żebyśmy mogli pogadać?

– Nie. Dla twojej informacji: są tu tylko jedne drzwi, i to zamknięte. Ta mała chata stoi pośrodku lasu, daleko od ludzkich siedzib, więc jeśli masz ochotę, możesz krzyczeć, aż zedrzesz sobie gardło. Jeśli uda ci się stąd wyjść, powodzenia. Uważaj na grzechotniki, mokasyny miedziogłowce, niedźwiedzie i kojoty, nie wspominając o uzbrojonych po zęby wieśniakach, którzy nie żywią sympatii do kolorowych.

– Mam się czuć bezpieczniejsza tu z tobą?

– Nie masz telefonu, portfela, pieniędzy ani butów. Zostawiłem twój pistolet w hotelowym pokoju, ale mam tu schowane dwa własne. Wolałbym ich nie używać.

– Proszę, nie rób tego.

– Ile wie Lacy?

– Wie na pewno to, co opowiedziałam jej o Vernie, Dunwoodym i Kronke’u. A co poza tym, nie mam pojęcia.

– Kłamiesz. Wiesz na pewno o swoim ojcu, o Eileen i o Dannym Clevelandzie. Mam uwierzyć, że nie powiedziałaś o nich Lacy?

- Nie mogę udowodnić, że ich zabiłeś.
- Nie możesz udowodnić niczego. Nikt nie może!

Bannick złapał kawałek sznura i zawiązał go szybko na jej szyi. Trzymając w rękach oba końce, lekko je zacisnął. Jeri cofnęła się, ale nie mogła się wyrwać. Był tuż nad nią, jego twarz dzieliło od jej twarzy zaledwie pół metra.

– Posłuchaj mnie – syknął. – Chcę usłyszeć ich nazwiska jedno po drugim, zaczynając od twojego ojca.

– Nie duś mnie, proszę.

Zacisnął pętlę mocniej.

– Nie zmuszaj mnie – mruknął.

– Dobrze, dobrze. Przecież mój ojciec nie był pierwszy, prawda?

– Nie.

– Pierwszy był Thad Leawood, potem dopiero mój ojciec.

Jeri zamknęła oczy i zaczęła głośno szlochać z bólu. Bannick cofnął się i puścił końce sznura. Wtedy schowała twarz w dłoniach i charczała do chwili, aż udało jej się złapać oddech.

– Nienawidzę cię – wymamrotała. – Nie masz pojęcia, jak ja cię nienawidzę.

– Kto był następny?

Otarła twarz przedramieniem i znów zamknęła oczy.

– Ashley Barasso, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku – odparła.

– Nie zabiłem Ashley.

– Trudno w to uwierzyć. Taki sam sznur, taki sam węzeł, podwójny wyblinkowy, którego nauczyłeś się prawdopodobnie w skautingu, tak,

Bannick? Czy to Thad Leawood nauczył cię robić podwójny węzeł wyblinkowy?

- Nie zabiłem Ashley.
- Nie zamierzam się z tobą spierać.
- I pominęłaś jedną osobę.
- Okej.

Bannick wstał i rzucił do ognia kolejne akta. Kiedy był do niej odwrócony plecami, strząsnęła sznur z szyi na podłogę. Podniósł go i bawiąc się jego końcami, ponownie przed nią usiadł.

- Kontynuuj – rzucił. – Kto był następny?
- Kogo pominęłam?
- Dlaczego miałbym ci mówić?
- Masz rację. Mam to gdzieś, Bannick.

– Kontynuuj.

– Eileen Nickleberry, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

– Jak to odkryłaś?

– Przekopując twoją przeszłość, tak samo jak w przypadku wszystkich innych. Ofiara zostaje uduszona takim samym sznurem zawiązanym w taki sam dziwny węzeł. Informacja o tym trafia w końcu do centralnej bazy danych FBI. Wiem, jak do niej wejść. Mam swoje kontakty. Robię to od dwudziestu lat i sporo się nauczyłam. Mając nazwisko, zaczynam szukać. W większości to ślepe uliczki. Ale wytrwałość popłaca.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie znalazłaś.
- Dostyc ci już opowiedziałam?
- Kontynuuj. Kto następny?

– Zrobiłeś sobie kilka lat przerwy, co zdarza się w chorym świecie takich jak ty czubków. Próbowaleś się opanować. Nie udało się. W dwa tysiące dziewiątym został odnaleziony w swoim domu w Little Rock Danny Cleveland. Udusiłeś go.

– Zasłużył sobie.

– Oczywiście. Ujawnienie korupcji przez dobrego reportera powinno być zawsze karane karą główną. Dorwałeś go. Odhaczyłeś kolejną ofiarę.

– Kto następny?

– Dwa lata temu został odnaleziony w swojej łodzi Perry Kronke, cały zakrwawiony i piekący się na słońcu. Podpadł ci, kiedy miałeś dwadzieścia cztery lata i w przeciwieństwie do innych nie dostałeś u niego etatu po letnim stażu. Kolejna kara główna.

– Znowu kogoś pominęłaś.

– Przykro mi.

– Kontynuuj.

– Verno i Dunwoody w zeszłym roku w Biloxi. Verno wygrał z tobą w sądzie, kiedy byłeś narwanym młodym adwokatem, więc oczywiście zasłużył na śmierć. Dunwoody pojawił się w nieodpowiedniej chwili w nieodpowiednim miejscu. Nie żałujesz ani trochę jego rodziny? Żony, dwójki dzieci, trójki wnucząt, wspaniałego faceta, który miał wielu przyjaciół? Żadnych uczuć, Bannick?

– Ktoś jeszcze?

– Jest jeszcze relacja w „Pensacola Ledger” na temat Mała Schnetzera, dość świeża sprawa. Zabity zaledwie tydzień temu w okolicy Houston. Tak jak w przypadku innych ofiar wasze ścieżki chyba się kiedyś skrzyżowały. Nie miałam czasu przyjrzeć się bliżej zabójstwu Schnetzera. Uśmiercasz ostatnio ludzi tak szybko, że trudno za tobą nadążyć.

Jeri przyjrzała mu się. Słuchał jej, jakby sprawiało mu to przyjemność.

Mów dalej, powiedziała sobie.

– Dlaczego tak jest, Bannick, że seryjni zabójcy często pod koniec przyspieszają? Czytasz o nich, o swoich kolegach? Ciekawiło cię kiedykolwiek, jak działają? Czerpałeś jakieś wskazówki z ich historii, spisanych w większości po tym, jak zostali złapani albo zabici? Ja przeczytałam je wszystkie i często, choć z pewnością nie zawsze, bo Bóg jeden wie, że nie ma żadnej metody w ich szaleństwie, czują się osaczeni i próbują się zemścić, przyspieszając. Kronke, a potem Verno i Dunwoody. I teraz Schnetzer. Cztery ofiary w dwa lata.

– Według mnie tylko trzy.

– Oczywiście. Dunwoody się nie liczy, bo nigdy cię nie obraził, nie groził ci bronią i nie zawstydził cię przed kolegami studentami.

– Zamknij się.

– Kazałeś mi kontynuować.

– A teraz mówię, żebyś się zamknęła.

– Nie chcę się zamknąć, Bannick. Od dawna siedzę w twoim zasranym życiu i nigdy nie marzyłam, że będę mogła pogadać z tobą w ten sposób, powiedzieć ci, jaką jesteś moim zdaniem żalospną mendą. Jaki z ciebie tchórz. Twoje zbrodnie nie wymagały odwagi.

– Napisałaś to w jednym ze swoich głupawych wierszyków.

– Moim zdaniem były całkiem zgrabne.

– I całkiem głupie. Po co je pisałaś?

– Trafne pytanie, Bannick. Nie wiem, czy potrafię na nie odpowiedzieć. Ja też chciałam się chyba zemścić. Porządnie ci dopieprzyć. Żebyś cierpiał. A teraz, kiedy to wszystko zbliża się do końca, nie mogę uwierzyć, że to ty jesteś ścigany, chowasz się w lesie i planujesz ostatnie zabójstwo. Twoja gra dobiegła końca, podobnie jak twoje życie. Dlaczego nie zachowasz się jak mężczyzna i nie poddasz karze?

- Powiedziałem, żebyś się zamknęła.
- Jest tyle rzeczy, które chcę powiedzieć.
- Nie mów ich. Zmęczył mnie twój głos. Jeśli chcesz się jeszcze kiedykolwiek odezwać, to się zamknij.

Bannick przysunął się tak blisko, że ich kolana się dotknęły. Jeri próbowała się odsunąć, pewna, że zaraz ją uderzy. On tymczasem wyjął z kieszeni dwa telefony na kartę.

– Mam zamiar dorwać Lacy – oświadczył. – Chcę ją tutaj przywieźć. Odbędziemy długą miłą rozmowę i dowiem się od niej, jak dużo wie.

- Zostaw ją w spokoju. Wykonywała tylko swoją pracę.
- Naprawdę? Wciągnęła w to FBI.
- Zostaw ją w spokoju. Wiń mnie, nie ją. Zanim wkroczyłam w jej życie, nigdy o tobie nie słyszała.

– To twoje telefony – powiedział. – Nie wiem, który zadziała, ale chcę, żebyś zadzwoniła do Lacy i umówiła się z nią na spotkanie. Powiedz jej, że masz dowód, na którego podstawie można będzie stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że to ja jestem zabójcą, ale nie chcesz o tym mówić przez telefon. Sprawa jest pilna i musisz się z nią natychmiast spotkać.

- Po prostu mnie zabij.
- Posłuchaj mnie, głupia kobieto. Nie mam zamiaru cię zabijać, w każdym razie nie teraz. Może nigdy. Chcę mieć tutaj Lacy. Pogadamy i jest duża szansa, że kiedy wszystkiego się dowiem, po prostu zniknę, zamieszkam w jakimś egzotycznym miasteczku nad morzem albo w górach, gdzieś, gdzie nie mówią po angielsku. Nigdy mnie nie znajdą. Już tam byłem, rozumiesz? Wszystko sobie zaplanowałem.

Jeri głęboko odetchnęła. Czowała, jak szybko bije jej serce.

- Który z telefonów? – zapytał.

Nie patrząc na nie, wzięła do ręki jeden z nich. Bannick wyciągnął nie wiadomo skąd duży pistolet i położył go obok siebie na stołku.

– Powiesz jej, żeby spotkała się z tobą w motelu Bayview koło Crestview, tuż przy autostradzie międzystanowej. Czy ona widziała kiedyś twój samochód?

– Tak.

– To dobrze. Nadal stoi tam na parkingu. Powiesz jej, żeby zaparkowała obok. Twój pokój ma numer dwieście trzydzieści dwa. Jest zarezerwowany na następną noc na to samo nazwisko, Margie Frazier, więc kiedy to sprawdzi, przekona się, że tam dalej mieszkasz. Powiedziałem obsłudze, żeby go nie sprząтали. Może są tam nadal twoje rzeczy.

– Nie dbam o to.

– Nie dbasz o swój pistolet? Leżał na szafce nocnej.

– Żałuję, że nie zdążyłam go złapać.

– Ja też.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Jeri wpatrywała się w ogień, Bannick w podłogę. Powoli podniósł pistolet, ale nie wycelował w nią.

– Dzwon – rzucił. – Spotkasz się z nią dziś wieczorem o dziewiątej w motelu Bayview. I postaraj się być przekonująca, dobrze?

– Nie umiem kłamać.

– Bzdura. Umiesz kłamać jak z nut. Słaba tylko z siebie poetka.

– Obiecuj, że nie zrobisz jej krzywdy.

– Żadnych obietnic. Pamiętaj, że jeśli wrócę tutaj bez Lacy, użyję tego.

– Bannick podniósł z podłogi sznur i rzucił nim w nią.

Jeri krzyknęła i próbowała go z siebie strząsnąć.

Rozdział 37

Mecz zaczął się o dziewiątej rano, kiedy trudno oczekiwać od dziesięciolatków, że będą odpowiednio rozgrzani i gotowi do gry. Royalsi wyszli na pole po pierwszej zmianie i garstka rodziców na trybunach zaczęła grzecznie bić brawo. Kilkoro z nich zachęcało zawodników okrzykami, których ci nie słyszeli. Trenerzy klaskali w dłonie, usiłując wykrzesać z młodzików więcej entuzjazmu.

Diana Zhang siedziała na krzeselku turystycznym przy pierwszej bazie, z nogami owiniętymi kołdrą i z wysokim kubkiem kawy w ręce. Poranek był zaskakująco rześki i chłodny jak na koniec kwietnia. Po drugiej stronie boiska jej były mąż opierał się o ogrodzenie przy trzeciej bazie, obserwując, jak ich dziecko biegnie na środkowe pole. Rozwód był zbyt świeży, by silić się na pozory grzeczności.

– Przepraszam, pani Zhang – usłyszała cichy kobiecy głos.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła przed oczami oficjalnie wyglądającą odznakę w czarnym skórzanym etui.

– Agentka Agnes Neff, FBI – powiedziała trzymająca ją kobieta. – Mogę pani zająć chwilę?

– Chciałam obejrzeć mecz syna – odparła Diana, lekko spłoszona, jak byłby w takiej sytuacji każdy.

– My też. Przejdźmy trochę dalej wzdłuż ogrodzenia i pogadajmy. To nie zajmie nawet dziesięciu minut.

Diana wstała i zerknęła na trybuny, żeby upewnić się, czy nikt na nią nie patrzy. Kiedy się odwróciła, ujrzała mężczyznę, który też musiał być z FBI.

– Agent specjalny Drew Suarez – przedstawiła go Neff.

Diana posłała mu poirytowane spojrzenie, a on skinął w odpowiedzi głową.

– Będziemy się streszczać – obiecała Neff. – Szukamy pani szefa i nie możemy go znaleźć. Ma pani jakieś pojęcie, gdzie w tej chwili może się znajdować sędzia Bannick?

– Hm... nie za bardzo. W sobotę rano powinien być w domu.

– Nie ma go w domu.

– W takim razie nie wiem. A o co chodzi?

– Kiedy go pani ostatnio widziała?

– Wpadł do biura w czwartek rano, dwa dni temu. Od tamtego czasu z nim nie rozmawiałam.

– Słyszeliśmy, że się leczy.

– Owszem. Wykryto u niego raka. Ma jakieś kłopoty czy coś w tym rodzaju?

– Nie, w żadnym wypadku. Mamy do niego kilka rutynowych pytań dotyczących zarzutów w pewnym śledztwie.

To było tak niejasne, że mogło oznaczać wszystko – typowa policyjna gadka – ale Diana uznała, że nie będzie pytać o szczegóły. Pokiwała głową, jakby świetnie wiedziała, o co chodzi.

– Więc nie ma pani pojęcia, gdzie on jest? – nie dawała za wygraną Neff.

– Sprawdzaliście na pewno w jego gabinecie w sądzie. Ma klucz i wpada tam w najróżniejszych porach.

– Obserwujemy sąd. Nie ma go tam. I nie ma go w domu. Przychodzi pani na myśl jakieś inne miejsce, w którym mógłby przebywać?

Diana obserwowała przez kilka sekund mecz, zastanawiając się, jak dużo powiedzieć.

– Ma bungalow w Seaside, ale rzadko tam jeździ – przyznała w końcu.

– Też go obserwujemy. Nie ma go tam.

– No dobrze. Twierdzicie, że nie ma żadnych kłopotów, więc dlaczego obserwujecie te wszystkie miejsca?

– Musimy z nim porozmawiać.

– Na to wygląda.

Suarez podszedł bliżej i zmierzył Dianę twardym spojrzeniem.

– Przypominam, że rozmawia pani z FBI, pani Zhang – wtrącił się. – Osoba, która składa fałszywe zeznania, narusza prawo.

– Zarzuca mi pan kłamstwo?

– Nie. – Neff pokręciła głową. – Jest ważne, żebyśmy go jak najszybciej znaleźli.

Diana spiorunowała wzrokiem Suareza i spojrzała na Neff.

– Być może wrócił do Santa Fe – powiedziała. – Przechodził tam terapię w związku z rozpoznany nowotworem jelita grubego. Sędzia jest bardzo skryty i sam załatwia sobie wszystkie rezerwacje. Wziął urlop zdrowotny i z nikim na ten temat nie rozmawiał. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie jest – dodała, spoglądając na Suareza.

– Czy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nie rezerwował żadnych lotów? – zapytała Neff.

– Jak już mówiłam, nie załatwiam mu rezerwacji.

– Wie pani, jak nazywa się ta klinika w Santa Fe?

– Nie.

Agenci popatrzyli na siebie i pokiwali głowami, jakby jej uwierzyli.

– Chciałabym, żeby ta rozmowa została między nami – oświadczyła Neff. – Tak jakby jej nie było.

– Innymi słowy, proszę nie wspominać o niej sędziemu, gdyby się do pani odezwał – dodał Suarez. – Czy to jest jasne?

– Oczywiście.

– Jeśli powie mu pani o nas, może pani zostać oskarżona o współudział i pomocnictwo.

– Mówiliście przed chwilą, że nie zrobił nic złego.

– Jeszcze nie. Po prostu niech pani trzyma język za zębami.

– Rozumiem.

...

Lacy wiedziała tylko, że Allie jest gdzieś na Karaibach, że obserwuje, inwigiluje i przechwytuje. Wygadał się, że to połączona operacja i że współdziałają z DEA. Szykowało się coś dużego, ale przez ostatnie trzy lata słyszała o tym bez przerwy. Jego bezpieczeństwo było oczywiście najważniejsze, tylko że od ośmiu dni nie odezwał się ani słowem. Podobnie jak on zaczynała mieć dosyć jego pracy. Nie wyobrażała sobie małżeństwa z człowiekiem, który co pewien czas po prostu znika. Decydująca rozmowa zbliżała się dużymi krokami; to nie było już kwestią miesięcy, ale tygodni. Rozmowa, w której powiedzą sobie wszystko. Skomplikowana, choć prosta. Albo poświęcamy się sobie i budujemy inną przyszłość, albo mówimy „do widzenia” i przestajemy tracić czas.

Kiedy cztery po dziesiątej rano zadzwonił telefon, była cała obolała po mieszanej formie jogi i fizykoterapii – ćwiczeniach, które miała

wykonywać dwa razy dziennie przez trzydzieści minut. Pomyślała, że to na pewno Jeri, która chce poznać najnowsze wiadomości.

Zamiast tego usłyszała niezbyt sympatyczny głos Claya Vidovicha, jej nowego kumpla z wczorajszej odprawy w Pensacoli. Przeprosił, że zawraca jej głowę w sobotę rano, choć z tonu jego głosu wcale nie wynikało, że jest mu przykro.

– Nie możemy znaleźć tego faceta, Lacy – powiedział. – Przychodzą ci do głowy jakieś pomysły?

– Niespecjalnie, panie Vidovich.

– Mów mi Clay, dobrze? Myślałem, że przeszliśmy wczoraj na ty.

– Masz rację, Clay. Nie znam tego faceta, nigdy się z nim nie spotkałam, więc nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Przykro mi.

– Czy on wie, że KDS prowadzi w jego sprawie dochodzenie?

– Nie skontaktowaliśmy się z nim bezpośrednio, nie musimy tego robić do ukończenia wstępnej oceny skargi, ale podejrzewam, że o nas wie.

– Jakim sposobem?

– Betty Roe, nasza informatorka, uważa, że Bannick ma szósty zmysł i oczy naokoło głowy. Do tej pory zwykle miała rację. Za każdym razem, kiedy prowadzimy dochodzenie w sprawie sędziego, dochodzi do wycieku. Ludzie uwielbiają plotkować, zwłaszcza adwokaci i urzędnicy sądowi. Więc tak, jest duże prawdopodobieństwo, że Bannick wie, co się święci.

– Ale nie powinien wiedzieć, że zwróciłaś się do FBI i policji stanowej.

– Clay, nie mam bladego pojęcia, co wie Bannick.

– No tak. Posłuchaj, nie chcę ci psuć przyjemnej soboty, ale czy jesteś w jakimś bezpiecznym miejscu?

Lacy rozejrzała się po mieszkaniu. Zerknęła na psa. A potem na frontowe drzwi, przekonana, że są zamknięte.

– Jasne. Jestem w domu. Dlaczego pytasz?

– Jesteś sama?

– Teraz jesteś wścibski.

– W porządku, jestem wścibski, ale zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie powiedział, że czulibyśmy się o wiele lepiej, gdybyś nie była sama, przynajmniej do momentu, kiedy go odnajdziemy.

– Mówisz serio?

– Śmiertelnie serio, Lacy. Ten facet, urzędujący sędzia, po prostu zniknął i w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin nie pojawił się ani razu na naszym radarze. Może być wszędzie i może być niebezpieczny. Znajdziemy go, ale do tego czasu powinnaś moim zdaniem zachować ostrożność.

– Nic mi nie grozi.

– Oczywiście. Zadzwoń, proszę, jeśli czegoś się dowiesz.

– Zadzwonię.

Podchodząc do drzwi i sprawdzając, czy są zamknięte, wpatrywała się w telefon. Był wspaniały wiosenny ranek, chłodny i bezchmurny. Planowała kupić w swojej ulubionej szkółce kilka azalii i je zasadzić. Była zła, że dała się nastraszyć w taki piękny dzień.

Allie wyjechał, żeby bawić się w stróża prawa. Darren zabrał nową dziewczynę na plażę. Lacy obeszła mieszkanie, sprawdzając drzwi i okna i nadal się za to besztając. Żeby się zrelaksować, położyła się na karimacie w pozycji dziecka. Po dwóch głębokich oddechach telefon znów zadzwonił i aż podskoczyła. Dlaczego była taka roztrzęsiona?

To był trzeci mężczyzna w jej życiu i ucieszyła się nawet, słysząc głos Gunthera. Przeprosił ją, że nie zadzwonił w zeszły wtorek; nie zrobił tego z powodu superważnego spotkania, które musiał odbyć z nowym zespołem architektów.

Lacy wyciągnęła się na sofie i rozmawiali bardzo długo. Oboje przyznali, że się nudzą. Aktualna dziewczyna Gunthera, jeśli rzeczywiście spotykał się z kimś na serio, też gdzieś się zmyła. Kiedy dowiedział się, że Lacy nie ma żadnych planów na popołudnie, jeszcze bardziej się ożywił i w końcu zaproponował wspólny lunch.

Od ich poprzedniego spotkania minęły zaledwie dwa tygodnie i sam fakt, że chciało mu się tak prędko lecieć znów na południe, był przygnębiający. Najwyraźniej znów popadł w długi i dobierali mu się do skóry bankierzy.

– Mam godzinę drogi do lotniska, a lot potrwa mniej więcej osiemdziesiąt minut. Umawiamy się na drugą?

– Jasne.

Bez względu na to, jaki był upierdliwy, jego obecność powinna dodać jej otuchy, przynajmniej na następne dwadzieścia cztery godziny. Przekona go, żeby został na kolację i przenocował, i w którymś momencie będą musieli poruszyć kwestię jej pozwu.

Dobrze będzie mieć już tę rozmowę za sobą.

Rozdział 38

Pierwsze dwa połączenia nie zostały odebrane, co nie było niczym niezwykłym, zwłaszcza w sobotę. Bannick dał jej głową znak, żeby próbowała dalej.

– Możesz opuścić ten pistolet? – poprosiła.

– Nie. – Siedział półtora metra od niej, plecami do kominka, z zawieszonym na szyi siedemdziesięciopięciocentymetrowym kawałkiem sznura. – Spróbuj jeszcze raz.

Straciła do reszty czucie w łydkach i stopach, i może to dobrze. Całkiem zdrętwiały, więc jeśli były złamane, nie czuła bólu. Ale drętwienie promieniowało w górę i czuła się jak sparaliżowana. Prosiła już wcześniej, żeby pozwolił jej skorzystać z toalety. Nie pozwolił. Od wielu godzin była unieruchomiona i nie miała pojęcia, która jest godzina.

Dodzwoniła się za trzecim razem.

– Lacy, cześć, tu Jeri, jak się masz, kochana? – zaczęła tak wesoło, jak tylko można, kiedy patrzy się w wylot długiej na piętnaście centymetrów lufy.

Bannick podniósł pistolet.

Przez chwilę rozmawiały o pogodzie i pięknym wiosennym dniu, a potem przeszły do rzeczy, czyli do podejmowanych przez FBI nieudanych prób zlokalizowania Bannicka.

– Nigdy go nie znajdą – rzuciła Jeri, wpatrując się w jego zimne oczy.

Opuściła wzrok i kontynuowała bajeczkę: anonimowa osoba przekazała jej dowód rzeczowy, który pogrąży Bannicka. Nie może o tym mówić przez telefon; muszą się spotkać i sprawa jest pilna. Zaszyła się w motelu dwie godziny od Tallahassee i nie obchodzi jej, z kim Lacy ma wieczorem randkę. Niech ją odwoła.

– Mój samochód stoi po południowej stronie motelu – dodała. – Zaparkuj obok niego. Będę cię obserwowała. I proszę cię, Lacy, przyjedź sama. Czy to możliwe?

– Oczywiście. Nic nam nie grozi, prawda?

– W nie większym stopniu niż zwykle.

Rozmowa była krótka. Kiedy Jeri ją zakończyła, Bannick uśmiechnął się.

– Sama widzisz, potrafisz świetnie kłamać – mruknął.

– Nie upokarzaj mnie. Proszę, pozwól mi pójść do łazienki – powiedziała, oddając mu telefon.

Odłożył na bok pistolet i telefon i nachylił się, żeby rozpiąć kajdanki na jej kostkach. Chciał pomóc jej wstać, ale go odepchnęła. Pierwszy fizyczny kontakt z nim ją rozwścieczył.

– Po prostu daj mi chwilę, dobrze?

Przez moment stała w miejscu, czując ukłucia palącego bólu w łydkach i stopach, w których zaczynała powoli krążyć krew. Bannick podał jej laskę; wzięła ją, żeby się podeprzeć. Kusilo ją, żeby zdzielić go nią w głowę, przynajmniej raz walnąć go za tych wszystkich, których zabił, ale z trudem zachowywała równowagę. Poza tym łatwo by ją pokonał, a następstwa byłyby przykre. Szurając nogami, przeszła razem z nim do małej sypialni i zdołała otworzyć drzwi do mikroskopijnej łazienki bez wanny i prysznicza. I bez okna. Słaba żarówka nie dawała prawie światła.

Jeri załatwiła się i dłuższą chwilę siedziała na sedesie, ciesząc się, że jest od niego oddzielona drzwiami.

Ciesząc się? Była już martwa i dobrze o tym wiedziała. Poza tym, jak mogła to zrobić Lacy?

Spuściła jeszcze raz wodę, choć nie było to konieczne. Wszystko, żeby przedłużyć ten moment.

Bannick zapukał w końcu w drzwi.

– Wychodź. Czas się skończył! – zawołał.

W sypialni pokazał jej łóżko.

– Możesz się tu położyć – powiedział. – Będę tuż obok. Okno jest zamknięte, a poza tym i tak się nie otwiera. Wiesz, co cię czeka, jeśli zrobisz coś głupiego.

Powstrzymała się przed podziękowaniem mu i położyła się na łóżku. Miejsce i czas sprzyjały napaści seksualnej, lecz jakoś się jej nie obawiała. Najwyraźniej nie przyszło mu to w ogóle do głowy.

W chacie było ciepło, ale i tak naciągnęła na siebie zakurzony koc i wkrótce ogarnęła ją senność. Wpłynęły na to zmęczenie, strach i resztki ketaminy w organizmie.

Kiedy zasnęła, Bannick łyknął tabletkę amfetaminy i czuwał dalej.

...

Zawsze chętnie popisujący się przed ładną dziewczyną, nawet jeśli ta była jego młodszą siostrą, Gunther wymyślił sobie, że polecą na lunch do wykwintnej restauracji podającej owoce morza. Jego zdaniem wszyscy piloci małych maszyn w tej części świata znali knajpę Beau Willie's Oysters na rozlewiskach niedaleko Houmy w Luizjanie. Mierzący tysiąc dwieście metrów pas startowy otoczony był z trzech stron wodą i posadzenie na nim samolotu dostarczało wielu emocji. Do restauracji było

stamtąd dziesięć minut spacerkiem. W ciągu dnia większość klienteli stanowili piloci spragnieni zabawy i dobrego jedzenia.

Kiedy wylądowali i wysiedli z samolotu, Lacy zerknęła na ekran telefonu. Miała dwa nieodebrane telefony od Jeri. Chwilę później ta zadzwoniła ponownie. Idąc za bratem do Beau Willie's, Lacy odbyła z nią krótką rozmowę. Choć Jeri była trochę tajemnicza, wiadomość, którą od niej usłyszała, zapierała dech. Wyglądało na to, że mają niezbity dowód, którym przygwoźdzą Bannicka.

Odebrało jej to trochę apetyt, ale zdołała przełknąć kilka surowych ostryg, patrząc, jak Gunther zjada kilkanaście, a potem pochłania bagietkę ze smażonymi. Rozmawiali chwilę o cioci Trudy, a potem zaczął pytać o Alliego i ponownie miał dla siostry zbyt wiele dobrych rad. Czas, żeby znalazła sobie męża, założyła rodzinę i przestała się łudzić, że przejdzie przez życie sama. Przypomniała mu, że jest chyba ostatnią osobą, której powinna słuchać, jeśli chodzi o długoterminowe związki. Zawsze można się było z tego pośmiać, a Gunther wcale się nie obrażał. Kiedy zapytała o jego aktualną sympatię, był tak samo mało zainteresowany tematem jak dwa tygodnie wcześniej.

– Mam pytanie – powiedziała, pijąc mrożoną herbatę.

Gunther zastanawiał się, czy nie zamówić jednego piwa, napomknął nawet, że jedząc ostrygi, zawsze popija je piwem, ale pilotował w końcu samolot.

– Wal śmiało – rzucił.

– Dostałam właśnie telefon, który zmienia trochę moje plany. Jest takie miasteczko, Crestview. Dwadzieścia tysięcy mieszkańców, godzina jazdy na wschód od Pensacoli. Dziś o dziewiątej wieczorem muszę się tam spotkać z ważnym świadkiem. Można tam będzie wylądować i wynająć samochód?

– Pewnie tak. Każde miasteczko tej wielkości ma pas startowy. A o co chodzi?

– To duża sprawa. – Lacy rozejrzała się dokoła. Zajmowali stolik na tarasie przy skraju wody, a inne nie były zajęte. Dochodziła piąta po południu, za późno na lunch, za wcześnie na kolację. Przy barze siedzieli przy piwie lokalsi. – Wspomniałam ci ostatnio, że prowadzimy dochodzenie w sprawie sędziego podejrzanego o zabójstwo.

– Pamiętam. Nie przypomina to raczej twoich typowych spraw.

– Nie przypomina. Telefon był od naszej sygnalistki, która twierdzi, że ma ważne informacje. Muszę się z nią zobaczyć.

– W Crestview?

– Tak. To po drodze do domu. Możemy się tam zatrzymać.

– Rozumiem, że nie wrócę już dzisiaj do Atlanty.

– Proszę. Wyświadczysz mi wielką przysługę, a poza tym chciałabym mieć kogoś ze sobą.

Gunther wyciągnął telefon i włączył internet.

– Nie ma sprawy – odparł po chwili. – Widzę, że mają tam samochody do wynajęcia. To może być niebezpieczne?

– Nie sądzę. Ale powinniśmy zachować środki ostrożności.

– To mi się podoba.

– Wszystko to jest ściśle tajne, Gunther.

Jej brat roześmiał się i rozejrzał dokoła.

– Komu miałbym o tym powiedzieć?

– Po prostu zachowaj to dla siebie.

...

Stał w ciemności przy łóżku, słuchając jej ciężkiego oddechu. Instynkt podpowiadał mu, żeby użyć sznura, który trzymał w lewej ręce, i ją wykończyć. To zabójstwo byłoby najłatwiejsze ze wszystkich. Mógł to zrobić szybko, bez wysiłku, a potem usunąć odciski palców w chacie i odjechać. Odnależliby ją dopiero po kilku dniach.

Z jednej strony nienawidził jej za to, co mu zrobiła. Unicestwiła jego świat; jego życie nigdy już nie będzie takie samo. Sama jedna namierzyła go, obserwowała i teraz gra dobiegała kresu. Z drugiej strony nie mógł nie podziwiać jej hartu ducha, inteligencji i zawziętości. Ta kobieta wykonała lepszą robotę od kilkuset policjantów w paru stanach i teraz musiał przez nią uciekać.

Rzucił sznur na łóżko, wziął do ręki nasączoną eterem ściereczkę i przyłożył ją do twarzy kobiety. Kiedy ta zaczęła się szarpać, zacisnął drugą rękę na jej szyi i przytrzymał mocniej ściereczkę. Jeri wierzgała i walczyła, ale nie miała szans. Po minucie zwiotczała i wtedy puścił ją i odłożył ściereczkę. Wziął ze stołu strzykawkę i wbił jej w ramię igłę. Pięćset miligramów ketaminy, dosyć, żeby nie odzyskała przytomności przez kilka godzin. Zastanawiał się, czy nie wstrzyknąć jej jeszcze jednej dawki, ale byłoby to ryzykowne. Mogła się już nigdy nie obudzić. Jeśli miał ją zabić, wolał to zrobić po swojemu.

Przeszedł do drugiego pokoju, cisnął w ogień kolejne akta, po czym wrócił z kajdankami do sypialni i skuł w kostkach jej nogi i ręce za plecami. Dla zabawy owinął jej szyję nylonowym sznurem. Jak zawsze miał na dłoniach silikonowe rękawiczki, ale i tak dokładnie wytarł wszystkie powierzchnie. Sprawdził ponownie okna; zaschnięta farba nie pozwalała ich otworzyć. Chata była stara i w złym stanie; okien od dawna nikt nie otwierał. Spalił ostatnie akta i upewniwszy się, że ogień dogasa, wyszedł na werandę, zamknął drzwi na klucz i zerknął na zegarek.

Dziewiętnasta dziesiątka. Chata stała nieopodal jeziora Gantt w Alabamie. Do Crestview miał stąd mniej więcej godzinę drogi.

Z krętej leśnej drogi można było co jakiś czas zobaczyć taflę jeziora. Co kilkaset metrów mijał podjazdy do innych ukrytych w gąszczu chat. W końcu skręcił w żwirowaną drogę i pomachał dwóm niechlujnym nastolatkom na quadach, którzy zatrzymali się i patrzyli, jak ich mija.

Wolałby, żeby nikt go nie widział, i zastanawiał się, czy nie wrócić do chaty i upewnić się, czy dzieciaki się nią nie zainteresują. Po chwili odpuścił sobie, bo uznał to za paranoję. Żwir zmienił się po jakimś czasie w asfalt i Bannick wkrótce wjechał na biegnącą na południe stanową autostradę.

Rozdział 39

Kiedy Lacy dostrzegła stojącą na motelowym parkingu białą toyotę camry, było już ciemno. Zaparkowała zgodnie ze wskazówkami Jeri tuż obok niej i wysiadła. Gunther został w samochodzie.

Weszła do lobby i przez chwilę chodziła po sklepie z pamiątkami, oglądając pocztówki. Minutę po dwudziestej pierwszej do motelu wszedł bocznymi drzwiami Gunther i pozdrowił recepcjonistkę. Lacy pojechała windą na drugie piętro, a jej brat ruszył tam schodami. Korytarz był krótki, po każdej stronie było jakieś dziesięć pokoi. Przy jego końcu świecił się czerwony napis WYJŚCIE. Zatrzymała się przy drzwiach do pokoju 232, wzięła głęboki oddech, zapukała trzy razy i w tym momencie zgasły wszystkie światła.

Siedzący w pokoju po drugiej stronie korytarza Bannick wyłączył prąd i kamery bezpieczeństwa, rzucił laptopa na łóżko, złapał nasączoną eterem ściereczkę i otworzył drzwi. Lacy usłyszała go i odwróciła się w tej samej chwili, gdy zaatakował ją w ciemności. Zdążyła krzyknąć „Hej!” i nagle nie wiadomo skąd pojawił się jej brat i skoczył na nich oboje. Cała trójka wylądowała na podłodze. Lacy wrzasnęła i zerwała się na nogi, a Bannick zaczął wymachiwać po omacku rękami i nogami, starając się uderzyć napastnika. Jeden z kopniaków trafił w żebro Gunthera i ten głucho jęknął. Gdy mężczyźni dalej się ze sobą zmagali, Lacy pobiegła korytarzem, krzycząc.

– Hej, co się dzieje? – zapytał ktoś, otwierając drzwi.

– Wezwij policję!

Bannick kopnął w końcu w twarz Gunthera i kiedy ten czołgał się ogłuszony, macając przed sobą rękami i niczego nie znajdując, sędzia dał nura do swojego pokoju, zabrał laptopa i pobiegł w stronę wyjścia.

Lacy i Gunther odnaleźli w końcu schody i zbiegli po nich do pogrążonego w mroku lobby. Recepcjonista trzymał w ręce latarkę.

– Nie wiem, nie wiem – powtarzał gościom. – To samo zdarzyło się zeszłej nocy.

– Niech pan wezwie policję – powiedziała Lacy. – Zostaliśmy zaatakowani na drugim piętrze.

– Kto was zaatakował?

To długa historia, pomyślała Lacy.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – odparła. – Proszę się pospieszyć, sprawca zaraz stąd ucieknie.

W miarę jak na dół schodziło więcej gości, w lobby zabłyśły kolejne latarki. Gunther znalazł sobie krzesło, usiadł na nim i zaczął się przyglądać swoim obrażeniom.

– Skurwysyn kopał jak muł – mruknął, nadal lekko oszołomiony. – Mam chyba złamane żebra.

Sytuacja powoli wracała do normy; czekali na policję.

– Muszę zadzwonić do Jeri – powiedziała Lacy, kiedy usiadła przy bracie. – Jest chyba w poważnych tarapatach.

– Kto to jest Jeri?

– To Betty Roe. Nasza sygnalistka. Wyjaśnię ci później.

Jeri nie odebrała jej telefonu, co było raczej do przewidzenia. Lacy przewinęła ostatnie rozmowy i wybrała numer Claya Vidovicha. Kiedy

odebrał po drugim dzwonku, poinformowała go, gdzie jest i co się wydarzyło. Była pewna, że Ross Bannick zastawił na nią pułapkę. Nie zdołała go zidentyfikować, ale wszystko układało się w logiczną całość. W tym momencie uciekał zapewne daleko stąd. Nie, nie widziała, jakim porusza się pojazdem.

Vidovich jadł akurat ze swoim zespołem kolację w centrum Pensacoli, godzinę drogi od Crestview. Odparł, że zawiadomi policję stanową Florydy i poprosi policję w Mobile o sprawdzenie, co się dzieje z Jeri.

Lacy była pewna, że nie znajdą jej w domu. Vidovich, który już tam jechał, poprosił, żeby przekazała dyrekcji motelu, że nie wolno ruszać niczego w pokojach.

Chwilę później, migocząc niebieskimi światłami, na miejsce przybyła miejscowa policja. W motelowym lobby panował chaos; goście snuli się w półmroku. Inteligentny panel oświetlenia i sieć bezpieczeństwa zostały zhakowane i nikt z nocnej zmiany nie wiedział, co robić. Lacy wyjaśniła na tyle, na ile mogła, sytuację i opisała Bannicka. Nie, nie miała pojęcia, dokąd pojechał. Lokalni gliniarze wezwali policję stanową, ale nie mając opisu pojazdu, nie bardzo wiedzieli, od czego zacząć.

Recepcjonista przyniósł dwa małe woreczki z lodem. Jeden z nich Gunther przyłożył sobie do żeber, drugi do szczęki, która spuchła, ale prawdopodobnie nie została złamana. Był nadal trochę zamroczony i obolały, ale nie skarżył się i chciał wracać do samolotu. Woźny uruchomił przenośny generator i w lobby zapaliło się światło. Energii nie starczało jednak na klimatyzację i temperatura szybko rosła. Kilkoro gości wyszło na parking i stało przy swoich samochodach.

...

Bannick miał ochotę popędzić stanową autostradą z maksymalną dozwoloną prędkością, ale tego rodzaju reakcja mogła mu tylko przysporzyć dodatkowych kłopotów. Zmusił się, by jechać powoli i przeanalizować to, co się przed chwilą wydarzyło. Po raz pierwszy, odkąd zaczął zabijać, wpadł w zasadzkę, a zatem musiał popełnić jakieś błędy. Nadal miał na rękach silikonowe rękawiczki i wiedział, że nie zostawił po sobie śladów, żadnych dowodów. Wszedł do motelowego pokoju wyłącznie ze smartfonem i laptopem; oba leżały teraz na dnie stawu pod Crestview. Prawe ramię bolało go po walce, jeśli można było tak nazwać ten incydent. W ogóle nie zobaczył tego mężczyzny, w ogóle nie słyszał, że do niego podchodzi. Trzymał Lacy tylko przez sekundę, a potem został zбитy z nóg, a ona zaczęła wrzeszczeć.

To był pewnie Darren Trope, jej kolega z pracy. Sukinsyn.

Wkrótce Bannick przekroczył granicę Alabamy i wybrał określoną drogę, przejechał przez Conecuh National Forest. Zbliżając się do miasta Andalusia, liczącego dziewięć tysięcy mieszkańców, postanowił je objechać. Była sobota, wpół do jedenastej wieczorem, i na drogach mogło się roić od gliniarzy. Nie potrzebował GPS-u, bo znał na pamięć tutejsze drogi i autostrady. Wkrótce zobaczył drogowskazy do jeziora Gantt i skierował się w tamtą stronę. Nie widząc żywej duszy, przejechał przez cichą wioskę Antioch, za którą jezdnia się zwężyła. Miał niecałe trzy kilometry do skrzyżowania z żwirową drogą, kiedy nagle zobaczył za sobą migające niebieskie światła. Na szybkościomierzu miał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, zgodnie z limitem, i wiedział, że wcześniej też go nie przekroczył. Nie przejechał też na czerwonym świetle. Mimo to zwolnił i zerknął kątem oka na gliniarzy, kiedy go wyprzedzali. Jechali pewnie do jakiejś rozróby w barze. Niebieskie światła przed nim wkrótce zniknęły.

Szybko ją zabije i ruszy w drogę. Chata była czysta, jak zwykle żadnych śladów. Ozdobi swoje dzieło idealnie zawiązanym węzłem. Jeri zasłużyła sobie na to.

Żwirowa droga biegła coraz głębiej w las, w ciemność, w której stała jego chata. Nagle zobaczył za sobą kolejne niebieskie światła. Następny radiowóz podążał jego śladem. Bannick zwolnił prawie do zera i zjechał na bok. Radiowóz przejechał obok, o mało się o niego nie ocierając, i zostawił za sobą tuman kurzu. Coś było nie w porządku.

Skręcił w leśną drogę, która kończyła się przy chacie, tak głęboko w lesie, że nie widział jej nikt, kto tędy przejeżdżał. Widząc małą polankę przy dziurze w ogrodzeniu, zjechał z drogi, cofnął samochód w krzaki, wysiadł i pobiegł w stronę chaty. Za zakrętem zobaczył straszny widok. Jego samotnię otaczały radiowozy z migoczącymi światłami i wszędzie roilo się od gliniarzy.

...

Dwaj chłopcy, w wieku piętnastu i szesnastu lat, przyjechali tam przed zmrokiem na quadach. Dostrzegli unoszący się z komina dym, ale srebrny chevrolet tahoe dopiero co odjechał. Obserwując chatę i drogę, zaczęli, aż zrobi się ciemno, i włamali się przez frontowe drzwi. Szukali broni palnej, sprzętu do wędkowania, wszystkiego, co miałoby jakąś wartość. Zamiast tego znaleźli leżącą na łóżku martwą czarną kobietę, skutą kajdankami w nadgarstkach i kostkach nóg.

Spanikowani uciekli i zatrzymali się dopiero przed zamkniętym o tej porze wiejskim sklepem. Zadzwonili z automatu pod 911 i poinformowali, że w dawnej chacie Suttonów niedaleko Crab Hill Road leży martwa kobieta. Kiedy dyspozytor zapytał ich o nazwiska, rozłączyli się i odjechali do domu.

...

Jeri została odwieziona karetką do regionalnego szpitala w Enterprise w Alabamie. Była półprzytomna, odwodniona i miała mdłości, ale szybko dochodziła do siebie. O północy rozmawiała już z policją i uzupełniała braki w ich wiedzy. Bannick naszpikował ją do tego stopnia lekami, że nie widziała jego pojazdu, nadal nie mieli więc opisu. Wystarczyło jednak szybko sprawdzić bazę danych, by poznać markę, model i numer rejestracyjny.

O pierwszej w nocy policjant zadzwonił pod numer Lacy. Była już bezpieczna w domu w Tallahassee i opiekowała się bratem, któremu zrobiono rentgen i przepisano leki przeciwbólowe. Policjant uśmiechnął się i przekazał telefon Jeri. Kiedy się wzajemnie usłyszały, obie wybuchły płaczem.

...

W tym momencie Bannick wjeżdżał już do Birmingham, z fałszywymi tablicami rejestracyjnymi na tahoe. Zaparkował na długoterminowym parkingu przy lotnisku międzynarodowym, zabrał torbę i wszedł do budynku terminalu. Wypił espresso w barze, a potem znalazł rząd krzeseł z widokiem na pasy startowe i próbował się zdrzemnąć – kolejny zmęczony pasażer. Kiedy o szóstej otworzono biuro Avisa, podszedł tam i używając fałszywego prawa jazdy i przedpłaconej karty kredytowej na fałszywe nazwisko, wynajął hondę na kalifornijskich numerach i wyjechał z lotniska, kierując się na zachód. Daleko na zachód. Przez następnych dwadzieścia godzin miał jechać właściwie non stop, płacić gotówką za benzynę, łykać tabletki amfetaminy i wypijać hektolitry czarnej kawy.

Rozdział 40

O siódmej trzydzieści w niedzielę rano do świata Bannicka wtargnęły dwa oddziały agentów FBI wspierane przez lokalną policję. Pierwszy włamał się do jego domu i rozbroił system bezpieczeństwa, nie dbając o to, czy obudzi sąsiadów. Drugi, w asyście woźnego i Diany Zhang, wkroczył do budynku sądu hrabstwa Chavez i zaczął przeszukiwać biurko sędziego, szafki na akta oraz regały, wszystko, czego mógł dotknąć. Szybko zorientowali się, że szafki, podobnie jak szuflady biurka, są kompletnie puste. Dianę zaskoczyło, że brakuje tylu rzeczy osobistych szefa. Oprawionych w ramki fotografii, nagród, dyplomów, nożyków do listów, bloków do pisania, przycisków do papieru. Przeszła do swojego biurka, żeby poszukać akt spraw, nad którymi pracował, i odkryła, że szuflady są puste. Nie było dostępu do jego stacjonarnego komputera, w którym brakowało twardego dysku. Komputer przewieziono furgonetką do laboratorium.

W domu Bannicka technicy zajrzeli do lodówki, która była pusta, podobnie jak wszystkie pojemniki na śmieci. Znaleźli stosy ubrań i ręczników, upranych i rzuconych na łóżko. W małym gabinecie nie było telefonów ani laptopów. W domowym stacjonarnym komputerze również brakowało twardego dysku. Komputer zabrano do laboratorium.

Przeszukania miały potrwać długie godziny, jeśli nie dni, ale wkrótce stało się jasne, że dom Bannicka oraz gabinet w sądzie zostały starannie

wyczyszczone ze wszelkich śladów. Po dwóch godzinach szukania odcisków palców nie znaleziono ani jednego. Ale technicy pracowali metodycznie dalej, przekonani, że w końcu jakieś znajdą. Nie sposób żyć i pracować przez lata w jakimś miejscu i niczego po sobie nie zostawić.

...

W południe zwolniono Jeri ze szpitala. Wciąż miała mdłości i nie mogła jeść, ale lekarze mogli co najwyżej faszerować ją dalej lekami. Bolała ją głowa, a ibuprofen niewiele pomagał. Miała nadal zdrętwiałe nadgarstki i kostki nóg, ale powoli wracało w nich czucie. Rozmawiała dwa razy z córką i zapewniła ją, że jest bezpieczna, cała i zdrowa i nie ma powodu, żeby Denise przylatywała. Ze szpitala wyjechała pod eskortą dwóch młodych, dość przystojnych agentów FBI. Jeden z nich prowadził, drugi siedział z tyłu i próbował z nią rozmawiać. Nie była jednak zbyt rozmowna i po kilku kilometrach dali jej spokój. Wbijając wzrok w boczną szybę, przeżywała na nowo wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, wciąż nie mogąc uwierzyć, że żyje.

A Bannicka nadal nie odnaleziono. Wierzyła przez długie lata, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego, zwłaszcza do skutecznego zacierania za sobą śladów. Przechwalał się, że zniknie gdzieś na antypodach. W miarę jak pokonywali kolejne kilometry i mijały godziny, zaczęła zdawać sobie sprawę ze straszliwej ewentualności. Co będzie, jeśli nie uda się go złapać? Jeśli nigdy nie stanie przed obliczem sprawiedliwości? Jeśli jego potworne zbrodnie nie zostaną ukarane? A jej samotna walka pójdzie na marne?

Jazda do Mobile była wykluczona. Bannick zadzwonił do jej drzwi, wiedział dokładnie, gdzie mieszka. Namierzył ją w motelu i porwał, przez nikogo niezauważony, nie zostawiając żadnych śladów. Jak zwykle. Zastanawiała się, czy będzie mogła kiedykolwiek wrócić do domu.

Dwie godziny później wjechali do Tallahassee i wąskimi uliczkami dotarli do centrum. Kiedy zatrzymali się przed przerobionym na mieszkania dawnym magazynem, Lacy czekała już w progu swojego apartamentu. Uściskały się, uroniły kilka łez i weszły do środka.

Allie, który wrócił kilka godzin wcześniej, dowiedział się już o wszystkim od Lacy. I od jej brata, który pławił się w sławie bohatera. Lacy nie miała wątpliwości, że ta historia będzie po wielokroć przytaczana i ubarwiana, a jego heroiczny atak na seryjnego zabójcę urośnie do rozmiarów legendy.

Poprosiła jednego z agentów, żeby przyniósł pizzę. Drugi usiadł przy drzwiach, by pilnować mieszkania. Lacy, Jeri, Gunther i Allie usiedli w salonie i zaczęli sobie ponownie wszystko opowiadać. Po pewnym czasie byli nawet skłonni spojrzeć na całą historię z humorem, zwłaszcza gdy Gunther, zawsze ożywiony, przerwał nagle w pół zdania i przycisnął dłonie do żeber. Spuchnięta szczęka nie przeszkadzała mu perorować najgłośniej ze wszystkich.

Jeri zrelacjonowała treść swoich rozmów z Bannickiem. Nie przyznał się otwarcie do żadnego z zabójstw, ale nie podważał tego, co mówiła. Zaprzeczył tylko, że zamordował Ashley Barasso, ale trudno było w to wierzyć. Bardziej niepokojące były aluzje, że popełnił inne zabójstwa, które uszły uwagi Jeri.

O piątej stawili się w biurze FBI w budynku federalnym. Clay Vidovich przywitał się z nimi i usiedli razem przy stole w głównej sali konferencyjnej. Dobrą wiadomością było to, że odkryli dwa odciski palców w garażu Bannicka. Złą, że nie były to odciski kciuka. Vidovich był pewien, że znajdą kolejne, przyznał jednak, że zaskoczyła ich metodyczność, z jaką Bannick starał się je wszystkie wytrzeć. Jego telefon przestał działać w Crestview. Prawdopodobnie go wyrzucił. Nikt

o tożsamości Ross Bannick nie zarezerwował w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin lotu. Sekretarka sędziego nie dostała od niego żadnej wiadomości. Nie miał w tej okolicy nikogo z rodziny. Jego siostra mieszkała daleko stąd i nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

Mimo to Vidovich był pewien, że znajdą Bannicka. Szukano go w całym kraju i było to tylko kwestią czasu.

Jeri nie miała takiej pewności, ale zachowała to dla siebie. Kiedy się w końcu odprężyła, opowiedziała im pobieżnie o ostatnich dwóch dniach. Nie czuła się jednak najlepiej i obiecała, że w poniedziałek udzieli bardziej wyczerpujących informacji.

Dziękowała Bogu, że ktoś włamał się do chaty.

Rozdział 41

Bannick zatrzymał się w Amarillo, żeby wrzucić do skrzynki FedExu standardową przesyłkę. W rubryce nadawcy wpisał swoje nazwisko i adres sądu hrabstwa Chavez. Odbiorcą była Diana Zhang, pod tym samym adresem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przesyłka powinna zostać pobrana ze skrzynki o piątej po południu w poniedziałek i dotrzeć do jej rąk we wtorek po otwarciu sądu.

O ósmej rano zaparkował wynajęty samochód przed Pecos Mountain Lodge i przez chwilę podziwiał wznoszące się w oddali góry. Luksusowy ośrodek terapii uzależnień był położony we wcinającym się w zbocze wąwozie i prawie niewidoczny z krętej drogi. Bannick zmienił rękawiczki i wytarł kierownicę, klamki drzwi, konsolę oraz ekran dotykowy. Poprzednie rękawiczki miał na dłoniach od dwudziestu godzin i wiedział, że samochód jest czysty, ale wolał nie ryzykować. Trzymając w ręce małą torbę, wszedł do obitego pluszem lobby i skinął głową recepcjoniście.

– Mam umówione spotkanie z doktorem Josephem Kassabianem – oświadczył grzecznie.

– Pana godność, proszę?

– Bannick, Ross Bannick.

– Proszę usiąść, zaraz go poproszę.

Usiadł na eleganckiej skórzanej sofie i przez chwilę podziwiał wiszącą na ścianach kolekcję sztuki współczesnej. Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie zamożni alkoholicy z pewnością zasługiwali na przyjemny wystrój wnętrz. Klinika Pecos Mountain świadczyła usługi gwiazdom rocka, sławom Hollywood i innym bogaczom i choć była przez nich dobrze znana, szczyciła się tym, że unika rozgłosu. Dbła o dyskrecję tak bardzo, że wielu jej byłych pacjentów nie mogło z żalem obsypać jej pochwałami.

Wkrótce pojawił się doktor Kassabian i zaprowadził gościa do gabinetu przy końcu korytarza. Miał około pięćdziesięciu lat i też był niegdyś uzależniony. „Czyż nie jesteśmy uzależnieni wszyscy?”, powiedział wcześniej przez telefon Bannickowi. Usiedli przy małym stoliku i napili się wody mineralnej.

– Proszę mi opowiedzieć swoją historię – odezwał się doktor z zachęcającym ciepłym uśmiechem. *Twój koszmar się skończył. Trafiliś we właściwe miejsce.*

Bannick skrył twarz w dłoniach, jakby miał zamiar się rozpląkać.

– Chodzi wyłącznie o alkohol, nie o narkotyki. Wódka, co najmniej litr dziennie, i to od wielu lat. Mogę normalnie funkcjonować, ale jestem sędzią, praca jest wymagająca i muszę z tym skończyć.

– Dużo tej wódki.

– Nigdy nie jest jej za dużo i robi się coraz gorzej. Dlatego tu jestem.

– Kiedy pił pan po raz ostatni?

– Trzy dni temu. Zawsze udawało mi się przestać pić na krótko, ale nie mogę całkowicie zerwać z nałogiem. To mnie zabija.

– Więc nie potrzebuje pan prawdopodobnie detoksu.

– Chyba nie. Próbowałem już wcześniej, doktorze. To moja trzecia terapia w ciągu ostatnich pięciu lat. Chciałbym tu zostać przez miesiąc.

– Ile trwały poprzednie terapie?

– Każda po miesiąc.

– Trzydzieści dni nic nam nie da, panie Bannick. Może mi pan wierzyć. Po trzydziestu dniach przestaje pana ciągnąć do alkoholu i czuje się pan świetnie, ale będzie pan potrzebował co najmniej sześćdziesięciu. Rekomendujemy terapię trwającą dziewięćdziesiąt dni.

Oczywiście. Za pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie.

– Być może ma pan rację – przyznał. – W tym momencie modłę się o trzydzieści dni. Sprawcie po prostu, żebym wytrzeźwiał. Proszę.

– Sprawimy to. Jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy. Proszę nam wierzyć.

– Dziękuję.

– Przedstawię pana naszemu dyrektorowi do spraw przyjęć, który załatwi z panem papierkową robotę. Będzie pan korzystał z ubezpieczenia czy płaci pan prywatnie?

– Prywatnie. Dysponuję środkami, doktorze.

– Jeszcze lepiej.

– W porządku. Niech pan posłucha. Jestem obieralnym sędzią, więc dyskrecja ma w moim przypadku podstawowe znaczenie. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem. Jestem singlem, bez bliższej rodziny. Mam kilku przyjaciół, ale żadnemu z nich nic nie powiedziałem. Nawet mojej sekretarce.

Doktor Kassabian uśmiechnął się, bo stale słyszał takie teksty.

– Niech pan mi wierzy, panie Bannick, wiemy dobrze, na czym polega dyskrecja. Co pan ma w tej torbie?

– Ubrania i przybory toaletowe. Nie zabrałem ze sobą telefonu, laptopa i żadnych innych urządzeń.

– To dobrze. Mniej więcej po tygodniu będzie pan mógł skorzystać z telefonu. Wcześniej nie.

– Wiem. To nie jest moje pierwsze rodeo.

– Jasne. Będę jednak musiał zabrać panu torbę i spisać jej zawartość. Na pierwsze dwa tygodnie zapewniamy miłe lniane koszule nocne od Ralphi Laurena.

– Rozumiem.

– Przyjechał pan tu samochodem?

– Przyleciałem. Samochód wynająłem na lotnisku.

– W porządku. Po wypełnieniu dokumentów przejdzie pan całościowe badanie medyczne. To zajmie nam czas do południa. Potem zjemy razem lunch, tylko pan i ja, i porozmawiamy o przeszłości i przyszłości. Następnie przedstawię pana pańskiemu opiekunowi.

Bannick pokiwał głową, jakby na wszystko się godził.

– Cieszę się, że przyjechał pan trzeźwy, to dobry początek – podjął doktor Kassabian. – Nie uwierzy pan, w jakim stanie docierają tu niektórzy z tych biedaków.

– Nie czuję się trzeźwy, doktorze. W żadnym wypadku.

– Jest pan we właściwym miejscu.

Przeszli obaj do sąsiedniego gabinetu, gdzie czekał już na nich dyrektor do spraw przyjęć. Bannick zapłacił dziesięć tysięcy dolarów kartą kredytową i podpisał weksel na pozostałe czterdzieści tysięcy. Doktor Kassabian zabrał mu torbę.

Kiedy procedura przyjęcia do kliniki dobiegła końca, odprowadzono Bannicka do dość przestronnego pokoju na drugim piętrze. Kassabian pożegnał się z nim i dodał, że zobaczą się na lunchu. Kiedy sędzia został w końcu sam, zdjął szybko taktyczny pas podróżny i wyjął z ukrytych

kieszonek małe plastikowe torebki. Ukrył w nich dwa zestawy tabletek, które miały mu się później przydać. Schował je pod komodą.

Wkrótce zapukał do jego drzwi pracownik ośrodka i wręczył mu kilka koszul nocnych i ręczników. Zaczekał, aż Bannick przebierze się w łazience, po czym zabrał jego obuwie i cywilne ubranie łącznie z taktycznym pasem.

Bannick wziął prysznic, włożył koszulę, wyciągnął się na łóżku i zasnął.

...

Lacy, Jeri i Allie podrzucili Gunthera na lotnisko i patrzyli, jak kołuje po pasie i startuje. Kiedy odleciał, mieli ochotę to uczcić. Pojechali do biura FBI i spotkali się z Clayem Vidovichem i dwoma innymi agentami. Jeri podpisała zeznanie, w którym relacjonowała swoje weekendowe spotkanie z Bannickiem. Wydano nakaz jego aresztowania za porwanie, który miał obowiązywać w całym kraju z wyjątkiem zachodniej Florydy. Byli pewni, że Bannick nie ukrywa się w okolicy, i nie chcieli alarmować jego kolegów i znajomych.

Vidovich zapoznał ich z wynikami poszukiwań w domu i w sądzie. Niepokoiło go, że nie znaleziono kolejnych odcisków palców. FBI przeszukało także należące do niego nieruchomości, jak na razie bez rezultatu.

Po jakimś czasie dołączyli do nich kolejni agenci. Zdjęto krawaty, zakasano rękawy, poluzowano kołnierzyki. Widać było, że w ciągu weekendu wszyscy ciężko harowali. Lacy zadzwoniła do Darrena i poprosiła, żeby do nich dołączył. Sekretarki przyniosły tace z kawą, wodą mineralną i ciastkami.

O dziesiątej Vidovich oficjalnie otworzył odprawę i sprawdził, czy pracują dwie kamery wideo.

– Robimy to wyłącznie dla celów informacyjnych – zaznaczył. – Ponieważ nie jesteś podejrzana, Jeri, nie musimy odczytywać ci formuły Mirandy.

– Mam nadzieję, że nie jestem – odparła i wszyscy się roześmiali.

– Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że gdyby nie ty, w ogóle nas by tu nie było. Twoja detektywistyczna robota w ciągu minionych dwudziestu lat była naprawdę najwyższej próby. Graniczy z cudem i nigdy się jeszcze z czymś takim nie spotkałem. A zatem w imieniu rodzin ofiar i wszystkich służb policyjnych serdecznie ci dziękuję.

Jeri pokiwała z zakłopotaniem głową i spojrzała na Lacy.

– Nie został jeszcze złapany – powiedziała.

– Złapiemy go.

– Mam nadzieję, że wkrótce.

– Chciałbym, żebyś zaczęła od początku – poprosił Vidovich. – Wiele kwestii będzie się powtarzać, ale zrób nam tę przyjemność.

Jeri rozpoczęła od śmierci ojca i tego, co po niej nastąpiło: śledztwo stojące w miejscu, długie miesiące bez żadnego kontaktu ze strony policji, zero postępów i niczego, co mogłoby zostać uznane za motyw. Przez parę lat próbowała sobie odpowiedzieć na to pytanie. Kto w świecie Bryana Burke'a wyrażał się o nim kiedykolwiek w negatywny sposób? Nikt z rodziny, żaden z kolegów, być może kilku studentów. Nie prowadził interesów, nie miał współników, kochanek, żaden zazdrosny mąż nie mógł mu mieć niczego za złe. Zainteresowała się w końcu Rossem Bannickiem, ale od początku wiedziała, że to tylko luźne spekulacje. Nie miała żadnego dowodu, nic oprócz swojej nadpobudliwej wyobraźni. Badała jego przeszłość, szczegóły kariery, kiedy był młodym adwokatem w Pensacoli,

i powoli zaczęła się skupiać wyłącznie na nim. Wiedziała, gdzie mieszka, gdzie pracuje, gdzie chodzi do kościoła i gdzie gra w weekend w golfa.

W „Pensacola Ledger” trafiła na stary artykuł na temat zabójstwa Thada Leawooda, mieszkańca Pensacoli, który wyjechał stamtąd w podejrzanych okolicznościach. Powiązała go z Bannickiem dzięki danym, które uzyskała z komendy skautów. Kiedy po jakimś czasie zobaczyła zdjęcia z miejsca zbrodni, kolejny kawałek układanki znalazł się na swoim miejscu.

Opowiadając o tym, nie mogła przestać masować nadgarstków.

– Z mojego dochodzenia wynika, że następną ofiarą była Ashley Barasso w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym – powiedziała. – Ale w sobotę Bannick twierdził, że jej nie zamordował.

Vidovich pokręcił głową i spojrzał na agenta Murraya, który również bardzo w to wątpił.

– Bannick kłamie – powiedział. – Mamy akta tego zabójstwa. Taki sam sznur, taki sam węzeł, taka sama metoda. Poza tym znali się z wydziału prawa Uniwersytetu Miami.

– To samo mu powiedziałam – dorzuciła Jeri.

– Dlaczego miałby się tego wypierać? – zapytał Vidovich, zwracając się do wszystkich obecnych.

– Mam pewną teorię – powiedziała Jeri i upiła łyk kawy.

– Nie wątpię – odparł z uśmiechem Vidovich. – Chętnie ją poznamy.

– Ashley zginęła w wieku trzydziestu lat, była jego najmłodszą ofiarą. Miała dwoje maleńkich dzieci, w wieku osiemnastu i trzech miesięcy. Były w domu, kiedy doszło do zabójstwa. Być może je widział. Może ten jeden raz w życiu dopadły go wyrzuty sumienia. Może to jedyne morderstwo, po którym nie mógł się otrząsnąć.

– Moim zdaniem to ma sens – przyznał Vidovich. – Jeśli cokolwiek z tego ma sens.

– W jego chorym umyśle wszystko jest racjonalne. Nie przyznał się do żadnego zabójstwa, ale powiedział, że dwa uszły mojej uwagi.

Murray przekartkował jakieś papiery.

– Być może trafiliśmy na jedno, które pani przegapiła – oznajmił. – W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym w Decatur w Alabamie został zamordowany niejaki Preston Dill. Miejsce zbrodni wygląda podobnie. Żadnych świadków ani śladów, taki sam sznur i węzeł. Nadal to badamy, ale wygląda na to, że Dill mieszkał kiedyś w rejonie Pensacoli.

– Cieszę się, że to przegapiłam – mruknęła Jeri, kręcąc głową.

– To daje nam co najmniej pięć ofiar związanych z tym rejonem, choć kiedy Bannick je zabijał, żadna z nich tu nie mieszkała – wtrąciła agentka Neff.

– A wcześniej ich ścieżki skrzyżowały się z Bannickiem. Żyli tutaj dostatecznie długo, żeby mieć z nim styczność.

– Zastanawiam się, czy ktokolwiek, ktokolwiek poza tobą, Jeri, połączyłby ze sobą te zabójstwa – powiedziała Neff.

W tym momencie wszyscy umilkli. Odpowiedź była oczywista.

Rozdział 42

Ostatni posiłek zjadł samotnie. Kuchnię otwierano o siódmej i pojawił się tam pięć minut później. Zamówił jajecznicę na pszennej grzance, nalał sobie szklankę soku grejpfrutowego, wyszedł z tacą na patio, usiadł pod parasolem i obserwował wspaniały wschód słońca nad odległymi górami. Ranek był spokojny i cichy. Inni pacjenci, z których żadnego nie miał ochoty poznać, budzili się, by zacząć kolejny cudowny, trzeźwy dzień.

Był pogodzony ze światem, w czym znacznie pomogły dwie tabletki diazepamu, które zażył przed śniadaniem. Jadł powoli i ze smakiem. Potem odniósł tacę i wrócił do swojego pokoju. Na drzwiach wisiał plan jego zajęć na ten dzień. O dziewiątej grupowa wycieczka, o wpół do jedenastej sesja wsparcia psychologicznego, potem lunch i tak dalej.

Bannick rozłożył papiery i zabrał się do dzieła. Włożył silikonowe rękawiczki i dokładnie wytarł wszystkie powierzchnie w pokoju i łazience. Wyjął spod komody małe opakowania z tabletkami, wrócił do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Zakorkował umywalkę, nalał dziesięć centymetrów wody i wsypał do niej dwa opakowania kwasu solnego w tabletkach. Natychmiast weszły w reakcję z wodą i po kilku sekundach sprawiała wrażenie wrzącej. Z dwóch pozostałych paczuszek wysypał czterdzieści tabletek oksykodonu, po trzydzieści miligramów każda, i połknął wszystkie, popijając wodą z papierowego kubka. Wyrzucił puste paczuski i rękawiczki do toalety, spuścił wodę, po czym wziął mały

ręcznik, przygryzł go zębami, żeby stłumić okrzyk bólu, i włożył wszystkie dziesięć palców rąk w musujący kwas. Ból był natychmiastowy i przenikliwy. Bannick jęknął i skrzywił się, ale nadal trzymał palce w kwasie, który spalił pierwszą warstwę skóry i zaczął niszczyć następną. Miał wrażenie, jakby dłonie płonęły mu żywym ogniem, i zaczęło mu się robić słabo. Kiedy ugięły się pod nim kolana, odkorkował umywalkę, otworzył drzwi łazienki i powłókł się do pokoju. Padł na łóżko, wypluł z ust ręcznik i wsunął dłonie pod kołdrę. Przestało go boleć, kiedy stracił przytomność.

...

Diana była w recepcji, kiedy o dziesiątej trzydzieści pięć dostarczono jej przesyłkę FedExu. Rzuciwszy okiem na nazwisko nadawcy, zabrała ją od razu do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Przez trzy dni z rzędu biuro było obleżone przez ekipę obcesowych, chwilami nawet niegrzecznych techników FBI. Potrzebowała odrobiny prywatności.

Drżącymi rękami rozerwała taśmę i wyjęła z przesyłki biurową kopertę. W środku były cztery kartki formatu A4. Na pierwszej był list do niej:

Droga Diano.

Kiedy to przeczytasz, będę już martwy. Przepraszam, że Cię tym obciążam, ale nie mam nikogo innego. Zadzwoń, proszę, do doktora Josepha Kassabiana w klinice Pecos Mountain Lodge niedaleko Santa Fe i poinformuj go, że jesteś moją sekretarką, wykonawczynią testamentu oraz jedyną spadkobierczynią. Na mocy załączonej ostatniej woli i testamentu jesteś zobowiązana do bezzwłocznego przeprowadzenia kremacji moich zwłok i rozrzucenia prochów w Pecos Mountains, tu, w Nowym Meksyku. Pod żadnym pozorem nie pozwól, żeby moje ciało zostało przewiezione z powrotem do

stanu Floryda, i nie zgadzaj się na sekcję zwłok. Jutro prześlij Jane Kemper z „Pensacola Ledger” załączoną informację dla prasy. Postaraj się maksymalnie długo nie zawiadamiać policji.

Ross

Diana jęknęła, stłumiła krzyk i wypuściła z rąk kartki. Po chwili, płacząc, podniosła je z podłogi. Na drugiej kartce był nagłówek *Informacja dla prasy*.

Dziś rano w klinice niedaleko Santa Fe w Nowym Meksyku, w której był leczony na raka jelita grubego, zmarł sędzia sądu okręgowego Ross Bannick. Miał 49 lat. Przez ostatnie dziesięć lat sędzia Bannick z dumą służył obywatelom i obywatelkom Dwudziestego Drugiego Okręgu Sądowego. Urodzony w Pensacoli, mieszkał w Cullman. Ukończył Uniwersytet Florydy oraz wydział prawa Uniwersytetu Miami. Zanim w roku 2004 wybrano go na urząd sędziego, przez prawie piętnaście lat prowadził praktykę adwokacką w Pensacoli. Był zaprzysięgłym kawalerem, a jego rodzice, doktor Herbert Bannick z żoną, zmarli wcześniej. Pozostawił siostrę, Katherine LaMott, mieszkającą w Savannah w Georgii. Zamiast kwiatów rodzina prosi o wpłaty na rzecz Amerykańskiego Stowarzyszenia Walki z Rakiem. Nabożeństwa żałobnego nie będzie.

Na górze trzeciej kartki był napis: *Ostatnia wola i testament Rossa L. Bannicka.*

Ja, Ross Bannick, będąc w pełni świadomy i zdrow na umyśle, spisuję niniejszym ten akt i deklaruję, że jest to moja ostatnia wola i testament, które nieodwołalnie unieważniają wszelkie

wcześniejsze. Dokument ten jest sporządzony wyłącznie przeze mnie i pod każdym możliwym względem ma być traktowany jako moja ostatnia, spisana własną ręką wola.

1. Na wykonawczynię testamentu wyznaczam moją oddaną przyjaciółkę, Dianę Zhang, i zobowiązuję ją do jak najszybszego zatwierdzenia go w sądzie.

2. Instruuje niniejszym wykonawczynię mej ostatniej woli, by skremowała moje zwłoki i rozsypała prochy w Pecos Mountains nieopodal Santa Fe.

3. Przekazuję, darowuję i zapisuję wszystkie moje aktywa Dianie Zhang.

4. Poza regularnymi comiesięcznymi rachunkami aktywa te nie są w żaden sposób obciążone. Niniejszym załączam ich listę.

Podpisano: Ross L. Bannick

Do testamentu podpięta była czwarta kartka, na której wyszczególniono osiem kont bankowych z ich przybliżonymi saldami, dom w Cullman wyceniony na siedemset tysięcy dolarów, bungalow przy plaży wart pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, dwa należące do korporacji centra handlowe oraz portfel akcji wyceniany na dwieście czterdzieści tysięcy dolarów.

Diana Zhang przez dłuższy czas nie mogła się poruszyć ani zebrać myśli. Radość, którą mogłaby odczuwać na myśl o odziedziczeniu tak dużych środków, była tłumiona przez grozę tego, co się stało.

Udało jej się znaleźć stronę internetową Pecos Mountain Lodge. Klinika terapii uzależnień? Nic nie układało się w sensowną całość. Wybrała numer i dowiedziała się, że doktor Kassabian nie jest w tym momencie dostępny. Nie dała się spławić; oświadczyła, że sprawa jest bardzo pilna. Kiedy w końcu odebrał, wyjaśniła, kim jest i o co chodzi. Doktor potwierdził zgon

Bannicka, dodał, że nastąpił w wyniku przedawkowania, i spytał, czy mogłaby zadzwonić później. Nie, nie mogłaby. Kassabian zgodził się na dłuższą rozmowę, która zakończyła się w chwili przyjazdu koronera.

Diana odnalazła wizytówkę agentki Neff i zadzwoniła do FBI.

...

Klinika Pecos Mountain była przyjemnym azylem, w którym uzależnieni zaczynali nowe życie, a nie miejscem, do którego przyjeżdżali, by umrzeć. Doktorowi Kassabianowi nigdy jeszcze nie zmarł pacjent i nie bardzo wiedział, co ma robić. W żadnym wypadku nie chciał, by to traumatyczne wydarzenie odbiło się na innych pacjentach. W trakcie drugiej rozmowy telefonicznej pani Zhang wspomniała o kremacji i wyjaśniła, że ma wyraźne wskazówki od zmarłego w kwestii postępowania z jego zwłokami, zdrowy rozsądek wskazywał jednak, że powinien zachować ciało i pokój zmarłego w nienaruszonym stanie do przybycia policji. Gdy pojawili się dwaj agenci z oddziału FBI w Santa Fe, niezbyt go to ucieszyło, ale przyjął z ulgą to, że ktoś inny będzie teraz podejmował decyzje.

– Cóż, myślę, że panowie nieco się spóźnili – mruknął, kiedy poinformowali go, że sędzia Bannick jest poszukiwany za porwanie.

Agenci weszli do pokoju Bannicka i popatrzyli na zwłoki.

– Nasi technicy są już w drodze – powiedział jeden z nich. – Będziemy chcieli pobrać od niego odciski palców.

– Z tym może być problem. – Doktor Kassabian złapał za róg kołdry i powoli ją odsunął. Dłonie Bannicka były groteskowo spuchnięte, palce czarne od kwasu. Paznokcie roztopiły się i odpadły. Rdzawego koloru ciecz poplamiała koszulę nocną i pościel. – Wygląda na to, że się was spodziewał.

– W porządku – mruknął drugi agent. – Proszę niczego nie ruszać.

– Bez obaw.

Rozdział 43

Clay Vidovich zadzwonił, kiedy Jeri, Lacy i Allie kończyli lunch w kafejce w centrum. Szybko dotarli do biura FBI w budynku federalnym i zaczekali na niego w sali konferencyjnej. Vidovich wpadł tam razem z agentami Neff i Suarezem i było oczywiste, że mają coś ważnego do powiedzenia.

– Ross Bannick nie żyje – oznajmił, nie siadając. – Zmarł najprawdopodobniej w wyniku przedawkowania w klinice leczenia uzależnień niedaleko Santa Fe.

Jeri osunęła się na krzesło i schowała twarz w dłoniach. Lacy była zbyt skonsternowana, żeby się odezwać.

– Został tam przyjęty wczoraj rano – ciągnął Vidovich – a dziś mniej więcej przed trzema godzinami znaleziono go martwego w pokoju. Nasi agenci potwierdzili wszystko na miejscu.

– Co z odciskami? – zapytał Allie.

– Bliżej nie wiadomo. Dostałem tylko wideo od jednego z naszych agentów. Chcecie je zobaczyć?

– Co przedstawia? – zapytała Lacy.

– Nakręcił je nasz człowiek w klinice uzależnień. Jest nieco drastyczne.

Jeri otarła oczy i przygryzła wargę.

– Chcę je zobaczyć – oświadczyła.

Agent Murray wcisnął kilka przycisków na tablecie i na dużym ekranie za jego szefem zaczął się film. Vidovich odsunął się na bok i wszyscy wbili wzrok w to, co nakręcono smartfonem. Bannick leżał na brzuchu, nieogolony, z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami, z których sączyła się jakaś biała ciecz, martwy jak kamień. Kamera przesunęła się powoli po jego ciele i zatrzymała przy dłoniach, które wsunął pod krocze.

– Prawdopodobnie tuż przed śmiercią zanurzył palce w kwasie – skomentował Vidovich.

– Sukinsyn – wymamrotał Allie dość głośno, by wszyscy to usłyszeli.

Kamera zrobiła zbliżenie palców i Lacy odwróciła wzrok.

– Pytaliście o odciski – powiedział Vidovich. – Możemy mieć z tym problem. Uszkodzenia są w oczywisty sposób poważne, a po śmierci rany już się nie zagoją. Wygląda na to, że dobrze wiedział, co robi.

– Możecie zatrzymać to nagranie? – poprosiła Lacy.

Agent Murray spełnił jej prośbę.

– Wyjaśnijmy to sobie – powiedziała. – Bannick najwyraźniej próbował się okaleczyć, żeby nie dopuścić do zdjęcia odcisków palców, co, jak rozumiem, jest możliwe nawet po śmierci.

– Owszem, robi się to bardzo często, pod warunkiem że dłonie i palce są w przyzwoitym stanie – potwierdziła agentka Neff.

– Okej. Więc skoro chciał zniszczyć swoje odciski palców, które już wcześniej w jakiś sposób zmienił... można chyba uznać, że wiedział o częściowym odcisku kciuka?

– Właśnie – potwierdził z uśmiechem Vidovich. – Bannick dowiedział się w jakiś sposób, że mamy jego odcisk.

Wszyscy spojrzeli na Jeri, a ta pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia jak – mruknęła.

– Dlaczego tak mu zależało? – zapytał Allie. – Skoro i tak planował samobójstwo, dlaczego martwił się tym, że przypiszemy mu te zabójstwa?

– Zależało mu na ratowaniu reputacji. Nie chciał zhańbić pamięci rodziców, zaprzepaścić wszystkiego, na co przez całe życie pracował – odparła Jeri. – Miał w sobie pragnienie śmierci, co u seryjnych zabójców nie jest czymś niezwykłym. Nie mogą z własnej woli przestać robić tego, co robią, więc chcą, żeby ktoś ich powstrzymał.

– Silne pragnienie śmierci mieli najsłynniejsi zabójcy – zgodził się Vidovich. – Bundy, Gacy. To dość typowe.

– Czy możemy puścić to nagranie od początku? – poprosiła Jeri.

Murray zrobił to i znowu zobaczyli upiorną twarz Bannicka.

– Niech pan zatrzyma kadr – rzuciła. – Chcę zobaczyć, że jest martwy. Czekałam na to bardzo długo.

Vidovich spojrział na Lacy i Alliego.

– Możemy mieć tu do czynienia z trudną sytuacją – odezwał się po chwili. – Bannick najwyraźniej sporządził nowy testament z bardzo konkretnymi instrukcjami. Chce zostać natychmiast skremowany, a jego prochy mają zostać rozrzucone w tamtejszych górach. Wzruszające. My oczywiście chcemy zachować ciało, żeby za wszelką cenę uzyskać odcisk kciuka. Problem polega na tym, że nie znajduje się ono do końca pod naszą pieczę. Nie można aresztować trupa. Nasz nakaz stracił ważność w chwili jego śmierci. Rozmawiałem właśnie z działem prawnym w Waszyngtonie. Na razie są w kropce.

– Nie możecie pozwolić na kremację – powiedziała Lacy. – Załatwcie nakaz sądowy.

– Najwyraźniej nie jest to takie proste. W którym sądzie? Na Florydzie czy w Nowym Meksyku? Nie ma prawa, które nakazywałoby przewiezienie zwłok, żeby pogrzebać je w rodzinnym stanie. Ten facet wszystko

zaplanował i nakazał wykonawczynie testamentu przeprowadzenie kremacji przed sekcją zwłok.

Jeri, która nadal wpatrywała się w ciało na ekranie, pokręciła głową.

– Nawet z za grobu niszczy nasze życie – mruknęła.

– Ale jest już po wszystkim, Jeri. – Lacy dotknęła jej ramienia.

– To się nigdy nie skończy. Bannick nie stanie przed obliczem sprawiedliwości. Te zabójstwa uszły mu na sucho.

– Nieprawda. Jest martwy i nigdy już nikogo nie zabije.

Jeri prychnęła i odwróciła głowę.

– Chodźmy stąd – rzuciła.

...

Allie wysadził je przy apartamencie Lacy i pojechał do siebie. Dostał wezwanie na kolejną misję do Orlando, ale w trakcie dość nieprzyjemnej rozmowy z oficerem prowadzącym poinformował go, że musi przez kilka dni zostać w domu.

Kobiety usiadły w salonie i próbowały zmierzyć się z sytuacją. Co mogło się jeszcze wydarzyć? Co mogło przyćmić wiadomość o śmierci Bannicka?

Jeżeli nie uda się znaleźć niczego, co pasowałoby do częściowego odcisku kciuka, nie będzie żadnego fizycznego dowodu wiążącego go z zabójstwami Verna i Dunwoody'ego.

Co do innych zabójstw, mieli tylko motyw i metodę. Skazanie na podstawie tak wątpliwych poszlak wydawało się niemożliwe. Teraz, kiedy już nie żył, żadna policja – lokalna, stanowa ani federalna – nie będzie traciła czasu na prowadzenie śledztwa. Te sprawy leżały zresztą na półce od dziesięcioleci. Po co więc ekscytować się nimi teraz? Jeri była przekonana,

że przyjmą z satysfakcją wiadomość o domniemanej winie Bannicka, poinformują rodziny i pozamykają skutecznie dawne sprawy.

Komentarze, zaprzeczenia i kręactwa, zaprezentowane przez niego w mrocznym wnętrzu chaty w lasach Alabamy, nie miały dla policji większej wartości. Nic z tego nie mogło zostać przytoczone w sądzie, a Bannick bardzo uważał, żeby nie przyznać się otwarcie do przestępstw. Był w końcu sędzią procesowym.

Jeri chwilami wpadała w gniew, chwilami była niepoczyszona. Dzieło jej życia dobiegło końca w nagły i niesatysfakcjonujący sposób. Chociaż martwy, Bannick odchodził z tego świata właściwie bez skazy. Zarzut porwania, jeśli w ogóle zostanie upubliczniony, spotęguje tylko zamęt i nic z niego nie wyniknie. Towarzyszące mu okoliczności nie wyjdą na jaw. Bannicka nie aresztowano. Jego nazwisko nigdy nie zostanie powiązane z ofiarami zabójstw.

Przeżywała jednak również chwile widocznej ulgi. Potwór nie podążał już jej tropem. Nie żyła dłużej pod tym samym niebem co Bannick, mężczyzna, którego nienawidziła tak mocno, że stał się częścią jej życia. Nigdy nie będzie go jej brakować, ale czy zdoła wypełnić czymś puste miejsce?

Przeczytała gdzieś, że często zaczynamy podziwiać, a nawet kochać to, czego tak obsesyjnie nienawidzimy. To coś staje się nam tak bliskie, że zaczynamy od tego zależeć, zaczynamy tego potrzebować. To nas definiuje.

O wpół do trzeciej do drzwi mieszkania zapukał agent FBI i poinformował Lacy, że przyznana jej niewielka ochrona została odwołana. Niebezpieczeństwo minęło, teren był czysty.

Jeri zapytała, czy może spędzić u niej jeszcze jedną noc. Nie od razu mogła się w pełni zrelaksować. Chciała wybrać się na długi spacer, sama, po kampusie i centrum miasta. Chciała rozkoszować się swobodą

poruszania się bez zerkania przez ramię, bez obaw, bez myślenia o nim. A kiedy Lacy wróci z biura, ugotują razem kolację. Jeri przestała gotować przed wielu laty, kiedy wszystkie wieczory wypełniła jej misja.

Lacy oczywiście się zgodziła. Po jej wyjściu Jeri usiadła na sofie i powtarzała sobie, że Bannick nie żyje.

Świat stał się lepszym miejscem.

Rozdział 44

Diana Zhang nigdy nie sądziła, że będzie wykonawczynią czyjejs ostatejnej woli. Jako sekretarka sędziego wiedziała wystarczająco dużo na temat czynności związanych z zatwierdzaniem testamentu, by starać się tego unikać. Teraz, kiedy wbrew własnej woli obarczona została przez byłego szefa zadaniem, które już na pierwszy rzut oka wydawało się skomplikowane, trudne, a może i niemożliwe do wykonania, starała się ze wszystkich sił odnaleźć w nowej roli.

Silną motywacją była czwarta kartka, ta z listą aktywów. Dianie nigdy nie przyszło do głowy, że sędzia Bannick umrze – był taki młody – a tym bardziej, że zapisze jej coś w spadku. Kiedy ustąpił pierwszy szok po jego śmierci, nie mogła nie zacząć myśleć o niespodziewanym prezencie od losu.

Szczerze mówiąc, miała w nosie to, czy zostanie poddany kremacji i gdzie go pochowają, zwłaszcza że czuła na karku oddech FBI. Agenci poprosili ją, żeby wstrzymała się z planami pogrzebu i właściwie ze wszystkim innym. Nie było powodu do pośpiechu. Bannick leżał gdzieś w odległej kostnicy i skoro FBI chciało zwlekać, nie miała nic przeciwko temu. Obiecali, że nie będą nic robić z jego ciałem, jeśli pozwoli im dokładnie i wszechstronnie sfotografować ręce i palce.

W środowym wydaniu „Pensacola Ledger” przytoczono w całości jej wypowiedź. Po kilku ciepłych słowach na temat byłego szefa oświadczyła,

że od pewnego czasu chorował, ale był zbyt skryty, by o tym mówić. Wszyscy pracownicy sądu byli zszokowani i zasmuceni, podobnie jak jego koledzy i członkowie palestry. Artykuł zajął całą dolną połowę pierwszej strony i został opatrzony zdjęciem Bannicka w młodszym wieku. Nie wspomniano o nakazie aresztowania za porwanie.

...

Do południa w środę agentom FBI udało się odnaleźć i przeszukać SUV-a pozostawionego na długoterminowym parkingu przy lotnisku w Birmingham, a także wynajęte w Avisie auto, zaparkowane w Pecos Mountain Lodge. Oba pojazdy, co nie było zaskoczeniem, zostały starannie wyczyszczone i nie znaleziono w nich żadnych odcisków palców. Wysłana do Diany koperta FedExu była pokryta odciskami, ale żaden nie pasował do częściowego odcisku kciuka zdjętego z telefonu Verna. Chata przy jeziorze Gantt została dokładnie przeczesana i nie dostarczyła dowodów. Każdy centymetr kwadratowy jego pokoju w klinice został dwukrotnie sprawdzony, bez sukcesu. Pielęgniarz zeznał, że widział Bannicka kilka razy i ten zawsze miał na dłoniach rękawiczki.

Ekipa najlepszych ekspertów Biura od odcisków palców pofatygowała się do Santa Fe i zbadała jego palce. Wszystkie były kompletnie rozgotowane w kwasie i pozbawione wszelkich odcisków. Ponieważ ciało miało zostać skremowane, Vidovich podjął decyzję o amputowaniu dłoni i przewiezieniu ich do laboratorium. Poinformował o tym Dianę Zhang. Ta z początku była zszokowana, agent nie ustępował jednak; dowodził, że nie ma to żadnego znaczenia, bo ostatecznie skremowane zostaną zarówno dłonie, jak i reszta ciała. Kiedy nadal się wahała, zagroził, że dostanie wezwanie do sądu federalnego.

Diana miała serdecznie dość swojej nowej roli. Im dłużej Bannick leżał w kostnicy, tym więcej było z nim problemów. Wiedziała, że z dłońmi czy bez nich, i tak nigdy nie zobaczy ciała. Spoczywało w odległości dwóch tysięcy kilometrów i tak było dobrze. Gdy zgodziła się w końcu na amputację, dłonie zostały odcięte i przekazane do laboratorium kryminalistycznego w Clarksburgu w Wirginii Zachodniej.

To, co zostało z sędziego Rossa Bannicka, zawieziono do krematorium w Santa Fe, we właściwy sposób spopielono i wsypano do plastikowej urny, którą przedsiębiorca pogrzebowy odłożył na półkę, gdzie miała czekać aż do otrzymania dalszych instrukcji.

...

Lacy rozmawiała w ciągu dnia z Vidovichem i przekazała wiadomości Jeri, która zapragnęła nagle wracać do domu.

Agenci FBI przeszukali jej samochód i nie znaleźli odcisków Bannicka, ale odkryli przymocowany obok baku nadajnik GPS. Wysłano go do Clarksburga.

Wywożąc Jeri do chaty, Bannick zabrał jej małą torbę z rzeczami i pistolet, ale zostawił w motelu telefon i laptopa. Domyślała się, że nie chciał, by namierzono go dzięki tym urządzeniom. Zostawił również jej torebkę i klucze. Nie była mu potrzebna karta kredytowa Jeri i niewielka ilość gotówki. Miał do dyspozycji własny samochód, choć nigdy go nie zobaczyła.

Ci sami dwaj przystojni agenci, którzy przywieźli ją w niedzielę ze szpitala, pojawili się w Tallahassee z jej toyotą camry i rzeczami. Kazano im eskortować ją aż do Mobile i załatwić wymianę zamków w domu. Kiedy zapewniła, że nie ma takiej potrzeby, niechętnie odjechali.

Po kolacji z Lacy i Alliem uściskała ich oboje, jeszcze raz z całego serca podziękowała, obiecała, że wkrótce znowu się zobaczą, po czym ruszyła do odległego o cztery godziny drogi Mobile. Wyjeżdżając z Tallahassee, przekręciła lusterko wsteczne tak, żeby w nie bez przerwy nie zerkać. Niektóre nawyki trudno będzie wykorzenić.

W jej głowie panował zamęt, nastrój co chwila radykalnie się zmieniał. Miała szczęście, że żyła; obolałe nadgarstki stale przypominały jej, jak mało brakowało. Cały ten epizod, choć przerażający, zakończył się jednak w jasny sposób. Przypadek zdecydował, że uniknęła pewnej śmierci. Dane jej było żyć dalej, lecz w jakim celu? Miała poczucie, że jej dochodzenie nie zostało zakończone, ale gdzie była meta? Uśmiechała się na myśl, że Bannick nie żyje z nią pod tym samym niebem, zgrzytała jednak zębami, gdy docierało do niej, że uszły mu na sucho wszystkie zbrodnie. Nigdy nie będzie musiał spojrzeć w twarz bliskim ofiar, nie stanie w kajdanach i pomarańczowym więziennym kombinezonie przed obliczem sprawiedliwości. Nie zazna upokorzeń, które spotkałyby go, gdyby na pierwszych stronach gazet ukazało się jego aresztanckie zdjęcie, gdyby odwrócili się od niego przyjaciele, gdyby pozbawiono go urzędu, skazano za ohydne zbrodnie i wsadzono za kratki. Nie przejdzie do historii jako pierwszy amerykański sędzia skazany za zabójstwo, nie będzie zapamiętany jako legendarny seryjny zabójca. Nie będzie gnił w więziennej celi, tak jak na to zasłużył.

Bez dalszych dowodów jego winy rodziny ofiar nie dowiedzą się, kto zabił ich bliskich. Znała nazwiska tych ludzi, znała je wszystkie. Rodzice i rodzeństwo Eileen Nickleberry; dwoje obecnie już dwudziestoletnich dzieci Ashley Barasso; wdowa po Perrym Kronke'u oraz jego dwóch synów; rodzina Mike'a Dunwoody'ego, jedynej przypadkowej ofiary,

o której wiedziała; dzieci Danny'ego Clevelanda; krewni Lanny'ego Verno i Mala Schnetzera.

A co powie członkom własnej rodziny – starszemu bratu Alfredowi w Kalifornii i Denise w Michigan? Czy zakłóci spokój ich ducha trudną do uwierzenia opowieścią o tym, że odnalazła zabójcę, ale udało mu się ujść sprawiedliwości?

Tylko właściwie dlaczego miałyby się tym przejmować? Rozmawiała z bratem i córką o zabójstwie ojca wyłącznie wtedy, kiedy sama poruszała ten temat.

Żeby nie popadać w przygnębienie, przypomniła sobie, że sprawa nie jest zamknięta. Zaangażowało się w nią w pełnym wymiarze FBI i musiał nastąpić jakiś przełom. Bannick mógł jeszcze zostać powiązany z jednym albo kilkoma zabójstwami. Jeśli uda się przypisać mu choć jedno, FBI z pewnością poinformuje o tym lokalnych gliniarzy, a ci powiadomią bliskich. Sprawiedliwości nigdy nie stanie się zadość, ale niektóre z rodzin znajdą być może jakieś ukojenie, kiedy dowiedzą się prawdy.

Dla Jeri ukojenie wydawało się niemożliwe.

Rozdział 45

W czwartek rano Lacy i jej grupa zadaniowa spotkali się po raz ostatni. Kiedy wkładali akta Bannicka do szuflady z napisem *Zakończone*, w interkombie odezwała się Felicity i poinformowała, że jest pilny telefon. Sadelle rozkoszowała się akurat tlenem, a Darren rozważał, czy ma przynieść duże, czy małe latte.

– To Betty Roe. Mówi, że to ważne – dodała Felicity.

Lacy przewróciła oczami i westchnęła sfrustrowana. Miała nadzieję, że uda jej się spędzić kilka dni, nie słysząc głosu Jeri, tak naprawdę jednak nie była zaskoczona. Darren ruszył ku drzwiom, żeby skoczyć po kawę. Sadelle zamknęła oczy, jakby chciała uciąć sobie kolejną drzemkę.

– Dzień dobry, Betty – powiedziała Lacy.

– Możemy chyba skończyć z Betty, prawda?

– Jasne. Jak się dzisiaj miewasz, Jeri?

– Cudownie. Czuję się o dwadzieścia kilo lżejsza i nie mogę przestać się uśmiechać. Świadomość, że go nie ma, jest balsamem na moje serce, ciało i umysł. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wspaniałe uczucie.

– Miło słyszeć. To trwało bardzo długo.

– To trwało całe życie. Żyłam z tym psycholem przez długie lata. Mimo to nie mogłam, niestety, zasnąć. Nie spałam przez całą noc, bo myślałam o czymś i potrzebuję twojej pomocy. Najlepiej twojej i Alliego.

- Allie wyjechał dziś rano, udając się w nieznanym kierunku.
- W takim razie zabierz ze sobą Darrena. Przypuszczam, że to twój kolejny dostępny biały facet.
- Chyba tak. Gdzie mam go zabrać?
- Do Pensacoli.
- Słucham cię, ale zaczynam być sceptyczna.
- Nie bądź. Zaufaj mi. Zasłużyłam chyba na twoje zaufanie.
- Zasłużyłaś.
- To dobrze. Zostaw to, co w tej chwili robisz, i ruszaj w drogę.
- Okej, nie bardzo mi się to podoba, ale słucham cię dalej. Pensacola nie jest raczej tuż za rogiem.
- Wiem, wiem. Godzina jazdy dla mnie, trzy godziny dla ciebie, ale sprawa jest kluczowa. To może być gwóźdź do jego trumny.
- Mówiąc metaforycznie. Bo Bannick nie potrzebuje już trumny.
- Racja. Posłuchaj, Lacy, znalazłam pick-upa.
- Jakiego pick-upa?
- Tego, którego Bannick prowadził, kiedy zabił Verna i Dunwoody'ego w Biloxi. Tego, którego widział ten stary facet siedzący na werandzie w Neely w Missisipi, kiedy Bannick wrzucał do skrzynki pocztowej kopertę z telefonami. Właśnie tego pick-upa.
- I co z tego? – zapytała powoli Lacy.
- To z tego, że nie zdjęto z niego odcisków palców.
- Zaczekaj. Wydaje mi się, że Darren namierzył ten samochód.
- Tak jakby. To jasnoszary półtonowy pick-up z dwa tysiące dziewiątego roku, kupiony przez Bannicka w dwa tysiące dwunastym. Miał go przez dwa lata, korzystał z niego, popełniając zabójstwa w Biloxi, i miesiąc później sprzedał go w komisie. Kupił go niejaki Trager i jeździł

nim przez dwa miesiące do momentu, kiedy najechał na niego pijany kierowca. Ubezpieczyciel wypłacił Tragerowi odszkodowanie, przejął wrak i sprzedał go na złom. Tak powiedziałaś mi trzy tygodnie temu.

– Zgadza się, teraz sobie przypominam. Darren doszedł do wniosku, że to ślepa uliczka.

– No więc niezupełnie. Wrak został sprzedany nie na złom, ale na części. Wydaje mi się, że zlokalizowałam go na złomowisku pod Milton, na północ od Pensacoli. Masz Google Maps?

– Oczywiście.

– Świetnie. Przyślę ci link do Dusty's Salvage pod Milton. Kupują tam wraki od ubezpieczycieli i sprzedają wymontowane z nich części. Dziewięć hektarów porozbijanych pojazdów. Namierzyłam rzeczoznawcę, który zajmował się szkodą Tragera. Jest przekonany, że ten pick-up trafił do Dusty's Salvage.

– I co ja mam z tym zrobić? – zapytała Lacy, spodziewając się najgorszego.

– Już ci mówię. Nasza trójka... ty, ja i Darren... odnajdzie ten wóz i mu się przyjrzy. Jeśli Bannick jeździł nim przez dwa lata, mogą tam być jego odciski. Nie wytarł ich, bo nie wiedział o odcisku kciuka na telefonie Verna. Sprzedał pick-upa kilka miesięcy wcześniej.

– Dziewięć hektarów?

– Daj spokój, Lacy, to może być wielki przełom. Zgadzam się, że szukamy igły w stogu siana, ale ta igła tam jest.

– Jak długo utrzymują się odciski palców?

– Przez wiele lat, w zależności od różnych czynników: rodzaju powierzchni, pogody, siły nacisku palca i tak dalej.

Lacy wcale nie zaskoczyło, że Jeri jest w tej dziedzinie ekspertką.

– Zadzwońmy po prostu do FBI – powiedziała.

– Jezu, jakbym nie słyszała tego wcześniej. Zadzwońmy do nich potem. Znajdźmy ten wóz i zdecydujemy, co dalej.

Lacy miała ochotę opowiedzieć Jeri, ile ma zaległej roboty i jak bardzo podwładni obijali się podczas jej nieobecności, wiedziała jednak, że wszystkie te wybiegi niewiele dadzą i zostaną całkowicie zignorowane. Jeri wyśledziła seryjnego zabójcę, o którym policja nie miała bladego pojęcia, i dokonała tego, bo była nieustępliwa. Lacy nie potrafiła się jej po prostu sprzeciwić.

– Nie zdążymy tam przed czwartą – rzuciła, spoglądając na pogrążoną w drzemce Sabelle.

– Złomowisko zamykają o piątej. Pospieszcie się. I nie przyjeżdżaj w sukience.

...

Ernie urzędował przy samym końcu długiego kontuaru i kiedy weszli do działu części zamiennych, był jedynym z czterech „partnerów”, który nie rozmawiał akurat przez telefon. Z kamienną twarzą wskazał, żeby do niego podeszli. Na ścianie za jego plecami wisiały stare kierownice i powgniatane dekle, za kontuarem stały pojemniki z używanymi częściami samochodowymi, a na wielkim regale z boku używane akumulatory. W hali unosił się smród przepalonego oleju i wszyscy czterej „partnerzy” mieli po kilka plam smaru na koszulach. Z tylnej kieszeni Erniego wystawała brudna szmatka, a w kąciku ust trzymał niezapalone cygaro.

– Mogę czymś służyć? – zamruczał.

Przybyła trójka najwyraźniej nie pasowała do tego miejsca.

Lacy szeroko się do niego uśmiechnęła.

– Owszem, dziękuję bardzo. Szukamy pick-upa Chevroleta z dwa tysiące dziewiątego roku.

– Mamy ich tu tysiące. Musisz zawęzić kryteria, skarbie.

W innych okolicznościach „skarbie” by ją rozjuszyło, ale nie był to odpowiedni moment, żeby stawiać go do pionu.

– Szukacie do niego części? – zapytał Ernie.

– Niezupełnie – odparła, nadal cała w uśmiechach.

– Niech pani posłucha, sprzedajemy tu części, używane części do samochodów i nic więcej. Mamy ponad sto tysięcy wraków i codziennie przywożą nam nowe.

Lacy zdała sobie sprawę, że w ten sposób do niczego nie dojdą.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie przestępstwa. Pracujemy dla stanu Floryda – powiedziała, przesuwając po kontuarze wizytówkę.

– Jesteście glinami? – Ernie lekko się cofnął. Dusty’s Salvage robiło wrażenie miejsca, gdzie należności reguluje się gotówką, nie odprowadza podatków i gdzie rutynowo załatwia się lewe interesy. Dwaj inni „partnerzy” zerknęli na nich podejrzliwie, nadal rozmawiając przez telefon.

– Nie – zapewniła go szybko Lacy. Jeri zaczęła podziwiać dekle na ścianie, Darren sprawdzał coś w telefonie. – W żadnym wypadku. Musimy po prostu odnaleźć tego pick-upa. – Lacy pokazała kopię dowodu rejestracyjnego, który Jeri znalazła w internecie.

Ernie wziął ją i zerknął na ekran obłego monitora w stylu lat dziewięćdziesiątych, który także był poplamiony olejem. Postukał palcem w klawiaturę i zmarszczył czoło.

– Dostaliśmy go w styczniu – odezwał się w końcu. – Plac południowy, rząd osiemdziesiąty czwarty. – Popatrzył na Lacy. – Sprzedajemy tutaj części, rozumie pani? Nie oprowadzamy za darmo wycieczek.

– Jasne – odparła nieco głośniejszym głosem. – Mogę tu zawsze wrócić z nakazem.

Z gwałtownej reakcji Erniego można było wnosić, że nakazy nie są czymś, co byłoby mile widziane w Dusty’s Salvage.

– Proszę za mną – rzucił i wyprowadził ich na zewnątrz.

Po jednej stronie było długie metalowe zadaszenie, pod którym stały samochody w różnych stadiach demontażu. Po drugiej otwierał się widok na całe hektary wraków.

– Po tej stronie są osobówki – Ernie wskazał w prawo – a po tamtej – wyciągnął rękę w lewo – furgonetki i pick-upy. Południowy plac jest jakieś osiemset metrów stąd. Szukajcie rzędu osiemdziesiątego czwartego. Przy odrobinie szczęścia go znajdziecie. Zamykamy o piątej, więc jeśli nie chcecie spędzić tutaj nocy, lepiej się pospieszcie.

– Możemy skorzystać z tego wózka? – zapytał Darren, wskazując chłopaka na wózku golfowym.

– Tu wszystko jest na sprzedaż, szefie. Zapytajcie Hermana – odparł Ernie, po czym odwrócił się na pięcie i wrócił do hali.

Za pięć dolarów Herman zgodził się ich podwieźć do rzędu osiemdziesiątego czwartego. Wsiadli na wózek i wkrótce mijali tysiące rozbitych i wybebeszonych pojazdów, w większości bez maski i w stu procentach bez opon, tu i ówdzie z wyrastającymi z okien chwastami. Chłopak zatrzymał się przed szarym pick-upem i wszyscy wysiedli.

– Mógłbyś nas stąd zabrać, Herman, zanim zamkniecie to złomowisko?
– poprosiła Lacy, wręczając mu kolejny pięciodolarowy banknot.

Chłopak uśmiechnął się, skinął głową, wziął pieniądze i odjechał.

Uderzony w drzwi od strony pasażera pick-up był kompletnie rozbity, ale silnik nie ucierpiał i został już wymontowany.

– I co teraz? – zapytała Lacy, kiedy się na niego gapili.

– Weźmy trochę tłoków – rzucił kpiącym tonem Darren.

– Niekoniecznie tłoków, ale jesteś na właściwym tropie – powiedziała Jeri. – Pomyślmy o rzeczach, których Bannick raczej nie dotykał. Na pewno zalicza się do nich silnik. Teraz pomyślmy o rzeczach, których mógł

dotknąć. To kierownica, tablica rozdzielcza, dźwignia zmiany biegów, wszystkie przełączniki i przyciski.

– Zabrałaś proszek do zdejmowania odcisków? – zapytała Lacy.

– Nie, ale wiem, jak je zdejmować. A poza tym nasz plan B to ściągnięcie tutaj FBI, żeby zajęli się tym, jak należy. W tym momencie chcę się po prostu rozejrzeć.

– Przedni schowek – dorzucił Darren.

– A także przestrzeń pod i za fotelem kierowcy. Pomyślcie o własnych samochodach i rzeczach, które tam ciągle wpadają. Potrzebujecie rękawiczek? – Jeri sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej silikonowe rękawiczki. Lacy i Darren posłusznie je włożyli. – Wsiadam od strony kierowcy – oznajmiła Jeri. – Darren, sprawdź tył, a ty, Lacy, spróbuj zajrzeć pod fotel po drugiej stronie.

– Uważajcie na węże – ostrzegł Darren i obie kobiety o mało nie pisnęły ze strachu.

Połowa tylnej kanapy była zmiażdżona i pogięta, a drzwi od strony pasażera ledwo się trzymały. Lacy przeszła przez zielsko i zdołała je otworzyć. Boczna kieszeń była pusta; po stronie pasażera nie zobaczyła nic ciekawego.

Jeri ostrożnie usunęła odłamki szkła z fotela kierowcy i na nim usiadła. Spróbowała otworzyć przedni schowek, ale drzwiczki się zakleszczyły.

Na razie niczego nie odkryli.

– Musimy otworzyć przedni schowek – powiedziała Jeri. – Jeśli będziemy mieli szczęście, jest tam instrukcja obsługi i papiery wozu, tak jak w każdym innym samochodzie, prawda?

– Co to jest instrukcja obsługi? – zapytała Lacy.

– Typowe – mruknął Darren.

Lacy przypomniała sobie nagle własny wypadek i ugięły się pod nią kolana. Pochyliła się, oparła dłonie na udach i próbowała złapać oddech.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Jeri, dotykając jej ramienia.

– Nie. Przepraszam, daj mi po prostu chwilę.

– W wypadku, który przeżyła, zginął Hugo – wyjaśnił Darren, patrząc na Jeri. – Nie tak dawno temu.

– Tak mi przykro – szepnęła Jeri. – W ogóle o tym nie pomyślałam.

Lacy wyprostowała się i wzięła głęboki oddech.

– Powinniśmy zabrać ze sobą wodę – powiedziała Jeri. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Już mi lepiej. Wynośmy się stąd i wezwijmy FBI. Mogą zająć się przeszukaniem.

– Dobrze, ale najpierw chcę zobaczyć, co jest w przednim schowku – nie dawała za wygraną Jeri.

Dwa metry dalej stał duży ford z poobijanym dachem. Darren obszedł go dokoła i znalazł kawałek listwy progowej odstającej od lewych drzwi. Oderwał ją, wsiadł do chevroleta i próbował podważyć nią drzwiczki schowka, lecz te się nie poddawały. Darren dalej wciskał i wypychał w szparę prowizoryczne narzędzie, ale, niestety, bez rezultatu. Schowek był zdeformowany i drzwiczki całkowicie się zablokowały.

– Myślałam, że jesteś silniejszy – zauważyła Lacy, która razem z Jeri obserwowała każdy jego ruch.

Darren spiorunował wzrokiem szefową, otarł pot z czoła i ponownie zaatakował schowek. W końcu udało mu się wsadzić listwę głębiej i wyważyć drzwiczki.

Uśmiechnąwszy się szeroko do kobiet, cisnął swoje narzędzie w zarośla, poprawił rękawiczki i powoli wyjął plastikowy folder, a także gwarancję na opony, fakturę za wymianę oleju wystawioną na nazwisko

Roberta Tragera, kilka broszur wydanych przez American Automobile Association oraz dwa zardzewiałe śrubokręty.

Wręczył folder Jeri i wysiadł z chevroleta. Wszyscy troje popatrzyli na swoje łupy.

– Mamy to otworzyć? – zapytała Lacy.

– Możliwe, że Bannick w jakimś momencie dotykał tych rzeczy – powiedziała Jeri. – Możliwe, że ich nie wytarł. W ostatnim miesiącu, kiedy wycierał wszystko inne, nie mógł tego zrobić.

– Nie ryzykujemy i zawieźmy to od razu do FBI – zaproponowała Lacy.

– Tak, oczywiście. Ale najpierw zerknijmy do środka. – Jeri powoli otworzyła folder i wyjęła z niego instrukcję obsługi. Między jej kartki wsadzone były rozszerzone gwarancje, stary dowód rejestracyjny na nazwisko Roberta Tragera i dwa paragony ze sklepu z częściami samochodowymi.

Z instrukcji wypadła na ziemię jakaś karta. Lacy podniosła ją, przeczytała i szeroko się uśmiechnęła.

– Bingo! – zawołała.

To było potwierdzenie zawarcia ubezpieczenia na chevroleta wydane na rzecz Waveland Shores, jednej z fikcyjnych firm założonych przez Bannicka. Na potwierdzeniu ubezpieczenia wystawionego na sześciomiesięczny okres od stycznia do lipca 2013 roku był numer polisy, limity ubezpieczenia, numer VIN pojazdu i nazwisko agenta. Na odwrocie wskazówki, co robić w razie wypadku drogowego. Lacy pokazała polisę Jeri i Darrenowi, którzy woleli jej nie dotykać, po czym wsadziła ją z powrotem do instrukcji obsługi.

– Nasze szanse w tym momencie znacząco wzrosły – stwierdziła Jeri.

– Dzwonię do Claya Vidovicha. – Lacy wyciągnęła telefon.

Szli przez złomowisko przez dziesięć minut, zanim spostrzegli Hermana na wózku golfowym. Podwiózł ich do wyjścia, gdzie czekał Ernie, który zażądał oczywiście dziesięć dolarów za instrukcję obsługi. Lacy zdołała zbić cenę do pięciu, które mieli zapłacić podatnicy Florydy, po czym cała trójka opuściła złomowisko.

Godzinę później byli w Pensacoli i siedzieli w sali konferencyjnej, popijając zimne napoje z Vidovichem oraz agentami Neff i Suarezem. Kiedy opowiadali o swojej wyprawie, dwaj technicy pochylali się nad instrukcją obsługi, potwierdzeniem zawarcia ubezpieczenia i innymi przedmiotami wyciągniętymi ze schowka.

– Tak, jutro rano stąd wylatujemy – mówił właśnie Vidovich. – Lot jest o ósmej, w Waszyngtonie będziemy po południu. Dzięki tobie, Jeri, była to dość udana wycieczka. Chyba się ze mną zgodzisz?

– Mam mieszane uczucia – odparła bez uśmiechu. – Znaleźliśmy naszego człowieka, ale zdołał nam umknąć, odejść na własnych warunkach.

– Zabójstwa się skończyły, a nie zawsze tak się dzieje. Możemy zamknąć tę sprawę i zająć się innymi.

– Ile ich macie, jeśli wolno spytać? – odezwał się Darren.

Vidovich spojrział na Neff, a ta wzruszyła ramionami, jakby nie potrafiła odpowiedzieć.

– Kilkanaście. Najróżniejszych – mruknął.

– Macie kogoś podobnego do Bannicka? – zapytała Lacy.

Vidovich uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nic nam o tym nie wiadomo. Nie udajemy, że znamy ich wszystkich. Większość tych gości zabija przypadkowych ludzi, których wcześniej nie znali. Pod tym względem Bannick zdecydowanie różnił się od innych. Miał listę osób i śledził je przez długie lata. Gdyby nie ty, Jeri, nigdy byśmy go nie dopadli.

Drzwi się otworzyły i do sali wszedł technik.

– Mamy dwa bardzo dobre odciski kciuka, oba zdjęte z potwierdzenia zawarcia ubezpieczenia. Wysłałem je właśnie do laboratorium w Clarksburgu – oznajmił i wyszedł.

Vidovich wstał i podążył za nim.

– Dadzą im priorytet i przerzucą przez nasze bazy danych. Możemy sprawdzić miliony odcisków w ciągu kilku minut – pochwalił się Suarez.

– Niesamowite – mruknął Darren.

– Racja.

– Co się stanie, jeśli znajdziecie pasujący odcisk? – zapytała Lacy.

– Niewiele – odparła Neff. – Będziemy wiedzieli na pewno, że Bannick zabił Verna i Dunwoody’ego, ale nie wytoczymy mu procesu.

– A gdyby żył?

– Nadal trudno byłoby to udowodnić. Nie chciałabym być w skórze prokuratora.

– Naprawdę niewiele możemy zrobić – powiedział Suarez. – Na pewno spotkamy się z lokalną policją i ich poinformujemy. A oni spotkają się z rodzinami, jeśli te będą miały takie życzenie. Jedni będą chcieli się spotkać, inni nie. A co z pani rodziną? – zwrócił się do Jeri.

– Na pewno w którymś momencie o wszystkim im powiem.

Rozmowa się nie kleiła. Darren poszedł do toalety, Lacy dołała sobie coli.

Vidovich w końcu wrócił.

– Mamy pasujący odcisk – oznajmił z uśmiechem. – Moje gratulacje. Możemy teraz udowodnić, że sędzia Bannick rzeczywiście zabił Lanny’ego Verno i Mike’a Dunwoody’ego. W tym momencie, kochani, na nic więcej nie możemy liczyć.

– Muszę się napić – wyznała Lacy.

– Miałem właśnie zamiar zaprosić was na drinka, a po nim na długą uroczystą kolację. Na koszt FBI.

Jeri otarła łzy i pokiwała głową na znak, że przyjmuje zaproszenie.

Rozdział 46

Dwa tygodnie później Lacy i Allie polecili do Miami, wynajęli samochód i nie spiesząc się, ruszyli na południe drogą numer 1, przez Key Largo aż do Islamorady, gdzie zatrzymali się na długi lunch na tarasie przy skraju wody. Potem ruszyli dalej, minęli Marathon i stanęli dopiero tam, gdzie w Key West kończyła się droga. Zameldowali się w Pier House Resort i dostali pokój z widokiem na ocean. Popluskali się w wodzie, przeszli kilometr plażą, posiedzieli na piasku, a wieczorem wypili po koktajlu, obserwując wspaniały zachód słońca.

Nazajutrz, w sobotę, wyjechali z Key West z powrotem do Marathon i znaleźli dom Kronke'ów na strzeżonym luksusowym osiedlu przy brzegu oceanu. Umówieni na dziesiątą, przyjechali kilka minut wcześniej. Jane Kronke ciepło ich przywitała i zaprowadziła na patio, gdzie czekali już jej dwaj synowie, Roger i Guff, którzy przyjechali dzień wcześniej z Miami. Po jakimś czasie pojawił się komendant miejscowej policji, Turnbull. Allie przeprosił obecnych i zabrał swoją kawę na werandę.

– To nie zajmie nam dużo czasu – oznajmiła Lacy po obowiązkowej krótkiej rozmowie o niczym. – Jak powiedziałam przez telefon, jestem tymczasową dyrektorką Komisji Dyscyplinarnej Sędziów. Zajmujemy się badaniem skarg składanych na orzekających w tym stanie sędziów. W marcu tego roku skontaktowała się z nami kobieta, której ojciec został zamordowany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku.

Powiedziała, że zna tożsamość zabójcy. Złożyła oficjalną skargę i zgodnie z prawem stanu Floryda musieliśmy się nią zająć. Kobieta twierdziła, że podejrzany, urzędujący sędzia, zamordował też pana Kronke'a, a także dwóch innych mężczyzn w Biloxi w stanie Missisipi. Normalnie nie prowadzimy śledztw w sprawie zabójstw, ale nie mieliśmy wyboru. W marcu przyjechałam z kolegą do Marathon i spotkałam się z tu obecnym komendantem policji, który wzorowo z nami współpracował. Niestety, niewiele udało nam się zdziałać, bo jak wiecie, sprawca nie zostawił po sobie żadnych śladów. Ostatecznie skontaktowaliśmy się z Działem Analiz Behawioralnych FBI, elitarnym zespołem, który zajmuje się seryjnymi zabójcami.

Lacy przerwała na chwilę i napiła się lemoniady. Wszyscy z uwagą wsłuchiwali się w każde jej słowo. Trochę im współczuła.

– Sędzia, o którym mowa, to Ross Bannick, z okręgu sądowego Pensacoli – podjęła. – Podejrzewamy, że można mu przypisać co najmniej dziesięć zabójstw popełnionych w ciągu ponad dwudziestu lat, w tym zabójstwo pana Kronke'a. Trzy tygodnie temu popełnił samobójstwo w klinice terapii uzależnień niedaleko Santa Fe. Odcisk kciuka wiąże go z dwoma zabójstwami w Biloxi, ale nadal nie dysponujemy dowodami, że zabił pana Kronke'a. Mamy tylko motyw i metodę.

Jane Kronke otarła łzy z oczu, a Guff poklepał ją po ramieniu.

– Jaki jest motyw? – zapytał Roger.

– Sięga tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy Bannick pracował latem w firmie pana ojca jako stażysta. Z nieznanых przyczyn nie zaproponowano mu posady, kiedy ukończył studia. Pana ojciec opiekował się wtedy stażystami i poinformował go o tym listownie. Bannick najwyraźniej nie przyjął tego najlepiej.

– Czekał dwadzieścia trzy lata, żeby go zabić? – zapytał Guff.

– Owszem. Był bardzo cierpliwy i bardzo wyrachowany. Znał wszystkie swoje ofiary i obserwował je tak długo, aż wybrał odpowiedni moment. Nigdy nie poznamy szczegółów, bo przed samobójstwem Bannick zniszczył całą dokumentację. Notatki, twarde dyski, wszystko. Wiedział, że FBI dobiera mu się do skóry. Był niesamowicie dokładny, prawie genialny. FBI jest pod wrażeniem.

Obecni wysłuchali jej z niedowierzaniem i przez dłuższy czas się nie odzywali.

– Wspomniała pani o metodzie – powiedział w końcu komendant Turnbull.

– Z jednym wyjątkiem wszystkie zabójstwa wyglądały tak samo. Uderzenie w głowę, a potem uduszenie sznurem. Sznur był zawsze taki sam, zawiązany rzadko używanym węzłem, podwójnym wyblinkowym. Stosują go czasami żeglarze.

– Jego wizytówka.

– Tak, to była jego wizytówka, co nie jest czymś niezwykłym. Profilerzy z FBI uważają, że nie chciał zostać złapany, ale zależało mu, by ktoś wiedział, że to robi. Ich zdaniem pragnął śmierci, stąd samobójstwo.

– Jak się zabił? – zapytał Roger.

– Przedawkował leki. Nie wiemy jakie, bo zgodnie z instrukcjami zawartymi w jego testamencie nie przeprowadzono sekcji zwłok. Tak naprawdę nie była potrzebna. FBI zbadała jego palce, ale były zbyt zniszczone, by zdjąć z nich odciski.

– Więc ojca zamordował sędzia – mruknął Guff.

– Tak uważamy, ale nigdy nie uda się tego dowieść.

– I nie zostanie o to oskarżony?

– Zabijając dwóch mężczyzn w Biloxi, zostawił odcisk kciuka. Tamtejszy szeryf ma zamiar spotkać się z rodzinami ofiar i podjąć z nimi

decyzję, co robić dalej. Być może poinformują opinię publiczną, że zagadka została rozwiązana i zabójcą był Bannick.

– Mam taką nadzieję – rzucił Roger.

– Ale nie zostanie oskarżony? – zapytał Guff.

– Nie. Bannick nie żyje i wątpię, żeby próbowali go skazać in absentia. Szeryf uważa, że rodziny, a przynajmniej jedna z nich, nie będą chciały tego drażyć. Postawienie zarzutów byłoby trudne, jeśli nie niemożliwe, bo Bannick nie mógłby stawić czoła oskarżycielom.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwała się, zgrzytając zębami, Jane Kronke. – Mamy odetchnąć z ulgą, wpaść w gniew czy co?

– Niestety, nie znam odpowiedzi na to pytanie – odparła Lacy, wzruszając ramionami.

– Więc nie będzie żadnego raportu, żadnej oficjalnej wiadomości, dzięki której ludzie dowiedzieliby się, że nasz ojciec został zamordowany przez tego faceta, prawda? – zapytał Guff.

– Nie kontroluję tego, co może pan powiedzieć dziennikarzom, ale nie wiem, czy przy tak znikomych dowodach coś ukaże się w druku. Oskarżanie zmarłego na podstawie niewystarczających dowodów może się okazać problematyczne.

Po raz kolejny zapadła długa cisza, w trakcie której Kronke'owie próbowali coś z tego zrozumieć.

– Kim były jego inne ofiary? – zapytał w końcu Roger.

– To ludzie z przeszłości Bannicka, osoby, które mu w jakiś sposób podpadły. Profesor z wydziału prawa, adwokat, który pozbawił go honorarium, dwie były dziewczyny, dawny klient, który złożył na niego skargę, reporter, który ujawnił szemraną transakcję. Drużynowy skautów. Uważamy, że Bannick był w wieku dwunastu lat molestowany seksualnie

przez tego drużynowego. Być może od tego wszystko się zaczęło. Nigdy nie będziemy mieli pewności.

Guff pokręcił z rozdrażnieniem głową, włożył ręce do kieszeni i przeszedł się po tarasie.

– Skoro był taki inteligentny, to jak go złapaliście? – zapytała Jane.

– To nie my go złapaliśmy. I nie złapała go policja. Komendant Turnbull może potwierdzić, że Bannick nie zostawiał po sobie praktycznie żadnych śladów.

– Więc jak to się odbyło?

– To długa i całkiem nieprawdopodobna historia. Pominę detale i przejdę od razu do sedna. Jego drugą ofiarą był profesor z wydziału prawa. Osierocił córkę, dla której zabójstwo ojca stało się przedmiotem obsesji. W końcu zaczęła podejrzewać Bannicka i przez dwadzieścia lat śledziła jego poczynania. Kiedy nabrała pewności, że to on, zebrała się na odwagę i przyszła z tym do nas. Nie chcieliśmy prowadzić tego dochodzenia, ale nie mieliśmy wyboru. Niedługo potem sprawą zajęło się FBI.

– Proszę jej przekazać nasze podziękowania – powiedziała Jane.

– Nie omieszkam. To niezwykła kobieta.

– Chcielibyśmy się z nią kiedyś spotkać – dodał Roger.

– Może się spotkacie, kto wie. Ale jest dość nieśmiała.

– Rozwiązała sprawę, której my nie potrafiliśmy rozwiązać – stwierdził komendant. – Wygląda na to, że powinno ją zatrudnić FBI.

– Bardzo by chcieli. Cóż, przykro mi, że przekazałam państwu takie wiadomości, ale wydawało mi się, że będziecie chcieli wiedzieć. Gdybyście mieli jakieś pytania, macie mój numer telefonu.

– Jestem pewien, że będziemy mieli tysiące pytań – zapewnił ją Guff.

– Proszę bardzo, ale nie mogę obiecać, że będę znała wszystkie odpowiedzi.

Lacy była gotowa do wyjścia. Kronke'owie po raz kolejny jej podziękowali i odprowadzili do samochodu, w którym czekał Allie.

...

Późnym popołudniem hotel tętnił życiem. Z barów dobiegała muzyka, na piasku grano w siatkówkę, dzieciaki pluskały się w basenie. Po krystalicznie błękitnej wodzie sunęły w oddali żaglówki.

Lacy miała już dosyć opalania i chciała się wybrać na spacer. Na końcu cypla trafili na wesele odbywające się przy małej kaplicy na plaży. Przybywający goście byli częstowani szampanem.

– Jaka urocza kaplica – powiedziała. – Idealne miejsce na ślub.

– Rzeczywiście miła – zgodził się Allie.

– Zarezerwowałam ją na dwudziestego siódmego września. Będiesz tego dnia zajęty?

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Czasami jesteś taki opieszły. Tego dnia bierzemy ślub. Tu, w tym miejscu. Wpłaciłam już zaliczkę.

Allie wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– A co z oświadczynami i całą resztą?

– Właśnie ci się oświadczyłam. Ty najwyraźniej nie byłeś w stanie tego zrobić. I przyjmę od ciebie ten pierścionek zaręczynowy.

Roześmiał się i ją pocałował.

– Dlaczego go po prostu sama nie kupisz, skoro przejęłaś dowodzenie?
– zapytał.

– Zastanawiałam się nad tym, ale zostawię to tobie. Pamiętaj, że lubię owalne brylanty.

– W porządku, zajmę się tym. Jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

– Tak. Wybrałam tę datę, bo mamy dzięki temu cztery miesiące, żeby zwolnić się z pracy i zacząć nowe życie. Ja odchodzę z KDS. Ty odchodzisz z Biura. Musisz wybierać. Albo ja, albo FBI.

– Możemy to renegocjować?

– Nie.

Allie roześmiał się i znowu ją pocałował.

– Wybieram ciebie.

– Prawidłowa odpowiedź.

– Jestem pewien, że zaplanowałaś już nasz miesiąc miodowy.

– Owszem. Wyjeżdżamy na miesiąc. Zaczniemy od wybrzeża Amalfi we Włoszech, trochę się tam powłóczymy, a potem pojedziemy pociągiem do Portofino, Nicei, południowej Francji, może nawet do Paryża. Będziemy podejmować decyzje na bieżąco.

– Podoba mi się to. A kiedy już wrócimy?

– Jeżeli wrócimy, wymyślimy następny rozdział.

Drużba w szortach, różowej koszuli i muszce podszedł do nich na bosaka, trzymając w dłoniach dwa kieliszki szampana.

– Zapraszam na wesele – powiedział. – Potrzebujemy więcej gości.

Wzięli od niego szampana, usiedli na ostatniej ławce i poczuli się jak w domu, kiedy dwie kompletnie im nieznane osoby ślubowały sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską.

Lacy starała się już teraz zapamiętać, co i jak urządzi inaczej.

Od autora

Kiedy żegnaliśmy się z nią w *Demaskatorze*, Lacy Stoltz wracała do zdrowia po wypadku i walczyła o swoją przyszłość. Dużo o niej od tamtego czasu myślałem i zawsze chciałem przeżyć z nią jeszcze jedną przygodę. Długo jednak nie mogłem znaleźć historii, która dorównałaby oszałamiającemu sukcesowi tej pierwszej. Stało się to dopiero w momencie, gdy trafiłem na sędziego, który był także mordercą.

I jak tu nie kochać fikcji!

Jak wskazuję w jednym z niewielu zgodnych z faktami fragmentów tej książki, każdy stan ma własne sposoby rozpatrywania skarg na sędziów. Na Florydzie od roku 1968 radzi sobie z tym świetnie Komisja Kwalifikacji Sądowych. Nie istnieje coś takiego jak Komisja Dyscyplinarna Sędziów.

Bardzo dziękuję Mike'owi Lindenowi, Jimowi Lambowi, Timowi Heaphy'emu, Lauren Powlovich, Nealowi Kassellowi, Mike'owi Hollemanowi, Nicholasowi Danielowi, Bobby'emu Moakowi, Wesowi Blankowi i Talmage'owi Bostonowi.

John Grisham